

# DAVID WEBER

## HONOR HARRINGTON

**Piękna Przyjaźń**  
*A Beautiful Friendship*

Przełożył  
Radosław Kot



Od tłumacza:

W tekście zostały wykorzystane fragmenty opowiadania *Piękna przyjaźń* (z tomu *Więcej niż honor*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2002) w przekładzie Jarosława Kotarskiego.

# NIESPODZIEWANE SPOTKANIA

Rok 1518 po Diasporze

Planeta Sphinx

Podwójny układ gwiazdny Manticore

# ROZDZIAŁ I

- Mówię poważnie, Stephanie! - oznajmił Richard Harrington. - Nie chcę, byś chodziła do lasu beze mnie albo bez mamy. Czy to jasne?

- Och, taaato... - zaczęła Stephanie i natychmiast umilkła, widząc, że ojciec krzyżuje ręce na piersi. Kiedy zaczął prawą stopą wybijać rytm na dywanie, straciła resztki nadziei. Rozmowa nie przebiegała dobrze, co kiepsko świadczyło o jej umiejętnościach negocjacyjnych. A to martwiło ją prawie tak samo jak ograniczenia, których właśnie próbowała uniknąć. Miała niemal dwanaście lat standardowych, była bystra i była jedynaczką. No i dziewczynką. To dawało jej sporą przewagę, dzięki której stała się ekspertem w owijaniu sobie ojca wokół palca praktycznie od dnia, gdy nauczyła się mówić. Niestety, matka okazała się twardszą zawodniczką... a i ojciec niekiedy uznawał, że sprawa jest zbyt poważna, i pozostawał nieprzejednany.

Tak jak teraz.

- Żadnych dyskusji - powiedział ze źle wróżącym spokojem. - To, że nie widziałeś dotąd hexapumy czy niedźwiedzia górskiego, nie oznacza, że nie ma ich w okolicy.

- Całą zimę siedziałam w domu - odparła, zapominając przypadkiem o takich drobiazgach, jak śnieżki, narty, sanki i tym podobne rozrywki. - Chcę wreszcie wyjść na zewnątrz i zobaczyć trochę świata!

- Wiem, że chcesz, słonko. - Głos ojca złagodniał. - Tyle że ten las naprawdę jest niebezpieczny. To nie Meyerdaahl, wiesz o tym.

Stephanie uniosła oczy ku niebu i przybrała cierpiętniczą minę.

- Skoro aż tak się nudzisz, może polecisz z mamą po południu do Twin Forks? - zaproponował, z miejsca tego żałując.

- Ale tam jest jeszcze gorzej, tato! Twin Forks to kompletna wiocha! - jęknęła z przejęciem, chociaż zdawała sobie sprawę, że popełnia taktyczny błąd. Nawet tak nieprzeciętni ludzie jak jej rodzice zacinali się w uporze, gdy słyszeli szczere opinie niepasujące do ich własnych ocen.

Problem w tym, że najbliższą im osadę, zwaną Twin Forks, zamieszkiwało góra pięćdziesiąt rodzin, a tamtejsi rówieśnicy Stephanie byli, łagodnie mówiąc, ograniczeni. Żaden nie interesował się ksenobotaniką czy hierarchią biosystemów, a większość spędzała

wolny czas na próbach złapania któregoś z lokalnych zwierząt na tyle małego, by mogło robić za zwierzątko domowe. Biorąc pod uwagę, jak wielką krzywdę mogli wyrządzić ofercie takiego udomowienia, Stephanie cieszyła się, że z zasady im się nie udawało. Przy takim podejściu było jednak praktycznie pewne, że próba poważnej rozmowy w celu uzyskania ich pomocy w następnych wyprawach szybko skończyłaby się pyskówką i bójką. Wcale nie z jej winy. To rodzice wpadli na pomysł, aby opuścić Meyerdaahl właśnie wtedy, gdy została przyjęta do najmłodszej klasy leśników. Gdyby zostali, odbywałaby właśnie pierwszą praktykę w terenie. Skoro wyszło inaczej, powinni jej to wynagrodzić, pozwalając zbadać przynajmniej własną posiadłość.

- Twin Forks nie jest „kompletną wiochą” - sprzeciwił się zdecydowanie ojciec.

- Jest - uparła się, nie kryjąc pogardy.

- Posłuchaj - odezwał się po chwili. - Wiem, że musiałaś zostawić starych przyjaciół i że bardzo zależało ci na leśnictwie. Ale Meyerdaahl został zasiedlony ponad tysiąc lat temu. Sphinx jest całkiem inny.

- Wiem, tato - odpowiedziała, starając się zachować rozsądek. Zdawała sobie sprawę, że wcześniejsze jęki były błędem, i nie zamierzała go powtarzać, poczuła się jednak skrajnie zaskoczona żądaniem ojca, aby trzymała się okolicy domu, - Ale przecież cały czas mam komunikator. W każdej chwili mogłabym wezwać pomoc. Jestem dość doświadczona, aby wspiąć się na drzewo, gdyby coś chciało mnie pożreć! Obiecuję, że jeśli tylko spotkam jakieś groźne zwierzę, znajdziecie mnie siedzącą na gałęzi piętnaście metrów nad ziemią i czekającą grzecznie, aż mama i tata namierzą mnie po sygnale transpondera.

- Wiem, że tak by było... o ile w porę dostrzegłabyś zagrożenie - powiedział ojciec ponurym tonem. - Ale sieć łączności na Sphinksie jest w powijakach. Nadal niewiele wiemy o tym świecie i miną dziesiątki lat, nim lepiej go poznamy. Alarm alarmem, ale najszybszy nawet pojazd powietrzny mógłby nie dotrzeć do ciebie na czas w razie ataku hexapumy czy niedźwiedzia górskiego.

Stephanie chciała coś odpowiedzieć, ale zamknęła usta bez słowa. Niestety, ojciec miał rację. Nie zamierzała poddawać się bez walki, jednak atak pięciometrowej hexapumy w rzeczy samej mógł popsuć dzień, a i górskie niedźwiedzie nie były pod tym względem gorsze. Ojciec nie mylił się też, mówiąc, że nikt nie miał pojęcia, co jeszcze mogło kryć się w tutejszych rozległych lasach. Z drugiej strony, właśnie dlatego ją tam ciągnęło!

- Trudno, Steph - odezwał się w końcu ojciec. - Mam świadomość, że Twin Forks to niewiele w porównaniu z Hollister, ale to najlepsze, co mogę ci zaproponować. Oboje wiemy, że będzie się rozwijać. Następnej wiosny ma ruszyć budowa lądowiska dla promów.

Stephanie zdołała jakimś cudem nie wznieść oczu do nieba. Twierdzenie, że Twin Forks to „niewiele” w porównaniu z Hollister, było równie zgodne z prawdą co powiedzenie, że na Sphinksie „trochę” śnieży. A biorąc pod uwagę upiornie długi rok tej durnej planety, nadejścia wiosny można było się spodziewać dopiero koło siedemnastych urodzin Stephanie. Kiedy tu przybyli, liczyła ich dziesięć i pół... i właśnie wtedy spadł pierwszy śnieg. Padał tak przez następne piętnaście standardowych miesięcy.

- Przykro mi - dodał cicho ojciec, jakby czytał w myślach córki. - Przykro mi, że Twin Forks to wiocha, że musiałaś opuścić Meyerdahla i że nie mogę pozwolić ci na samotne wycieczki, ale tak to już jest. - Spojrzał wprost w brązowe oczy córki. - I chcę, byś dała mi słowo, że w tej kwestii będziesz nas słuchać.

\*\*\*

Stephanie w ponurym nastroju wędrowała przez mlaskające błoto ku przykrytej spadzistym dachem altanie. Na Sphinksie wszystkie budynki miały spadziste dachy. I był po temu dobry powód, pomyślała Steph, przysiadając ciężko na stopniach.

Chodziło o śnieg. Nawet tutaj, w pobliżu równika, jego opady mierzono w metrach. I było to wiele metrów, pomyślała bez entuzjazmu. Spadziste dachy chroniły przed gromadzeniem się lodu, co było tym ważniejsze, że planeta miała o ponad jedną trzecią silniejszą grawitację niż Ziemia. Nie, żeby Steph widziała kiedyś Ziemię... czy jakkolwiek inną planetę nienależącą do „ciężkich”, czyli takich o podwyższonym wobec ludzkiej normy przyciąganiu.

Pociągnęła nosem, żałując, że prapraprzodkowie zgłosili się na ochotnika do pierwszej fali kolonizującej planetę Meyerdahl. Rodzice wytłumaczyli jej całą sprawę dokładnie krótko po tym, gdy ukończyła osiem standardowych lat. Już wcześniej słyszała oczywiście określenie „mutant”, ale nie zdawała sobie sprawy, że dotyczy ono także i jej. Trudno było się temu dziwić - naukę zaczęła dopiero cztery standardowe lata wcześniej i nie doszła jeszcze do okresu Ostatecznej Wojny, która rozegrała się na Ziemi. Nie mogła więc wiedzieć, dlaczego niektórzy ludzie nadal tak gwałtownie reagowali na wszelkie wzmianki o modyfikacji ludzkiego genotypu... i dlaczego słowo „mutant” uważano za najgorszą obelgę istniejącą w standardowym angielskim.

Teraz знаła już prawdę, ale uważała, że wszyscy, którzy tak podchodzą do sprawy, są po prostu głupi. Naturalnie superżołnierze tamtego konfliktu i użyta w nim broń biologiczna to było coś potwornego, ale wszystko zdarzyło się ponad pięćset standardowych lat temu i nie miało nic wspólnego z pierwszymi osadnikami zasiedlającymi Meyerdahla czy Quelhollow. Zapewne dobrze się złożyło, że koloniści udający się na Manticore opuścili Ziemię jeszcze

przed tą wojną. Co prawda podróżowali w stanie hibernacji i dotarcie do celu zabrało ich prymitywnym statkom wiele lat, ale dzięki temu cała wojenna awantura ich ominęła i nie żywili żadnych uprzedzeń wobec modyfikacji genetycznych.

Inna sprawa, że zmiany, którym poddano kolonistów Meyerdahla, nie były ani poważne, ani specjalnie widoczne. Stephanie miała wzmocnioną o dwadzieścia pięć procent muskulaturę i o dwadzieścia procent szybszy metabolizm. Do tego dochodziły drobne usprawnienia układu oddechowego i krwioobiegu, dzięki czemu była mniej wrażliwa na zmiany ciśnienia atmosferycznego i mogła sobie z nimi poradzić bez sięgania po poprawiające wydolność organizmu nanotechnologie. Wzmocniony został także kościec, aby silniejsze mięśnie znalazły w nim dobre oparcie. Wszystkie te modyfikacje miały charakter cech dominujących, czyli były dziedziczne, także w przypadku potomstwa posiadanego z osobami o „zwykłych” genach. W sumie nie znaczyły zresztą wiele. Niemniej, dzięki nim koloniści „ciężkich” planet nie zmieniali się po kilku pokoleniach w krępe i nadmiernie umięśnione istoty, pozostając proporcjonalnie zbudowanymi ludźmi.

Mimo to, gdy postudiowała historię ruchów antygenetycznych, uznała, że rodzice mieli rację, ostrzegając ją przed chwaleniem się wkoło, że jest trochę inna. Zresztą rzadko o tym myślała poza chwilami, kiedy przypominała sobie, że gdyby nie ta mutacja, rodzice nie opuściliby zapewne układu Manticore i nie osiedliliby się na tym odludziu, zmuszając tym samym córkę do porzucenia wszystkiego, co było jej bliskie.

Przygryzła wargę i rozejrzała się po otoczonej drzewami polanie, której nie mogła opuścić. Wysoki, zielony dach domu stanowił najbarwniejszą plamę na tle nagich obecnie królewskich dębów i palikowców. W duszy Steph barwy były jednak chwilowo na tyle przygaszone, iż z miejsca uznała zieleń za zły kolor dla dachu. Powinien być ciemny. Może brązowy albo nawet czarny. No i ten materiał budowlany. Nie mogli użyć czegoś ciekawszego niż zwykły szary kamień? Wiedziała, że tak było najtaniej, jednak w tym klimacie dla uzyskania właściwej izolacji ściany trzeba było stawiać na metr grube. Wnętrza domów są przez to jak lochy, pomyślała... i nagle się uśmiechnęła. To skojarzenie idealnie pasowało do jej nastroju. Należało zapamiętać je i wykorzystać przy najbliższej okazji.

Potrząsnęła głową i z bolesną wręcz tęsknotą przyjrzała się drzewom rosnącym za domem i wzniesionym obok szklarniom. Wiele dzieci w jej wieku chciało być naukowcami albo przemierzać próżnię, ona jednak nie marzyła o gwiazdach. Ciągnęło ją do wszystkiego, co żywe i zielone. Pragnęła zapuszczać się tam, dokąd nikt jeszcze nie dotarł, tyle że nie w nadprzestrzeni, ale na znanych już planetach, gdzie masa gór i wodospadów czekała wciąż na swoich odkrywców i gdzie były rośliny i zwierzęta, o których nie słyszał dotąd żaden ogród

zoologiczny. Zwierzęta, które nie bały się człowieka, gdyż go jeszcze nie znały. Chciała jako pierwsza zobaczyć je, zbadać, zrozumieć i ochronić.

Może miało to jakiś związek z zawodami jej rodziców - ojciec miał dwa dyplomy z weterynarii, zarówno klasycznej, jak i pozaziemskiej, matka była genetykiem roślinnym. Oboje byli znacznie bardziej przydatni na Sphinksie niż Meyerdahlu, chociaż i tam Służba Leśna korzystała niekiedy z ich usług. Stephanie miała więc od urodzenia znacznie bliższy kontakt z roślinami i zwierzętami niż jej rówieśnicy i mogło to mieć wpływ na późniejsze zainteresowania. Tyle że ledwo zaczęła coś z tym robić, zesłano ją tutaj, na Sphinksa.

Skrzywiła się z niesmakiem. Żał jej było porzucić Meyerdahla i marzenia o pracy w tamtejszym Urzędzie Przyrody, ale perspektywa podróży kosmicznej też była atrakcyjna, zwłaszcza że chodziło o coś w rodzaju misji ratunkowej. Lecieli do kolonii, która ledwie zdołała przetrwać epidemię. Inaczej by o tym myślała, przyznawała uczucie, gdyby lekarze nie zdołali znaleźć sposobu na zarazę. Co jeszcze ważniejsze, specjalności rodziców zostały uznane za tak cenne, że Gwiezdne Królestwo Manticore opłaciło koszty podróży. Ocaliwszy w ten sposób oszczędności, mogli kupić całkiem spory kawał terenu. Posiadłość Harringtonów miała kształt kwadratu rozciągającego się na stokach gór Copper Wall, z widokiem na Ocean Tannermana (który oczywiście zasłaniały drzewa), a na dodatek graniczyła z przyszłym rezerwatem przyrody. Każdy bok tego kwadratu mierzył dwadzieścia pięć kilometrów. Kilometrów! Wcześniej ich frontowe podwórko było szerokie na dwadzieścia pięć metrów, tutaj mieli dla siebie obszar równy całemu miastu.

Istniało jednak kilka niedogodności, których wcześniej nie wzięła pod uwagę, jak choćby to, że posiadłość leżała prawie tysiąc kilometrów od najbliższego skupiska ludzkiego, które mogłoby uchodzić za miasto. Uwielbiała dziką przyrodę, ale przywykła też do stałego kontaktu z cywilizacją. Dodatkowo duże odległości pomiędzy poszczególnymi osadami zmuszały jej ojca, który często odwiedzał pacjentów, do spędzania mnóstwa czasu w drodze.

Dobrze, że chociaż planetarny datanet był normalny i umożliwiał naukę oraz znajdowanie prostych przyjemności. Mimo przeprowadzki znowu była najlepsza w klasie, a w ogólnoplanetarnych zawodach szachowych juniorów zajęła szesnaste miejsce. Oczywiście tutaj znaczyło to mniej niż na Meyerdahlu, bo i populacja była o wiele skromniejsza, ale uchroniło ją przed zapadnięciem na coś, co matka nazwała kiedyś „pustelniczą klaustrofobią”. W sumie lubiła wyjazdy do Twin Forks i zwykle nie narzekała, że to marna wiocha. Faktem jednak było, że żaden z jej tamtejszych rówieśników nie dorastał intelektualnie do jej poziomu. Nie miała też z nimi kontaktu w sieci podobnego jak wcześniej na Meyerdahlu. Pewnie w rzeczywistości nie byli tak całkiem beznadziejni, ale po prostu ich nie znała. Poza



tym nie była mocna w „nawiązywaniu interakcji grupowych”, jak określali to nauczyciele. Mieli rację. Wiedziała, że szybko zniechęca się do ludzi, którzy za nią nie nadążają albo wyskakują z głupimi pomysłami. Może nawet za szybko, ale taki już miała temperament. Czasem próbowała nad nim zapanować, ale i tak wiele jej „interakcji” skutkowało krwawiącymi nosami i podbitymi oczami.

I tak nie miała w Twin Forks żadnych przyjaciół. Przynajmniej jeszcze nie, sama osada zaś nie zapewniała nawet drobnej części tych atrakcji, co trzymilionowe Hollister.

Mogłaby to przeżyć, gdyby nie dwa inne czynniki: śnieg i hexapumy. - Popatrzyła na blocko poniżej schodów altany i skrzywiła się z odrazą. Ojciec uprzedzał ją przed podróżą, że przybędą tuż przed zimą, ale nie wydało się jej to wtedy istotne. Teraz wiedziała już, że zima na Sphinksie nie należy do zjawisk, które można zignorować. Na ciepłym Meyerdahlu śnieg był miłą odmianą, tutaj zaś okazał się codziennością, i to przez prawie szesnaście standardowych miesięcy. To była ponad jedna dziesiąta jej dotychczasowego życia! Niedobrze jej się już robiło na widok tego białego świństwa. Wierzyła ojcu, gdy mówił, że inne pory roku będą równie długie, i rozumiała, że następny śnieg zobaczy za niemal cztery standardowe lata, ale na razie jeszcze tego nie doświadczyła. Śniegu owszem. Podobnie jak i błota. Całej masy obrzydliwego błota, z którego sterczały kompletnie nagie drzewa.

No i była jeszcze nuda. Połączona na dodatek z obietnicą, że nie spróbuje samodzielnie tej nudy zabijać. Obietnicą wymuszoną przez ojca. W sumie powinna się cieszyć, że tak się o nią martwią, ale... ojciec postąpił nieuczciwie. Zupełnie jakby uczynił ją strażnikiem samej siebie. I dobrze wiedział przy tym, co robi!

Westchnęła ponownie, wstała, wbiła dłonie w kieszenie kurtki i ruszyła do gabinetu matki. Po siedemnastu miesiącach pobytu na Sphinksie Marjorie Harrington była już osobą znaną i cenioną, jednak w odróżnieniu od męża rzadko musiała gdzieś latać. Gdy zdarzało się czasem, że przesłane siecią dane nie wystarczały, dostarczano jej potrzebne okazy roślin do domu. Miała tu zarówno laboratorium, jak i przydatną przy różnych okazjach cieplarnię.

Stephanie wątpiła, by udało się jej skłonić rodzicielkę do próby przekonania ojca, ale co szkodziło spróbować? W najgorszym razie mogła liczyć chociaż na odrobinę zrozumienia.

\*\*\*

Doktor Marjorie Harrington stała przy oknie i z pełnym zrozumienia uśmiechem obserwowała córkę wlokącą się noga za nogą w stronę domu. Wiedziała doskonale, dokąd Stephanie zmierza i co chce osiągnąć, i choć była przeciwna próbom wygrywania jednego rodzica przeciwko drugiemu, w tej sprawie rozumiała ją. Nie oznaczało to, że stanie po jej stronie. Nie wątpiła też, że Stephanie, mimo skłonności do manipulowania bliskimi, dotrzyma

danego słowa.

Pojmowała, w czym rzecz, i nawet świadomość, że nie mieli z Richardem innego wyjścia i musieli zakazać jej samodzielnego opuszczania domu, nie poprawiała jej samopoczucia.

Muszę częściej wstawać od komputera, pomyślała i przestała się uśmiechać. Nie jestem w stanie spędzać ze Stephanie w lesie tylu godzin, ile ona by chciała, ale cóż! Na to nawet tutejszy dzień byłby za krótki. Ale czasem naprawdę dobrze byłoby się z nią ruszyć.

Nagle pomyślała jeszcze o czymś i ponownie się uśmiechnęła. Nie mogli pozwolić córce na samodzielne wyprawy do lasu, ale istniał inny sposób, by dostarczyć jej zajęcia. Stephanie miała umysł wręcz stworzony do rozwiązywania krzyżówek i innych zagadek i była organicznie niezdolna do odrzucenia wyzwania, jeśli zostało jej podsunięte w odpowiedni sposób.

Usiadła prosto, udając, że studiuje plik wydruków, gdy w korytarzu rozległo się szuranie zmierzające ku drzwiom jej gabinetu. Szuranie zatrzymało się w progu i rozległo się stukanie.

- Mamo?

Omal się nie uśmiechnęła, słysząc ten ton, ale zapanowała nad odruchem.

- Wejdz, Steph - powiedziała, unosząc głowę.

- Możemy porozmawiać?

Marjorie przytaknęła z powagą.

- Oczywiście, słonko. Co cię gryzie?

## ROZDZIAŁ II

Wspinający się Szybko zatrzymał się na pierwszej solidnej gałęzi i zabrał się do starannego czyszczenia przednich chwytnych i środkowych łap z wszechobecnego błota. Nienawidził chodzenia po ziemi w taką pogodę, gdy śnieg i lód zmieniały się w błotnistą breję. Za śniegiem też nie przepadał, ale śnieg przynajmniej topił się w końcu i spływał z futra, a nie zastygał w skorupę twardą niczym kamień. Niemniej ocieplenie miało też swoje dobre strony - powęszył z uznaniem, czując coraz to nowe zapachy budzącego się życia. Na nagich dotąd gałęziach pojawiły się pierwsze pąki. W normalnych warunkach Wspinający się Szybko wdrapałby się na czubek drzewa i ułożył tam wygodnie, pozwalając wiatrowi przewiewać futro. Dziś miał jednak ważniejsze sprawy na głowie.

Skończył przymusowe mycie i wstał, wyciągając się na całą długość - tylnymi łapami stojąc na gałęzi, chwytymi przytrzymując się pnia. Rozejrzał się uważnie, wodząc po okolicy bystrymi, zielonymi oczami. Nie dostrzegł żadnego dwunoga, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Dwunogi potrafiły zaskakiwać. Klan Jasnej Wody, do którego należał, dopiero od niedawna miał z nimi kontakt, ale inne klany obserwowały ich od pełnych dwunastu obrotów. Oczywiście było, że dwunogi znają różne zmyślne sztuczki, których istnienia Lud wcześniej nie podejrzewał. Jedną z nich była umiejętność obserwowania z tak daleka, że nie sposób było ich wywęszyć, wyczuć czy dostrzec. Teraz jednak nic nie sugerowało, by ktokolwiek obserwował Wspinającego się Szybko, ruszył więc w dalszą drogę po gałęziach, zapuszczając się na wykarczowany obszar.

Zatrzymał się przy ostatnim skrzyżowaniu konarów i przez chwilę siedział nieruchomo, stając się praktycznie niewidoczny. Jego kremowo-szare futro zlało się z pniami i naznaczonymi pierwszymi pączkami gałęziami. Dokładniej rzecz biorąc, byłby niewidoczny, gdyby odruchowo nie przeczesywał chwytą łapą wibrysów. Nasłuchiwał uważnie, tak uszami, jak i w myślach, aż wyczuł słaby blask umysłów oznaczający, że w pobliżu są dwunogi. Nie była to jasna i zrozumiała łączność jak w przypadku kogoś z Ludu, dwunogi bowiem wydawały się mieć ślepe umysły, ale było w niej coś... miłego. I to już musiało dziwić, dwunogi były bowiem bardzo niepodobne do Ludu. To jedno od samego początku nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

*Czego nasłuchujesz, Wspinający się Szybko?* - usłyszał w myślach i obejrzał się przez

ramię.

Używający Cieni po wielokroć zasłużył na swoje imię. Nawet Wspinający się Szybko ledwo mógł dostrzec zarys drugiego zwiadowcy na tle kory, chociaż dzięki blaskowi jego umysłu wiedział, gdzie patrzeć. Nie obawiał się, że Używający Cieni zdradzi ich obecność dwunogom, ale sam w sobie nie był raczej pożądanym towarzystwem.

*Blasku umysłów dwunogów* - odparł i wyczuł irytację tamtego. Nie próbował nawet ukryć swojego podniecenia. W kontaktach z kimkolwiek z Ludu było to niewykonalne.

*Czego?* - spytał Używający Cieni. - *Wiemy już przecież, że oni są głusi jak ryjówki.*

Używający Cieni pogardzał wszystkimi istotami o zamkniętych umysłach tak konsekwentnie, że Wspinający się Szybko chętnie obdrapałby mu za to nos. Pamiętał jednak, że ma do czynienia z kimś znacznie młodszym i skłonny do przeceniania swojej wiedzy, starał się więc nie ulegać przesadnej frustracji. Która stawała się tym samym jeszcze bardziej dokuczliwa, zwłaszcza że Używający Cieni wyczuwał przecież stan jego umysłu.

*Wydają się głusi, ale to nie znaczy jeszcze, że są głupi jak ryjówki* - odparł po chwili. - *Potrafisz robić to, co oni? Umiesz latać? Zetniesz całe złotolistne drzewo w jedno popołudnie? Na pewno nie. Pozwól więc sobie przypomnieć, że dla nich to nie problem. I dlatego właśnie jesteśmy tutaj, aby ich obserwować.*

Wyczuł złość Używającego Cieni, ale młody zwiadowca miał dość rozumu, by nie odwarznąć. Była to pierwsza mądra rzecz, którą uczynił od chwili, gdy opuścili nad ranem główne gniazdo Klanu Jasnej Wody.

Wszystko przez Złamanego Kłā, pomyślał z niechęcią. Najstarszy klanu uważał od jakiegoś czasu, że Wspinający się Szybko zbyt fascynuje się dwunogami. Gdyby to od niego zależało, przysłałby tu tylko Używającego Cieni, a nie kogoś, kto zamiast po prostu robić swoje, marnuje czas na zastanawianie się, kim są dwunogi oraz skąd i po co przybyły.

Wspinający się Szybko był pierwszym zwiadowcą, który odkrył obecność dwunogów i otwarcie przyznawał, że niezwykle go zainteresowali, co było głównym powodem, dla którego Złamany Kieł kwestionował jego obiektywizm przy tych obserwacjach i chętnie by go odsunął od obecnego zadania. Szczęśliwie reszta starszych, zwłaszcza Ostry Pazur, najstarszy myśliwy klanu, i Krótki Ogon, najstarszy zwiadowca, niezmiennie ufali ocenie Wspinającego się Szybko i chcieli, by dalej wypełniał swoje obowiązki. Wprawdzie żaden z nich nie powiedział tego głośno, ale blask ich umysłów nie pozostawiał wątpliwości, że woleli widzieć w tej roli kogoś obdarzonego większą wyobraźnią niż Używający Cieni. Niestety, logika podpowiadała równocześnie, że w klanie powinien być jeszcze ktoś mający doświadczenie z dwunogami. Nawet Wspinający się Szybko musiał przyznać, że odmienny

punkt widzenia bywał cenny w takich przypadkach. Nawet punkt widzenia Używającego Cieni.

Odczekał chwilę na wypadek, gdyby drugi zwiadowca chciał jeszcze coś powiedzieć, po czym ruszył dalej ku polanie. Jasna plama złości Używającego Cieni przygasła wraz ze wzrostem odległości. Wspinający się Szybko dotarł do ostatniego drzewa i wspiął się bez trudu na najwyższą gałąź, gdzie umościł się na wysłanym liśćmi i gałązkami stanowisku. Zimowe wichury trochę je uszkodziły, ale nie trzeba było spieszyć się z naprawami. I tak było dość wygodne, poza tym zostało jeszcze nieco czasu do wiosny i pierwszych liści, potrzebnych na nową wyściółkę.

*Chodź na górę!* - zawołał do Używającego Cieni i przesunął się, robiąc mu miejsce. Potem wystawił oblicze do słońca, które zaczynało już grzać.

Jeśli zabraknie mu czegoś wraz z odejściem zimy, to właśnie tego blasku promieni słonecznych, przenikających swobodnie między nagimi konarami. Owszem, stanowisko zyska wtedy lepsze maskowanie, i to bardzo ucieszy Używającego Cieni. O ile drugi zwiadowca będzie jeszcze wtedy obecny przy siedzibie dwunogów. Jeśli Wspinający się Szybko zdoła postawić na swoim, to najpewniej nie.

Z tyłu rozległo się skrobanie pazurów i Używający Cieni pokonał ostatni kawałek drogi. Przyjrzał się stanowisku, jakby szukał niedoróbek, do których mógłby się przyczepić. Zirytowany lekko faktem, że niczego nie wypatrzył, przysiadł na ogonie obok Wspinającego się Szybko.

*Dobre miejsce* - przyznał niechętnie. - *Masz stąd nawet lepszy widok, niż myślałem. A gniazdo dwunogów jest większe, niż sądziłem.*

*Jest duże* - zgodził się Wspinający się Szybko, przypominając sobie, że najtrudniej było oddać w raporcie rozmiar budowli. Śpiewające wspomnienia mogły powtórzyć reszcie Ludu wiernie wszystko, co przekazał im zwiadowca, ale ta jedna kwestia umykała jakoś wyobraźni. Brakło chyba dobrego punktu odniesienia. Jedyne, co dawało się wykorzystać, to pozostawione na polanie złotolistne drzewo, ocieniające gniazdo dwunogów. Te drzewa były jednak zawsze wielkie, chyba zbyt wielkie, aby łatwo dało się przyjąć do wiadomości, że jakakolwiek budowla może im dorównać.

*Zastanawiam się, po co im tak duże gniazdo* - powiedział Używający Cieni i Wspinający się Szybko zastrzygł uszami.

*Też o tym myślałem, ale nie znalazłem dobrej odpowiedzi* - przyznał. - *Jego budowa wymagała ciężkiej pracy dużej grupy dwunogów. Nawet ze swoimi narzędziami potrzebowali na to wielu dni. Potem poszli sobie i minęły aż trzy dłonie dni, nim pojawili się nowi. Ale tylko*

*troje. Nadal nie ma ich więcej.*

*Pamiętam, jak o tym meldowałeś. Teraz, gdy widzę, jak wielkie jest ich gniazdo, wydaje mi się to jeszcze dziwniejsze.*

Wspinający się Szybko aż bleeknął z cicha, wyczuwając stan ducha Używającego Cieni.

*Jeśli się nie mylę, najmniejszy z dwunogów jest jeszcze niedorostły - powiedział. - Oczywiście trudno o pewność, ale jeśli tak jest, może coś stało się z resztą ich młodych. Może dlatego gniazdo jest za duże? Mogli stracić te młode w jakimś wypadku już po zaplanowaniu jego rozmiarów...*

Używający Cieni nic nie powiedział, ale Wspinający się Szybko wyczuł w nim błysk zrozumienia oraz... przyływ współczucia dla dotkniętych nieszczęściem dwunogów. Tego się po nim nie spodziewał.

*Dziwne też, że mieszkają tak daleko od pozostałych - dodał po chwili Używający Cieni. - Samotna para, jedno młode... Przecież to pozbawia ich kontaktu z innymi dwunogami. Chyba że w ogóle ze sobą nie gadają.*

*Jakoś muszą się porozumiewać - odparł po namyśle Wspinający się Szybko. - Inaczej nie wybudowałyby tak szybko tego domu. To trudne zadanie, musieli uzgadniać podział pracy.*

Używający Cieni zamyślił się i przypomniał sobie pieśń pamięci opisującą pojawienie się dwunogów w tej okolicy.

Gdy klan usłyszał o pierwszych lądowaniach obiektów z dwunogami, nie uznał tego za powód do niepokoju, chociaż przybysze zaczęli od wycinki drzew. Inne klany, których tereny zostały już wcześniej najechane przez dwunogów, uprzedziły wszystkich, czego można się spodziewać. Obcy potrafili być niebezpieczni i z zapalem zmieniali otoczenie, ale w przeciwieństwie do zabójczego kła czy śnieżnego myśliwego nie zabijali ani przypadkowo, ani dla przyjemności. Łowcy i zwiadowcy od samego początku obserwowali ich poczynania zza oszronionych liści, ukryci wysoko na gałęziach. Dwunogów nie było wielu i zaraz rozeszli się, nosząc różne dziwne przedmioty. Niektóre błyszcząły albo mrugały światełkami, inne stały na wysokich, cienkich nogach. Obcy jedne przestawiali, przez inne patrzyli, żeby zacząć potem wbijać w ziemię paliki z dziwnego nie-drewna. Śpiewające wspomnienia Klanu Jasnej Wody wsłuchały się w pieśni usłyszane od innych klanów i uznały, że te przedmioty, przez które obcy spoglądali, były jakimiś narzędziami. Wspinający się Szybko zgadzał się z ich wnioskiem, chociaż te narzędzia nie przypominały noży ani toporów używanych od dawna przez Lud i na pewno nie zostały wykonane z krzemienia ani podobnego materiału.

I właśnie dlatego należało pilnie obserwować dwunogich przybyszów. Pilnie i skrycie.

Przedstawiciele Ludu nie byli duzi, za to sprytni i zwinni. Korzystając z narzędzi i umiejąc posługiwać się ogniem, osiągnęli znacznie więcej niż roślejsze, ale mniej bystre stworzenia. Poza dwunogami, ponieważ nawet najmniejszy z nich był i tak dwa razy wyższy niż dorosły myśliwy. I nawet gdyby ich narzędzia nie były lepsze (a były, i to znacznie, zwiadowca widział to na własne oczy), większe rozmiary dawały im znaczące możliwości. Jak dotąd nic nie wskazywało, żeby dwunogi zamierzały zagrozić Ludowi, ale brakło też dowodu, że nie myślą tego zrobić. Dobrze się więc składało, że tak łatwo było ich obserwować.

*Cóż, może i potrafią się porozumiewać, ale jak sam meldowałeś, umysły mają ślepe - powiedział Używający Cieni. - To chyba najtrudniej w nich zrozumieć. I dlatego właśnie budzą we mnie lęk.*

Wspinający się Szybko nie oczekiwał podobnej deklaracji po Używającym Cieni, była ona jednak szczerą i poniekąd uzasadnioną. Nikt nie wiedział, co może wyniknąć z obecności dwunogów, ale po prawdzie nie byli oni zjawiskiem całkiem nowym. Gdy pojawili się dwanaście obrotów temu, śpiewające wspomnienia rozesłały daleko i szeroko pytania na ich temat.

Nikt nie potrafił powiedzieć, skąd ani dlaczego tu przybyli, ale śpiewające wspomnienia z Klanu Tancerzy Błękitnej Góry i Klanu Szybkich Biegaczy Ognia pamiętały bardzo starą pieśń, pochodzącą sprzed ponad dwunastu tuzinów zmian pór roku. Nie wyjaśniała, skąd pochodzą dwunogi ani o co im chodzi, ale opowiadała o pierwszym spotkaniu Ludu z nimi. Zwiadowca, który ją przyniósł, widział jajopodobny, srebrzysty obiekt obcych opadający z nieba.

*Czasem żałuję, że zwiadowcy Tancerzy Błękitnej Góry byli wtedy tak ostrożni - przyznał Wspinający się Szybko. - Gdyby dowiedzieli się czegoś więcej, może lepiej rozumielibyśmy teraz dwunogów. I mielibyśmy jakiś plan, jak wobec nich postępować.*

*Albo też cały Lud byłby już dawno martwy - odparł Używający Cieni. - Chociaż gdyby tak wyszło, nie musielibyśmy teraz kombinować, jak rozgryźć tę zagadkę.*

Wspinający się Szybko chętnie przetrzepałby drugiemu zwiadowcy futro za takie słowa, ale jednocześnie zachciało mu się śmiać. Faktycznie, było w tym sporo racji.

Prywatnie Wspinający się Szybko uważał, że te pierwsze dwunogi były zwiadowcami. Każdy klan wysyłał najpierw zwiadowców na nowe tereny, a obcy nie byli głupi. Tylko dlaczego tak wiele czasu minęło, nim reszta klanu podążyła w ich ślady? I dlaczego tak bardzo rozproszyli swoje siedziby?

Nie tylko Używający Cieni zastanawiał się, czy dwunogi w ogóle jakoś się porozumiewają. Nawet Wspinający się Szybko musiał przyznać, że jeśli tak, muszą czynić to

w nieznanym Ludowi sposób. Stąd też brała się masa wątpliwości, czy przybysze w ogóle są istotami myślącymi. Owszem, znali narzędzia, ale co z tego? Naprawdę ważny był kontakt umysłów. Wszystkie inne stworzenia, na które Lud polował, były zamknięte w sobie i nie potrafiły rozmawiać. To samo dotyczyło zabójczych kłów czy śnieżnych łowców. Jeśli dwunogi miały nie tylko ślepe umysły, ale także celowo unikały innych przedstawicieli swojego gatunku, nie mogły mieć wiele wspólnego z Ludem.

Jednak Wspinający się Szybko miał własne zdanie. Nie potrafił tego uzasadnić i sam dobrze nie rozumiał swoich odczuć, ale był przekonany, że ci obcy są na swój sposób ludem. Fascynowali go. Wiele razy wysłuchał pieśni o pierwszych dwunogach wychodzących z jajowatego obiektu. Bardzo chciał zrozumieć, czego tu szukali, i ciągle miał wrażenie, że patrząc na nich obecnie, wyczuwa echo tego, co usłyszał w pieśni.

Używający Cieni nie ma racji, pomyślał. Tancerze Błękitnej Góry powinni byli wykazać więcej śmiałości. Chociaż może i chcieli, jednak szybko zaszło coś, co kazało im zachować szczególną ostrożność. Jeden z obcych został mianowicie napadnięty przez głodnego zabójczego kła.

Lud nie cierpiał zabójczych kłów, chociaż oba gatunki były bardzo podobne. Tyle że były znacznie większe i brakło im rozumu. Inna sprawa, że stworzenia tak duże nie musiały być mądre - zabójcze kły były największymi, najsilniejszymi i najgroźniejszymi myśliwymi świata, które często zabijały dla samej przyjemności mordowania. Nie obawiały się nikogo... z wyjątkiem Ludu. Nigdy nie rezygnowały z okazji zabicia samotnego zwiadowcy czy myśliwego, jeśli ten dał się w swojej głupocie przyłapać na ziemi, ale nie zapuszczały się głębiej na tereny klanów. Żaden zabójczy kiel nie miał szansy przetrwać grupowego ataku Ludu i różnica wielkości przestawała mieć wtedy znaczenie.

Ten, który zaatakował dwunoga, nie wiedział jeszcze, że jego też powinien się bać. Podobnego odgłosu nikt z Ludu wcześniej nie słyszał, ale po głośnym „Kraaak!”, wydanym przez rurowaty przedmiot, niesiony przez jednego z obcych, zabójczy kiel zwinął się wpół w trakcie skoku i znieruchomiał na ziemi z wielką krwawą dziurą wybitą na wylot w cielsku.

Po pierwszym zaskoczeniu zwiadowców ogarnęła dzika radość, ale po niej przyszło zastanowienie: to, co jednym trzaśnięciem potrafiło odebrać życie zabójczemu kłowi, mogło równie dobrze zostać skierowane przeciwko Ludowi. Dlatego postanowiono trzymać się od obcych na dystans, dopóki nie zbierze się o nich więcej informacji. Niestety, zabrakło czasu. Już po jednej czwartej obrotu obcy rozmontowali dziwne prostokątne siedziby, zapakowali wszystko do jaja i odlecieli.

*Też żałują, że nie dowiedziano się wtedy o nich czegoś więcej - powiedział Używający*



Cieni, jakby podsłuchiwał myśli Wspinającego się Szybko. - *Ale dobrze, że zwiadowcy Klanu Błękitnej Góry przekazali choć tyle. Zwłaszcza o zabiciu zabójczego kła. Mieliśmy wielkie szczęście, że śpiewające wspomnienia zachowały relację z tak odległej przeszłości.*

*Bez wątpienia masz rację* - zgodził się Wspinający się Szybko, chociaż nadal widział sprawę trochę inaczej. Przede wszystkim żałował, że pechowy atak zabójczego kła wystraszył wtedy Lud, zniechęcając do bliższego kontaktu z przybyszami. Przyznawał jednak, że przetrwanie pieśni było szczęśliwym zbiegiem okoliczności, tym bardziej że nie dotyczyła ona niczego istotnego dla codziennego życia Ludu.

Niestety została mocno zniekształcona przez kolejne śpiewające wspomnienia, nim dotarła do Śpiewającej Prawdziwie, która wykonała ją przed Klanem Jasnej Wody. Często tak bywało z pieśniami starymi albo pochodzącymi z dalekich stron. Obrazy pozostawały jasne i ostre, ale każda śpiewająca zostawiała w nich ślad swojego umysłu i przydawała cieni kryjących to, co ci dawni zwiadowcy mogli odczuwać podczas obserwacji obcych.

Wspinający się Szybko dzielił się ze Śpiewającą Prawdziwie wszystkim, co we własnym odczuciu odebrał od „swoich” dwunogów. Regularne składanie meldunków śpiewającym wspomnienia należało do jego obowiązków. Nie poprzestał jednak na obowiązkach, chociaż przekonał Śpiewającą Prawdziwie, aby zachowała na razie jego spostrzeżenia dla siebie. Nie chciał stać się pośmiewiskiem w oczach innych zwiadowców i wolał nie dawać Złamanemu Kłowi pretekstu do odwołania go z tego posterunku. Śpiewająca Prawdziwie nie wyśmiała go, ale nie była też skłonna całkiem się z nim zgodzić, chociaż miała wielką ochotę wybrać się w odwiedziny do klanów Tancerzy Błękitnej Góry i Szybkich Biegaczy Ognia, aby osobiście wysłuchać pieśni od tamtejszych najstarszych.

Niestety, to nie było możliwe. Śpiewające, zawsze i niezmiennie samice, były zbyt ważne dla klanu. Przechowywały całą jego wiedzę, wszystkie wspomnienia, i pod żadnym pozorem nie można było ryzykować ich utraty. One same nie miały w tej kwestii nic do powiedzenia. Jak długo nie wychowały sobie następczyń, były bezcenne i właściwie ubezwłasnowolnione. Wspinający się Szybko rozumiał sytuację, ale czasem robiło mu się przykro. Zwłaszcza gdy jego siostra zaczynała narzekać, że na nic jej nie pozwalają, podczas gdy on nie musi przejmować się żadnymi ograniczeniami.

Bleeknął cicho, wspominając te rozmowy.

*Co jest?* - spytał Używający Cieni.

*A nic* - odparł Wspinający się Szybko. - *Przypomniałem sobie pewną pogawędkę ze Śpiewającą Prawdziwie. Czasem trochę mi się od niej obrywa.*

*Pozazdrościć, że widzisz w tym coś zabawnego* - mruknął oschle Używający Cieni i

Wspinający się Szybko znowu parsknął śmiechem.

Jego siostra miała spory temperament. Cały klan pamiętał dobrze dzień, gdy znacznie młodszy od niej Używający Cieni, już nie kociak, ale jeszcze nie dorosły, upuścił przypadkiem kamienny nóż, który dwanaście długości niżej wbił się w konar... może dwie dłonie za ogonem Śpiewającej Prawdziwie.

Oczywiście nikomu nie byłoby do śmiechu, gdyby trafił choć trochę bliżej. Krótki Ogon został w podobnym wypadku okaleczony, a pechowe uderzenie noża mogło nawet zabić. Wszyscy jednak śmiali się potem z winowajcy, który błyskawicznie gdzieś zniknął, gdy Śpiewająca Prawdziwie zaczęła pełnym głosem obwieszczać, co i w jakiej kolejności wyrwie właścicielowi tego noża. Wtedy też otrzymał imię Używającego Cieni.

*Ze skóry by cię nie obdarła* - powiedział Wspinający się Szybko. - *Na mnie też złości się tylko na niby, chociaż przyznaję, że czasem czuję się nieswojo.*

*Jakoś nie mam ochoty sprawdzać, czy masz rację* - odparł Używający Cieni.

*Mądry zwiadowca nie wchodzi do legowiska zabójczego kła, aby sprawdzić, czy gospodarz jest w domu* - podsumował Wspinający się Szybko, wyciągając się z rozkoszą na brzuchu. Oparł brodę na przednich łapach i przygotował się na dłuższe oczekiwanie. Używający Cieni ułożył się obok.

Zwiadowcy szybko uczyli się cierpliwości, a jeśli potrzebowali w tej kwestii pomocy, nauczycieli było zawsze aż za wielu, od zabójczego kła poczynając. Wspinający się Szybko nigdy nie potrzebował lekcji poglądowych i dzięki temu właśnie, oraz może trochę dzięki pozycji siostry, już w młodym wieku został zastępcą Krótkiego Ogona, głównego zwiadowcy klanu.

A teraz czekał bez ruchu w ciepłym blasku słońca i przyglądał się ostro zadaszonej kamiennej siedzibie, którą dwunogi zbudowały na środku wykarczowanej przez siebie polany.

## ROZDZIAŁ III

- Mogę spytać, jaki masz tym razem pretekst, aby obrócić mój warsztat w perzynę? - zagadnął uprzejmie Stephanie ojciec, opierając się o framugę drzwi do piwnicy. W ręku trzymał kubek z kawą, a jego głos, chociaż pełen rezygnacji, zdradzał rozbawienie. Stephanie obejrzała się na niego z uśmiechem.

- Wiele myślałam ostatnio o tych kradzieżach selera, o których opowiadała mama.

Otworzyła jedną z szuflad, w których zawsze panował nienaganny porządek, i odszukała potrzebny czip z przyłączeniem. Upewniła się też, że nie była to ostatnia taka część. Jednym z warunków swobodnego dostępu do królestwa ojca było sprawdzanie warsztatowych zapasów i informowanie rodziciela, gdy cokolwiek wymagało uzupełnienia. Potem wróciła do urzędnika, które właśnie budowała.

- I sądzisz, że to pozwoli ci rozwiązać zagadkę? - spytał ojciec, wskazując kubkiem na obiekt jej starań.

- Poniekąd - powiedziała Stephanie, odwracając się do niego. - Cała ta sprawa wydawała mi się z początku strasznie głupia. No bo na co komu potrzebny seler? - Wniosła oczy do sufitu i Richard parsknął śmiechem. Seler nigdy nie był ulubionym warzywem jego córki, chociaż jadała go, gdy musiała albo gdy niczego lepszego nie było pod ręką. - Poza tym, za każdym razem ginie tylko parę łydąg, prawda? Nie rozumiem, komu miałyby się chcieć fatygować po tak marny łup.

- Domyślam się, skąd te wnioski - rzucił ze zrozumieniem ojciec.

Pierwsze przypadki kradzieży roślin osadnicy zauważyli już prawie standardowy rok temu, ale z początku uważano, że ktoś się wygłupia. Zwłaszcza że ginął wyłącznie seler naciowy, i to w niedużych ilościach. Żaden „napad” nie zrujnował ich plantacji.

- Gdy mama o tym wspomniała, w pierwszej chwili pomyślałam, że jakiś miejscowy tuman kradnie to zielone i chowa gdzieś czy wyrzuca pewien, że wykazuje się w ten sposób szczytem dowcipu - ciągnęła Stephanie. - Dzieciaki z Twin Forks robią nie takie rzeczy. Prawdę mówiąc, to nie byłby jeszcze najgorszy z ich pomysłów.

- Pozwolę sobie zauważyć, że nie wszyscy małeletni w Twin Forks są niedorozwinięci - wtrącił ojciec.

- Nie powiedziałam, że są - odparła Stephanie, trochę chyba bez przekonania. - Ale

sam wiesz, że czasem tak się zachowują.

- Są wyjątki - stwierdził ojciec. - Chociaż zasadniczo masz chyba rację. Wystarczy przypomnieć sobie młodego Changa.

- Stana Changa? - Stephanie spojrzała na ojca, zaskoczona wyczuwalną w jego głosie złością. Zwykle był oazą spokoju i nie pozwalał sobie na podobne uwagi. - Co zrobił tym razem? - spytała ostrożnie.

- Na żarty mu się zebrało. Co gorsza, jego ojciec też ma całe zajście za niewinny wybryk. Innego zdania jest najpewniej rottweiler pani Steinman. Wyobraź sobie, że Chang zastawił pułapkę. Zbiornik z pięcioma litrami wody, która miała polecieć na pierwszego przechodzącego. W pewnym sensie mieliśmy chyba szczęście, że tym pierwszym był Brutus, a nie jakiś dzieciak.

- Bardzo oberwał? - spytała z niepokojem Stephanie.

- Młody Chang nie jest dobry w majsterkowaniu. Cała konstrukcja spadła na Brutusa. - Ojciec pokręcił głową, tym razem bardziej z rezygnacją niż złością. - Przygniotła mu prawą przednią łapę i leżał tam uwięziony przez ponad trzy kwadranse, zanim zdołaliśmy go uwolnić. Dwie godziny składałem mu później tę łapę, a i tak nie jestem pewien, czy będzie jeszcze kiedyś w pełni sprawna.

Stephanie kiwnęła głową. Jej ojciec naprawdę troszczył się o swoich pacjentów. Jak często powiadał, zwierzaki nie potrafiły powiedzieć, co je boli, ludzie zaś nie potrafili wyjaśnić im, dlaczego cierpią. Nic dziwnego, że tak przeżywał to zdarzenie.

- A Changowi pewnie nawet nie jest przykro? - spytała po chwili Stephanie i ojciec zaśmiał się gorzko.

- Jeśli nawet, to nie okazuje tego. Ostatecznie Brutus to tylko zwierzę, prawda? No i nie zdechł przecież, jak ten mały drań był uprzejmy mi wyjaśnić.

Przez chwilę spoglądali na siebie ze zrozumieniem. Dla Stephanie było oczywiste, że jej ojciec wziął stronę psa, i zastanowiła się, jak mogła wyglądać rozmowa doktora Harringtona z ojcem Stana. Bo na pewno nie była to wymiana uprzejmości!

Szkoda, że mnie tam nie było, pomyślała. Chociażby w charakterze muchy na ścianie. Nie miała wątpliwości, że ojciec był bliski wypalania spojrzeniem dziur w odzieży.

- Cóż, w ten sposób Stan dowiedział, że jest zdolny do czegoś znacznie głębszego niż kradzież selera - powiedziała Stephanie, skłaniając ojca do słabego uśmiechu. - Ale od początku przypuszczałam, że nie był to tylko żart kogoś chcącego popatrzeć sobie na ludzi ganiających wkoło i zachodzących w głowę, co jest grane. Zebrałam więc wszystkie doniesienia i naniósłam miejsca kradzieży na mapę. Są tak rozrzucone, że dzieciarnia z całej

planety musiałyby brać w tym udział!

- A proszę, nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zrobić taką mapę - powiedział z uśmiechem ojciec. - Chociaż przy mojej wrodzonej inteligencji oczywiście wpadłbym na ten pomysł, gdybym ucziwie pomyślał.

- Tak, jasne - mruknęła Stephanie, ponownie zerkając na sufit.

- Tak czy siak, to dobry pomysł i trafne spostrzeżenie - dodał poważnie doktor Harrington. - Chyba znowu obudził się w tobie tropiciel tajemnic.

- Pewnie tak - zgodziła się Stephanie. - Nie ty jeden uznałeś to za niewart uwagi drobiazg. Chyba mało kto naprawdę się nad tym zastanawiał. Ja też pewnie dałabym sobie spokój, gdyby nie prowadzony przez mamę program inżynierii genetycznej.

Jej ojciec stłumił westchnienie i pokiwał ze zrozumieniem głową.

Selery naciowe należały do tych ziemskich roślin, które nie najlepiej przyjmowały się na Sphinksie, i matka Stephanie próbowała jakoś temu zaradzić. Musiała zaczynać prawie od zera, ponieważ genetycy wcześniej pracujący nad tym zagadnieniem padli ofiarami Zarazy. Ostatecznie zaproponowała całkiem nowe modyfikacje, które znajdowały się obecnie w fazie testów. Uczestniczący w programie farmerzy składali jej regularne raporty i dzięki nim właśnie dowiedziała się o kradzieżach. Żadna z nich nie była znacząca, a rozrzut przestrzenny zajęć był naprawdę imponujący.

- Daje się jednak wyróżnić kilka głównych obszarów - powiedziała Stephanie, odwracając się ponownie ku swojemu wynalazkowi. - Tak ze cztery czy pięć, przy czym są bardzo od siebie oddalone. Poza tym wydaje mi się, że te kradzieże nie zaczęły się niedawno, jak wszyscy uważają.

- Nie? - spytał Richard, unosząc brwi.

- Wcześniej ludzie mieli masę innych kłopotów, tato. Najpierw musieli walczyć z Zarazą, a potem ci, którym udało się przeżyć, pracowali dzień i noc, aby jakoś wszystko tu poskładać. Nie byłabym zdziwiona, gdyby drobne ubytki w uprawach pozostawały niezauważone. Sądzę, że teraz zwrócono na nie uwagę, ponieważ jest zima i nie chodzi o pola, tylko o cieplarnie. Latem nikt przecież nie sprawdza dokładnie pól.

- Trafna uwaga - zgodził się ojciec.

- Ale najważniejsze, że kiedykolwiek by się to zaczęło, dzieje się w wielu miejscach jednocześnie i nikomu nie udało się przyłapać sprawcy.

- Chyba nikt naprawdę nie próbował?

Stephanie zmarszczyła czoło, zastanawiając się, co znaczy w tym kontekście „naprawdę”. „Naprawdę” w sensie „intensywnie” czy „skutecznie”? Albo nawet „mądrze”?

Ostatecznie uznała, że nie tego dotyczyło pytanie, i dała spokój rozmyślaniom.

- Sądzę, że z góry założono, że to dzieciaki się wygłupiają - powiedziała. - A że cały czas chodziło o małe ilości selera, nikt nie czuł się specjalnie poszkodowany. Poza tym to tylko seler, na czarnym rynku żaden towar, prawda? Pewnie więc nie próbowano nawet złapać sprawców. Jak mówiłam, wszyscy mieli inne sprawy na głowie. Ale potem skala kradzieży zaczęła rosnąć i niektórzy zaniepokoiли się, czy nie obejmą także innych roślin. Na dodatek chodziło głównie o uprawy eksperymentalne. Większość raportów o kradzieżach dotyczy właśnie takich miejsc. Gdyby zaczęły się na masową skalę, zagroziłyby programom badawczym. W tej sytuacji starczyło kilka miesięcy, by ludzie zaczęli zastanawiać się poważnie, co właściwie się dzieje i jak temu zapobiec. Poza tym, to jest wyzwanie!

- Naprawdę zaczęli? - spytał ojciec, wzruszając ramionami.

- Pewne wnioski same się narzucały. Skoro selery znikają z cieplarni, musiały je podbierać jakieś małe, zdolne przecisnąć się przez nieduże szczeliny stworzenia. Kilka osób chciało nawet zastawić pułapki, ale Służba Leśna szybko wybiła im to z głowy. Wiesz, Zasada Elysiańska - dodała z powagą.

Była to zasada przyjęta ponad tysiąc lat wcześniej, po katastrofie spowodowanej przez nieszczęśliwy zbieg przypadków, pomyłek i błędów, które zniszczyły system ekologiczny świeżo skolonizowanej planety o nazwie Elysia. Obecnie żadne władze kolonizowanego świata nie miały prawa sięgać po ostateczne środki w zwalczaniu miejscowych i nieznanych form życia, o ile nie uzyskano jednoznacznego dowodu, iż stanowią one poważne zagrożenie dla ludzi. Kradzieże selera naciowego z pewnością nie pogarszały znacząco warunków ludzkiej egzystencji na Sphinksie.

- Ponieważ nie wiemy, co podbiera nam seler, nie możemy skonstruować bezpiecznej pułapki - powiedziała Stephanie. - Dla niektórych nie był to wystarczający argument, ale główny ranger Shelton nie dał im szansy spróbować - dodała z wyraźną aprobatą. - Wtedy zaczęli montować systemy alarmowe i czujniki. Zaczęli od drutów rozpiętych nad ziemią i połączonych z lampami i kamerami, ale nie zadziałało. Tajemnicze stworzenie musiało być chyba sprytniejsze, niż oczekiwano, albo prawie nie schodziło na ziemię. Ale w sumie mieli chyba rację. Też uważam, że musi chodzić o jakąś miejscową formę życia. I założę się, że jest ona naprawdę sprytna. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego jakiegokolwiek stworzenie ze Sphinksa miałoby gustować w selerach?

- Jest kilka możliwych powodów - powiedział ojciec. - Nie zapominaj, że układ Manticore okazał się atrakcyjny dla ludzi właśnie z powodu ekologii. Wszystkie trzy zamieszkane planety mają biosystemy bardzo podobne do ziemskiego i nawet większa

gravitacja Sphinksa wiele nie zmienia. Z tego samego powodu tutejsza zaraza okazała się tak dla nas groźna.

Przerwał na chwilę, potem otrząsnął się i podjął wątek.

- W przypadku Manticore i Sphinksa procesy życiowe opierają się na tych samych cukrach, nawet miejscowe aminokwasy są bardzo podobne. Występujące na Sphinksie chromosomy przypominają ziemskie, chociaż RNA jest tutaj dwuniciowe i tworzy znacznie dłuższe łańcuchy. Cokolwiek tu rośnie albo żyje, jest jadalne, tak dla nas, jak i dla przywiezionych przez kolonizatorów zwierząt. Tyle że nie dostarcza nam wszystkich potrzebnych składników, zwłaszcza witamin, i musimy pamiętać o suplementach diety. Stąd tak zależy nam z mamą, byś jadła warzywa - powiedział ojciec, spoglądając surowo na córkę.

- Ale nie o tym chciałem. Sporo z tego, co rośnie na Sphinksie, zasmakowało ludziom, nawet jeśli nie jest dla nas pełnowartościowym pożywieniem. Nie widzę powodu, dla którego nie mogłoby to działać w drugą stronę. Może dla jakiegoś tutejszego zwierzaka seler to wielki delikates.

- Hm - mruknęła Stephanie i wzruszyła ramionami. - Dobra, chyba rozumiem. Rozumiem zasadę, bo jak ktoś może lubić selera, tego nigdy nie pojmę. Ale wracając do naszego szkodnika, okazał się tak mały i przebiegły, że druty nic nie dały. Potem spróbowano z czujnikami ruchu, ale wyszło jeszcze gorzej. Na Sphinksie jest cała masa dzikiego drobiazgu i alarmy odzywały się raz za razem. Zaprogramowano więc czujniki tak, aby reagowały dopiero na stworzenia większe od wiewiórki ziemnej, wtedy jednak zrobiło się całkiem cicho. Gdy sięgnięto po czujniki używające podczerwieni, skutek był taki sam, seler zaś ginął po staremu.

- Obiło mi się o uszy, że kilka razy alarm jednak zadziałał - powiedział ojciec.

- Owszem, ale chyba przez złą pogodę. Nie wiem, jaka była podczas wszystkich kradzieży, bo w raportach często brak dokładnych dat. Farmerzy mają zwykle ważniejsze rzeczy do roboty i nie zaglądają codziennie do cieplarni, przez co braki w selerze są odnotowywane z opóźnieniem. Ale w wielu przypadkach udało mi się ustalić, że była wtedy ulewa, czasem nawet burza, innym razem gęsta śnieżycyca. I każda z tych określonych precyzyjnie w czasie kradzieży miała miejsce w nocy.

- Zatem chodzi o stworzenie prowadzące nocny tryb życia, które zjawia się tylko podczas gorszej pogody? Jest na tyle sprytnie, by wykorzystać ją jako osłonę?

- Na to wygląda.

- A skoro tak daleko zaszłaś, czy próbowałaś może podzielić się tymi sensacjami z przedstawicielami odpowiednich służb? - spytał uprzejmie ojciec.

- Zupełnym przypadkiem wyleciało mi to z głowy - odparła Stephanie, patrząc ojcu w oczy. - Pewnie przez tę zimę...

- Tak podejrzewałem - mruknął z rezygnacją doktor Harrington i pokręcił głową. Stephanie zachichotała.

- Tak czy owak, kilka razy kamery się włączyły - wróciła do tematu. - Na eksperymentalnej farmie w Long Grass nagrały jednak tylko deszczową ciemność, a w Seaview uroczę holoujęcia płatków śniegu. Wszystkie były sprzężone z czujnikami ruchu zaprogramowanymi na ignorowanie wszystkiego mniejszego od wiewiórki ziemnej i teraz wiemy chociaż tyle, że rabuś na pewno jest co najmniej tak duży jak ona.

Ojciec przytaknął ze zrozumieniem. Miejscowa „wiewiórka ziemna” nie przypominała tej z Meyerdahla, nie miała też nic wspólnego z ziemską, ale zajmowała analogiczną niszę ekologiczną. Była żyjącym w norach torbaczem o sześciu kończynach i nie ustępowała wiele rozmiarami psom rasy chihuahua ze Starej Ziemi. Wszędobyłska i pomysłowa, okazała się też szczęśliwie bardzo płochliwa. Zwykle stroniła od ludzi, czym różniła się od nadrzewnej kuzynki, równie ciekawskiej (i czyniącej znacznie większe szkody) szczurzej wiewiórki.

- No i zauważyłam jeszcze jedno - powiedziała z dumą Stephanie. - Nawet wtedy, gdy czujniki ruchu uruchamiały kamery, złodziej bez trudu omijał wszystkie czujniki podczerwieni.

Spojrzała wyczekująco na ojca, który upił kawy i pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Nawiążesz do naszej rozmowy sprzed kilku tygodni? - spytał.

- Tak. Pamiętam, co mówiłeś o wynikach badań nad szczurzymi wiewiórkami. Jeśli doktor Weyerhaeuser ma rację, to ich oczy są wrażliwe na znacznie szersze spektrum niż nasze. Taka wiewiórka mogłaby dojrzeć emitery czujników podczerwieni i spokojnie je ominąć. Zawsze mi powtarzałeś, że należy dokładnie przemyśleć każdy problem, zanim spróbuje się go rozwiązać. Chyba sporo osób powinno wziąć sobie twoją radę do serca!

- Nie przesadzajmy, Steph. Doktor Weyerhaeuser opublikował wyniki swoich badań nie dalej jak w październiku. Mało czasu, aby ludzie tak wszystko pokojarzyli.

Stephanie pokiwała głową, wychytując w głosie ojca ton pochwały. Czasu może było mało, ale ona pokojarzyła, co trzeba.

- Jakkolwiek było, teraz buduję zestaw pracujący w ultrafiolecie - powiedziała, wskazując na zarzucony sprzętem i narzędziami stół warsztatowy. - Mamy tu szklarnię, w której mama przeprowadza swoje badania, i modyfikowany seler też tam rośnie. Tak więc przynęta już jest. Zastosuję promieniowanie z drugiego końca spektrum i może bardziej mi się poszczęści niż tym z Long Grass i Seaview. - Uśmiechnęła się prosząco. - Pomożesz?



## ROZDZIAŁ IV

Wspinający się Szybko ponownie wspiął się na stanowisko obserwacyjne. Tym razem szczęśliwie był sam. Złamany Kieł zgodził się wreszcie, aczkolwiek niechętnie, że Używający Cieni bardziej przyda się gdzie indziej. Tyle że błękitne niebo, które tak cieszyło jeszcze trzy dni wcześniej, zostało przesłonięte przez bure chmury, gnane silnym wiatrem wiejącym od wznoszących się na zachodzie gór. Wiatr pachniał skałami, śniegiem i burzą, a chmury zapowiadały deszcz, co wcale nie cieszyło zwiadowcy, podobnie jak i perspektywa opuszczenia stanowiska, gdyby błyskawice uczyniły je zbyt niebezpiecznym. Na razie obserwował omiataną wicherą polanę, chociaż ostre podmuchy burzyły mu sierść i co rusz odruchowo mrużył oczy i kładł uszy po sobie. Nie zamierzał szukać ukrycia, ponieważ zapachy wskazywały, że jego dwunogi robiły coś interesującego w tych przezroczystych schronieniach dla roślin.

Zwiadowca poruszył nerwowo ogonem. Złamany Kieł miał rację. Wspinający się Szybko już jakiś czas temu zaczął myśleć o mieszkańcach polany jako o „swoich”. Wiedział jednak, że podobnie podchodzi do sprawy wielu innych zwiadowców na całej planecie. Z tego, co słyszał, obserwowano większość dwunogów, a na pewno wszystkich mieszkających niewielkimi grupami i w odosobnieniu. Meldunki zwiadowców były przekazywane między śpiewającymi wspomnienia wszystkich klanów i w niejednym powtarzały się wzmianki o tym, na co i on trafił i co miał wielką ochotę zbadać osobiście.

Dwunogi wymyśliły wiele wspaniałych rzeczy, ale jedną z najciekawszych były przezroczyste schronienia dla roślin. Lud żywił się tym, co upolował, ale podobnie jak śnieżni myśliwi i budowniczo wie jezior, jadał także niektóre rośliny, niezbędne do zachowania siły i kondycji. Niestety, część z nich dostępna była tylko w cieplej porze roku, zatem czas śniegu i lodu zawsze zbierał smutne żniwo, zwłaszcza wśród najmłodszych i bardzo starych. Wprawdzie nawet wtedy pojawiała się jakaś zwierzyna, ale trudniej było ją upolować, brak roślin sprawiał zaś, że głód stawał się bardziej dotkliwy. Ale teraz to się zmieniło, gdyż jedzenie roślin było kolejną rzeczą wspólną dla Ludu i dwunogów, przybysze zaś znaleźli sposób na uprawianie ich wśród śniegu, i to niejeden. Podobnie radzili sobie z wieloma innymi problemami. Wspinający się Szybko podejrzewał, że obcy z zasady nie zadowalali się jednym rozwiązaniem.

Najprostszym wyjściem było sprawienie, aby rośliny rosły tam, gdzie dwunogi chciały je widzieć, i to sprawdzało się dobrze w ciepłej porze. Jeszcze lepszym pomysłem, i bardziej też intrygującym, było stworzenie im sztucznych warunków do wzrostu wewnątrz przezroczystych schronień. Z jakiego były wykonane materiału, nikt na razie nie miał pojęcia, ale wiadomo było, że przepuszczał on światło i ciepło słońca, dzięki czemu w środku upał panował nawet w największe mrozy i dwunogi zawsze miały co jeść. Teraz też coś tam rosło, bo Wspinający się Szybko wyczuwał wyraźnie zapachy wydostające się przez ruchome kawałki dachu, otwarte chyba po to, aby wpuścić wiatr do środka.

Lud nigdy wcześniej nie brał pod uwagę możliwości sprawienia, by rośliny rosły w określonych miejscach. Owszem, zbierano je, gdzie tylko się dało, i magazynowano nadmiar do późniejszego wykorzystania, dzięki czemu podczas niektórych obrotów wszyscy członkowie klanu przeżywali porę zimną bez problemów, ale dotąd nie robiono nic więcej. Raporty zwiadowców wiele w tej kwestii zmieniły.

Pielęgnowane i strzeżone poletka pośrodku terenów poszczególnych klanów dawały już pierwsze plony i chociaż początki były trudne, sukcesy dwunogów jasno dowodziły, że warto się starać. Nadal ich zresztą obserwowano, jak pracują na plantacjach i w przezroczystych schronieniach wraz z pomagającymi im nie-żywymi rzeczami. Większość tego, co tam robili, pozostawała niezrozumiała, jednak niektóre rzeczy Lud chwycił w lot. Oczywiście nie był w stanie stworzyć własnych zamkniętych upraw, ale na początku zimnych dni Klan Jasnej Wody miał już tyle białego korzenia, złotego ucha i ostroliścia, że mógł wymienić część zapasów z sąsiednim Klanem Wysokiej Grani na krzemienie. Wspinający się Szybko nie był jedynym rozumiejącym, że winni są dwunogom wdzięczność i nieważne, czy tamci kiedykolwiek dowiedzą się o tym, czy nie.

Najbardziej jednak poruszało go coś, o czym dotąd tylko słyszał. Dwunogi hodowały wiele dziwnych roślin, nieznanymi wcześniej Ludowi. Przy sprzyjającym wietrze można było przekonać się o tym na własny nos. Jedna wszakże zdradzała dziwnie znajome cechy. Wspinający się Szybko jeszcze na nią nie trafił, ale kusila go, może nawet za bardzo. Inni zwiadowcy nadali jej nazwę łodygopęku. Podobno była szczególnie warta skosztowania. Wszyscy, którzy jej spróbowali, wyśpiewywali prawdziwe peany na jej cześć.

Nie chodziło tylko o cudowny smak. Owa roślina miała podobne właściwości, co drobne, gorzkawe i trudne do znalezienia owoce purpurowego kolca. Lud od bardzo dawna wiedział, że wzmacniają one głos umysłu i poprawiają wyrazistość pieśni. Ci, którzy przez długi czas byli ich pozbawieni, zaczęli mówić coraz ciszej i mniej wyraźnie. Na dodatek nigdy nie znajdowano dość tych owoców, a jeśli wierzyć meldunkom zwiadowców,

łodygopęk działał jeszcze skuteczniej, dwunogi zaś miały go pod dostatkiem.

I jeśli Wspinający się Szybko dobrze łapał wiatr, to z przezroczyściego schronienia dolatywał dzisiaj znany z pieśni aromat łodygopęku. Dlatego właśnie zwiadowca pozostał na gałęzi mimo zbliżającej się burzy. Niebawem miało zrobić się ciemno i dwunogi schowają się w ciepłym i suchym gnieździe z kamienia. Trudno, aby postąpiły inaczej; w innych okolicznościach sam poszedłby w ich ślady, wracając czym prędzej do swojego gniazda z wodoszczelnym dachem, który upłócił kiedyś własnymi łapami. Ale nie tym razem.

Tego wieczoru zbada bliżej okolice ich siedziby, do której dotąd nie śmiał się zbliżyć, i żaden deszcz mu w tym nie przeszkodzi.

\*\*\*

Stephanie Harrington podniosła kołnierz kurtki, wbiła stopy w wysokie buty i spojrzała przez okno swojego pokoju na rozświetlane błyskawicami niebo. Kalendarzowo zaczęła się już wiosna i mróz puścił, ale noce ciągle były zimne. Grube skarpety i kurtka naprawdę mogły się przydać.

Otworzyła po cichu okno, chociaż ile hałasu by nie zrobiła, i tak nie zdołałaby przebić burzy. Wychyliła się i oparła o parapet. Twarz owiało jej chłodne i wilgotne powietrze, wiatr niósł silny zapach ozonu. Według prognozy meteo cała noc miała być właśnie taka: burzowa, z deszczem i wichurą, jednak Stephanie nie zamierzała chronić się pod dachem. Nie myślała też biegać po polanie ze stalowym prętem nad głową czy wystawać pod drzewami, ale w odróżnieniu od wielu rówieśników uwielbiała burzę i nie chciała stracić widowiska, zwłaszcza że była to pierwsza burza od ponad roku standardowego.

Nie wspomniała nic rodzicom o swoich planach, bo chociaż pewnie nie zagoniliby jej do łóżka, chętnie zatrzymaliby córkę w domu, kusząc ciepłą czekoladą i trzaskającym w kominku ogniem, na którym niejedno można upiec. Miła perspektywa, ale pierwszą wiosenną burzę należało przeżyć na zewnątrz, czując ją całą sobą.

No i była jeszcze jedna drobna kwestia.

Stephanie pogładziła przypiętą do pasa kamerę i uśmiechnęła się, widząc, że burza przybiera na sile. Pioruny raz za razem waliły w szczyty gór na zachodzie. Wiedziała, że mama wspomniała o zagadce znikającego selera tylko po to, aby zająć czymś córkę i utrzymać ją z dala od lasu, ale w niczym nie zmieniało to faktu, że zagadka była fascynująca. Nie liczyła po prawdzie, że ją rozwiąże, ale samo śledztwo zapowiadało dobrą zabawę. Gdyby jednak zdarzyło się, że do czegoś dojdzie... Była pewna, że wrodzona skromność nie przeszkodzi jej w przyjęciu pochwał.

Wyszczrzyła się radośnie na tę myśl - nie powiedziała matce wszystkiego o swoich

planach. Po części dlatego, aby uniknąć zakłopotania, gdyby się nie powiodło, głównie zaś z racji świadomości, że rodzice nie byliby skłonni zaakceptować jej... empirycznego podejścia do sprawy. Szczęśliwie wiedząc, co by powiedzieli, mogła unikać sytuacji, w których usłyszałyby to naprawdę, i tym sposobem wszyscy byli zadowoleni.

Wcisnęła kapelusz przeciwdeszczowy do kieszeni i wspięła się na szeroki parapet. Przez chwilę siedziała na nim, opuściwszy nogi na zewnątrz, czując, jak wiatr targa jej krótkimi i kręconymi włosami. Matka spodziewała się, że Stephanie będzie czuwać w nocy przy komputerze, i istniała niewielka szansa, że któreś z rodziców zajrzy do jej pokoju. Nie należało liczyć na aprobatę, gdyby jej tam nie znaleźli. Zastanowiła się, czy nie ułożyć poduszek tak, by wypychały koc, ale machnęła ręką. Raz, że na pewno nie daliby się nabrać, a dwa, musieliby zauważyć wywieszoną za okno linę. No i po trzecie, to byłaby próba oszukania rodziców. Zabroniona wyprawa to jedno, ciężkie kombinowanie zaś to co innego. Stephanie nie lubiła oszukiwać i już. Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby po prostu nikt nie zajrzał do pokoju podczas jej nieobecności.

Obróciła się, aby uklęknąć na parapecie, i przymknęła za sobą okno. Całkiem zamknąć go nie mogła ze względu na linę, ale musiała jakoś je zabezpieczyć przed naporem wiatru. Owinęła linę wkoło zaczepu ryglującego i sprawdziła, czy trzyma mocno, po czym położyła się na brzuchu i opuściła nogi. Gdy zawisała na rękach, puściła się, spadając z wysokości pół metra na ziemię. Spojrzała jeszcze w górę i na próbę pociągnęła linę. Dyskretny powrót do pokoju będzie trudniejszy niż wyjście z niego, ale powinna sobie poradzić.

Wiatr wyl w koronie dębu obok domu, grube konary kołysały się i trzeszczały bardziej niż zwykle. W jaskrawym blasku błyskawic widać było, że wszystko wkoło porusza się jak żywe, i Stephanie zaśmiała się z radości, że trafiła akurat na preludium burzowej symfonii.

\*\*\*

Wspinający się Szybko opuścił gniazdo, przy każdym kroku wbijając pazury w rozkołysaną gałąź. Grzmoty przybliżyły się, a nad szczytami gór migotały nieustannie błyskawice. Burza miała być o wiele silniejsza, niż wcześniej oczekiwał, a sądząc po coraz intensywniejszym zapachu deszczu, powinna dojść tutaj lada chwila. To oznaczało, że czas ruszać.

Zszedł po pniu ostrożniej i wolniej niż zwykle i zatrzymał się o kilka swoich długości nad ziemią. Rozejrzał się uważnie. Był szybki i zwinny, ale zejście na ziemię zawsze było ryzykowne. Nawet jeśli szansa napotkania w tej okolicy zabójczego kła była mała, należało sprawdzić teren, zanim odeszło się dalej od zapewniających bezpieczne schronienie drzew.

Nie dostrzegł niczego groźnego, samej pogody nie licząc, i zeskoczył na ziemię. Błoto wyszło z wierzchu, chociaż tylko chwilowo - pierwsze krople deszczu padały coraz bliżej. Wspinający się Szybko stulił uszy, strzelił ogonem i zrezygnowany ruszył ku najbliższemu przezroczystemu schronieniu. Nie lubił moczyć futra, ale jeśli meldunki na temat łądygopęku okażą się prawdziwe, zmoknięcie będzie niewielką ceną za udaną wyprawę.

\*\*\*

Stephanie sięgnęła do zabranej przezornie torby po baton owocowy. Mogła zrezygnować z czekolady i innych przysmaków, ale była zmodyfikowaną genetycznie i rosnącą nastolatką z przyspieszonym metabolizmem, która potrzebowała regularnych przekąsek. Większość dzieci z Meyerdahla nigdzie się bez nich nie ruszała.

Siedząc w ustawionym pod zadaszeniem altany fotelu, przebiegła w myślach listę wszystkich przygotowań. Czy na pewno niczego nie zaniedbała?

Przede wszystkim otworzyła wywietrzniki szklarni, w której rosły selery, i podkreśliła trochę klimatyzację, aby stworzyć w środku nadciśnienie. Dzięki temu zapachy roślin powinny sprawniej rozejść się po okolicy. Rodzice zaakceptowali tę część jej planu, czystym przypadkiem zapomniała jednak wspomnieć im o tym, co jeszcze sobie zamyśliła. Konkretnie chodziło o pomysł z wyciszeniem sygnału alarmu w kompie i sprzęgnięciem systemu alarmowego z czujnikiem kamery. Łatwo było się domyślić, dlaczego to zrobiła, i dla rodziców też nie byłaby to żadna zagadka, ale skoro o niczym nie wiedzieli, to i nie zabronili jej nocnej wyprawy do altany. W ten sposób wszyscy byli zadowoleni, przynajmniej na razie.

Stephanie zaśmiała się cicho, myśląc o własnej przebiegłości, i ugryzła następny kęs batonika. Istniała duża szansa, że złodziejzsek skorzysta z zaaranżowanej przez nią sposobności. Musiała tylko uzbroić się w cierpliwość. Po chwili uśmiechnęła się ponownie, słysząc pierwsze krople deszczu spadające na dach altany.

\*\*\*

Wspinający się Szybko stanął prosto na tylnych łapach, przypominając jako żywo ziemskiego pieska preriowego. Wbił spojrzenie w ciemność. Jeszcze nigdy nie znalazł się tak blisko siedziby dwunogów, ale wiedział już, że było warto. Wyczuwał wyraźnie blask ich umysłów, niepodobny do niczego, co odebrał dotąd od kogokolwiek z Ludu, a równocześnie bardzo podobny. Zupełnie jakby...

Usiadł, owijając łapy ogonem, i podrapał się za uchem, próbując dojść do ładu z nowym odczuciem. Po dłuższym namyśle doszedł do wniosku, że ten blask umysłu był bardzo podobny do blasku umysłów członków klanu, tylko nie było w nim słów. Same emocje, nie przypominające rozmowy i dziwnie ospałe, jakby dwunogie istoty były mocno

senne. Jakby, pomyślał po chwili, obcy nie przypuszczali nawet, że ten blask istnieje, nie czuli go sami i nie podejrzewali, że można się za jego pomocą komunikować. Z drugiej strony wydawało się to niemożliwe, był przecież zbyt silny. Nieuformowany, surowy, jaśniał niczym cudowny kwiat, wyrastający ponad wszystko, co Wspinający się Szybko wyczuł kiedykolwiek w ich obecności. Zwiadowca zadrżał, pojawiwszy, do czego zdolni byliby obcy, gdyby nie ich głuchota. Ich umysły wabiły go, kusiły do jeszcze bliższego podejścia, niczym pieśń śpiewających wspomnienia. Ledwie zdołał się opamiętać.

To była nader ważna wiadomość, nie tylko dla jego klanu, ale dla wszystkich, nie powinien więc dalej badać sprawy, póki nie zamelduje o niej siostrze i Krótkiemu Ogonowi. Poza tym całkiem w innym celu tu przyszedł.

Otrząsnął się, i chociaż wyzwolenie się spod uroku tego blasku wymagało dużego wysiłku, w końcu zamknął przed nim swój umysł i odetchnął głęboko. Zastrygł uszami, poruszył wibrysami i podjął dalszą wędrówkę przez noc. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

\*\*\*

Deszcz przybrał na sile i łomotał o dach. Powietrze zdawało się tańczyć i drzeć, gdy oślepiające błyskawice przecinały noc przy wtórze wstrząsających okolicą grzmotów. Stephanie obserwowała to wszystko roziskrzonymi oczami i smakowała naelektryzowane powietrze. Porywisty wiatr nawiewał pod dach altany krople wody, które osiadały na jej rzęsach i policzkach.

Nagle kontrolka na obudowie kamery zaczęła migotać i Stephanie zamarła, nie wierząc własnym oczom. Ale kontrolka nie gasła, co mogło oznaczać tylko jedno...

Odrzuciła niedojedzony batonik, trzeci już tej nocy, i wyłączyła pulsujące światelko, potem uniosła kamerę i spojrzała w wizjer.

Spływający kaskadami z dachu deszcz znacznie ograniczał widoczność i nawet wbudowany w kamerę wzmacniacz światła niewiele dawał. Błyskawice także nie były pomocne, bo chociaż kamera dostosowywała się do zmian oświetlenia znacznie szybciej niż ludzkie oko, kontrast między całkowitą ciemnością a stroboskopowym blaskiem okazał się zbyt duży.

Stephanie po części tego oczekiwała, nie poczuła się więc rozczarowana. Chwilowo najważniejsza była świadomość, że coś wśliznęło się przez otwarty wywietrznik do szklarni i miała realną szansę zostać pierwszą osobą na całej planecie, która to coś zobaczy.

Przez chwilę stała nieruchomo, przygryzając wargę, potem wzruszyła ramionami. Jeśli będzie musiała wysłuchać rodzicielskiej połajanki, równie dobrze może zrobić to sucha, jak i

mokra, a jeśli nie podejdziesz teraz bliżej, najpewniej niczego nie zdoła dojrzeć. Przypięła osłonę pogodową do kamery, wcisnęła kapelusz na głowę i wzięwszy głęboki oddech, zbiegła po schodkach na spotkanie błota i kałuż.

\*\*\*

Wspinający się Szybko zeskoczył na miękką ziemię. Był w środku. Nozdrza wypełniał mu cały bukiet zapachów nieznanymi roślinami, ogon drgał nerwowo. Przezroczyście budulec schronienia wydawał się zbyt cienki, aby wytrzymać uderzenia fal deszczu, jednak jakoś nie pękał i było pod nim całkiem sucho. Dwunogi musiały być naprawdę zmyślne, skoro potrafiły zrobić coś takiego. Zwiadowca siedział przez chwilę, rozkoszując się ciepłem i przytulnością wnętrza, które lodowaty deszcz i wichura czyniły jeszcze atrakcyjniejszym.

Ale nie po to się tu zakradł, by suszyć futro. Chwytnymi łapami odwiązał sieć transportową, którą był owinięty, i biorąc nos za przewodnika, zaczął szukać najważniejszego. Chwilowo ignorował wyczuwalny w tle blask umysłów dwunogów.

Kierując się coraz intensywniejszym, znanym mu z pieśni zapachem, wspinał się na wyższy poziom schronienia i znieruchomiał, pierwszy raz widząc obiekt swych pragnień.

Roślina była wyższa i większa, niż pamiętał z relacji, ale może za pierwszym razem trafiono na niewyrośnięty w pełni okaz. Każda z łodyg mierzyła ponad połowę długości ciała zwiadowcy i sieć naprawdę miała się przydać. Wspinający się Szybko dłuższą chwilę medytował, ile zabrać, w końcu zastrzygł zdecydowanie uszami. Dwie łodygi będą akurat, a jakby co, zawsze może przecież wrócić po więcej.

Gdy tak się zastanawiał, w nozdrza uderzył go wspaniały aromat. Nigdy nie wahał niczego podobnego i od razu ślinka napłynęła mu do ust. Po krótkim wahaniu złapał najbliższą łodygę i pociągnął delikatnie. Stawiła sprężysty opór, całkiem jak czubek białego korzenia, szarpnął więc silniej i bleknął triumfalnie, gdy łodyga została mu w chwytniej łapie. Uniósł zieleninę do nosa, powąchał i polizał ostrożnie.

Poczuł coś wspaniałego. To było niczym gorące promienie słońca pośrodku lodowej pustyni, jak zimna woda z górskiego strumienia w upalny dzień... albo jak czuła pieśczoła matki myjącej swe pierwsze kocię i obiecującej mu ciepło, miłość i bezpieczeństwo... Albo nawet...

Otrząsnął się z wysiłkiem. Skojarzenia były pozornie bardzo odległe, ale chodziło w nich o sytuacje zupełnie wyjątkowe, cudowne przeżycia zdarzające się raz na wiele obrotów. Skosztowanie łodygopędu mogło się z nimi równać. Ugryzł go delikatnie i przeżuł kęs, co nie przyszło mu łatwo, ponieważ jego zęby nie były przystosowane do jedzenia roślin. Rozkoszując się smakiem, zjadł całą łodygę i sięgnął zaraz po następną...

Powstrzymał się w ostatniej chwili. Fakt, było pyszne i chciał więcej, ale nie był w końcu obzerającą się do wypęku ryjówką. Był zwiadowcą Klanu Jasnej Wody i powinien zanieść łup do domu, by inni też mogli poznać smak nowej rośliny. Zwłaszcza Krótki Ogon i Jasny Kiel, ale nie tylko. Złamany Kiel i Śpiewająca Prawdziwie także. Wszyscy byli jego przyjaciółmi, a przyjaciele dzielą się zawsze tym, co dobre.

Wyrwanie całej rośliny okazało się łatwiejsze niż ułamanie jednej łodygi. Ziemia była tak miękka, że prawie nie stawiała oporu. Wspinający się Szybko zawinął zdobycz w sieć transportową. Pakunek nie był zbyt poręczny, ale dało się go zarzucić na plecy, przytrzymując środkowymi łapami za specjalne pętle. Wyjście będzie bardziej kłopotliwe niż wejście, trzeba też liczyć się z utrudnieniami po drodze, ale w taką pogodę żaden zabójczy kiel nie szwendał się raczej po lesie.

\*\*\*

Stephanie miała kurtkę przeciwdeszczową i takież kapelusz, którego szerokie rondo dobrze osłaniało jej twarz przed kroplami wody, ale trzymanie wycelowanej w wywietrznik szklarni kamery wymagało uniesienia rąk, przez co lodowaty deszcz zyskał dostęp do rękawów. Woda spływała nimi swobodnie aż do łokci. Co gorsza, zbierała się tam i zaczynała wykazywać zainteresowanie dalszą drogą w stronę ramion, jednak największy nawet deszcz nie byłby w stanie zmusić Stephanie do opuszczenia kamery w takiej chwili.

Stała niecałe dziesięć metrów od cieplarni i nagrywała cały czas. Każdy moduł pomięci kamery mógł pomieścić ponad dziesięć godzin materiału, nie było więc sensu tracić ani sekundy z tego, co mogło stać się oficjalnym nagraniem. Minuty mijały wśród rozświetlanej błyskawicami ciemności, deszcz padał nieustannie. Stephanie czuła coraz większe napięcie, aż w dziewiątej minucie pomyślała, że ktokolwiek wszedł do cieplarni, powinien już zbierać się do wy...

\*\*\*

Wspinający się Szybko dotarł do otworu i odetchnął z ulgą. Po drodze dwa razy omal nie upuścił ładunku, toteż zdecydował się na chwilę oddechu, nim wyjdzie na zewnątrz. W końcu czasu miał pod dos...

\*\*\*

Z wywietrznika wysunął się porośnięty futrem i ozdobiony długimi wąsami łeb ze spiczastymi uszami i zielonymi ślepiami, lśniącymi w blasku błyskawic jak szmaragdy. Świat jakby zatrzymał się w miejscu, gdy spojrzenie tych oczu padło na obiektyw trzymanej przez dwunastoletnią dziewczynkę kamery. Stephanie wstrzymała oddech, spodziewając się czegoś podobnego, natomiast Wspinający się Szybko został całkowicie zaskoczony. Zamarł w



bezruchu, gorączkowo analizując sytuację.

Przez kilka sekund nic się nie działo, aż w końcu zwiadowca otrząsnął się z szoku. Miał wyraźnie przykazane, aby nie pokazywać się ludziom, i włos mu się zjeżył, gdy pomyślał o reakcji Złamanego Kłosa. Mógł się tłumaczyć, że burza i pierwsze doświadczenie z łodygopękami osłabiły jego uwagę, ale co się stało, to się stało.

Dwunóg, który skierował na niego dziwne narzędzie, był młodym osobnikiem, znacznie mniejszym od rodziców. Cokolwiek miał w dłoniach, nie było raczej bronią. Gdyby zamierzał zabić Wspinającego się Szybko, już by to zrobił. Obcy byli w tym bardzo sprawni. Ale co właściwie zamierzał...? Zwiadowca odruchowo sięgnął do umysłu dwunoga, chcąc poznać jego intencje.

Na konsekwencje okazał się całkowicie nieprzygotowany.

Było to tak, jakby spojrzał prosto w słońce, spodziewając się blasku samotnej pochodni. Oślepiony jasnością umysłu dwunoga otworzył szeroko oczy i położył uszy po sobie. Może sprawiła to bliskość, może zjedzona przed chwilą łodyga rośliny, ale emocje obcego były silniejsze niż kiedykolwiek wcześniej i do tego wyraźne: wyczuwał w nich ekscytację, radość i zaskoczenie. Pierwszy raz ktoś z Ludu zetknął się twarzą w twarz z dwunogiem i nic nie mogło przygotować Wspinającego się Szybko na czysty zachwyty Stephanie Harrington, wpatrzonyj bez reszty w sześciolape stworzenie z selerowym tobołkiem na grzbiecie.

Przedstawiciele dwóch inteligentnych ras, z których jedna nawet nie podejrzewała dotąd istnienia drugiej, spoglądali na siebie w środku burzy, całkiem o niej zapomniawszy. Ta chwila nie mogła trwać wiecznie, ale żadne z nich nie chciało, by się skończyła. Stephanie przeżywała największy triumf swojego życia nieświadoma, że Wspinający się Szybko odbiera jej emocje, znacznie silniejsze niż w przypadku współplemieńców, i bardzo pragnie czuć je dalej. Wiedziała tylko, że przyglądał się jej całą wieczność, nim otrząsnął się i zeskoczył długim susem na ziemię.

\*\*\*

Wspinający się Szybko stwierdził, że uwolnienie się od blasku umysłu dwunoga jest niezwykle trudne, może nawet nie do końca możliwe. Teraz udało mu się jedynie odsunąć na tyle, by odzyskać zdolność ruchu. Nie spotkał się jeszcze z większym wyzwaniem. Ten blask był na tyle silny, że nie dawało się go zignorować, można było tylko odwrócić od niego spojrzenie.

Ledwo doszedł do siebie, zaraz skoczył w mrok i deszcz. Poruszał się wolno i niezgrabnie z powodu ładunku, ale nie przejmował się tym. Był absolutnie pewien, że młody

dwunóg nie zamierza wyrządzić mu krzywdy. Poza tym tajemnica istnienia Ludu przestała być tajemnicą i nie było co się spieszyć. Dlatego w pewnej chwili usiadł i obejrzał się. Obcy opuścił dziwne narzędzie i spojrzął na Wspinającego się Szybko własnymi oczami. Były dziwne: brązowe, z okrągłymi źrenicami. Zwiadowca zastrzygł uszami, wstał i oddalił się truchtem.

\*\*\*

Stephanie spoglądała za odchodzącym stworzeniem, dopóki nie zniknęło w mroku. Nie było duże, mierzyło sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt centymetrów długości, nie licząc ogona. Z całą pewnością nadrzewne, sądząc po pazurach, ale posiadające też trzypalczaste dłonie z przeciwstawnym kciukiem. Na pewno umiało robić z nich właściwy użytek, o czym świadczyła przytroczona do grzbietu sieć z selerem.

Mogło sobie wyglądać jak miniatuurka hexapumy, ale właśnie ta sieć była niepodważalnym dowodem, że ekipa zwiadu planetarnego przeoczyła to, co na Sphinksie najważniejsze. Nie, żeby Stephanie zamierzała się skarżyć. Dzięki ich niedbalstwu zakazane wynajewo zmieniło się w najcudowniejsze miejsce, w jakim mogła się znaleźć. Powód był prosty: dokonała właśnie czegoś, co dotąd zdarzyło się tylko jednaście razy. Jedenaście razy w ciągu piętnastu stuleci, odkąd ludzkość wyruszyła w kosmos.

Nawiązała kontakt z obcą rasą używających narzędzi i bez wątpienia inteligentnych istot.

## ROZDZIAŁ V

Wspinający się Szybko wygrzewał się przed swoim gniazdem i wystawiając brzuch do słońca, udawał, że smacznie śpi. Wiedział, że nikogo nie oszuka, gdyż każdy mógł sprawdzić blask jego umysłu, ale dobre maniere nie pozwalały na jawne zdemaskowanie jego gry pozorów.

Zyskał więc miły spokój, chociaż to nie wystarczało, by zdołał przejść do porządku dziennego nad rewolucyjnymi zmianami, które zaszły w jego życiu. Rozmowa ze starszymi klanu po tym, jak dał się przyłapać dwunogowi na otwartej przestrzeni, i to jeszcze z wynoszonym właśnie łupem, była tak nieprzyjemna, jak tego oczekiwał.

Fizyczne ataki należały wśród Ludu do rzadkości, więc nikt nie złożył mu skóry. Utarczki naturalnie się zdarzały, czasami dochodziło nawet do poważnych walk, zwykle między młodymi zwiadowcami i myśliwymi. Niekiedy wybuchały też konflikty między klanami, z reguły o sporne tereny. Były to wstydliwe epizody, ale zdolność współodczuwania cudzych emocji czy wnikania w czyjeś myśli nie gwarantowała idealnego porozumienia, nie zwiększała też obfitości zwierzyny łownej w okolicy. W obrębie klanu starszyna interweniowała zwykle, nim dochodziło do czegoś naprawdę groźnego, ale i ona bywała bezradna, gdy napastnik okazywał się chorobliwie agresywny.

Wspinający się Szybko pamiętał jeden przypadek, kiedy Klan Wysokiej Grani musiał wypędzić swojego zwiadowcę, całkiem bez powodu atakującego innych z Ludu. Banita przeszedł na teren Klanu Jasnej Wody, zabijając zwierzynę dla samej przyjemności mordowania i rabując zapasy z magazynów klanu. Zranił nawet jednego ze zwiadowców, gdy ten nie pozwolił mu wykraść kociąt z gniazda pewnej samicy. Do czego były mu potrzebne, Wspinający się Szybko wolał nawet nie dociekać. Ostatecznie klan musiał urządzić polowanie i zabić go, chociaż nikogo takie rozwiązanie nie cieszyło.

Wspinający się Szybko nie obawiał się, że w tej sytuacji ktokolwiek zechce zaatakować go fizycznie, ale to, co mu zafundowali, nie było wcale lepsze. Czuł się jak przerobiony na gustowną wyściółkę gniazda i nie chodziło nawet o to, co mu powiedzieli, ale jak to zrobili.

Zastrzygł uszami i wykręcił się bardziej do słońca, wspominając ciężkie chwile. Śpiewająca Prawdziwie też była obecna jako następczyni Tkającej Pieśni, gotowa przejąć jej

obowiązki w razie śmierci albo zrzeczenia się stanowiska. I od niej też mu się oberwało, chociaż nie szydziła z jego niezdarności jak Złamany Kieł i Krótki Ogon. Kochana siostrzyczka umiała zranić bez sięgania po ironiczne komentarze.

Tłumaczył, jak potrafił, że wcale nie zamierzał pokazywać się dwunogowi, i zasugerował nawet, że tamten musiał chyba wcześniej dowiedzieć się, że ktoś jest w miejscu uprawy roślin, nie był bowiem przesadnie zaskoczony, gdy zobaczył zwiadowcę. Owszem, dało się w jego reakcji wyczuć zdumienie, ale brało się ono raczej z tego, kogo ujrzał. I była to emocja ze wszech miar pozytywna, niemalże radosna.

Niestety, swoje przypuszczenia Wspinający się Szybko opierał wyłącznie na tym, co wyczuł w blasku umysłu dwunoga, a pozostali niezbyt chcieli uwierzyć, że taki kontakt w ogóle jest możliwy. Nie powiedzieli tego wprost, ale trudno, by uważali inaczej. Żaden zwiadowca nie zbliżył się wcześniej do dwunogów na tyle, aby wyczuć cudowny blask ich umysłów, żaden też chyba nie próbował skupiać na nich wystarczająco uwagi.

*Jak rozumiem, uważasz, że dwunóg dowiedział się w jakiś sposób o twojej obecności, ale nie pojmuję, jak mógłby to uczynić - podsumował Krótki Ogon. - Mówisz, że nie było tam żadnych światełek ani przedmiotów, które służą im do wykrywania zwiadowców.*

*Nie było - zgodził się Wspinający się Szybko. - Ale dwunogi są zmyślne. Nie widziałem niczego, co wcześniej znałem, ale mogą mieć jeszcze inne sposoby, których dotąd nie odkryliśmy.*

*Próbujesz polować na ryjówki w koronach drzew - powiedział zdecydowanie Złamany Kieł. - Daleś się zobaczyć, i to w trakcie wyprawy na teren dwunogów! Nie wątpię, że wyczuleś blask umysłu jednego z nich, ale jestem pewien, że znalazłeś w nim przede wszystkim to, co chciałeś znaleźć.*

Zarzut wzburzył Wspinającego się Szybko, ale co mógł zrobić? Emocje odbierane z czyjś umysłu łatwo było niewłaściwie zinterpretować, jeśli nie towarzyszyła im rozmowa. Skoro tak działo się wśród Ludu, Złamany Kieł miał prawo przyjąć, iż w przypadku całkiem obcej istoty pomyłka jest tym bardziej prawdopodobna. Wspinający się Szybko wiedział, co naprawdę się zdarzyło. Emocje dwunoga były tak silne i jednoznaczne, że po prostu nie mógł się pomylić, ale nie był w stanie wytłumaczyć tego starszyźnie. Co więcej, nie mógł nikogo winić za brak zrozumienia. Nie dość, że nikt poza nim nie miał doświadczenia w nawiązywaniu kontaktu z dwunogami, to pojawiła się jeszcze kwestia odczytywania ich myśli.

Wszyscy wiedzieli, że każda emocja zawiera też jakiś przekaz myślowy, trudno wszakże do odczytania. Były to ledwie słabe przebłyski, przypominające pojedyncze

promienie słońca przebijające się przez zwartą powłokę listowia. Wspinający się Szybko nie znał przypadku trafnej ich interpretacji przy pierwszym spotkaniu kogoś dotąd nieznanego. Stawało się to możliwe dopiero po pogłębieniu znajomości. Sugestia, iż w kontakcie z dwunogami miałyby być inaczej, musiała wzbudzić głębokie niedowierzanie.

I dlatego pokornie przyjął burę. Dostarczone starszyźnie łądogopęki i tak znacznie złagodziły nastroje, potwierdzając przynajmniej to, co słyszeli już od innych klanów. Nie ochroniło go to jednak przed jedyną konsekwencją, która naprawdę go zabolęła.

Został zwolniony z roli obserwatora dwunogów, które to zadanie otrzymał teraz Używający Cieni, całkowitym przypadkiem wnuk Złamanego Kła. Starszy klanu wprawdzie nie powiedział tego wprost, ale bez wątpienia uważał, że nowy zwiadowca będzie lepiej wykonywał swoje obowiązki. Chodziło najpewniej nie tyle o posłuszeństwo jego krewniaka wobec starszyny, ile o cechujący go brak wyobraźni i zdecydowanie mniejszą inicjatywę.

Wspinający się Szybko pojmował przyczyny, dla których ostrożność przeważała. Widział przecież, z jaką łatwością dwunogi ścinają olbrzymie drzewa, które mogłyby pomieścić gniazda całego klanu, albo wykopują głębokie dziury w ziemi, by postawić tam później swoje siedziby. Byli potencjalnie niebezpieczni, i to niezależnie od intencji. Nie musieli okazywać Ludowi wrogości, wybijając klany czy niszcząc ich tereny, i mogli mu poważnie zaszkodzić nawet czystym przypadkiem. Stąd wzięła się decyzja, podjęta jeszcze przed narodzinami Wspinającego się Szybko, by unikać dwunogów, obserwując ich z ukrycia do czasu, gdy uda się wypracować jakieś sensowne podejście do tych dziwnych istot, tak zdecydowanie i skutecznie przekształcających świat Ludu.

Wszystko to było prawdą, niemniej Wspinający się Szybko miał podstawy, by powątpiewać w skuteczność takiego podejścia. Nie negował, że ostrożność jest wskazana, ale jego zdaniem zbyt wielu myślało tak jak Złamany Kieł, skupiając się na możliwych zagrożeniach i nie dostrzegając potencjalnych korzyści płynących z obecności dwunogów. Być może całkiem bezwiednie przyjęli, że obecna sytuacja będzie trwała wiecznie, i uważali, że tylko w ten sposób uda się zapewnić Ludowi bezpieczeństwo.

Przy całym szacunku żywionym dla starszych, Wspinający się Szybko nie wierzył, by dłuższe utrzymanie tajemnicy było możliwe. Dwunogów przybywało, a ich latające obiekty i narzędzia pozwalające widzieć z daleka dawały im olbrzymią przewagę. Prędzej czy później odkryją, że oprócz nich mieszka tu ktoś jeszcze, i gdy to się stanie, Lud będzie musiał podjąć próbę ułożenia sobie z nimi kontaktów. A właściwie już powinien to uczynić, wzięwszy pod uwagę wpadkę Wspinającego się Szybko. Kwestia tylko, czy obcy dadzą Ludowi szansę...

Wiedział, że nie jest w tym poglądzie osamotniony. Śpiewająca Prawdziwie, Krótki

Ogon i Ostry Pazur, najstarszy myśliwy klanu, myśleli tak samo, ale Złamany Kieł, Tkająca Pieśni i dbający o uprawy Kopacz uważali, że świat jest wystarczająco wielki i oferuje dość kryjówek, by dało się bez końca unikać dwunogów, nawet teraz, gdy wiedzieli już o istnieniu Ludu.

Westchnął i poruszył wibrysami, zastanawiając się z lekkim rozbawieniem, czy młody dwunóg ma podobne trudności z przekonaniem starszych do swojego zdania. A jeśli tak, czy należało się martwić z tego powodu, czy raczej cieszyć? Wiedział, że młody osobnik zareagował na jego widok wyłącznie radością, nie było w nim strachu ani złości. Jeśli jego rodzice żywiliby podobne uczucia, Lud nie miałby się czego obawiać. Niemniej pozytywne nastawienie jednego niedorośłego osobnika nie przesądzało jeszcze, czy inni zachowają się tak samo.

Jedno było pewne - cokolwiek się jeszcze zdarzy i jakkolwiek uzasadnione byłyby obawy, nadchodziło nowe. Nic nie powstrzyma zmian. Obcy dowiedzieli się o istnieniu Ludu i zareagują na to niezależnie od takiego czy innego nastawienia Złamanego Kła.

Było jednak jeszcze coś, o czym Wspinający się Szybko nie zameldował. Zachował to dla siebie z obawy, że wieść mogłaby wywołać panikę i skłonić starszyznę do porzucenia terenu i ucieczki w góry. Może i miałyby to sens, ale mogłoby też oznaczać zmarnowanie wyjątkowej okazji, jaka nigdy wcześniej nie otworzyła się przed Ludem. Wprawdzie samotny zwiadowca nie powinien podejmować decyzji w sprawach dotyczących całego klanu, ale w tej sytuacji nie miał się nawet kogo poradzić. Nikt inny nie przeżył tego co on i nie miał prawa go zrozumieć. Zwłaszcza gdy chodziło o przekonanie, że od czasu spotkania Wspinający się Szybko i młody dwunóg przestali być sobie całkiem obcy.

Nie rozumiał, na czym to polega, ale nawet teraz, przymknąwszy oczy, wiedział, gdzie dokładnie znajduje się tamta istota. Wyczuwał blask jej umysłu i chociaż odległość była zbyt duża, by mógł rozpoznać konkretne emocje, był pewien, że to nie gra wyobraźni. W każdej chwili potrafiłby wskazać kierunek, gdzie jest dwunóg, i to nawet dokładniej niż w przypadku Śpiewającej Prawdziwie, chociaż od siostry dzieliło go nie więcej niż dwadzieścia do trzydziestu długości ciała.

Przy całym zaskoczeniu nową sytuacją nie miał wątpliwości, że ten związek umysłów stanowi klucz do wzajemnych kontaktów Ludu z dwunogami, chociaż nie potrafił przewidzieć, jakie to będą relacje. Po drugie zaś uznał, że to jego prywatna sprawa, i postanowił, że dopóki nie zrozumie, co się właściwie dzieje, nie wspomni o tym nikomu, kto myśli podobnie jak Złamany Kieł.

## ROZDZIAŁ VI

Stephanie usiadła wygodnie, splotła dłonie za głową i oparła odziane w skarpetki stopy na blacie biurka. Była to jej ulubiona pozycja, która nie spotkała się nigdy z aprobatą matki. Pogwizdując bezgłośnie, wbiła nieobecne spojrzenie w przestrzeń przed sobą. Gdyby zobaczyli ją teraz rodzice, wzbudziłoby to ich niepokój. Zorientowaliby się, że ich ukochana córeczka coś kombinuje.

Sprawa była jednak niełatwa. Dawno się już nie zdarzyło, by mimo pełnego miesiąca namysłu i analizowania sytuacji z każdej strony, Stephanie nadal nie wiedziała, co zrobić. A dokładniej, jak osiągnąć zamierzony cel. Dotąd miewała kłopoty raczej z nadmiarem pomysłów i obecna niepewność była dla niej czymś nowym. Ale stanowiła też wyzwanie.

Zmarszczyła czoło, przymknęła oczy, odchyliła jeszcze bardziej fotel i wzięła się ostro do myślenia.

W nocy udało się jej niepostrzeżenie dotrzeć do łóżka, co nie było aż takie niezwykle, jednak nie pomyślała nawet, by pobiec do rodziców z kamerą. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że postąpiła nietypowo, ale nawet teraz nie wiedziała dlaczego. Może chodziło o to, że odkrycie nowego, inteligentnego gatunku było jej osiągnięciem i chwilowo czuła dziwną niechęć do informowania o nim kogokolwiek. Na razie był to sekret i pozostanie nim, jak długo nie dowie się możliwie jak najwięcej o tajemniczych sąsiadach. Nie była całkiem pewna, kiedy doszła do tego wniosku, ale skoro już to nastąpiło, znalezienie racjonalnego wytłumaczenia nie stanowiło problemu. Wystarczyło pomyśleć, jakim zagrożeniem dla amatorów selera byłiby jej rówieśnicy z Twin Forks. Nawet ci, którzy miewali przebłyski rozumu, z godnym lepszej sprawy uporem starali się dopaść cokolwiek żywego, od wiewiórki poczynając, na pseudożółwiu kończąc, by przerobić nieszczęsne stworzenie na zwierzątko domowe. Nowe istoty zaczęłyby prześladować z jeszcze większym entuzjazmem, co musiałoby doprowadzić do katastrofy.

Postanowienie było może i szlachetne, ale nie przybliżyło jej ani o krok do rozwiązania zasadniczego problemu. Jeśli nikomu nie powie, jak sama zdoła dowiedzieć się czegoś więcej? Owszem, była pierwsza, ale prędzej czy później ktoś jeszcze przyuważy złodziejaską i sprawa wyjdzie na jaw. Jeśli chce mieć jakiś pożytek ze swojej tajemnicy, powinna działać jak najszybciej.

Tyle dobrego, że miała olbrzymie fory. Przez ostatnie tygodnie przeszukała dokładnie sieć planetarną i nie natrafiła na żadną informację na temat miniaturowej hexapumy z chwytymi kończynami. Skorzystała nawet z ojcowego dostępu do archiwów Służby Leśnej i porównała kadry ze swojego filmu ze zdjęciami znanych zwierząt Sphinksa. Wynik był jednoznaczny: nikt nigdy nie umieścił w bazie danych wizerunku selerowego smakosza, nie było nawet sugestii, by taki gatunek mógł istnieć.

Wiele mówiło to o jego inteligencji (podobnie zresztą jak sieć, w której niósł łodygi selera). Planeta była duża, ale sądząc po rozrzucie kradzieży, tajemnicze istoty opanowały ją praktycznie całą. Mimo to przez blisko pięćdziesiąt standardowych lat nikt ich nie widział, co musiało oznaczać, że celowo unikały ludzi. Skoro były zdolne tak świetnie koordynować swoje działania, umiały najpewniej jakoś się porozumiewać, przekazując wiadomości znacznie dalej niż do sąsiedniego lasu.

Był to dodatkowy punkt świadczący o stopniu ich rozwoju. Nie tylko narzędzia, ale i język. Tym bardziej dziwiły ich rozmiary. Stephanie była pewna, że widziane przez nią stworzenie miało nie więcej niż sześćdziesiąt centymetrów długości, licząc od nosa do nasady ogona. Ważyło pewnie jakieś trzynaście albo czternaście kilogramów. Nigdy jeszcze nie napotkano istoty rozumnej o tak małej masie ciała.

Tyle zdołała ustalić sama. Nie było to trudne, ale zaraz potem stanęła w miejscu z braku nowych danych, których nie miała jak zdobyć. Dotąd rutynowo pokonywała podobne trudności, jednak tym razem sprawa była trudniejsza. Kolejnym etapem powinny być badania terenowe, na które jako dwunastolatka nie miała szans, zwłaszcza że obiecała rodzicom nie wypuszczać się samodzielnie do lasu, a tylko tam mogłaby przecież badać ten nowy gatunek.

Jednak w towarzystwie też wolałaby tam nie chodzić i dziękowała losowi, że matka była ostatnio mocno zajęta projektami badawczymi i nie miała czasu na wspólne wyprawy. Wcześniej Stephanie bardzo się na nie cieszyła i była rozczarowana niespełnieniem obietnicy, jednak teraz obecność matki mogłaby mocno skomplikować sprawę, o trudnościach z zachowaniem tajemnicy nie wspominając.

Zamieszania dopełniła decyzja ojca, który postanowił wynagrodzić córce „zawód” z powodu braku wycieczek do lasu i kupił jej na dwunaste urodziny całkiem nową lotnię. Był to niewątpliwie ujmujący gest, zwłaszcza że Richard Harrington tak przeorganizował sobie rozkład zajęć, by mogli wznowić lekcje latania, przerwane w chwili migracji z Meyerdahla. Stephanie uwielbiała je, tak kiedyś, jak i teraz, zwłaszcza że jej ojciec był świetnym instruktorem. Trzy razy dostał się do finałów kontynentalnych mistrzostw lotniowych i Steph szczerze go za to podziwiała. Tyle że, obecnie każda minuta spędzona w powietrzu oznaczała



mniej czasu na badania, które interesowały ją najbardziej. Czy raczej na drapanie się po głowie, jak powinna te badania zorganizować. Zrezygnować zaś z lotów nie mogła - gdyby to zrobiła, rodzice z miejsca nabraliby podejrzeń.

Na dodatek ojciec uparł się urządzić te lekcje w Twin Forks, co miało nawet pewien sens, skoro jako weterynarz musiał być nieustannie gotowy na wezwanie. Miasteczko leżało centralnie wobec większości okolicznych osiedli, co skracało drogę do potencjalnego pacjenta, poza tym zawsze mógł liczyć tam na pomoc innych lotniarzy, mogących zastąpić go w roli instruktora. Dodatkowo pozwalało objąć szkoleniem także grupkę miejscowych dzieciaków, co nie ucieszyło specjalnie Stephanie, wiedziała jednak, że w przypadku jej ojca to całkiem naturalna decyzja. Niemniej tak czy siak, latanie pochłaniało sporo jej wolnego czasu i musiała co rusz oddalać się na ponad osiemdziesiąt kilometrów od tych leśnych zakamarków, które chociaż zakazane, niezmiennie ją kusily.

Nie zamierzała jednak łamać obietnicy i była przekonana, że znajdzie wyjście, które by tego nie wymagało. Nawet jeśli tak będzie trudniej. Jedno, co przyszło jej bez najmniejszego wysiłku, to znalezienie nazwy dla nowego stworzenia. Z wyglądu przypominało małą hexapumę i tak jak ona miało w sobie coś kociego. Stephanie wiedziała oczywiście, że rodzina kotowatych obejmuje tylko ziemskie *felidae*, jednak napotkane na innych planetach stworzenia od stuleci otrzymywały nazwy zapożyczone od ich odpowiedników ze starej Terry. Na Sphinksie nie było inaczej. Sami koloniści twierdzili, że określanie miejscowych gatunków mianem „wiewiórek” czy „sośniaków” bierze się z nostalgii i chęci nadania obcemu otoczeniu pozorów swojskości, Steph uważała jednak, że chodzi o czyste lenistwo, wierność utartym schematom i niechęć do nowości. Sama wszakże doszła do wniosku, że jedyną sensowną nazwą dla nowego stworzenia będzie „treecat”, czyli kot nadrzewny. Miała nadzieję, że przyjmie się ona, gdy ludzie dowiedzą się wreszcie o wszystkim. Zwyczaj przewidywał, że to odkrywca nadawał nazwę, chociaż w przypadku, gdy była nim dwunastoletnia dziewczynka, dorośli mogli okazać się nagle mało przywiązani do tradycji.

Mimo wszystkich trudności szybko połapała się w jeszcze jednym. Nie mogła wejść do lasu, ale gdyby tam się znalazła, wiedziałaby, gdzie szukać. Z całkiem niezrozumiałej przyczyny potrafiła w każdej chwili wskazać, gdzie znajduje się obecnie jej nocny gość.

Przymknęła oczy i wysunęła jedną dłoń spod głowy. Bez namysłu wycelowała palec wskazujący i uniosła powieki. Tak, przemieścił się trochę od ostatniego razu, ale na pewno tam był. Nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

I to chyba było najdziwniejsze w tej sprawie, i najbardziej fascynujące zarazem.

## ROZDZIAŁ VII

Marjorie Harrington skończyła spisywanie charakterystyki najnowszej wersji dyni i z westchnieniem ulgi zamknęła plik. Jej badania zmierzały do stworzenia odmiany odpornej na pewnego miejscowego wirusa, który zaczął atakować uprawy. Wielu rolników dowodziło, że prościej byłoby poszukać sposobu na samego mikroba, co rzeczywiście bywało niekiedy metodą najtańszą i najszybciej przynoszącą efekty, jednak tym razem władze planety wybrały trudniejsze rozwiązanie, a Marjorie w pełni tę decyzję poparła. Zamiast nękać miejscową formę życia, poszukała takiej modyfikacji genetycznej, która uczyniła dynię niewrażliwą na wszelkie zakusy. Trwało trochę, nim ustaliła, który z trzech możliwych sposobów będzie najmniej inwazyjny, ale jej zdaniem warto było.

Niektórzy z jej kolegów z Meyerdahla opowiedzieliby się za szybszą i bardziej „agresywną” metodą, ale dla Marjorie byłyby to ostateczność. Takim rozwiązaniom brakowało elegancji. Może to obecne nie było aż tak subtelne jak wcześniejsze zmiany wprowadzone do genotypu selera, który przestał dzięki temu więdnąć w oczach, ale i tak dawało satysfakcję. Wstając, czuła się podobnie jak wtedy, gdy odsuwała się od sztalug, by przyjrzeć się namalowanemu właśnie pejzażowi.

Uśmiechnęła się do swoich myśli, przypominając w tym do złudzenia własną córkę, ale zaraz co innego zaprzątnęło jej uwagę. Na południowej półkuli Sphinksa nastawała z wolna wiosna, a bliskość pory wegetacji oznaczała więcej pracy, która nie zostawiała jej wiele czasu dla rodziny, o planowanych wspólnych wyprawach ze Stephanie nie wspominając. A przecież miała pomóc jej w rozwikłaniu zagadki znikającego selera, zwłaszcza że nieznanemu rabuś zaczął nawiedzać także ich cieplarnię.

Dobrze, że chociaż Richard zdołał się zmobilizować, otwierając ponownie szkółkę pilotażu. Stephanie spędzała w powietrzu wiele godzin, meldując się regularnie przez komunikator, Marjorie zaś tym różniła się od wielu rodziców z Twin Forks, że nie uważała latania za szczególnie niebezpieczne hobby. Każde dziecko musiało nabić sobie przypisaną mu porcję siniaków, nawet jeśli czasem coś przy tym łamało. Dopóki Steph nie podejmowała bezsensownego ryzyka, wszystko było w porządku. Najważniejsze, że miała szansę nauczyć się, jak radzić sobie z trudnymi sytuacjami, i jako dorosła nie przestraszy się byle wyzwania.

Pozornie sytuacja nie wyglądała więc wcale źle, jednak Marjorie nie była całkiem

szczęśliwa. Świadomość, że córka zajęła się lataniem głównie dla zabicia czasu, wywoływała u matki niejakie poczucie winy. Stephanie niewątpliwie rozumiała, jak ważne powody nie pozwoliły Marjorie na realizację obietnicy, i była zbyt rozsądna, by kwękać czy narzekać, ale przy jej „trudnym” charakterze należało oczekiwać jakiegoś komentarza, może nawet niejednego. Tymczasem nawet słowo na ten temat nie padło, i to było dziwne. Zupełnie jakby...

Marjorie potarła z namysłem nos i nagle ręka zastygła jej w pół gestu. Jasne! Dawno już powinna to zauważyć. Znała przecież trochę swoją córkę i wiedziała, że radosne przyjmowanie wyroków losu nie jest typowym dla niej zachowaniem. Owszem, nie zwykła jęczeć, ale nigdy nie poddawała się bez walki, a tutaj chodziło przecież o coś, na czym bardzo jej zależało. Lubiła latanie, zagustowała w nim już na Meyerdahlu, jednak nie spędzała całych dni na lotni, jakby o niczym innym nie marzyła. Teoretycznie tutaj mogło się jej odmienić, ale intuicja podpowiadała Marjorie, że nie w tym rzecz.

Przypomniała sobie kilkanaście ostatnich rozmów z córką. Wszystko się zgadzało, niestety. Nie dość, że Stephanie milczała na temat rozczarowania, które ją spotkało, to jeszcze od dwóch tygodni nie nawiązała ani razu do sprawy selerowego złodzieja. Marjorie skłęła się w duchu. Naprawdę powinna wcześniej to pokójczyć. Sądząc po wszystkich, obecnych od dłuższego czasu znakach, Stephanie przymierzała się do czegoś, o czym wolałaby nie informować rodziców.

Ale co to mogło być? I dlaczego nie chciała, by się o tym dowiedzieli? Jedyne, czego jej zabraniali, to samotne wyprawy do lasu. Obiecała, że ich nie podejmie, a choć miała swoje za uszami, nie zwykła łamać danego słowa. Niemniej jeśli ukrywała obecnie swoje plany, udając nagły przypływ zainteresowania lotniarstwem, musiało chodzić o coś, co nie spotkałoby się z rodzicielską aprobatą. Gdyby ją na tym przyłapali, naturalnie... Stephanie miała bowiem doprowadzający do szału zwyczaj zakładania, że dopóki coś nie zostało zabronione, dopóty było dozwolone, a to, czy rodzice mieli okazję wydać taki czy inny zakaz, nie miało dla niej najmniejszego znaczenia.

Z drugiej strony, nie zwykła też wykręcać się od odpowiedzi. Jeśli Marjorie usiądzie z nią i spyta, co się dzieje, usłyszy prawdę, nawet jeśli byłaby ona dla Steph niewygodna. Zanotowała sobie w myślach, by znaleźć w napiętym rozkładzie zajęć chwilę na dokładne wyjaśnienie całej sprawy.

## ROZDZIAŁ VIII

Stephanie powitała okrzykiem radości kolejny silny prąd wznoszący. Wiatr gwizdał w odciągach, a pokrycie załopotało, gdy przechyliła lotnię, nabierając wysokości. Wprawdzie plecowy antygravitator mógłby załatwić to szybciej i efektywniej, ale lot ze wspomaganie nie dałby tyle frajdy!

Spojrzała na przesuwane się w dole drzewa i zrobiło jej się trochę nieswojo. Leciała wysoko, ze dwieście metrów nad ziemią, i nawet korony dębów wydawały się stąd dziwnie małe, ale wiedziała dobrze, co powiedziałby ojciec, gdyby ją teraz zobaczył. Fakt, że nie zobaczy, zatem niczego nie powie, jakoś tym razem nie wystarczy. Mimo wszystko miała wrażenie, że nie jest do końca w porządku, chociaż nie złamała przecież słowa. Nie chodziła sama po lesie i nie narażała się na atak hexapumy czy innego drapieżnika.

Wrodzona uczciwość kazała jej przyznać, że gdyby rodzice znali jej plany, natychmiast by się sprzeciwili. Całkiem bezwstydnie skorzystała z zamieszania, które nie pozwoliło im się porozumieć.

Ojciec dostał nagle wezwanie i musiał zrezygnować z prowadzenia dzisiejszej lekcji. O zastępstwo poprosił burmistrza, pana Saprystosa, zapomniał jednak nadmienić, że Stephanie będzie wśród uczniów. Polecieć mogłaby wozem matki, automatyczna kontrola lotów sama doprowadziłaby go do celu. Niestety, a może stety, w pośpiechu zapomniał również poprosić żonę, by zorganizowała transport. Najpewniej założył, że Stephanie sama się tym zajmie. Cokolwiek by jednak mówić, na pewno nie polecił jej tego zrobić.

W ten sposób ojciec był przekonany, że Stephanie jest z panem Saprystosem, matka zaś i burmistrz myśleli, iż zabrała się z ojcem. To dało jej szansę przygotowania własnego planu lotu, z którego nie musiała się nikomu zwierzać.

Nie po raz pierwszy trafiła się jej taka okazja. Poprzednie też wykorzystała skwapliwie, zwłaszcza że nie było ich wiele, a czas płynął. Od spotkania treecata minęły już dwa standardowe miesiące, ale jak na razie nie zdołała wygospodarować po cichu dość czasu, by starczyło go na przelot tam i z powrotem. Nie chcąc ryzykować wykrycia, musiała zawracać przed dotarciem do okolicy, w której tajemnicze stworzenie przebywało. Istniała realna groźba, że jeszcze trochę, a ktoś wydrze jej odkrycie.

Oczywiście nie oczekiwała, że dowie się czegoś istotnego, latając nad lasem, ale i nie

o to jej chodziło. Miała nadzieję namierzyć obszar, który mogłaby spenetrować później z ojcem i może kilkoma jego przyjaciółmi ze Straży Leśnej, by poszukać namacalnych dowodów istnienia treecatów. Czuła, że będzie potrzebowała naprawdę dobrych argumentów, by ktokolwiek jej uwierzył.

Przymknęła oczy, raz jeszcze sprawdzając kierunek na wewnętrznym kompasie, i uśmiechnęła się. Leciała prawie idealnie. Otworzyła oczy i lekko zmodyfikowała kurs. Wiedziała, że tym razem ma dość czasu, by dotrzeć do celu i wrócić, zanim ktokolwiek zacznie jej szukać.

Nie myliła się, ale popełniła też jeden drobny błąd.

\*\*\*

Wspinający się Szybko zamarł z uniesioną łapą i położył uszy po sobie. Przywykł już do nieustannego wyczuwania odległej obecności młodego dwunoga, chociaż nadal nikomu o tym nie powiedział. Nie dziwiło go, gdy tamten przemieszczał się niekiedy z wielką prędkością, bez wątplenia z pomocą latających urządzeń obcych, ale tym razem wyglądało to jakoś inaczej. Nie tylko prędkość była mniejsza, chociaż i tak nadal spora. Dwunóg kierował się prosto na Wspinającego się Szybko i był już całkiem blisko. Bliżej niż kiedykolwiek od dnia, gdy zwiadowca musiał porzucić swój posterunek przy polanie.

Sprawa była oczywista. Tak oczywista, że Wspinającego się Szybko przeszedł dreszcz. Wiedział świetnie, co robi młody dwunóg, ponieważ sam nie raz próbował tego samego. Tym razem to nie on tropił, ale sam był tropiony. Nie ulegało wątpliwości, że dwunóg również wyczuwał jego obecność i jeszcze trochę, a go znajdzie. Gorzej, że odkryje w ten sposób główne gniazdo Klanu Jasnej Wody! Do tego nie można było dopuścić!

Wspinający się Szybko stał jeszcze chwilę, w końcu opanował narosłe w nim emocje i zrobił to, co powinien. Porzucił wspinaczkę i pobiegł po konarach na spotkanie dwunoga, oddalając się w ten sposób od reszty klanu.

\*\*\*

Stephanie wpatrywała się w przepływające w dole korony drzew. Po dwóch godzinach lotu była już prawie u celu i czuła, że dystans maleje, całkiem jakby treecat także zmierzał w jej kierunku. Zbliżyła się mocno do podnóża gór i wielkie dęby zaczęły ustępować różnym drzewom iglastym, wśród których dominowały sośniaki oraz błękitnozielone świerki Sphinksa. Coraz gęściej panoszyły się też splątane gaje palikowców.

Steph spojrzała na te ostatnie z nowym zainteresowaniem, pojmując nagle, że pokryte szorstką korą rośliny tworzyły idealne środowisko dla treecatów. Każdy system drzewny wyrastał z pnia, od którego na wysokości trzech do dziesięciu metrów wybiegały poziome

gałęzie. Wyższe miały różne kształty i rosły, jak chciały, ale dolne zawsze rozgałęziały się pod kątem prostym w grupach po cztery. Co dziesięć do piętnastu metrów wypuszczały pęd korzeniowy, który z czasem stawał się nowym pniem. W ten sposób pojedynczy palikowiec rozrastał się niekiedy na setki kilometrów wkoło, a gdy spotykał się z innym, splątane gałęzie łączyły się, wypuszczając wspólny pęd.

Matka Steph nie kryła fascynacji palikowcami. Rośliny rozmnażające się przez nadziemne pędy nie były wcale rzadkie, ale dla mało której był to jedyny sposób rozmnażania, zwłaszcza z rozłogami wyrastającymi z wysokich gałęzi i dopiero potem zagłębiającymi się w ziemi. Co więcej, palikowce dysponowały ciekawym mechanizmem obronnym. Ciągająca się kilometrami płatanina roślin powinna być szczególnie wrażliwa na choroby i pasożyty, i pewnie byłaby, gdyby nie zdolność odcinania zarażonych obszarów. Na pierwszy znak kłopotów palikowiec zaczynał wytwarzać rozpuszczające celulozę enzymy, które niszczyły fizycznie gałęzie łączące całą strukturę z chorymi pniami. Nikt nie wiedział na razie, jak działa ten mechanizm, ale doktor Harrington była zdeterminowana, by go poznać.

Dla Stephanie nie miało to akurat żadnego znaczenia. Myślała tylko o tym, jak ważnym elementem środowiska muszą być palikowce dla treecatów. W wyższych partiach gór ustępowały miejsca iglakom, ale rosły w dolinach i na przełęczach i można było spotkać je we wszystkich niemal strefach klimatycznych. Stanowiły dla treecatów jakby autostrady pozwalające przedostać się z jednego końca kontynentu na drugi, i to bez schodzenia na ziemię, gdzie czyhały większe drapieżniki w rodzaju hexapumy.

Zaśmiała się, uradowana rozwiązaniem kolejnej zagadki, ale śmiech zamarł jej na ustach, gdy lotnią niespodziewanie rzuciło w bok. Stephanie zorientowała się nagle, że leci dziwnie szybko. Uniosła głowę i rozejrzała się wkoło, a to, co ujrzała, zmroziło jej krew w żyłach.

Niebo na wschodzie było jeszcze błękitne, ale od zachodu nasuwał się front burzowy. Za forpocztą białych obłoków widać było zmierzający jej śladem zwarty masyw burych chmur, wśród których migotały błyskawice.

Powinna zauważyć go wcześniej i pewnie tak by się stało, gdyby nawałnica nie zaszła jej od tyłu. Wiatr musiał przybierać na sile już od jakiegoś czasu, ale że wiał w tym samym kierunku, w którym leciała, uszło to jej uwagi.

Idiotka ze mnie, pomyślała, zaciskając dłonie na uchwytych lotni tak mocno, aż jej knykcie zbieleły... Mało razy ojciec wbijał mi w głowę, by zawsze sprawdzać pogodę przed wylotem?

Niestety, ojciec miał rację. Zemściło się na niej przyzwyczajenie, że dotąd zawsze ktoś inny sprawdzał meldunki pogodowe. Za bardzo polegała na dorosłych...

Podmuch wiatru szarpnął lotnię, omal nie doprowadzając do przeciągnięcia, i Stephanie naprawdę się przeraziła. Burza doganiała ją, nie dając lotni żadnych szans.

Musiała powiadomić ojca! Powiedzieć, gdzie jest, by mógł ją odszukać... powiedzieć... Zmusiła się do zachowania spokoju. Nie miała czasu na rozmowy. Pokpiła sprawę i po raz pierwszy w życiu znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Przypomniała sobie wszystkie ostrzeżenia przed trudnymi warunkami atmosferycznymi zasłyszane podczas kursu. Nie miała złudzeń. Przy takiej burzy nawet spadochron grawitacyjny nie był w stanie jej uratować. Wichura strąci lotnię z nieba jak muchę. Świadomość, że za kilka minut może zginąć, przerażała ją, ale Stephanie nie poddała się panice.

Z rodzicami powinna się skontaktować, ale nie, teraz. Doskonale wiedziała, co jej powiedzą, ale chwilowo i tak nie mogli jej pomóc. Najpierw musiała gdzieś wylądować, bo tylko to dawało szansę przeżycia. Zamiast marnować czas na próby nawiązania połączenia, powinna poszukać kawałka wolnego terenu, jakiejś przerwy w zwartym dywanie zieleni.

Przechyliła lotnię, wyglądając gorączkowo najmniejszej choćby polany i starając się nie słyszeć grzmotu, który rozległ się właśnie za jej plecami.

\*\*\*

Wspinający się Szybko stanął nagle wyprostowany i pokazał kły. Czuł zalewającą go falę przerażenia, budzącą instynktowne pragnienie walki albo ucieczki. Trwało chwilę, zanim pojął, że to nie jego strach.

Nie podejrzewał dotąd, że ludzie są aż tak podobni do Ludu, ale fakty mówiły same za siebie. To był strach młodego dwunoga, wyczuwalny na dodatek ze sporej odległości, co było jeszcze dziwniejsze. Emocje członka klanu nie dotarłyby do niego przy podobnym dystansie, tymczasem blask umysłu dwunoga jaśniał niczym wielki pożar lasu. Wyczuwało się w nim nie tylko strach, ale też rozpaczliwe wołanie o pomoc, bezwiedne całkiem, jednak tak silne, że zwiadowca nie miał wyboru. Otrząsnął się i pognął po gałęziach niczym kremowo-szara błyskawica z długim, powiewającym ogonem.

\*\*\*

Burza dogoniła Stephanie i pierwsze kulki gradu zabębniły o pokrycie lotni. Teraz utrzymywała się w powietrzu tylko dzięki zestawowi antygravitacyjnemu, który jednak nie mógł nic zaradzić na coraz silniejsze turbulencje. Nagle dostrzegła możliwość ratunku - czarną i nieregularną szramę starego pogorzelska. Nierówny grunt nie obiecywał łatwego

lądowania, zwłaszcza w tych warunkach, ale na pewno była to lepsza alternatywa niż próba osiągnięcia na miotanych wichurą koronach drzew. Czym prędzej skręciła w tamtą stronę.

I prawie jej się udało.

\*\*\*

Wspinający się Szybko nigdy jeszcze nie gnał tak szybko, ale jakimś cudem wiedział, że stawką w tym wyścigu jest życie „jego” dwunoga. Nie zwalniał, chociaż nie miał pojęcia, jak mógłby pomóc komuś o tyle większemu. Ale w tej chwili nie było to ważne. Liczył się tylko ten strach i grożące tamtemu umysłowi niebezpieczeństwo. Musiał zdążyć.

\*\*\*

Ostatecznie pokonał ją nagły podmuch wiatru, a dokładniej gwałtowny prąd zstępujący, który uderzył w lotnię na parę chwil przed przyziemieniem. Ze zwykłymi podmuchami pewnie by sobie poradziła, ale to było już za wiele. Gdy tylko poczuła, że lotnia gwałtownie idzie ku ziemi, zrozumiała, co się dzieje, ale nic nie mogła na to poradzić. Nie zdążyła nawet spojrzeć, gdzie spada, gdy niesiona z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę lotnia zderzyła się z koroną wysokiego sośniaka.



## ROZDZIAŁ IX

Wspinający się Szybko zatrzymał się raptownie i zamarł w przerażeniu, po chwili jednak odetchnął z ulgą.

Cisza, która nagle zapadła w jego umyśle, nie była taka całkowita, jak mu się w pierwszym momencie wydawało, więc Dwunóg jednak nie zginął. W miejsce strachu pojawiło się coś nowego, mroczniejszego i głębszego, ale w pewien sposób silniejszego. Cokolwiek się zdarzyło, młody dwunóg był nieprzytomny, ale nawet teraz ich umysły pozostawały połączone i Wspinający się Szybko czuł jego ból. Dwunóg musiał zostać ranny, może bardzo poważnie. Należało mu pomóc. Tylko jak? Nawet młody osobnik był o wiele większy od zwiadowcy i o wiele za ciężki, by dało się go zaciągnąć w bezpieczne miejsce.

Jednak to, co było niewykonalne dla jednego, dla całego klanu nie musiało być wcale trudne. Wspinający się Szybko przymknął oczy i poruszając nerwowo ogonem, zastanowił się, co zrobić. Odbiegł za daleko, by czuć blask umysłów całego klanu, ale gdyby się odezwał, głos powinien dotrzeć. Śpiewająca Prawdziwie usłyszy go najpewniej, a jeśli nawet nie, byli jeszcze krążący po terenach klanu myśliwi, którzy mogli pośredniczyć w rozmowie. Tylko co powiedzieć? Że potrzebna pomoc dla dwunoga, tego samego na dodatek, któremu jakiś czas temu nieostrożnie się pokazał? Czy przekona ich do porzucenia zasady ukrywania się przed obcymi? Jakie miał prawo żądać od nich tak wiele?

Zanim doszedł do jakiegoś wniosku, gałąź zakołysała się i spadły pierwsze krople deszczu. W przypiływie czarnego humoru zastanowił się, czy zawsze już będzie padać podczas jego spotkań z dwunogiem? Paradoksalnie, ta myśl wyrwała go z odrętwienia. Jak dotąd wiedział tylko tyle, że młoda istota jest ranna i znajduje się niedaleko. Najpierw musiał sprawdzić, w jakim właściwie jest stanie i czy wzywanie pomocy oraz cała ryzykowna dyskusja z klanem w ogóle ma sens. Znajdzie zatem dwunoga i potem zdecyduje, co robić.

Z tą myślą ruszył przed siebie, biegnąc niemal tak szybko jak wcześniej.

\*\*\*

Stephanie odzyskiwała z wolna przytomność. Świat wkoło kołysał się, gromy waliły całymi seriami, lodowaty deszcz spływał jej po twarzy. Na dodatek czuła ból, jakiego nie doświadczyła jeszcze nigdy w życiu.

Chłód i ulewa pomogły jej otrzeźwieć. Spróbowała się poruszyć. Jęknęła, gdy cała

lewa ręka zapłonęła jeszcze silniejszym bólem. Wyczuła też, że straciła hełm, chociaż zasadniczo nie powinno się to zdarzyć. Zostało po nim tylko piekące otarcie pod brodą. Włosy miała już mokre. Zamrugła i przetarła oczy prawą dłonią, z zaskoczeniem odkrywając, że po czole spływa jej nie tylko woda, ale także i krew.

Raz jeszcze przetarła oczy i zaczęła widzieć coś więcej. Okazało się, że krwi było znacznie mniej, niż z początku sądziła. Jej źródłem było chyba długie rozcięcie skóry na czole, ale zimna woda sprawiała, że krwawienie szybko malało. Steph rozejrzała się wkoło i świeże uczucie ulgi pierzchno gwałtownie.

Z jej nowej lotni prawie nic nie zostało. Nie tyle połamała się, ile rozpadła, chociaż kompozytowe pokrycie i cała konstrukcja zostały zaprojektowane z dużym marginesem wytrzymałości, gwarantującym odporność w razie przymusowego lądowania. Tyle że żaden z konstruktorów nie przewidział aż takiego wypadku. Jedyne, co zostało w całości, to dźwigar, który zaklinował się w rozgałęzieniu konarów nad jej głową. Do niego właśnie przymocowana była uprzęż, na której wisiała Stephanie. Tam, gdzie paski wrzynały się w ciało, wyczuwała dodatkowe ogniska bólu, co sugerowało, że musiała poobijać się mocno podczas nagłego zakończenia lotu, a na dodatek jedno z żeber dawało znać o sobie przy każdym oddechu. Jednak bez uprząży i tego rozwidlenia powyżej nie miałyby żadnych szans. Z całym impetem wpadłaby na widniejący dokładnie przed nią pień drzewa.

Można powiedzieć, że miała niesamowite szczęście, ale pech też dał znać o sobie. Podobnie jak większość dzieci kolonizatorów, Stephanie przeszła obowiązkowy kurs pierwszej pomocy, ale i bez niego zorientowałyby się, że jej lewa ręka jest złamana co najmniej w dwóch miejscach. Wiedziała przecież, jak powinien zginać się łokieć, i że między nim a nadgarstkiem nie ma żadnego stawu. Już to nie wyglądało dobrze, ale nie zamykało listy strat. Na tym właśnie nadgarstku zwykła nosić komunikator, po którym nie było śladu.

Obróciła z wysiłkiem głowę, spoglądając na ślad swego przelotu przez listowie najbliższych drzew. Komunikator był praktycznie niezniszczalny i musiał gdzieś tam zostać. Gdyby tylko mogła go znaleźć, zaraz dałoby się wezwać pomoc, wiedziała jednak, że w tych warunkach nie ma szans na jego odzyskanie.

Otepiała lekko od bólu, uznała to za niemal zabawne. Rzecz w tym, że rodzice i tak mogli ją znaleźć. Trzeba było tylko uruchomić zdalnie zamontowany w komunikatorze transponder. Sama też mogła to zrobić, powinna była nawet, gdy tylko dostrzegła zbliżającą się burzę. Niestety, była zbyt zajęta poszukiwaniem miejsca do lądowania. Poza tym wtedy też musiałaby poczekać, aż ktoś sam z siebie zacznie jej szukać. Bez możliwości wezwania pomocy tak czy owak nie miała innej opcji niż bierne oczekiwanie. Ale jednego była pewna -

naprawdę zawałiła sprawę i rodzice się wściekną. Do ukończenia szesnastego roku życia nie zdoła nawet zbliżyć się do lotni.

Mimo bólu i łez zachichotała, uświadomiwszy sobie, że zamartwia się rzeczami, które nie miały chwilowo najmniejszego znaczenia. Z drugiej strony myślenie o sprawach zwykłych i znajomych dawało pewne ukojenie.

Przez dłuższą chwilę zwiślała bezwładnie. Bardzo potrzebowała odpoczynku, ale wiedziała, że to nie jest najlepsze miejsce. Wiatr wzmagał się ciągle, zamiast słabnąć, a gałęzie nad nią skrzypiały i kołysały się niepokojąco. No i ciągle jeszcze trwała burza. Drzewo było na tyle wysokie, że z łatwością mogło przyciągnąć błyskawice, a Stephanie wolałaby nie wystawiać się na jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Musiała jakoś zejść na ziemię. Zamrugła, by lepiej widzieć, i spojrzała w dół.

Akurat ten sośniak nie był szczególnie wysokim okazem. Niektóre wyrastały na sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt metrów, przy czym do jednej trzeciej wysokości pień był całkowicie pozbawiony gałęzi. I tak jednak od ziemi dzieliło ją prawie dwanaście metrów. O wiele za wysoko, by się nie bać. Była wygimnastykowana i wiedziała, jak przewrotem złagodzić skutki upadku, ale nawet ze zdrowymi rękami nie dałaby rady. Jeśli po prostu skoczy, może skończyć się to dla niej fatalnie. Tyle że nie miała wyboru. Jeśli nawet konary wytrzymają, co nie było takie pewne, uszkodzona uprząż może po prostu pęknąć. O ile dźwigar nie złamie się pierwszy, oczywiście. Ale jak tu zejść...?

Nagle sobie przypomniała. Sięgnęła prawą ręką na plecy i zacisnęła zęby, gdy cała lewa strona ciała eksplodowała bólem. Jednak było warto, ponieważ wyczuła pod palcami znajomy kształt modułu antygrawitacyjnego. Nie straciła go, a lekka wibracja wskazywała jednoznacznie, że nadal działał. Tyle że nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma.

Zbadała obudowę, wyczuwając w niej całą masę głębokich wgnieceń i pęknięć. Moduł musiał ochronić jej plecy podczas upadku, ale oberwał przy tym podobnie jak cała reszta sprzętu i nie można było przesadnie na niego liczyć. Inna sprawa, że nie oczekiwała wiele, miał tylko sprowadzić ją bezpiecznie na ziemię, a tam...

Nagle coś dotknęło jej potylicy. Szarpnęła się gwałtownie, co nie było mądre, bo poobijane ciało zaprotestowało kolejną falą bólu. Samo dotknięcie przykre nie było, swoją delikatnością przypominało raczej pieszczotę, jednak zaskoczyło ją kompletnie i zareagowała odruchowo. Ból zaczął zaraz słabnąć, ale zapomniała o nim, zanim jeszcze kompletnie przeminał, gdy odwróciwszy głowę, spojrzała prosto w zielone ślepiea treecata, oddalone nie więcej niż o trzydzieści centymetrów.

\*\*\*

Wspinający się Szybko przymrużył oczy, czując ponownie ból dwunoga, z ulgą jednak odnotował, że ranny odzyskał przytomność. Wyczuwał ostry zapach krwi. Wszystko zdawało się wskazywać, że dwunóg ma też złamaną rękę. Trudno było pojąć, jaki sposobem znalazł się w tym stanie równie wysoko, ale rozrzucone wkoło i zwisające z gałęzi resztki sugerowały, że musiało się to stać za sprawą jakiejś latającej rzeczy. Innej chyba wprawdzie niż te, które dotąd widywał, ale nic więcej nie wchodziło w rachubę.

Pozostało, tylko żałować, że dwunóg nie znalazł sobie lepszego miejsca do lądowania. Wszyscy omijali to pogorzelnisko, uznając je za pechowe. Kiedyś mieszkał tu Klan Słonecznego Cienia, ale ci z jego członków, którzy ocaleli, wynieśli się daleko, by jak najszybciej zapomnieć o tragedii. Wspinający się Szybko też wolałby tutaj nie zaglądać.

Chwilowo jednak nie było to takie ważne. Skoro już tu był, musiał znaleźć jakiś sposób, by sprowadzić dwunoga na dół. Konary, na których wisiał, nie tylko kołysały się niebezpiecznie, ale jeszcze zaczęły pękać. Wiedział o tym, ponieważ przechodził przez osłabione miejsce w drodze do rannego. Nie mówiąc już o tym, że drzewa z zielonymi igłami przyciągały pioruny. Tyle że nie widział żadnego sposobu, by dwunóg ze złamaną ręką zdołał zejść o własnych siłach, on zaś był za mały, by go znieść.

Poczuł frustrację, gdy dotarło do niego, że niewiele może zrobić, ale nawet do głowy mu nie przyszło, by nie spróbować pomóc. To był jeden z tych dwunogów, których obserwacji poświęcił tyle czasu. A nawet więcej, zrozumiał nagle. Nie „jeden z tych”, ale jego osobisty. Jedyny, z którym łączyła go szczególna więź. Nie pojmował wprawdzie, jak mogła się ona narodzić, ale chwilowo było to dziwnie mało istotne. Jakkolwiek do tego doszło, więź działała w obu kierunkach i była równie mocna jak ta łącząca go ze Śpiewającą Prawdziwie czy Krótkim Ogonem. Nie zostawiłby ich w potrzebie i od tej osobliwej z wyglądu i obcej istoty też nie potrafiłby po prostu odejść.

Ale co mógł zrobić? Wbił pazury pięciu łap w korę, owinał ogon wkoło gałęzi i wychylił się, dotykając dłonią policzka dwunoga. Zamruczał przy tym i zobaczył, jak zaskoczony dwunóg mruga oczami. Potem uniósł jednak zdrową rękę, mniejszą niż u dorosłego, ale i tak z dłonią znacznie większą od dłoni zwiadowcy, i pogłaskał go po grzbiecie. Było to tak miłe, że Wspinający się Szybko aż wygiął grzbiet i znowu zamruczał, poddając się pieczołowicie.

\*\*\*

Stephanie zapomniała prawie o bólu i strachu, gdy treecat dotknął jej policzka. Z zachwytem odnotowała, że schował przy tym długie i zakrzywione pazury, muskając ją tylko opuszkami. Odruchowo wyciągnęła prawą rękę i pogłaskała go po wilgotnym grzbiecie tak

samo, jak pogłaskałaby ziemskiego kota. I ten zareagował jak kot, podstawiając grzbiet i mruczając donośnie, Stephanie przekonała się zaś przy okazji, że włos okrywowy treecata jest całkiem odporny na przemoczenie. Poza tym niezbyt jeszcze pojmowała, co właściwie się dzieje, ale i nie odczuwała potrzeby, by wiele rozumieć. Wystarczało jej poczucie, że obecność tego stworzenia zmniejsza jej strach, i to chwilowo było najcenniejsze.

Treecat cofnął się, usiadł i przekrzywił głowę. Przez dłuższą chwilę przyglądał się dziewczynce, ignorując wiatr i deszcz, po czym uniósł jedną z chwytnych łap... czy raczej dłoni, jak poprawiła się w myśli Stephanie, i wskazał w dół.

Jego gest można było odebrać tylko w jeden sposób, zwłaszcza że miauknął przy tym zdecydowanie.

- Wiem, że muszę zejść - poinformowała go nieco chrapliwie Steph. - Właśnie nad tym pracowałam, gdy się zjawiłeś. Poczekaj chwilę, dobrze?

\*\*\*

Wspinający się Szybko zastrzygł uszami, słysząc dziwne dźwięki wydawane przez dwunoga. Dzięki łączącej ich więzi miał pewność, że niosą one skierowany do niego komunikat, chociaż nie potrafił orzec, jaki dokładnie. Podczas gdy emocje dwunoga odbierane z bliska były jasne i czytelne, towarzyszące im myśli pojawiały się tylko echem, i to zbyt obcym i nieznanym, by dało się je odczytać. Niemniej dwunóg bez wątpienia chciał mu coś przekazać. Gdy to zrozumiał, zrobiło mu się żal tych istot. Czy to był jedyny dostępny im sposób rozmowy? Z drugiej strony, prymitywny czy nie, był dowodem, że jednak się porozumiewali i na swój sposób też byli Ludem. W połączeniu z blaskiem umysłu dowodził myślenia. Wspinający się Szybko nie wiedział, czy to wystarczy, by przekonać klan, ale i tak był dumny ze swojego dwunoga. Wiedział, że mało które młode z jego plemienia potrafiłoby wykazać się w tych okolicznościach podobnym rozgarnięciem. Dlatego drugi raz bleknął znacznie łagodniej.

\*\*\*

- Wiem, wiem! - westchnęła Stephanie i sięgnęła ponownie za plecy. Ostrożnie zwiększyła do maksimum moc modułu antygravitacyjnego i przygryzła wargę, słysząc, jak nieregularnie zaczął pracować.

Uprząż znacznie słabiej wpijała się jej teraz w ciało, ale nadal była wyczuwalna, co znaczyło, że urządzenie zmniejszyło wagę Stephanie do trzech albo czterech kilogramów i to było wszystko, na co było je obecnie stać. Sprawne, mogłoby uczynić ją całkiem nieważką, chociaż w tych okolicznościach byłoby to niebezpieczne ze względu na silny wiatr. Mógłby cisnąć ją na pień albo konar, co przy złamanej ręce nie miałyby prawa skończyć się dobrze.

Gorzej, że nieregularna wibracja wskazywała na spore uszkodzenia i należało oczekiwać, że moduł może lada chwila w ogóle odmówić posłuszeństwa.

- Cóż - powiedziała Steph, patrząc na treecata. - No to zaczynamy.

\*\*\*

Dwunóg spojrział na niego i znowu się odezwał, a potem sięgnął zdrową ręką do uprzęży i nagle ją rozpiął.

Wspinający się Szybko zdrętwiał z przerażenia, ale zaraz odetchnął, widząc, że dwunóg nie spada, ale zsuwa się powoli, przytrzymując się dłonią linki zwisającej z zaklinowanych w gałęziach resztek urządzenia latającego. Przyjrzał się jej podejrzliwie, wyglądała bowiem na zbyt słabą, by utrzymać ciężar dwunoga, ale z jakiegoś powodu nie pękała.

\*\*\*

Ostry dźwięk alarmu przyspieszył puls Stephanie. Mruknęła pod nosem słowo, którego zasadniczo nie powinna znać, i zaczęła szybciej opuszczać się po oderwanym częściowo naciągu lotni. Moduł ostrzegał ją, że lada chwila przestanie działać, więc najprościej byłoby od razu zeskoczyć na ziemię, jednak ze złamaną ręką nie było to takie łatwe. Ważyła niewiele, ale jej masa pozostała taka sama, a przyspieszenie grawitacyjne Sphinksa wynosiło ponad  $13 \text{ m/s}^2$ . Wylądowałyby ze zbyt dużym impetem. Z drugiej strony, ocalałe mocowanie odciążu zerwałoby się przy jej pełnej wadze, co nie zostawiało wielkiego wyboru. Moduł musiał, po prostu musiał, wytrzymać jeszcze z minutę...

Ucichł, gdy była dwa metry nad ziemią. Krzyknęła i zacisnęła dłoń na odciążu, ale ten poleciał wraz z nią. Przy upadku odruchowo skuliła się i przetoczyła kawałek, dokładnie tak, jak kiedyś ją nauczono. Tyle że wtedy była cała i zdrowa...

Krzyknęła głośno, gdy złamana ręka zetknęła się z ziemią, przygnieciona dodatkowo masą całego ciała. A potem była już tylko ciemność...

## ROZDZIAŁ X

Wspinający się Szybko zeskakiwał jak najspieszniej z gałęzi na gałąź. Słyszał buczenie dochodzące z czegoś zamocowanego na plecach dwunoga i chociaż nie wiedział, co to takiego, domyślał się, iż jego nagłe ucichnięcie miało coś wspólnego z upadkiem młodej istoty. Uznał je za jedno z urządzeń dwunogów, równie skomplikowane jak to latające, które rozbiło się na drzewie. Fakt, że rzeczy zrobione przez obcych też mogą się popsuć, ogólnie był pozytywny, chociaż w tej akurat chwili trudno było mu się z tego cieszyć. Zeskoczył na ziemię i podbiegł do dwunoga.

Ten leżał na boku, pechowo przygniatając sobą złamaną rękę. Był nieprzytomny, ale i tak wyczuwało się w jego umyśle cień bólu. Gdy się ocknie, będzie jeszcze gorzej, pomyślał zwiadowca. Nowe obrażenia ograniczały się do solidnego guza na czole i kolejnego ogniska bólu w kolanie, co stwierdziwszy, Wspinający się Szybko odetchnął z ulgą. Upadek mógł skończyć się o wiele bardziej niefortunnie.

Nadal nie rozumiał, jak doszło do powstania więzi między nimi, ale chwilowo było to bez znaczenia. Ważne, że byli połączeni w podobny sposób jak zwykła para, tyle że bez pociągu fizycznego i możliwości rozmowy. Przekazywali sobie wyłącznie emocje, chociaż raz czy dwa Wspinający się Szybko miał wrażenie, że odbiera też myśli dwunoga. Frustrowało go, że nie jest w stanie ich odczytać, obcy zaś nie umiał ich świadomie wysyłać, ale może pewnego dnia im się uda. Będą mieli pewnie wiele czasu, by razem się tym zająć. A jeśli nie oni, to znajdą się inni.

To wywołało jeszcze jedną refleksję. Czyszcząc wibrysy środkową łapą, zadał sobie pytanie, jak długo właściwie żyją dwunogi... Przedstawiciele Ludu byli o wiele bardziej długowieczni niż wielkie drapieźniki w rodzaju zabójczego kła czy śnieżnego myśliwego. Czy to znaczyło, że mógł przeżyć swojego dwunoga? Byłaby to bolesna perspektywa. Niemniej to młody osobnik, przypomniał sobie, podczas gdy on był już w pełni dorosły. Nawet jeśli istniała jakaś istotna różnica w długości życia obu gatunków, być może im obojgu zostało tyle samo obrotów.

Uspokojony tą myślą wstał i rozejrzał się wkoło. Pierwsza fala deszczu już przeszła i wiatr też osłabł. Dobrze, że dwunogowi udało się zejść z drzewa, zanim wichura go strąciła, ale instynkt podpowiadał zwiadowcy, że okolica nie jest bezpieczna, przynajmniej dla niego.

Być może dwunóg miał broń podobną do tej, z której dorośli zabijali czasem atakujące ich drapieżniki. Wspinający się Szybko wiedział, że istnieją różne jej rodzaje, o rozmaitych kształtach i rozmiarach, ale tych najmniejszych sam nigdy nie widział i nie potrafił ocenić, czy młoda istota ma ją przy sobie.

Chociaż gdyby nawet miała, w tym stanie niezbyt nadawała się do walki, o ucieczce na drzewo nie wspominając. To znaczyło, że powinien zbadać najbliższe otoczenie. Jeśli coś może im tu zagrażać, lepiej będzie dowiedzieć się o tym już teraz. Gdy młody dwunóg się ocknie, może wpadnie na pomysł, co robić dalej, a może po prostu zdoła zawiadomić innych, by przybyli mu na pomoc. Jeśli nie, będą sobie jakoś radzić sami.

Odwrócił się od dwunoga i zaczął zataczać wkoło niego coraz szersze kręgi, uważnie nastawiając uszy i łowiąc wiatr. Poszycie w tych lasach było zwykle na tyle skąpe, że nie dawało żadnego schronienia, ale na pogorzelsku krzewy i młode drzewka miały dobre warunki wzrostu. Z czasem miały zastąpić te, które padły wśród płomieni. Mimo wczesnej pory zaczęły już wypuszczać liście, które skutecznie przesłaniały widok zieloną mozaiką, jednak deszcz padał na tyle krótko, że nie zdołał wymazać wszystkich zapachów. Obecna w powietrzu wilgoć nawet je wzmacniała.

Nagle zamarł z nastroszonymi wibrysami i ogonem tak najeżonym, że stał się dwa razy grubszy. Wciągnął raz jeszcze powietrze, chociaż dobrze wiedział, co czuje. Żaden zwiadowca nie pomyliłby woni legowiska zabójczego kła z czymkolwiek innym. A to znajdowało się całkiem blisko.

Obrócił się powoli, starając się dokładnie je zlokalizować, i podupadł na duchu. Zapach dolatywał z polany na tyle mocno zarośniętej, że gdy kiel wróci do gniazda, nie będzie go w ogóle widać, za to bez trudu wyczuje dwunoga i będzie mógł podkraść się całkiem blisko. A wróci na pewno, ponieważ legowisko nie było puste. Wspinający się Szybko wywąchał już, że należy do samicy, która niedawno urodziła młode. W tej chwili pewnie polowała, by je nakarmić, i prędzej czy później zamelduje się z powrotem.

Pobiegł z powrotem do dwunoga i dotknął nosem jego twarzy, próbując go obudzić, ale nic to nie dało. Czyli ocknie się, gdy przyjdzie na to pora, pomyślał. Nie mógł tego przyspieszyć, ale mógł zrobić coś innego.

Usiadł prosto, owinał dwie pary łap ogonem i zebrał myśli. Gdy był już gotowy, najwyraźniej jak mógł wywołał siostrę i jakimś sposobem udało mu się do niej dotrzeć. Być może więc z dwunogiem przydała jego umysłowi więcej siły.

*Wspinający się Szybko?* - usłyszał jej zaskoczony głos. - *Gdzie jesteś? Co się stało?*

*Jestem obok starego pogorzelska, ku zachodowi słońca od naszego terenu* - odparł,



starając się zachować spokój. Śpiewająca Prawdziwie przez chwilę milczała. Nikt z Klanu Jasnej Wody nie potrafił zapomnieć tamtego straszego dnia, gdy Klan Słonecznego Cienia nie zdołał zapanować nad ogniem i stracił swoje gniazdo. Dym i płomień pochłonęły wtedy życie wielu, bardzo wielu kociąt.

*Dlaczego?* - spytała w końcu. - *Co cię tam sprowadziło?*

*Ja...* - zaczął, ale zaraz przerwał. - *Nie ma czasu na wyjaśnienia. Jestem z rannym młodym... a w pobliżu jest legowisko zabójczego kła z małymi.*

Śpiewająca Prawdziwie zbyt dobrze знаła brata, by nie wyczuć, że coś przed nią ukrywa. Przemawiał jednak dziwnie silnym głosem. Zawsze był utalentowany w tej mierze jak na samca, ale teraz odezwał się niemal tak głośno jak śpiewające wspomnienia. Nie mogła pojąć, jak mu się to udało. Niektórzy myśliwi i zwiadowcy brzmiali donośniej, gdy byli w związkach, ale to raczej nie był taki przypadek, pomyślała, ale zaraz odsunęła tę myśl, przejęta przede wszystkim wizją rannego młodego leżącego niedaleko legowiska zabójczego kła.

Już chciała odpowiedzieć, ale coś ją powstrzymało. W nagłej konsternacji zastrzygła podejrzliwie uszami i poruszyła koniuszkiem ogona. Nie, to niemożliwie. Nawet Wspinający się Szybko nie ośmieliliby się naruszyć nałożonego przez starszych zakazu. Tyle że nie pojmowała, jak którekolwiek z młodych klanu mogłoby tak bardzo oddalić się od gniazda, nie zwracając niczyjej uwagi. Wspinający się Szybko nie podał zaś żadnego imienia. Niemniej...

Potrząsnęła głową. Był tylko jeden sposób, by zaspokoić ciekawość. Wystarczyło spytać. Ale jeśli to zrobi, może usłyszeć coś, czego w tej chwili wolałaby nie wiedzieć. Uznała więc swoje podejrzenia za całkiem prywatną sprawę i zmieniła temat.

*Czego ode mnie oczekujesz, bracie?*

*Ogłoś alarm* - odparł tonem pełnym miłości i wdzięczności. Domyślał się, o czym siostra pomyślała, i był prawie pewien jej decyzji.

*Pomoc dla „rannego młodego”.* - Zasadniczo było to pytanie, ale wypowiedziane tonem stwierdzenia.

*Tak* - rzucił krótko zwiadowca i poruszył potakująco ogonem, chociaż przecież nie mogła go widzieć. Wyczuł jej wahanie, ale nie musiał długo czekać na odpowiedź.

*Ogłoszę* - powiedziała zdecydowanym głosem śpiewającej wspomnienia. - *Przybędziemy jak najszybciej, bracie.*

\*\*\*

Stephanie Harrington ponownie odzyskała przytomność i jęknęła słabo, nim otworzyła oczy. Spróbowała usiąść, ale odruchowo oparła się na złamanej ręce i krzyknęła z bólu, który

był tak silny, że omal ponownie nie zapadła w nieświadomość. Zaciśnęła powieki i płacząc, zdołała się jakoś pozbierać. Zrobiło się jej niedobrze i zastygła w bezruchu, by nie drażnić dodatkowo pękniętego zębra i przeczekać atak bólu, który zdawał się podchodzić ją niczym polujący drapieżnik.

Jednak ból nie mijał. Złagodniał tylko na tyle, że mogła otworzyć oczy. Przetarła twarz zdrową ręką, rozmazując po policzkach łzy, błoto i krew z rozbitego nosa. Nie musiała sprawdzać nogi, by wiedzieć, że uszkodziła sobie także kolano. Teraz, gdy zrobiła już najważniejsze i zeszła z drzewa, beznadzieja i cierpienie dopadły ją z taką siłą, że zaczęła drzeć jak liść. Niemniej była na ziemi i mogła się zastanowić, co dalej.

Spróbowała ułożyć lewą rękę na kolanach i znów się rozplakała. Każde jej poruszenie wywoływało kłujący ból, ale przecież nie mogła zostawić jej tak wiszącej wzdłuż tułowia, jakby była doczepionym, obcym elementem. Pomyślała o zrobieniu temblaka z paska, jednak nie miała dość siły czy odwagi, bo nie była pewna, czy nie złamała ręki w jeszcze jednym miejscu. Teraz, gdy najgorsze minęło, poczuła w pełni, jak bardzo jest poobijana, i zrozumiała, w jak tragicznym położeniu się znalazła. Jaka głupia była, że się w to wpackowała! Sama nigdy się z tego nie wygrzebie. Jedyna nadzieja, że rodzice ją odnajdą!

Tęskniła za nimi jak nigdy. Świat okazał się większy i groźniejszy, niż się spodziewała, i teraz chciała już tylko wrócić do domu. Żadna reprimenda nie mogła być bardziej przykra od tego, co sama sobie powtarzała. Siedziała u stóp drzewa, łkając nieustannie, i nic nie mogła na to poradzić, chociaż każde drgnienie ciała wywoływało nowe ukłucia bólu.

Nagle poczuła dotyk na prawym udzie i zamrugła, by dojrzeć cokolwiek przez łzy. Obok stał treecat. Jedną łapę oparł na jej nodze i nastawiając uważnie uszu, wpatrywał się w oczy Steph. Słyszała jego kojące mruczenie. Poruszyła bezgłośnie ustami, a potem objęła go zdrową ręką. Bez najmniejszego wahania wspiął się na nią i stając na tylnych łapach, położył silne i włochate dłonie na jej ramionach. Gdy przytknął nos do jej policzka, całą sobą wyczuła jego mrużącą wibrację i przytuliła go jak najsilniej, wtulając twarz w lekko wilgotne futro. Nadal zanosila się płaczem, ale miała wrażenie, że bliskość treecata osłabia jakimś sposobem ból, rozpacz i poczucie bezradności.

\*\*\*

Wspinający się Szybko pozwolił się przytulić. Chociaż nikt z Ludu nie puszczał wody oczami, jak robił to dwunóg, tylko ktoś o całkiem ślepym umyśle mógłby zignorować strach, ból i rozpacz obecne w umyśle młodego. Wywołało to w zwiadowcy silną falę opiekuńczości wobec... niej. Pojął nagle, że dwunóg to ona, chociaż zupełnie nie wiedział, jak do tego

doszedł. Może coraz lepiej poznawał blask jej umysłu. Wśród Ludu zawsze można było ustalić na jego podstawie płeć. Oczywiście dwunogi były inne, ale i tak...

Wtulił się w nią mocniej, gładząc nosem po policzku, poklepując po zdrowym ramieniu i pogłębiając przy tym więź. Nie była tak skuteczna jak w przypadku kogokolwiek z Ludu, ponieważ dwunóg nie sterował nią ze swojej strony, ale pozwoliła na wygaszenie największego bólu i ukojenie rozpacz. Zwiadowca wyczuł pełne zdumienia zrozumienie, że właśnie jego bliskość przyniosła ulgę. Potarł silniej nosem policzek młodej i odsunął się na tyle, by spojrzeć jej głęboko w oczy. Podrapała go delikatnie za uszami i wydała kilka dźwięków. Same w sobie nadal nic dla niego nie znaczyły, ale wyczuł towarzyszącą im wdzięczność. Wiedział, że są wyrazem podziękowania, że jest z nią tutaj i teraz.

Oparła się o drzewo, ostrożnie przekładając złamaną rękę, on zaś usadowił się na jej nogach i brzuchu, starając się nie zdradzić z myślą, jak bardzo niepokoi go niemożność oddalenia się z tej okolicy. Młoda i tak była wystarczająco zagubiona i wystraszona, i nie chciał psuć tego, co udało mu się osiągnąć, ale zapach zabójczego kła nie dawał mu spokoju. Gdyby nie jej zranione kolano, zrobiłby co w jego mocy, by mimo złamanej ręki wstała i poszła za nim. Materia, która okrywała nogi młodej, rozdarła się przy upadku i widać było opuchliznę otaczającą paskudną ranę. Zwiadowca nie potrzebował żadnej więzi, by zrozumieć, że daleko w tej sytuacji nie zajdą. Ponownie wywołał siostrę.

*Czy klan przybędzie?* - spytał niecierpliwie.

*Jesteśmy w drodze* - odparła krótko i tak zdecydowanie, że aż zamrugła. Chyba nie chciała przez to powiedzieć...

Zanim pomyślał cokolwiek więcej, przesłała mu obraz tego, co sama właśnie widziała, i już znał odpowiedź. Chociaż była tylko śpiewającą wspomnienia, prowadziła na pomoc wszystkich dorosłych samców klanu! To było coś niezwyklego, wręcz nie do pomyślenia, ale jednak się działo. Wspinający się Szybko nie krył wdzięczności.

*Nie miałam wyboru, braciszku* - odparła rzeczowo. - *Klan gotów jest obronić twojego „młodego” przed zabójczym kłem, ale ktoś musi obronić ciebie przed Złamanym Kłem, Kopaczem... czy Tkającą Pieśnią! I to jest moje zadanie. A teraz daj mi spokój, nie mogę biec szybko i rozmawiać jednocześnie.*

Wycofał się z szacunkiem i spróbował rozważyć konsekwencje. Z tego, co zobaczył, poruszali się naprawdę szybko. Wkrótce tu będą. Tylko nader głupi zabójczy kiel zaryzykowałby atak, mając przeciwko sobie cały, gotowy do akcji klan. Już niebawem będą bezpieczni...

\*\*\*

Oparta o drzewo Stephanie zapadła w odrętwienie na pograniczu snu, ale uniosła głowę, gdy przytulony do niej treecat zerwał się nagle ze wściekłym warkotem, przypominającym odgłos rozdieranego brezentu. Nigdy nie słyszała podobnego dźwięku, ale dzięki łączącej ich więzi nie miała wątpliwości, co on oznacza. Wyczuwała strach, wściekłość... i determinację gotowego bronić jej treecata.

Rozejrzała się gorączkowo, poszukując zagrożenia, i zbladła, gdy je dojrzała. Z zarośli wyrzała mroczna niczym wysłannik śmierci, sześciopoda hexapuma. Długie na pięć metrów cielsko znaczyły liczne blizny, ważyć musiała z sześćset czy siedemset kilogramów, czyli tyle, co w pełni wyrosnięty ziemski koń. Wyszczrzyła co najmniej piętnastocentymetrowe kły, położyła uszy po sobie i odpowiedziała na wyzwanie, tyle że uczyniła to głębokim, basowym rykiem.

Stephanie zamarła z przerażenia, treecat zaś skoczył na najniższą gałąź i znieruchomiał. Teraz wysunął pazury, gotów do walki, ale hexapuma zatrzymała się z jakiegoś powodu, kręcąc łbem i rozglądając się nerwowo po drzewach. Było jednak oczywiste, że nie postoi tak długo.

- Nie! - szepnęła bezwiednie Stephanie. - Ona jest za duża! Uciekaj! Proszę... uciekaj!

Treecat zignorował ją, wpatrzony bez reszty w hexapumę, Stephanie zaś prócz strachu ogarnęła także rozpacz. Hexapuma zabije ich oboje, ponieważ ona nie mogła uciec, treecat zaś uciec nie chciał. Nie miała cienia wątpliwości, że treecat jej nie porzuci i będzie walczył do końca z przeciwnikiem, z którym nie mógł przecież wygrać.

\*\*\*

Zabójcze kły nie były specjalnie rozgarnięte, ale swoje wiedziały. Ten tutaj był stary, a to znaczyło, że umiał się uczyć na błędach, bo inaczej nie pożyłby tak długo. Pewnie oberwał kiedyś solidnie od jakiegoś klanu, skoro przystanął i rozejrzał się po drzewach, spodziewając się obecności innych z Ludu, gotowych wesprzeć samotnego zwiadowcę.

Jednak jeszcze ich tu nie było. Gnali ile sił w łapach, ale Wspinający się Szybko nie łudził się, że zdążą na czas.

Spojrzał z góry na zabójczego kła i ponownie rzucił mu wyzwanie. Wiedział, że nie wygra. Samotny zwiadowca nie miał najmniejszych szans, by wyjść z podobnego spotkania z życiem, nie mógł jednak zostawić młodej, tak samo jak nie porzuciłby kociaka. Wyczuwał jej ponaglenia, by ratował się i uciekał, ale chociaż to samo wołała do niego siostra, naprawdę nie mógł tak postąpić. Nawet jeśli zabójczy kiel i tak zamorduje ostatecznie młodą, nie zginie pierwsza ani sama, i to chwilowo było najważniejsze. Może zdoła kupić jej swoją śmiercią akurat tyle czasu, by Śpiewająca Prawdziwie zdążyła przybyć. W głębi ducha wiedział, że

trudno liczyć nawet i na to, ale bardzo, bardzo chciał wierzyć, że jednak się uda.

A potem zabójczy kiel zaatakował.

\*\*\*

Treecat i hexapuma zastygły w bezruchu. Mierzyły się spojrzeniami, warcząc przy tym wściekle i prychnając, a bezradna Stephanie odczuwała boleśnie narastające między nimi napięcie. Co gorsza, była też świadoma decyzji treecata, gotowego zginąć w jej obronie, mimo że bez trudu mógłby uciec. Choć sama była tylko śmiertelnie przerażonym dzieckiem, poświęcenie treecata obudziło w niej jakieś nowe uczucie. Nie potrafiłaby go nazwać, ale wiedziała, że ona też będzie bronić go za wszelką cenę.

Sięgnęła do pasa, gdzie miała wibronóż z zestawu przetrwania. Krótki, z osiemnastocentymetrowym ostrzem, które nie mogło równać się z ponadpółmetrowymi maczetami Służby Leśnej, ale tak samo grubym ledwie na molekułę i gotowym przecinać stal równie łatwo jak drewno. Ożył w jej dłoni łagodną wibracją, gdy zebrałszy siły, wstała, opierając się o pień. Lewa ręka zwisała jej bezwładnie, a przerażenie dławilo w gardle. Wiedziała, że chociaż skóra i kości hexapumy nie stawiają nożowi żadnego oporu, jest on za krótki. Zginie, nim sięgnie nim napastnika. A nawet jeśli go zrani, choćby i śmiertelnie, bestia o tych rozmiarach zdoła zabić ją jednym ruchem łapy, nim sama padnie. Nie miała jednak nic oprócz tego noża, wbiła więc spojrzenie w hexapumę i czekała, wstrzymawszy oddech.

I wtedy drapieźnik zaatakował.

\*\*\*

Gdy Wspinający się Szybko dostrzegł pierwszy ruch przeciwnika, zdążył jeszcze posłać siostrze rozpaczliwe ponaglenie i wyczuł nawet jej niepokój i wściekłość, że przybędzie za późno, ale na nic więcej nie miał już czasu. Nadeszła pora walki i teraz liczyły się tylko szybkość i zdecydowanie.

\*\*\*

Stephanie nie wierzyła własnym oczom. Hexapuma była szybka, zwłaszcza jak na zwierzę o jej rozmiarach, ale treecat bez trudu uniknął jej przednich łap i wylądował szarokremową smugą na masywnym karku, rozdzierając pazurami pokrytą futrem skórę. Bestia zawyla z bólu i stając na czterech kończynach, wykręciła przednią część tułowia, by dosięgnąć napastnika przednimi łapami i pyskiem, ale spóźniła się, ponieważ treecat przebiegł chwilę wcześniej po jej grzbiecie i skoczył na pień pobliskiego drzewa. Tam odwrócił się, uczepiwszy się kory, zawisł głową w dół i zasyczał wściekle na hexapumę.

Zapomniawszy całkiem o Stephanie, bestia odwróciła się i skoczyła w kierunku drzewa. Objąwszy pień przednimi i środkowymi łapami, zaczęła się wspinać, ale nie zdołała

dotrzeć dość wysoko. Prychała przy tym i ryczała jak opętana.

Dopiero w tym momencie Stephanie zrozumiała, co zamyślił sobie treecat. Chciał odciągnąć hexapumę, skoro nie mógł jej zabić ani poważnie zranić. Starał się tak rozwścieczyć drapieżnika, by ten zapomniał o wszystkim, skupiając całą uwagę na niewielkim prześladowcy. Jak na razie to działało, ale przecież nie mogło udawać się wiecznie. Igranie z równie groźnym przeciwnikiem musiało skończyć się tragicznie, jeśli nie teraz, to trochę później.

\*\*\*

Wspinający się Szybko nigdy jeszcze nie doświadczył podobnego uniesienia i nie wyobrażał sobie nawet, że można się tak czuć. Wiedział, że nie zdoła wygrać tej walki, ale pragnął jej, a narastająca w nim krwiożercza furia potęgowała zapał. Poczekał, aż zabójczy kiel dotrze do kresu swej wspinaczki, po czym skoczył, tnąc pazurami nozdrza i ucho przeciwnika, który zawył donośnie i ponownie chybił.

Zeskoczył w ślad za zwiadowcą i chwilę później ponownie się spotkali. Wspinający się Szybko skakał z gałęzi, zadawał ciosy i znikał błyskawicznie, przeciwstawiając szybkość, zwinność i inteligencję tej brutalnej sile, która wraz ze sprytem była jedynym orężem hexapumy. Był to śmiertelnie groźny taniec, ale trwał już o wiele dłużej, niż zwiadowca skłonny był wcześniej zakładać.

\*\*\*

- Nie! - zawołała odruchowo Stephanie, widząc, jak „jej” treecat popełnia błąd. Może łapa mu się omsknęła, a może po prostu dopadło go zmęczenie, ale stało się, i to w chwili, gdy Steph zaczęła żywić bezpodstawną w gruncie rzeczy nadzieję, iż treecat wyjdzie z tego cało. Nie, że wygra, ale że ocaleje. Bardzo chciała w to wierzyć i tym bardziej zabołał ją ten niespodziewany cios.

Treecat spóźnił się o ułamek sekundy z unikiem, zbyt długo orząc pazurami bark hexapumy, i nie zdołał uniknąć uderzenia zadanego środkową łapą. Długie na dziesięć centymetrów pazury dosięgły jego ciała i Stephanie usłyszała, jak i poczuła, jego pełen bólu krzyk.

Cios nie dosięgnął treecata z całą siłą, ale był wystarczająco mocny, by odrzucić go jak pluszową zabawkę. Drugi pełen bólu i rozpaczony jęk rozległ się w chwili, gdy niewielkie ciało uderzyło w pień drzewa, by spaść zakrwawionym kłębkim sierści na ziemię. Hexapuma stanęła na tylnych łapach i ryknęła triumfalnie, po czym opadła na wszystkie sześć łap i sprężyła się do skoku, by wykończyć upartego przeciwnika.

Stephanie wiedziała, co się teraz stanie, i nie miała złudzeń, że zdoła powstrzymać

hexapumę. Ale treecat, „jej” treecat, też pojmował, że był bez szans, a mimo to spróbował. Zdawała sobie sprawę, że to tylko pełen patosu, żalony w gruncie rzeczy gest, jednak nie mogła postąpić inaczej.

Ignorując ból, rzuciła się na bestię. W tej chwili nie była zwykłą, do tego ranną dwunastolatką. Nie miała czasu zastanawiać się nad tym, ale czuła, że ofiara treecata coś w niej odmieniła. Z pełnym nienawiści krzykiem uniosła wibronóż, gotowa zapłacić życiem za swoją odwagę.

Hexapuma zaskowyczała. Skupiona na zwiadowcy, całkiem zapomniała o Stephanie, i nagły atak bólu w prawym boku kompletnie ją zaskoczył. Ostrze było niewielkie, ale dość ostre, by nawet drobna dłoń zdołała wbić je po rękojeść. Reszty dokonał rozpaczliwy skok hexapumy, pragnącej uciec od źródła bólu. Nóż zostawił w jej boku długą i krwawiącą obficie szramę, rozcinając mięśnie, ścięgna, arterie i kości.

Stephanie omal nie upadła, gdy wielki drapieжник odskoczył gwałtownie. Rękę miała skąpaną w jego krwi, krew ściekała po jej twarzy, zalewając nawet oczy. W innych okolicznościach pewnie natychmiast by zwymiotowała, ale nie teraz. Opanowując nudności, pokuśtykała ile sił, by stanąć między treecatem a hexapumą.

Drżała jak liść i ledwie trzymała się na nogach, ale mimo przerażenia i spływających po twarzy łez znalazła w sobie dość siły, by raz jeszcze unieść wibrujące ostrze. Hexapuma wpatrywała się w nią z niedowierzaniem. Jedną prawą łapę miała bezwładną i wlokła ją za sobą, a z rany w pachwinie tryskał rytmicznie silny strumień krwi, jednak w tym przypadku sprawność ostrza obróciła się ostatecznie przeciwko Stephanie. Bestia była śmiertelnie ranna, ale nie zetknąwszy się nigdy wcześniej z podobnym narzędziem, nie dopuszczała nawet możliwości, by mogło się ono okazać śmiertelnie groźne. Pojmowała tylko, że oberwała boleśniej niż kiedykolwiek dotąd, i tym bardziej pragnęła dopaść tę pozornie bezbronną ofiarę.

Prychnęła wściekle, syknęła i położyła po sobie poszarpane uszy. Stephanie wiedziała, że zaraz nastąpi atak, i także nie domyślała się, że zadana hexapumie rana musi doprowadzić do rychłego wykrwawienia bestii. Ścisnęła mocniej rękojeść noża w nadziei, że zdoła wbić ostrze w brzuch drapieżnika, a wtedy siła rozpędu ponownie zrobi swoje, i być może chociaż treecat...

Hexapuma zawyła. Stephanie najchętniej zacisnęłaby mocno powieki, ale przecież nie mogła tego zrobić. Jak zahipnotyzowana wpatrywała się w bestię, która pierwszym skokiem pokonała połowę dzielącej ich odległości. Mimo bezwładnej łapy sprężyła się do drugiego skoku i rozdziawiła paszczę... ale nagle zamarła.

Stephanie odruchowo uniosła głowę, gdy z góry dobiegł ogłuszający dźwięk. Przypominał to wołanie, które słyszała już, gdy treecat stanął w jej obronie, ale był nieporównanie potężniejszy. Dobywał się z gardeł dziesiątek albo i setek treecatów. Było w nim tyle furii i zawziętości, że hexapuma też spojrzała w górę i zaskowyczała panicznie. W tej samej chwili drzewa eksplodowały kremowo-szarą lawiną, która pochłonęła bestię, szarpiąc, tnąc i kłusując z zawziętością, której nic nie było w stanie się oprzeć.

Stephanie Harrington osunęła się na ziemię obok nieprzytomnego Wspinającego się Szybko i z szeroko otwartymi oczami obserwowała, jak zwiadowcy i myśliwi z jego klanu zmieniają hexapumę w krwawe ochłapy.



## ROZDZIAŁ XI

- Wróciłem! - zawołał Richard Harrington, wchodząc do salonu.

- Wreszcie - odpowiedziała mu z gabinetu Marjorie. Kończyła już pracę na dzisiaj, zaraz zapisała więc i zamknęła plik, po czym wstała i przeciągnęła się.

- Co to za narzekanie? - spytał Richard, pokonawszy krótki korytarz i wsuwając głowę do gabinetu. - Ty możesz całymi dniami pracować w domu, ale niektórzy mają pacjentów wymagających osobistego kontaktu. I jeszcze utulić i pogłaskać ich potem trzeba.

- Oraz położyć do łóżeczka! - prychnęła Marjorie, a Richard uśmiechnął się i pocałował ją w policzek. Objęła go i poklepała po plecach. - Steph nie skarżyła się na Saprystosa?

- Co? - spytał Richard ze dziwną miną.

Marjorie uniosła brwi.

- Spytałam, czy Steph była zadowolona z lekcji z burmistrzem Saprystosem - powtórzyła wolno i wyraźnie.

- Nie wiem, nie zdążyłem podrzucić jej do Twin Forks i nie wracałem tam po nią - odparł. - Musiałem szybko dokądś lecieć. Wydawało mi się, że cię uprzedziłem. A Steph wysadziłem w domu, by sama zorganizowała sobie transport do Twin Forks.

- Tutaj ją zostawiłeś? - spytała z niedowierzaniem Marjorie. - W domu?

- Jasne, gdzież by indziej... - Richard przerwał, gdyż coś zaczęło mu świtać. - Chcesz powiedzieć, że nie widziałaś jej od rana?

- Oczywiście, że nie. Gdybym ją widziała, nie pytałabym, jak poszła lekcja latania.

- Ale...

Richard przerwał i zmarszczył czoło. Zastanawiał się przez chwilę, po czym obrócił się na pięcie i wybiegł z domu. Marjorie usłyszała tylko trzask frontowych drzwi. Po chwili znowu się otworzyły i Richard wrócił biegiem do żony.

- Nie ma jej lotni - oznajmił ponurym tonem.

- Ale powiedziałaś, że nie zabrałeś jej do miasta - zaprotestowała oszołomiona Marjorie.

- Bo nie zabrałem - mruknął Richard. - Jednak lotni nie ma, a to znaczy, że musiała wyruszyć dokądś na własną rękę... chociaż nic nam o swoich planach nie powiedziała.

Marjorie patrzyła na niego z narastającym przerażeniem, po chwili jednak opanowała gonitwę coraz bardziej ponurych myśli, odchrząknęła i odezwała się, jak umiała najspokojniej.

- Ale powinna już wrócić. Zmierzcha się. Na pewno wołałaby znaleźć się przed nocą w domu.

- Niewątpliwie - zgodził się Richard.

Oboje byli bliscy paniki, podsycanej poczuciem winy, że spuścili córkę z oczu, jak też tłumioną złością, iż zrobiła coś bez ich wiedzy i zgody. Richard otrząsnął się pierwszy, świadom, że przede wszystkim trzeba działać. Uniósł własny komunikator i wydał mu głosowe polecenie nawiązania połączenia z urządzeniem Stephanie. Był na tyle opanowany, by wypowiedzieć to spokojnie i wyraźnie, potem jednak zaczął postukiwać niecierpliwie palcami w bransoletę komunikatora. Odczekał pełną minutę. Twarz tężała mu coraz bardziej. Marjorie ścisnęła go za ramię, bez słów rozumiejąc, co może oznaczać brak odzewu.

Richard Harrington zwlekał jeszcze chwilę, nim włączył tryb namierzania komunikatora Stephanie, i wciągnął głęboko powietrze, widząc na ekranie migoczący czerwienią punkt. Z jednej strony było to bardziej niepokojące, niż gdyby w ogóle nie uzyskał namiaru, ale z drugiej strony mógł przejść od słów do czynów, a to przynosiło ulgę. Wiedzieli, gdzie szukać córki, chociaż mieli świadomość, że skoro transponder wysyłał sygnał, reszta funkcji komunikatora także powinna być dostępna. Dźwięk połączenia przychodzącego był na tyle przenikliwy, że dało się go usłyszeć z odległości trzydziestu metrów, zatem Steph powinna zareagować. Skoro tego nie zrobiła, musiał być po temu jakiś ważny powód, ale żadne z Harringtonów nie odważyło się spekulować na ten temat.

- Weź pełny pakiet medyczny - powiedział tylko Richard. - Wyprowadzę wóz z garażu.

\*\*\*

Stephanie Harrington nie mogła usłyszeć sygnału komunikatora, który pozostał na kikucie gałęzi odległego o ponad sto metrów drzewa. Nie myślała nawet o urządzeniu, otoczona przez ponad dwie setki treecatów. Siedziały na gałęziach i pośród opadłych liści, wisały wczepione pazurami w korę pni, dwa zaś przycupnęły tuż obok niej. Wszystkie mruczały zgranym chórem, spoglądając na zakrwawiony kształt, który trzymała w zagięciu zdrowej ręki.

Była wdzięczna, że są obok. Wiedziała, że żaden drapieznik nie zdoła skrzywdzić jej przy takich obrońcach, jednak przede wszystkim niepokoiła się o „swojego” treecata. Skupiła się na nim tak bardzo, jakby samą siłą woli mogła utrzymać go przy życiu. Ból

kolana, żebra czy ręki przestały się praktycznie liczyć, chociaż wcale nie ustały. Nie były jednak tak ważne, jak ostrożnie tulony ranny.

Nie bardzo pamiętała, co działo się po tym, gdy treecaty zabiły hexapumę. Na pewno wyłączyła wibronóż, ale nie schowała go chyba, raczej gdzieś upuściła. Przede wszystkim chciała dotrzeć do nieprzytomnego kotowatego.

Wiedziała, że nadal żyje, ale jest ciężko ranny. Coś ścisnęło ją w piersi, gdy płacząc z bólu, pochyliła się nad nim i dotknęła palcami zakrwawionego futra. Zrobiło się jej zimno, gdy ujrzała jego zmasakrowaną prawą chwytną kończynę. Z rany ciągle płynęła krew, nie tak wartko, by sugerowało to uszkodzenie tętnicy, ale zdecydowanie zbyt obficie. Nie miała pojęcia o anatomii treecatów, ale wyczuwała wyraźnie pod palcami połamane żebra i strzaskane kości środkowej łapy. Środkowa miednica też wyglądała na mocno uszkodzoną. Pomyślała z przerażeniem o wszystkich możliwych uszkodzeniach wewnętrznych, potęgowanych być może przez ostre krawędzie kości, ale na to nic nie mogła poradzić. Mogła natomiast zatamować upływ krwi. Czym prędzej wyciągnęła ściągacz z lewego rękawa kurtki. Pomagając sobie zębami, zdołała zawiązać na nim pętlę, którą nasunęła następnie na mokrą od krwi łapę. Zacisnęła mocno opaskę tuż ponad miejscem zranienia, potem znalazła jeszcze w kieszeni pisak i wsunęła go pod ściągacz, by kilkoma okręceniami zwiększyć ucisk. Nigdy wcześniej tego nie robiła, ale przechodziła szkolenie i widziała kiedyś, jak ojciec zakładał opaskę uciskową seterowi irlandzkiemu, który stracił część nogi w pechowym spotkaniu z automatycznym ogrodnikiem.

Z ulgą odnotowała, że upływ krwi zmalał, a po chwili ustał całkowicie. Wiedziała, jak fatalne skutki może mieć wstrzymanie krwioobiegu na dłuższą metę, jednak chwilowo zapobiegła najgorszemu. O ile nie ma żadnych krwotoków wewnętrznych, pomyślała z nagłym przerażeniem.

Wolałaby nie ruszać rannego, ale nie mogła zostawić go leżącego na mokrych liściach. Na pewno był w szoku po takich obrażeniach, a to znaczyło, że potrzebował ciepła. Usiadła tuż obok treecata i uniosła go jak najostrożniej jedną ręką. Poruszony zadrżał i miauknął niczym skrzywdzony kociak, ale nie puściła go, tylko wsunęła powoli pod poły własnej kurtki, otulając następnie, jak mogła najlepiej. Potem oparła się o drzewo i zastygła tak, z ciężarem rannego na brzuchu. Nie myślała o utraconym komunikatorze ani nawet o rodzicach czy własnym bólu. Siedziała tylko, tuląc swojego obrońcę, i na nic więcej nie miała sił.

\*\*\*

Starsi Klanu Jasnej Wody usiedli kręgiem wkoło młodego dwunoga. Wszyscy, nawet

Tkająca Pieśni, która zjawiała się później i po to jedynie, by złąć Śpiewającą Prawdziwie za osobisty udział w tej ryzykownej awanturze. Zapomniała jednak o połajankach, gdy Śpiewająca Prawdziwie i Krótki Ogon zbliżyli się ostrożnie do dwunoga i usiedli po obu jego stronach, z nosami w odległości ledwie dłoni od sponiewieranej postaci. Potem wciągnęli w skupieniu powietrze i sięgnęli myślami do więzi łączącej obcego ze Wspinającym się Szybko.

Śpiewająca Prawdziwie wiedziała z grubsza, czego się spodziewać, ale i tak zastrzygła uszami z niedowierzaniem. Mimo całkowitej obcości dwunoga więź była co najmniej tak mocna jak między parami pochodzącymi z Ludu. Co więcej, jasne było, że dojrzeła dopiero i daleko jej do pełnej postaci, chociaż zasadniczo w ogóle nie powinna powstać, skoro dwunogi miały ślepe umysły. Niemniej fakty mówiły same za siebie i Śpiewająca Prawdziwie zrozumiała, że od tej pory nic nie będzie już takie samo, chociaż nie potrafiła na razie ogarnąć wyobraźnią wszystkich konsekwencji odkrycia.

Reszta zgromadzonych wkoło myśliwych i zwiadowców także widziała, jak dwunóg dojrzał do Wspinającego się Szybko, i czuła ból młodego osobnika, gdy pokonywał słabość własnego, połamanego ciała. Tak jak Śpiewająca Prawdziwie rozpoznawali strach dwunoga i miłość skierowaną ku Wspinającemu się Szybko. Ze zdumieniem patrzyli, jak młody, naprawdę młody dwunóg zatamował upływ krwi z poszarpanej ręki, nie dopuszczając w ten sposób do śmierci zwiadowcy. Potem przytulił jeszcze Wspinającego się Szybko, dając mu ciepło swojego ciała. Widząc to, wszyscy zaczęli mrużyć z aprobatą, po czym sięgnęli i dotknęli umysłu dwunoga, pośrednio co prawda, poprzez więź łączącą go ze zwiadowcą, ale z siłą, która stłumiła strach i zmniejszyła ból, pogrążając młodego w sennym odrętwieniu.

Mogli to zrobić, gdyż był on teraz całkowicie bezpieczny. Nic, co żyło w znanych im lasach, nie miało szansy przedrzeć się przez ten krąg obrońców.

Śpiewająca Prawdziwie rozumiała, co się dzieje, ale ze wszystkich sił próbowała wykrzesać w sobie nienawiść do dwunoga. Wspinający się Szybko miał szansę przeżyć, bo chociaż pozostawał nieprzytomny, nie zamilkł całkiem i jego świadomość przebijała się powoli przez zasłonę cierpienia, ale był potwornie okaleczony. Z winy dwunoga. Przez niego tu przybył, w jego obronie walczył i ryzykował życie. Nawet jeśli nie umrze, na pewno straci łapę - i to także była wina dwunoga.

Ale nie potrafiła go znienawidzić. Miała świadomość, że Wspinający się Szybko przybył tu z własnej woli. Albo jeszcze inaczej - musiał to zrobić. Być może więź z młodym dwunogiem była tak silna, że nie mógł postąpić inaczej. Jeśli zachodziła ta druga ewentualność, znaczyło to, że dwunóg był w dokładnie takiej samej sytuacji, że tworzyli jedność niczym prawdziwa para. A w takim związku zawsze broni się bliskich, nawet za cenę

życia. Ona też stanęłaby w obronie brata, gdyby okazało się to konieczne.

I tak właśnie postąpił dwunóg. Młody, z połamanymi kośćmi i nogą, na której ledwie mógł stanąć, sam jeden zaatakował zabójczego kła. Wspinający się Szybko zrobił wcześniej to samo, ale był dorosłym, doświadczonym zwiadowcą w pełni sił. Młody dwunóg pokonał strach i ból, by walczyć z tym samym wrogiem, chociaż musiał wiedzieć, że nie zdoła wygrać. Ale i tak próbował chronić Wspinającego się Szybko. Żaden młody członek klanu nie miałby tyle odwagi, a nawet większość dorosłych z Ludu cofnęłaby się w takiej chwili. Bez dwunoga Wspinający się Szybko już by nie żył, więc...

*I co z tym zrobimy?* - spytał Krótki Ogon, przerywając rozmyślenia Śpiewającej Prawdziwie. Odezwał się tylko do niej, ale na tyle głośno, by wszyscy starsi go usłyszeli.

*Powinniśmy stąd odejść, póki jeszcze możemy* - oznajmił Złamany Kieł, wyprzedzając Śpiewającą Prawdziwie. - *Odejść jak najszybciej. Niebezpiecznie jest tu tkwić. Prędzej czy później zjawią się tu towarzysze tego dwunoga. Za nic nie powinni nas zobaczyć.*

*A Wspinający się Szybko?* - spytał Krótki Ogon, nie kryjąc wyrzutu i pogardy dla rozmówcy. Dotarło to oczywiście do Złamanego Kła i wywołało żywiołową odpowiedź.

*Sam tu przylazł, i to wbrew zakazowi! Miał nie zbliżać się do dwunogów od chwili, gdy Używający Cieni przejął jego obowiązki. A tymczasem nie dość, że nie posłuchał, to jeszcze wezwał klan na pomoc, by uratować dwunoga. Dobrze wiesz, że wielu z nas mogło zginąć lub odnieść rany w walce z zabójczym kłem. Żałuję, że został ranny, i nie życzę mu źle, ale sam ściągnął na siebie to, co go spotkało. Naszym zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa całemu klanowi, a skoro tak, musimy być daleko, gdy zjawią się tu inne dwunogi. Jeśli wymaga to pozostawienia Wspinającego się Szybko własnemu losowi, mówi się trudno.*

*To nie Wspinający się Szybko wezwał klan na pomoc* - powiedziała z lodowatą dezaprobatą Tkająca Pieśni. - *W każdym razie nie bezpośrednio. Ty ogłosiłaś alarm, Śpiewająca Prawdziwie, i to wiedząc, że chodzi o dwunoga!*

*Ogłosiłam i wiedziałam* - odparła Śpiewająca Prawdziwie ze spokojem, który ją samą zaskoczył. - *Czy raczej domyślałam się, o kogo chodzi. Pewności nie miałam jednak tylko dlatego, że nie spytałam. Ale zgadza się, rozumiałam, czego pragnął od nas Wspinający się Szybko. Może źle zrobiłam, odpowiadając na jego wezwanie, ale nawet jeśli ja się myliłam, on na pewno postąpił słusznie.*

Starsi spojrzeli na nią skonsternowani i poczuli, że musi im to wyjaśnić dokładniej.

*Wspinającego się Szybko i tego tu dwunoga łączy dziwna więź. Sprawdziłam ją i wy też możecie to zrobić, jeśli wątpicie w moje słowa. Stanął w obronie kogoś... prawie tak*

*bliskiego jak partnerka. To jest jego osobisty dwunóg, a z drugiej strony, ze strony dwunoga, wygląda to tak samo. Wspinający się Szybko nie mógł go nie bronić, podobnie jak nie mógłby zaniechać obrony mnie, a ja jego.*

*Ładnie powiedziane - rzuciła jadowitym tonem Tkająca Pieśni, widząc, że reszta starszych nie ma zamiaru podważać zdania Śpiewającej Prawdziwie. - Może to nawet i prawda, ale Złamany Kieł musi troszczyć się o cały klan. Nas z tym dwunogiem nic nie łączy, a istnienie więzi, o której mówisz, potwierdza, że kontakt z obcymi może być niebezpieczny. Spójrz na swojego brata! Widzisz, do czego go to doprowadziło? Chyba nie powiesz, że pójście w jego ślady nie byłoby przejawem szaleństwa?*

*Skoro najstarsza śpiewająca sobie tego życzy, to i owszem, powiem - odparła Śpiewająca Prawdziwie z tym samym spokojem. - To, co się wydarzyło, jest najdobitniejszym dowodem, że powinniśmy szukać dalszych kontaktów z dwunogami, by się dowiedzieć, czy inni z Ludu także mogą związać się z nimi w podobny sposób.*

*Jeszcze inni!? - jęknął Złamany Kieł.*

On i Kopacz spojrzeli na nią z przerażeniem, a Tkającą Pieśni kompletnie zatkało. Za to Krótki Ogon promieniał wręcz aprobatą i nie był w tym wcale osamotniony. To samo, chociaż mniej żywiołowo, wyrażali Świeży Podmuchi i Gryzący Kamień. Pierwszy odpowiadał w klanie za szkolenie młodych myśliwych i zwiadowców, drugi przewodził wytwórcom krzemienych narzędzi.

*Jeszcze inni - potwierdziła Śpiewająca Prawdziwie i Złamany Kieł zasyczał. Nie rzucał jej wyzwania, bo na to nie poważyłby się żaden samiec klanu, ale musiał jakoś okazać swoją dezaprobatę. - Posłuchajcie mnie! Mam rację czy nie, jestem śpiewającą wspomnienia. Wysłuchacie mnie teraz i niech cały klan, Złamany Kle, cały klan, nie tylko starsi, zdecyduje, jak postąpić!*

Złamany Kieł aż się cofnął zaskoczony, a szok Tkającej Pieśni jeszcze się pogłębił. Jako druga śpiewająca wspomnienia w klanie, Śpiewająca Prawdziwie miała prawo do takiego żądania, ale czyniąc to, stawiała sprawę na ostrzu noża. Skoro kwestionowała zdanie najstarszej śpiewającej, rzucała jej tym samym wyzwanie. Jeśli zyska poparcie większości dorosłych samców, zostanie najstarszą śpiewającą wspomnienia Klanu Jasnej Wody. W razie porażki straci cały autorytet i pozycję.

Wyzwanie zostało jednak rzucone. Reszta klanu przysunęła się bliżej.

*To, co zrobił mój brat, nie wynikało z jego wolnego wyboru, ponieważ nikt z Ludu nie podejrzewał nawet, że podobna więź jest możliwa - zaczęła cicho, ale wyraźnie. - Niezależnie od pragnień, nie wiedziałby, jak ją zbudować, ale gdy już zaistniała, okazała się dwustronna.*

*Dwunóg ma ślepy umysł i nie rozumie zapewne, co się dzieje, ale czuje się połączony ze Wspinającym się Szybko tak samo, jak mój brat z nim. Czy potwierdzasz to, najstarsza?*

Śpiewająca Prawdziwie spojrzała na Tkającą Pieśni, która mogła tylko zastrzyc uszami na znak zgody. Nie miała innego wyjścia, ponieważ dla wszystkich wkoło było oczywiste, że to prawda.

*Dobrze. Teraz jednak wiemy, że taka więź jest możliwa, i mamy dowód, jak potrafi być silna. Nie tylko Wspinający się Szybko walczył z zabójczym kłem w obronie swego dwunoga, ale i dwunóg stanął w obronie Wspinającego się Szybko, chociaż według normy swojej rasy jest jeszcze bardzo młody. Nie możemy oceniać wszystkich dwunogów na podstawie jego zachowania, ale nie wolno nam też ignorować tego zdarzenia. Musimy dowiedzieć się więcej o nich, o narzędziach, których używają, i przyczynach, dla których tu przybyli. Są zbyt niebezpieczni i jest ich zbyt wielu, byśmy mogli tego zaniechać. Na dodatek ich liczba szybko rośnie. Wspinający się Szybko miał rację, mówiąc, że to samo, co sprawia, że są groźni, może uczynić z nich potężnych sprzymierzeńców.*

Wśród słuchaczy panowała absolutna cisza. Wszyscy wpatrywali się w Śpiewającą Prawdziwie i nawet Złamany Kieł przestał machać nerwowo ogonem poruszony jej słowami. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, co dwunogi mogłyby zrobić dla Ludu. Tak bardzo skupiał się na zagrożeniach, że nie pomyślał nawet o możliwych korzyściach. Śpiewająca Prawdziwie wyczuła zmianę jego emocji i uznała to za dobry znak.

*Jeśli inni z nas także okażą się zdolni do stworzenia podobnych więzi i zdecydują się na nie, możemy wiele zyskać - ciągnęła. - Zamieszkają wśród dwunogów i zobaczą o wiele więcej niż kryjący się w koronach drzew zwiadowcy. Będą przekazywać nam wszystko, czego dowiedzą się o dwunogach, pozwalając nam lepiej ich zrozumieć. Oni zaś wydają się mieć ślepe umysły, ale swoje chyba czują. Młody dwunóg rozpoznał miłość Wspinającego się Szybko i odpowiedział miłością, chociaż przy pierwszym spotkaniu miał go za stworzenie wcale nie mądrzejsze niż ryjówka albo budowniczy jezior. Teraz wie, że się mylił, ale ciągle nie ma pojęcia, na ile Lud jest mądrzejszy. Sądzę, że dobrze by było, gdybyśmy nie zdradzali jemu i jego starszym, jak jest naprawdę. Lepiej pozostać niedocenianym, przynajmniej na razie. Spróbujmy jednak związać się z jak największą liczbą dwunogów. Uczmy się i ich uczmy, że nie jesteśmy dla siebie nawzajem zagrożeniem. Ten świat jest dość duży, byśmy mogli dzielić go z dwunogami, o ile uczynimy ich swoimi przyjaciółmi.*

Gdy skończyła, w coraz mroczniejszym lesie zapadła telepatyczna cisza. A potem, jak to było w zwyczaju Ludu, odezwały się pojedyncze głosy. Kolejno dokonywano wyboru.

## ROZDZIAŁ XII

Blady jak śmierć Richard Harrington patrzył na widoczny w blasku reflektorów pas połamanych gałęzi z jaśniejącymi tu i ówdzie drobnymi szczątkami lotni.

Według wskazań wyświetlacza komunikator Stephanie znajdował się niemal dokładnie pod nimi, ale niewiele z tego wynikało. Widać było, że lotnia zahaczyła o korony trzech kolejnych drzew. Milczenie córki mogło być zapowiedzią czegoś znacznie gorszego, niż dotąd przypuszczali.

Nie miał pojęcia, dlaczego tu przyleciała, jednak poznawał po śladach, że próbowała dotrzeć do widocznego dalej pogorzeliska, skierował więc wóz w tamtą stronę. Marjorie siedziała obok w milczeniu, powoli przesuwając prawoburtowym reflektorem po drzewach i ziemi. Richard chciał właśnie włączyć ten z lewej burty, gdy usłyszał jej podniesiony głos.

- Patrz!

Spojrzał i zamarł ze zdumienia.

Stephanie siedziała skulona pod ogromnym drzewem i tuliła coś do siebie jedną ręką. Ubranie miała podarte i zakrwawione, ale uniosła głowę, spoglądając prosto w blask reflektora, i nawet z daleka widać było ulgę malującą się na jej brudnej i posiniaczonej twarzy. W głębi ducha Richard nie posiadał się z radości, ale nadal siedział jak skamieniały, nie rozumiejąc tego, co zobaczył w dole. Jego córka nie była sama.

W pobliżu, nieco z boku, leżały krwawe szczątki dużego zwierzęcia. Richard dość znał miejscową faunę, by rozpoznać odarty częściowo z miękkich tkanek szkielet hexapumy. Natomiast ani on, ani żaden inny przyrodnik nie widział dotąd miniaturowych hexapum, które otaczały jego córkę ochronnym pierścieniem złożonym z wielu dziesiątków osobników.

Zdumiała go ta myśl, ale nie znalazł innego słowa. One faktycznie chroniły Stephanie, czuwały nad jej bezpieczeństwem. I wiedział też, całkiem jakby widział to na własne oczy, że to one zabiły hexapumę w obronie jego córki.

Ale to było wszystko, co wiedział.

- Zostań tutaj - powiedział do żony, gdy wylądowali. - To coś z mojej specjalności, nie twojej...

- Ale...

- Proszę, Marge - przerwał jej, nie podnosząc głosu. - Wątpię, by kryło się tu jeszcze



jakieś niebezpieczeństwo, ale mogę się mylić. Poczekaj, dopóki tego nie sprawdzę, dobrze?

Marjorie Harrington zacisnęła zęby, ale opanowała złość. Richard miał rację. To on był weterynarzem. Gdyby chodziło o rośliny, polegałby na jej zdaniu, ale w grę wchodziły zwierzęta i powinna mu zawierzyć. Tyle że chciała jak najszybciej znaleźć się przy córce...

- Dobrze - zgodziła się niechętnie. - Ale bądź ostrożny!

- Będę - obiecał i otworzył drzwi.

Wysiadł, nie robiąc żadnych gwałtownych ruchów, wziął zestaw medyczny i równym, niespiesznym krokiem ruszył w stronę córki. Futrzaste i długoogoniaste stworzenia rozstępowały się przed nim, odsuwając się może o metr z każdej strony, i zaraz zwierały szeregi za jego plecami. Czując na sobie dziesiątki czujnych spojrzeń, Richard wszedł na niewielką, wolną przestrzeń otaczającą Stephanie. Obok niej siedziała tylko jedna miniaturowa hexapuma. Mniejsza i smuklejsza niż pozostałe, o cętkowanym, brązowo-białym, nie szaro-kremowym futrze. Spojrzała mu prosto w oczy jasnozielonymi ślepiami, w których kryła się niepokojąca inteligencja. Ledwo to jednak zarejestrował, gdyż najważniejsza była dlań teraz córka. Z bliska mógł się przekonać, że krew w większości nie należała do niej, ale siniaków rzeczywiście było sporo. Co gorsza, zwisająca bezwładnie lewa ręka była najpewniej złamana, a wyciągnięta sztywno prawa noga mogła być w nie lepszym stanie. Przyklęknął przy Stephanie, walcząc ze wzbierającymi w oczach łzami.

- Cześć, kochanie - powiedział łagodnie.

Spojrzała na niego i szepnęła:

- Zawaliłam, tato... - W jej oczach też pojawiły się łzy. - Wszystko zrobiłam nie tak. Ja...

- Spokojnie... - Głos mu się załamał, ujął ją więc delikatnie pod brodę. - Później o tym porozmawiamy. Teraz wracajmy do domu, dobrze?

Przytaknęła, ale coś w wyrazie jej twarzy powiedziało mu, że to nie wszystko. Uniósł brwi, gdy córka uchyliła połę kurtki, ukazując jeszcze jedno stworzenie z tego samego gatunku, którego przedstawiciele byli wszędzie wkoło. Tyle że to było ciężko poranione i zakrwawione. Bez słowa spojrzał pytająco na córkę.

Stephanie właściwie odczytała jego intencje. Nie chciała jednak tracić czasu na długie wyjaśnienia. Tym zajmie się później, gdy rodzice obmyślą już dla niej karę.

- To mój przyjaciel - powiedziała łamiącym się głosem dziecka oczekującego od rodziców, że zaradzą każdej biedzie. - Uratował mnie przed hexapumą. Walczył z nią... dla mnie, tato... dopóki reszta nie przybyła. I został strasznie ranny, i ja...

Nie była w stanie powiedzieć nic więcej i tylko spojrzała wymownie na ojca. On zaś

przyjrzał się tej kupce nieszczęścia, bólu, wyczerpania i strachu, składających się w tej chwili na jego dziecko, i ujął oburącz jej buzię.

- Nie martw się - opowiedział miękko. - Jeśli on ci pomógł, to ja pomogę jemu, jak tylko będę mógł.

\*\*\*

Wspinający się Szybko bardzo powoli wynurzał się z otchłani nieświadomości. Leżał na lewym boku na czymś ciepłym i miękkim. Czuł ból i wiedział, że jest poważnie ranny, ale było mu jakoś dziwnie. Ból był słabszy, niż powinien, i jakby odległy. Zwiadowca zamrugał i uniósł głowę. Jeszcze zanim to zrobił, wiedział, co zobaczy. Zamruczał cicho, o wiele ciszej niż zwykle, wpatrując się w twarz swojego dwunoga.

Ona spojrzała natychmiast na niego i poczuł jej radość i ulgę, przebijające niczym promień słońca przez tę przyjemną i rozleniwiającą mgłę spowijającą jego umysł. Dotknęła delikatnie jego futra i zorientował się, że krew i brud zniknęły z jej twarzy, najgorsze rozcięcia i zadrapania zaś przykrywały kawałki białej materii. Złamana ręka tkwiła w czymś sztywnym i także białym. Wyczuł w jej umyśle ślady bólu, ale tak samo odmienionego jak jego własny. Otworzyła usta i wydała kilka tych dźwięków, które służyły dwunogom do komunikowania się. Zaraz odpowiedział jej inny, znacznie niższy głos, i Wspinający się Szybko przekręcił głowę w drugą stronę.

Już wcześniej zauważył, że jego dwunóg siedzi na rzeczy, której obcy zwykle używali w tym celu, ale nie zorientował się, że znajduje się ona we wnętrzu latającego urządzenia, które na dodatek się poruszało. Bez więzi z dwunogiem pewnie długo jeszcze by o tym nie wiedział, ale ta sama więź pomogła mu opanować strach wywołany wspomnieniem prędkości, z jaką te urządzenia pędziły zwykle po niebie.

Przed nim siedziały jeszcze dwa dwunogi, będące rodzicami jego młodej. Jeden z nich obejrzał się i więź podpowiedziała zwiadowcy, że to matka dwunoga, ale odzywającym się był ten drugi. Wydawane przez niego dźwięki pozostawały niezrozumiałe. Wspinający się Szybko pomyślał leniwie, że chyba dobrze byłoby nauczyć się pojmovać mowę tych dziwnych stworzeń.

\*\*\*

- Spojrzał na mnie, tato! - ucieszyła się Stephanie. - Otworzył ślepka i spojrzał na mnie!

- To dobry znak, Steph - odparł Richard, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco.

- Ale wygląda na strasznie słabego i ogłupiałego - dodała z niepokojem, a Richard

zerknął wymownie na żonę.

Pomimo środków przeciwbólowych Stephanie musiała czuć się nieszczególnie, ale zdawała się myśleć wyłącznie o trzymanym na kolanach stworzeniu, które nazywała „treecatem”. I tak było od chwili, gdy ją znaleźli. Nalegała nawet, by ojciec zbadał go, zanim jeszcze opatrzył jej rękę. Wobec obecności całego zgromadzenia tych stworzeń zgodził się, chociaż liczyło się także i to, że życie Stephanie nie było w żaden sposób zagrożone. Na razie ani on, ani Marjorie nie rozumieli wiele z chaotycznych wyjaśnień córki, ale zgadzali się z nią co do jednego: czymkolwiek były te treecaty, bez wątplenia zaliczały się do istot inteligentnych.

Nawet nie próbowali sobie wyobrazić, jakie mogą być skutki tego odkrycia, i chwilowo nic ich to nie obchodziło. Treecaty uratowały ich córkę i chociaż nie wiedzieli, jak spłacić ten dług, nie mieli wątpliwości, że spróbują to zrobić.

- Wygląda na słabego, bo jest słaby, słonko - powiedział Richard i spojrzał z powrotem na wyświetlacz. Byli już blisko Twin Forks, gdzie mieściły się lecznica i gabinet lekarski Harringtona. - Jest poważnie ranny i stracił sporo krwi, zanim zatamowałaś jej upływ. Gdybyś tego nie zrobiła, już by nie żył. - Stephanie wyczuła pobrzmiwającą w jego głosie pochwałę, ale tylko skinęła niecierpliwie głową. - A ogłupiały jest zapewne od środków przeciwbólowych. Mają takie działanie na lokalną faunę, ale stosujemy je od ponad czterdziestu lat i jak dotąd to jedyne działanie uboczne, które zauważyliśmy.

- Ale wyzdrowieje? - spytała stanowczo córka i Richard wzruszył lekko ramionami.

- Będzie żył - obiecał. - Wątpię, byśmy zdołali uratować mu łapę, i na pewno zostanie sporo blizn, które mogą być widoczne mimo futra, ale poza tym powinien w pełni dojść do siebie. Nie mogę ci oczywiście tego zagwarantować, ale wiesz, że w takiej sprawie bym cię nie okłamywał.

Stephanie wpatrywała się przez chwilę w tył jego głowy, po czym przeniosła spojrzenie na matkę. Ta przytaknęła zdecydowanie, potwierdzając słowa Richarda, a Stephanie poczuła, że kamień spada jej z serca.

- Jesteś pewien, tato? - spytała na wszelki wypadek, tym razem o wiele spokojniejszym tonem.

- Tak, jak mogę być pewien w tych warunkach, słonko.

Stephanie odetchnęła z ulgą i pogłaskała treecata.

Ten zamrugał otwartymi już, acz niezbyt przytomnymi oczami. Pocałowała go między uszami i szepnęła:

- Słyszałeś? Wyzdrowiejesz, tata tak mówi.

\*\*\*

Wspinający się Szybko obiecał sobie solennie, że naprawdę spróbuje poznać znaczenia wydawanych przez dwunogi dźwięków. Ale nie teraz. Chwilowo był zbyt zmęczony, poza tym na razie liczył się jedynie blask umysłu przyjaciółki i świadomość, że jest ona bezpieczna.

Zamrugął ciężkimi powiekami i poklepał ją słabo po nodze, po czym zamknął z westchnieniem oczy i wtulił nos w jej ubranie. I pozwolił, by jej jasna miłość ukołysała go do snu.

# PRZYJACIELE

Lata 1520-1521 po Diasporze

Planeta Sphinx

Podwójny układ gwiazdny Manticore

## ROZDZIAŁ XIII

Szefie, przyszła grupa umówiona na czternastą - dobiegło z terminalu biurka głównego rangera Gary'ego Sheltona. Sam Shelton stał akurat przy oknie i patrzył na zalaną słońcem ulicę Twin Forks. Chociaż zdołał się nie skrzywić, nie wyglądał w tej chwili na zadowolonego z życia. Wrócił jednak do biurka i opadł ciężko na fotel.

- Dziękuję, Francine - powiedział nie całkiem życzliwym tonem.

- Zawsze do usług - rzuciła Francine, która była od lat zarówno jego sekretarką, jak i recepcjonistką oraz administratorem biura Służby Leśnej Sphinksa. Shelton zerknął podejrzliwie na ekran, ale nie dostrzegł na twarzy Francine nawet cienia uśmiechu. Pewnie mu się zdawało; nie mogła przecież widzieć niczego zabawnego w fakcie, że jej szef był bezlitośnie nękanym przez trzynastoletnią dziewczynkę.

Akurat, pomyślał z rezygnacją. Ale gdybym ją o to oskarżył, udałaby niebotyczne zdumienie i odegrała skrzywdzoną niewinność.

- Niech wejdą - powiedział i wstał, by należycie przywitać gości. Gdy drzwi się otworzyły, do jego gabinetu weszła grupa złożona z mężczyzny, kobiety, dziecka i... treecat.

Mężczyzna był wysoki, z siwiejącymi już lekko włosami i ciemnymi oczami. Dobijał zapewne czterdziestki, podobnie jak jego żona, która miała znacznie jaśniejszą cerę i oczy o barwie pośredniej między piwną a brązową. Dziecko wyglądało na jakieś trzynaście albo czternaście standardowych lat i miało ciemne oczy ojca oraz kręcone włosy matki, tyle że znacznie mniej starannie ułożone.

Na prawym ramieniu dziewczynki siedział rozglądający się czujnie treecat, przedstawiciel miejscowego gatunku, którego odkrycie na Sphinksie tak skomplikowało ponad rok temu życie Sheltona.

Z początku nikt nie traktował poważnie sugestii, że może chodzić o istoty rozumne, i wielu otwarcie je wyśmiewało. Ostatecznie, jak ktoś przypomniał, Harringtonowie przybyli na Sphinksa ledwie trzy standardowe lata wcześniej i byli zbyt świeżym elementem napływowym, by ktokolwiek mógł wziąć serio ich rewelacje na temat gatunku, którego wcześniej nikt na oczy nie widział. Niektórzy, jak pogardzający „nowymi” Jordan Franchitti, uczynili z tego argument koronny i używali sobie na nowo przybyłych do woli (zwykle nazywając ich przy tym znacznie mniej uprzejmie). Za stek bzdur uważano też historyjkę,

jakoby owe stworzenia miały uratować dziewczynkę przed hexapumą (co gorliwi krytycy dodawali, że musi to być jakaś ze szczeniem skretyniała rodzinka, skoro naraziła dwunastoletnią córkę na spotkanie z najgroźniejszym miejscowym drapieżnikiem).

Shelton także powątpiewał w inteligencję nowo odkrytego gatunku, ale tylko do czasu, gdy Scott MacDallan i Arvin Erhardt niespodziewanie potwierdzili słowa Harringtonów. Wprawdzie doktor MacDallan też był „nowy” i dla kogoś takiego jak Franchitti nie mógł stać się wiarygodnym źródłem informacji, ale rodzina Erhardta przybyła na Sphinksa na statku kolonizacyjnym *Jason*. Nawet Franchitti musiał w tym przypadku zamknąć jadaczkę i przyjąć do wiadomości, że treecaty nie tylko istnieją, ale są też nadzwyczaj bystre.

„Bystre” nie znaczyło jeszcze „inteligentne”, ale sprawa zrobiła się na tyle głośna, że Sphinx stał się celem pielgrzymek naukowców najróżniejszych specjalności. Większość z nich nie odróżniała pierwotnego lasu od parku, co przyczyniło cierpiącej wiecznie na brak etatów Służbie Leśnej całej masy problemów. Dlatego właśnie Shelton patrzył na siedzące na ramieniu dziewczynki stworzenie z mieszanymi uczuciami.

Wydawało się całkiem spore, z tułowiem długim na ponad jedną trzecią wzrostu dziecka, przez co dziwnie trochę prezentowało się na jego ramieniu. Pazury środkowych łap wbijało w specjalnie naszytą na ramieniu podściółkę, jednak większość ciężaru ciała opierało na tylnych łapach, wykorzystujących drugą podściółkę, umieszczoną na ubraniu tuż pod prawą łopatką opiekunki. Ogon trzymało przewieszony przez jej lewe ramię, z koniuszkiem muskającym delikatnie policzek.

Kremowo-szarą sierść znaczyły ciemniejsze smugi, przypominające zalegające pod listowiem cienie. Miejsca, w których jedwabisty włos układał się nie całkiem naturalnie, świadczyły o istnieniu rozległych, skrytych pod spodem blizn. Długie palce lewej chwytnej kończyny spoczywały na głowie dziewczynki, prawej dłoni jednak nie było. Została amputowana i ręka kończyła się na kikucie przedramienia.

- Dzień dobry państwu doktorostwu - powiedział Shelton, wyciągając dłoń do gości. Przywitał się z nimi i spojrzał na dziewczynkę. - I ciebie też witam, panno Harrington. Może usiądziemy?

\*\*\*

Stephanie zachowywała się jak wzór dziewczęcych cnót.

Poczekala, aż rodzice i szef Służby Leśnej usiądą, i dopiero potem sama zajęła miejsce. Lionheart spłynął z jej ramienia. Gdyby oparcie krzesła było masywniejsze, ułożyłby się na nim, opierając się o kark dziewczynki, skoro jednak nie było tam dla niego miejsca,

usiadł prosto na kolanach Stephanie i przekrzywiając lekko głowę, wbił spojrzenie jasnozielonych oczu w gospodarza.

Imię dla treecata zasugerował ojciec Steph, powiadając, iż tylko ktoś o prawdziwie lwim sercu mógł przy podobnie skromnym wzroście zaatakować samotnie hexapumę.

Stephanie nie miała pewności, ile Lionheart pojmie z dzisiejszego spotkania. Wydawało się, że jak dotąd nie przyswajał wiele z tej wersji angielskiego, której używano w Królestwie Manticore, chociaż wyraźnie podejmował próby zrozumienia tego, co tłumaczyła mu przy różnych okazjach za pomocą gestów czy pantomimy. Tyle że wyłożenie czegoś tak złożonego jak powód tego spotkania było raczej mało wykonalne bez użycia kanału werbalnego. Z drugiej strony, nawet jeśli rozumiał na razie niewiele, na pewno pojmował z jej przekazu więcej, niż ona była zdolna wyczytać z jego zachowania. Aparat głosowy treecatów nijak nie pozwalał im wydawać dźwięków ludzkiej mowy, zatem Lionheart nie miał szansy odezwać się w zrozumiały dla niej sposób, nawet gdyby bardzo tego chciał. Niemniej Stephanie uczyła się z wolna odczytywać jego język ciała i szło jej to coraz lepiej, lub przynajmniej tak się jej wydawało. Nie potrafiła zweryfikować wyników obserwacji, musiała więc liczyć się z błędami interpretacji.

Nie przypuszczała jednak, by margines błędu był znacząco duży. Jeśli w tej chwili wyczuwała dobrze emocje treecata, Shelton nie był nastawiony do nich zbyt przychylnie.

- Dziękuję za zaproszenie - powiedział ojciec Stephanie. - Wiem, że nie cierpi pan na nadmiar wolnego czasu, i mam nadzieję, że nie zajmiemy go panu zbyt wiele.

- Fakt, jestem zajęty - przyznał z lekkim skrzywieniem warg szef rangerów. - Zaraza wszystkim dała się mocno we znaki, ale Służba Leśna została przez nią szczególnie osłabiona - powiedział ze smutnym wyrazem twarzy i pokręcił głową. - Straciłem ponad połowę strażników oraz jedną trzecią pracowników administracji i służb pomocniczych. Próbujemy odtworzyć stan osobowy, ale na razie jest gorzej niż źle... - Wzruszył ramionami i Harringtonowie pokiwali głowami ze zrozumieniem. - No i właśnie przez te braki kadrowe będę musiał odmówić waszej prośbie - dodał z miną kogoś, kto postanowił wreszcie wziąć byka za rogi.

Stephanie posmutniała, chociaż w żadnym razie nie mogła czuć się zaskoczona taką odpowiedzią. Rodzice wspierali ją w tej sprawie z całych sił, ale otwarcie uprzedzali, że nie będzie łatwo, i to nie tylko za sprawą urzędniczego uporu. Część powodów miała jak najbardziej obiektywny charakter, co mogło natchnąć lekkim optymizmem, ponieważ powinny zniknąć za rok czy dwa. A skoro tak, nie należało się teraz widowiskowo obrażać, nawet jeśli trudno było wziąć sobie do serca wyznawaną przez ojca zasadę, iż „tylko żywi



mogą walczyć dalej”.

- Wiem, że nie to chciałaś usłyszeć, Stephanie - powiedział Shelton, zdobywając się na uprzejmy gest, by zwrócić się bezpośrednio do niej. - Przykro mi z tego powodu, ale nie mogę postąpić inaczej.

- Czy mogę spytać dlaczego? - odezwała się Steph spokojnym głosem, chociaż była autentycznie wściekła.

Shelton musiał to usłyszeć, ale pokiwał tylko głową, jakby w pełni rozumiał jej reakcję.

- Z kilku powodów - powiedział. - Po pierwsze, Służba Leśna Sphinksa nigdy nie miała stażystów, o praktykach młodzieżowych nie wspominając. Nawet przed Zarazą o tym nie myśleliśmy, a co dopiero teraz. Musisz to zrozumieć, Stephanie. Cały nasz układ słoneczny został skolonizowany dopiero sto standardowych lat temu. Na Sphinksie pierwsi koloniści pojawili się jeszcze pięćdziesiąt standardowych lat później, naszą służbę utworzono zaś trzydzieści pięć lat temu. Potem przysłała Zaraza, która zabrała sześćdziesiąt procent populacji. Straciłem przez nią oboje rodziców i starszego brata. Większość kolonistów z pierwszej fali doświadczyła podobnej tragedii, sama zresztą o tym wiesz, ale przypominam, jak rzecz wygląda, by zaznaczyć, że zawsze cieszę się, gdy słyszę, że ktoś chce do nas wstąpić. - Ostatnie zdanie powiedział tonem sugerującym, że jego deklaracja jest całkiem szczerą. - Ale Sphinx to nie MeyerdaHL. Rozpaczliwie brakuje nam ludzi, w tym specjalistów z różnych dziedzin, zwłaszcza że pod naszą opieką pozostaje dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięć procent powierzchni planety. Ale tutejsze dzikie ostępy są naprawdę dzikie i nieporównanie bardziej niebezpieczne dla nas niż na MeyerdaHLu. Po prawdzie nie zaczęliśmy nawet jeszcze uczyć ich poznawać i nie wiemy, na jakie jeszcze zagrożenia trafimy.

Spojrzał znacząco na Stephanie i zerknął na okaleczoną łapę siedzącego na jej kolanach treecata.

- Chyba sama rozumiesz, młoda damo, jak wielkie miałaś szczęście, że udało ci się przeżyć - powiedział cicho. - Nie, żebym wypominał ci teraz to, co zrobiłaś. Stwierdzam natomiast, że ocalałaś tylko dzięki szczęśliwemu trafowi oraz temu, że ostatecznie okazałaś się rozgarnięta i odważna. Poza tym otrzymałaś niespodziewaną pomoc. Ale gdyby nie to, byłabyś martwa. O tym też wiesz, prawda?

- Tak, sir - odparła spokojnie Stephanie. Słowa rangera aż nazbyt żywo przypomniały jej tamten straszny wieczór. Przytuliła mocniej Lionhearta, który zamruczał i poklepał jej przedramię ocalałą dłonią.

- I o to w gruncie rzeczy chodzi - stwierdził Shelton, zwracając się ponownie do rodziców Steph. - Nie mieliśmy nigdy programu dla stażystów i nie opracujemy go teraz, o wdrożeniu nie mówiąc. Chciałbym to zrobić, ale brakuje mi ludzi. I funduszy zresztą też. Szczerze mówiąc, od kiedy Stephanie odkryła istnienie treecatów, zrobiło się jeszcze gorzej. Prawie codziennie dowiaduję się o przylotach kolejnych ksenobiologów czy ksenoantropologów, przy czym większość z nich jest znacznie gorzej przygotowana do spotkania z naszymi lasami niż wasza córka. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nalega, bym przydział każdemu z nich opiekuna, a równocześnie muszę robić, co w mojej mocy, by chronić treecaty przed natarczywością jajogłowych. Gubernator Donaldson obiecuje mi przydział większych środków i wierzę, że w końcu je znajdzie, ale póki co muszę sobie radzić z tym, co mam. Jeśli choć trochę zaniedbam sprawę, naukowcy zaczną od nas wyjeżdżać w workach, co zdecydowanie nie ułatwi nam i tak ciężkiej już pracy. W tej sytuacji nie mam co marzyć o stażystach. Nie zdołam obecnie oddelegować nikogo do przygotowania i poprowadzenia programu, a prowizorka, która istniałaby gdzieś obok procedur, w ogóle nie wchodzi w grę. Przyjmowanie nastoletnich stażystów bez przydzielenia im w pełni wykwalifikowanych opiekunów i bez zatwierdzonego trybu szkolenia byłoby proszeniem się o kłopoty. Zwłaszcza na Sphinksie.

## ROZDZIAŁ XIV

- Dlaczego mnie to nie dziwi...? - mruknął Richard, gdy wracali do swojej posiadłości.

- I na dodatek mówił aż zbytnio rozsądnie... - rzuciła Stephanie.

- Miał argumenty - odezwała się Marjorie Harrington. - I to takie, które trudno podważyć.

- To właśnie miałam na myśli - westchnęła Stephanie, spoglądając przez okno i głaszcząc ułożonego w poprzek jej kolan treecata. - Moim zdaniem myli się, ale trudno zaprzeczyć, że ma swoje powody do odmowy. Lionheart też tak uważa.

Jej rodzice wymienili się spojrzeniami. Lionheart tak szybko stał się członkiem rodziny, że zapomnieli niemal, iż poznali go dopiero szesnaście standardowych miesięcy temu. Przypominali sobie o tym z rzadka i głównie w chwilach, gdy Stephanie relacjonowała emocje treecata. Zdawała się zawsze być ich pewna i co więcej, gdy obserwowało się ich oboje, wiele sugerowało, że naprawdę rzadko się myliła. Nie dawało się jednak orzec, czy był to skutek nadzwyczaj trafnego odczytywania jego mowy ciała, czy może czegoś więcej.

Stephanie domyślała się, co nurtuje rodziców, i rozumiała ich sceptycyzm, podzielany zresztą przez większość dorosłych, których miała okazję spotkać, ale wiedziała swoje. Nie miała wątpliwości, że trafnie odbiera jego emocje. Póki co nikt nie miał pojęcia, jak właściwie porozumiewają się treecaty, a było to tylko jedno ze związanych z nimi pytań, na które nie znano odpowiedzi. Od momentu, gdy cztery miesiące po przygodzie Stephanie dwóch następnych mieszkańców Sphinksa spotkało przedstawiciele nowego gatunku, interesowało się tą kwestią coraz więcej osób.

Wiść o treecatach zataczała z wolna coraz szersze kręgi, aż kilka standardowych miesięcy temu cała reszta galaktyki obudziła się raptownie i zaczęła zaszczycać Sphinksa swoim zainteresowaniem na tyle intensywnie, że nawet Stephanie, która miała szczególną motywację do śledzenia wszystkich publikacji na temat treecatów, miała już tego dość. Rodzina Harringtonów znalazła się nagle w centrum uwagi całej sfery wszelkiej maści specjalistów od obcych form życia. Ciekawi byli nie tylko Lionhearta, ale także jego ludzkiego opiekuna, i mimo zasadniczo dobrych intencji okazali się na tyle natarczywi, że Richard i Marjorie zdecydowali się w końcu postawić tamę ich inwazji. I oni bardzo chcieli poznać lepiej treecaty, ale dobro córki było dla nich ważniejsze. Jak przekazywali z

kwaśnymi minami co bardziej upartym jajogłowym, Stephanie za pięć miesięcy miała skończyć czternaście lat i nie byłiby zachwyceni, gdyby w tak młodym wieku wpadła w nerwicę lękową spowodowaną pośrednio akademicką żądzą wiedzy.

Gdy rodzice odparli ostatecznie atak szalonych naukowców, Stephanie odetchnęła z ulgą, chociaż oznaczało to dla niej dalszą izolację od świata. Pierwsze trzy miesiące po wypadku przesiedziała w areszcie domowym, który nie okazał się szczególnie dotkliwy. Sporo z tego czasu i tak spędziłaby w domu, ponieważ nawet przy jej szybszym metabolizmie zrośnięcie wszystkich połamanych kości musiało swoje potrwać. Trochę gorzej, że rodzice rozciągnęli zakaz z realu na wirtual i poza uczestnictwem w lekcjach nie mogła korzystać z sieci dla swoich potrzeb.

Nie próbowała nawet twierdzić, że na to nie zasłużyła, chociaż już kiedyś odkryła, że świadomość sprawiedliwości kary nie czyni jej mniej dotkliwą. Niemniej, jak usłyszała od ojca w młodszym, durniejszym nieco wieku, kara z definicji ma być przykra i tyle.

Ostatecznie jednak nie było najgorzej, ponieważ miała dzięki temu sporo czasu na zgłębianie łączącej ją z Lionheartem więzi. Z wolna nabrała pewności, że treecat potrafi świetnie wyczuwać jej emocje, chociaż było jej przykro, iż w drugą stronę nie działa to równie dobrze. Niemniej zdarzały się chwile, na razie tylko ulotne, gdy wylapywała coś z jego odczuć, i była niemal pewna, że nie jest to złudne wrażenie.

Nie wspomniała o tym nikomu, nawet rodzicom, i nie zamierzała tego robić. Mocno podejrzewała, że właśnie dzięki kontaktowi empatycznemu tak dobrze odczytuje mowę ciała treecata, ale nie chciała dzielić się tą informacją. Oboje doświadczyli już dość natręctwa, a podobne oświadczenie dodatkowo podniosłoby temperaturę sporów o zdolności treecatów w zakresie komunikowania się.

Większość ksenoantropologów, którzy uznali je za rasę inteligentną, była przekonana, iż w jakiś sposób muszą się porozumiewać, ponieważ w przeciwnym razie nie byłyby zdolne tak długo ukrywać swojej obecności przed ludźmi. Nie miałyby na to szans bez współpracy i wypracowania wspólnej strategii, a to z kolei wymagało sprawnego kanału komunikowania się. Tylko jaki był to kanał i o jakich dokładnie właściwościach?

Obserwacje Stephanie i Lionhearta, poczynione w czasie, gdy rodzice dopuszczali jeszcze do nich naukowców, sugerowały istnienie szczególnej więzi pomiędzy obojgiem. Nie potrafiono jednak zdefiniować jej charakteru. Czy treecat naprawdę wyczuwał jej emocje? Czyżby napotkano istotę obdarzoną aż tak rozwiniętym zmysłem empatii, że pozwalałby na przekazywanie emocji na całkiem innym poziomie, niż działo się to między ludźmi? A jeśli naprawdę potrafiły przekazywać je i odbierać w kontrolowany sposób, to może były także

telepatami? Może mogły komunikować się samą myślą? A jeśli tak, to czy ich myśli przybierały postać przekazu werbalnego? A może były to obrazy lub nawet całe dynamiczne scenki? Czy też surowe stany świadomości, nieujęte w żadne karby? Ile potrafiły sobie w ten sposób przekazać, jak złożone były te komunikaty? Treecaty używały narzędzi, ale były to proste narzędzia. Czyżby nie były zdolne do operowania bardziej złożonymi pojęciami?

Odpowiedzi nikt na razie nie znał.

Naukowe podejście do treecatów nadal naznaczone było sceptycyzmem. Nikt nie palił się do przedwczesnego wyciągania wniosków, co zdaniem Stephanie świadczyło o niechęci świata akademickiego do zaakceptowania rzeczy oczywistych i obawie, że jeśli ktoś wyrwie się przed szereg, w całkiem nienaukowy sposób dostanie po uszach. Mimo to dość powszechnie zgadzano się, że treecaty muszą być co najmniej silnymi empatami, a sądząc po pewnych przesłankach, być może także telepatami.

Pozornie nie było to wiele, ale i tyle starczyło, by niektórzy uznali odkrycie tych stworzeń za sensację. Mimo tysięcy lat wytężonych badań i poszukiwań ludzkości nie udało się dotąd zdobyć żadnych dowodów na istnienie czegoś takiego jak kontrolowane zdolności „psioniczne”. Stephanie nie miała wcześniej na ten temat sprecyzowanego zdania, jednak późniejsze lektury przekonały ją, że samo zjawisko istnieje, ponieważ w dziejach ujawniło się zbyt wiele „samorodnych talentów”, których dokonania trudno byłoby zignorować. Mimo to nikt nie zdołał dotąd zbadać istoty zjawiska ani znaleźć metody pozwalającej na wyskakiwanie owych zdolności. Tym samym nie było wiadomo, jak wykształcić je w sobie albo chociaż „obudzić” w kimś, kto mógł być potencjalnie nimi obdarzony. Nie napotkano także żadnej obcej rasy, która by to potrafiła. Inna sprawa, że treecaty były dopiero dwunastym niezemskim gatunkiem, który używał narzędzi.

Podsumowując - niemal wszyscy zainteresowani tematem stąpali po ziemi nieznannej.

- Czy dobrze rozumiem, że nie zamierzasz skapitulować przed naszym szefem rangerów? - spytał w pewnej chwili ojciec, wrywając Stephanie z zamyślenia.

- Zawsze powtarzasz, że jestem uparta, tato - odparła, odwracając się z uśmiechem od okna.

- I widzę, że ciągle mam rację - mruknął Richard.

- Tak jakby - zaśmiała się Steph.

- Jednak nie bardzo wiem, co jeszcze możemy zrobić - zastanawiała się głośno Marjorie. - Shelton kieruje Służbą Leśną Sphinksa i nie przypuszczam, by nawet MSW mogło wydać mu polecenie w tej sprawie. Zakładając oczywiście, że pani minister byłaby skłonna nas poprzeć.

Stephanie pokiwała ze smutkiem głową. Odwiedziła już z rodzicami Idoję Vazquez, minister spraw wewnętrznych Królestwa Manticore, i dość ją polubiła. Była pewna, że Vazquez jest po jej stronie (o ile była jeszcze jakaś inna strona), ale mama miała rację co do zakresu władzy Sheltona. Obecna konstytucja Królestwa obowiązywała dopiero od niecałych czterdziestu lat i była bardzo odmienna od poprzedniej. Steph rozumiała z grubsza, dlaczego pierwsze pokolenie kolonistów dokonało zmiany - sama też wolałaby nie obudzić się pewnego dnia w świecie opanowanym przez nowo przybyłych, którym rząd opłacił na dodatek podróż na Manticore. Domyślała się, że temu właśnie miało zapobiec ustanowienie monarchii i nadanie pierwszym osadnikom tytułów szlacheckich. Dzięki temu nie groziło im, że zostaną odsunięci od władzy, nawet jeśli obecnie w Królestwie był nadmiar baronów czy earłów, którzy nie musieli parć się żadną pracą, podczas gdy innych życie zmuszało do uprawy roli i dojenia krów.

Ubocznym skutkiem zmiany konstytucji był ciągle niejasny zakres odpowiedzialności różnych służb i instytucji oraz brak jednoznacznej interpretacji niektórych zapisów. Na przykład dotąd nie ustalono, kto dokładnie jest uprawniony do udziału w wyborach parlamentarnych. W przypadku Sphinksa było jeszcze gorzej, ponieważ - jak wspomniał Shelton - pierwsi koloniści zjawili się na nim ledwie pięćdziesiąt lat temu, i na dodatek niedługo później zostali zdziesiątkowani przez Zarazę. Obecnie wkładano wiele pracy w uregulowanie wszystkich niejasnych kwestii, co stawiało Sphinksa w pozycji uprzywilejowanej w porównaniu z trzecią nadającą się do zamieszkania planetą układu. Tam nic nie zaczęto jeszcze robić, chociaż niektórzy wielce utytułowani mieszkańcy Manticore otrzymali już nadania ziemi na Gryphonie.

Wizja całej olbrzymiej planety, na której nikt jeszcze nie mieszkał na stałe, była dla urodzonej na Meyerdahlu Stephanie czymś niezwykłym. Populacja jej rodzinnego globu przekroczyła niedawno próg sześciu miliardów, podczas gdy na Sphinksie zbliżała się dopiero do dwóch milionów, i to w czasie nasilonej imigracji. To były ledwie trzy setne liczby mieszkańców Meyerdahla i góra dwie trzecie tej liczby ludzi, którzy żyli w samym Hollister. A gdzieś tam czekała jeszcze trzecia, całkiem niezagospodarowana planeta... Wszystko to kazało jej spojrzeć na problem Sheltona z zupełnie innej perspektywy, zwłaszcza gdy chodziło o braki kadrowe w zestawieniu z olbrzymim i słabo poznanym obszarem, nad którym sprawował pieczę. No i uzasadniało wątpliwości matki Steph, na ile rząd Królestwa jest w stanie rozkazać cokolwiek głównemu rangerowi.

- Gdyby minister Vazquez nie miała jasności, jak wygląda jej służbowa relacja z Sheltonem, sprawa mogłaby zostać wyjaśniona na drodze debaty parlamentarnej -

podpowiedział całkiem poważnie Richard.

- Chyba nie myślisz fatygować Korony tylko po to, by nasza córka została stażystką Służby Leśnej? - spytała z niedowierzaniem Marjorie. - Wiesz, że popieram jej plany całym sercem, ale to byłaby chyba drobna przesada?

Spojrzała wyczekująco na męża, który parsknął śmiechem.

- Jeśli tak na to spojrzeć, to owszem - przyznał i obróciwszy głowę, mrugnął do Stephanie. - Ale miałem na myśli coś jeszcze, Marge.

- Coś jeszcze?

- Tak - odparł z westchnieniem. - Zastanawiam się nad tym od czasu, gdy dowiedzieliśmy się o istnieniu treecatów, a zwłaszcza od chwili, gdy ludzie zaczęli na serio rozważać możliwość, iż mogą one być czymś więcej niż sympatycznymi zwierzątkami z zielonego lasu. Obawiam się, że obecność drugiej inteligentnej rasy na planecie, którą uznaliśmy za naszą, może wywołać cały szereg problemów. Pamiętasz, co działo się na Barstoolu?

Stephanie wciągnęła gwałtownie powietrze, słysząc słowa ojca. Trochę czytała o tamtej sprawie. Pierwsi osadnicy na Barstoolu też nie byli świadomi, że ktoś zamieszkiwał już „ich” planetę. W tamtym przypadku chodziło o dwudyszne istoty, które budowały swoje osiedla pod wodą i po prostu nie rzucały się w oczy. Na brzeg wychodziły rzadko, obawiając się lądowych drapieżników, chociaż przy przyciąganiu wynoszącym tylko 0,75 ziemskiego nie były one równie silne czy szybkie jak hexapumy czy górskie niedźwiedzie.

Koloniści na Barstoolu nie byli zachwyceni odkryciem prawowitych gospodarzy. Fakt, że amfory, jak ostatecznie nazwano krajowców, były wyraźnie mniej inteligentne od ludzi (odnosząc się oczywiście do średniej ludzkiej inteligencji), pogorszył jeszcze ich sytuację. W uniwersalnej skali przypisano im wartość 0,7, co lokowało je poniżej ziemskich delfinów. Zanim jeszcze sprawdzono rzecz dokładnie, rząd Barstoolu oficjalnie uznał je za zwierzęta, co dało początek eksterminacji. Trzydzieści lat później amfory były już rasą wymarłą i dlatego właśnie, chociaż treecaty zostały odkryte jako dwunasty obcy gatunek używający narzędzi, współczesne badania obejmowały tylko jedenaście kultur. Przynajmniej na razie.

Jak wspomniał kiedyś ojciec Stephanie, nie była to „najchlubniejsza karta historii ludzkości”.

- Naprawdę myślisz, że to może powtórzyć się na Sphinksie, tato? - spytała Stephanie, odruchowo przytulając Lionhearta.

Treecat poruszył się i objął jej rękę pięcioma posiadanymi łapami. Steph uśmiechnęła

się do niego, czując, że próbuje dodać jej otuchy, ale jej oczy pozostały poważne.

- Nie wiem. Nie sądzę, by do tego doszło, słonko, ale nie mam pewności - odparł spokojnie Richard. - Między innymi dlatego nie zależy nam z mamą na rozgłaszaniu wszem wobec, jak bardzo treecaty są inteligentne. To mogłoby otworzyć puszkę Pandory.

Obejrzał się na córkę, ona zaś przytaknęła na znak, że rozumie. Wiedziała, że rodzice nie zwykli jej okłamywać nawet wtedy, gdy pytanie było z gatunku trudnych. Zawsze wybierali szczerłość.

- Barstool do dzisiaj odczuwa konsekwencje tamtej decyzji - dodał Richard, spojrzawszy z powrotem na wyświetlacz wozu. - Niemal wszystkie zamieszkane światy potępiły to, co zrobiono z amforami. Ogólna reputacja planety nadal jest gorzej niż zła, kilka światów zaś ciągle bojkotuje wszystko, co ma związek z Barstoolem. Nie utrzymują z nim kontaktów handlowych, nie pożyczają pieniędzy, nie inwestują tam... Zgromadzenie Ligi Solarnej podjęło oficjalną rezolucję potępiającą działania rządu Barstoolu. - Pokręcił głową. - Biorąc to wszystko pod uwagę, nie przypuszczam, by ktokolwiek chciał iść w jego ślady, ale ludzie bywają zdolni do potwornych zbrodni. Udaje nam się też wiele dobrego i osobiście sądzę, że dobro ostatecznie przeważa, ale zawsze znajdzie się ktoś podły, gotowy czynić zło, o ile reszta ludzi go nie powstrzyma. W tym przypadku obowiązek chronienia treecatów spada na nas oraz wszystkich pracowników Sheltona. Tyle że Służba Leśna Sphinksa podlega rządowi planetarnemu, nie rządowi całego układu gwiazdowego. To lokalna służba. Jeśli parlament Sphinksa zezwoli na eksploatację terenów, na których żyją treecaty, albo poprzez bardziej inwazyjne ich badania, nie będzie żadnej wyższej instancji, która mogłaby to odwrócić. Dlatego właśnie mama nie jest pewna, czy Vazquez ma prawo wydawać polecenia służbowe Sheltonowi. A jak sama wiesz, Sphinx jest ciągle słabo zaludniony, przy czym większość jego mieszkańców to zerowcy, którzy nie mogą jeszcze głosować.

Stephanie słabo orientowała się w tych sprawach, ale rozumiała, do czego ojciec zmierza. Chcąc zachęcić imigrantów, wyludnione po Zarazie Królestwo zaproponowało ludziom gotowym przenieść się na Manticore lub Sphinksa bezzwrotne kredyty w wysokości równej cenie biletu na przelot, przy czym osobom o szczególnie przydatnych umiejętnościach (jak rodzice Stephanie) doliczano jeszcze premię. Ci, którzy mogli sami kupić bilet, otrzymywali po przybyciu całość sumy. Kto zapłacił tylko część stawki, dostawał kwotę pomniejszoną o dofinansowanie. Najbiedniejsi, niemający nic, znani byli jako „zerowcy”, ponieważ lądowali z wyzerowanym stanem konta.

Harringtonowie nie musieli płacić za przelot (choć prawie byłoby ich stać), dysponowali więc zarówno kredytem, jak i własnymi oszczędnościami. Odliczywszy kwotę



potrzebną na budowę domu oraz zakup niezbędnego w pracy sprzętu, resztę ulokowali w ziemi, co wprawdzie nie uczyniło z nich „młodszej arystokracji”, ale starczyło na zapewnienie sobie statusu majątnych „yeomanów”, czyli posiadaczy ziemskich, zyskujących prawa wyborcze w rok po przybyciu (w tym przypadku chodziło o rok Manticore, równy mniej więcej dwudziestu jeden standardowym miesiącom). Zerowcy mogli głosować dopiero wówczas, gdy ustabilizowali swoją sytuację finansową na tyle, by przez pięć kolejnych lat płacić podatki. To oznaczało, że obecnie czterdzieści, a może nawet pięćdziesiąt procent mieszkańców Sphinksa nie brało udziału w wyborach i nie miało żadnego wpływu na politykę rządu.

- Nie wiem, jak starzy koloniści zareagują na nowiny, szczególnie jeśli okaże się, że treecatów jest tutaj znacznie więcej, niż ktokolwiek może obecnie przypuszczać - mówił dalej Richard. - Na pewno jednak ich los będzie zależeć od decyzji miejscowego rządu. Ten rząd to nie jest w sumie liczna grupa ludzi, przez co ledwie kilka osób, gdy uda im się pozyskać większość, może zdecydować w nim o takiej czy innej polityce. I dlatego właśnie musimy jak najszybciej zacząć starać się o ich przychyłność.

## ROZDZIAŁ XV

- Czy naprawdę muszę lecieć, tato? - spytała Stephanie z poważną miną i Richard Harrington spojrzał na nią zdumiony.

- Nie chcesz? Myślałem, że ucieszyłaś się, gdy burmistrz Sapristos zaproponował to spotkanie.

- Wtedy tak, ale potem...

Nie dokończyła zdania, a siedzący na jej ramieniu Lionheart miauknął cicho, ale z przejęciem. Podrapała go za uszami, chcąc przeprosić za swój nastrój, jednak rzeczywistość nie czuła się najlepiej. Ledwie trzy tygodnie temu doszło do katastrofy promu transportowego z Arvidem Ehrhardtem na pokładzie, co już samo w sobie było tragicznym zdarzeniem, jednak potem zrobiło się jeszcze gorzej. Najpierw pojawiła się wiadomość, że nie chodziło o zwykłą katastrofę, ale morderstwo zaplanowane przez osobę, która zamierzała zgładzić też cały klan treecatów tylko po to, by ukryć swój błąd! Wczoraj zaś ukazał się pełen przygnębiających szczegółów wstępny raport, podpisany wspólnie przez Służbę Leśną i ekipę dochodzeniową Korony. Steph nie doszła jeszcze do siebie po jego lekturze i ile razy przypominała sobie, że dla sprawców tragedii treecaty były „tylko zwierzętami”, robiło jej niedobrze. Świetnie wiedziała, że jest inaczej, ale nie miała pomysłu, jak przekonać o tym wszystkich innych, i w ogóle dość miała chwilowo całego świata i nawet lotniarstwo jej nie kusilo.

- Nie zamierzam zmuszać cię do czegoś, na co nie masz ochoty - powiedział jej ojciec.

- Masz już czternaście lat, a to na pewno dość, by samodzielnie podejmować decyzje. Zwłaszcza w takich sprawach. Chciałbym jednak zwrócić twoją uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze, burmistrz Sapristos też będzie tam obecny i może oczekiwać, że pomożesz mu w organizacji lotów. Po drugie zaś, stanowczo za rzadko spotykasz się z rówieśnikami, a to jest idealna po temu okazja. No i Lionheartowi nie zaszkodzi, gdy spędzi trochę czasu między ludźmi. Zwłaszcza po tym wszystkim. Niech zobaczą was razem, przyjrzą się wam i tak dalej. Na pewno zrobicie dobre wrażenie, co bardzo się przyda, gdy dojdzie do ogólnej dyskusji, jak rząd i Służba Leśna powinny zareagować na fakt istnienia treecatów.

Stephanie pokiwała głową, nie dodając, że „rzadko spotyka się z rówieśnikami”, ponieważ nie ma na to ochoty. Kilka konkretnych osób z tej bandy doprowadzało ją prawie

do szalu. Z drugiej strony ojciec trafił w sedno. Niechętnie, ale musiała przyznać mu rację.

- Dobra, tato. Coś w tym jest. Pójdę po lotnię.

\*\*\*

- Tylko nie wpakuj się w żadne kłopoty - powiedział surowym tonem Richard Harrington, gdy Stephanie wysiadła z wozu i otworzyła bagażnik, żeby wyjąć lotnię.

- Kto? Ja? - Spojrzała na niego niczym urażony niesłusznym oskarżeniem wzór cnót dziewczęcych. Siedzący na jej ramieniu Lionheart również przybrał pozę skrzywdzonej niewinności, ale Richard nie dał się oszukać.

- Tak, ty. A raczej wy oboje. - Pokręcił głową i pogroził palcem tuż przed nosem treecata. - Wiem, że wpływasz uspokajająco na to źródło zła wszelakiego, ale nie mam złudzeń, że gotów jesteś wesprzeć ją w każdej awanturze. Za dobrze pamiętam, jak się spotkaliście.

Mimo najlepszych intencji i świadomości, że najlepiej będzie przyjąć połajankę w pokorze, Steph uniosła oczy do nieba. Sądząc po obecnym stanie rzeczy, dojdzie czterdziestki, zanim rodzice zaczną traktować ją jak dorosłą. Szczęśliwie ojciec tylko parsknął śmiechem, widząc jej minę, zaraz jednak spoważniał.

- Serio, Steph - powiedział, kładąc jej dłoń na wolnym ramieniu. - Nie zapominaj, że wszyscy będą was obserwować, a oni ciągle...

- Ciągle nie wierzą, że treecaty są naprawdę przyjazne - dokończyła Stephanie. - Jasne, tato. Lionheart też to rozumie.

- Wiem - stwierdził ojciec. - Ale pamiętajcie, że to szczególnie ważne. To, dokąd będziesz mogła chodzić z Lionheartem, zależy przede wszystkim od zdania dorosłych na jego temat. Jeśli uznają, że jest tylko zwierzątkiem domowym, albo i gorzej, że może być groźny dla nich i dla ich dzieci, trudno powiedzieć, jak głupie pomysły zaczną im się lęgnąć w głowach, byle tylko odsunąć was jak najdalej. A w dłuższej perspektywie może to mieć olbrzymi wpływ na kwestię uznania treecatów za istoty rozumne. Przyswoiłaś?

- Tak jest - odparła z powagą Stephanie, wywołując uśmiech ojca.

- I dobrze! A skoro tak, to udanej zabawy - powiedział, wskazując na ludzi zgromadzonych na skraju trawiastego pola wzlotów. Potem wsiadł do wozu i odleciał.

\*\*\*

Idąc z Lionheartem w stronę reszty lotniarzy i widzów, Stephanie pomyślała, że impreza byłaby całkiem miłą, gdyby chodziło jedynie o pochwalenie się nową lotnią. Na to nawet się cieszyła, gorzej, że musiała przy tej okazji ścierpieć obecność kilku osób, za którymi wcale nie tęskniła. Zwłaszcza Trudy Franchitti i Stana Changa...

Niestety, nie miała szansy wycofać się w dyskretny sposób. Gdyby to zrobiła, wszyscy doszliby do wniosku, że po prostu uciekła, a ojciec miał rację, wspominając o potrzebie wywarcia dobrego wrażenia. I dlatego, gdy tylko burmistrz Sapristos zaproponował jej wstąpienie do klubu lotniarskiego organizowanego przez absolwentów założonej dwa lata wcześniej szkółki, zgodziła się, stawiając tylko warunek, że zabierze ze sobą Lionhearta. Co ciekawe, pan Sapristos nie wahał się ani chwili i z miejsca wyraził zgodę, chociaż nie byłoby wcale dziwne, gdyby oponował przeciwko obecności treecata.

- Cóż - szepnęła Lionheartowi, gdy byli już blisko. - Chyba szybko się przekonamy, na ile dobry był to pomysł.

- Bleek - odparł treecat półgłosem.

Steph zachichotała i podrapała go między uszami.

\*\*\*

Wspinający się Szybko nie miał pewności, dlaczego właściwie się tu zjawili, co napełniało go niejakim niepokojem. Jego przyjaciółka niosła na drugim ramieniu złożone urządzenie do latania, ale to nie wydawało mu się już groźne, chociaż gdy pierwszy raz zabrała go ze sobą w powietrze, podszedł do sprawy mocno nieufnie. Ostatecznie jej sławetna samodzielna wyprawa nie zakończyła się najlepiej.

Wtedy szybko się okazało, że obawy były bezpodstawne, a wyczuwalne zdenerwowanie przyjaciółki nie miało związku z pechowym zakończeniem tamtego lotu. I to już było intrygujące, ponieważ bez dwóch zdań coś ją męczyło. Nie chodziło przy tym o znajomy mrok myśli związany z losem Klanu Jasnego Serca. To było coś innego... ostrzejszego i bardziej konkretnego. Z frustrująco rozdrobnionych okrucichwów emocji wywnioskował ostatecznie, że sprawa dotyczyła przede wszystkim innych młodych osobników obecnych w oczekującej grupie. Z jakiegoś powodu jego przyjaciółka uważała, że powinni postarać się zyskać ich akceptację, chociaż równocześnie uważała to za prawie niemożliwe. Było to na tyle dziwne, że Wspinający się Szybko zastrzygł uszami i sięgnął umysłem do myśli tamtych.

Nie potrafił wyczuć ich równie dokładnie jak myśli własnego dwunoga, ale i tak dostrzegał dziwną odmienność. Tamte umysły były równie jasne, ale nie tak silne. Nie miały w sobie tyle... mocy? A może chodziło o koncentrację, jakiś wewnętrzny ład? Wspinający się Szybko nie potrafił tego nazwać, zwłaszcza że chodziło o dość subtelną różnicę. Po chwili zauważył jednak, że myśli jego przyjaciółki stają się podobnie chaotyczne czy niespójne. Trochę tylko, ale zauważalnie.

I po co tu właściwie przyszedliśmy? - zastanowił się ponownie. Po co, skoro ona aż tak

bardzo nie lubi tamtych młodych osobników? Chociaż nie, to niedokładnie tak. Ona raczej... czuje się źle w ich towarzystwie. Albo nawet gorzej. Czuje się przy nich niepewnie, uznał Wspinający się Szybko, gdy podeszli do grupy. Może nawet się ich boi?

Ostatnie przypuszczenie naprawdę go zdumiało. Jego dwunóg bardzo rzadko okazywał niezdecydowanie czy brak pewności siebie. Mógł się czasem mylić, ale nie przeżywał katuszy niepewności. Oczywiście było to oznaką młodości, i chociaż często przydatne, z czasem miało się zmienić. Ale przecież nie teraz i nie tutaj! Ku zaskoczeniu Wspinającego się Szybko jego przyjaciółka zdawała się nie wierzyć, iż zdoła znaleźć z tamtymi młodymi wspólny język, współdziałać z nimi w grupie. Zupełnie bez sensu, bo przecież była mądrzejsza i bardziej doświadczona od nich, a sądząc po stanie umysłów grupy, oni o tym doskonale wiedzieli. Niektórzy zazdrościli jej nawet tego, co nie było niczym niezwykłym, także pośród Ludu. Dzieciarnia po prostu taka bywała, ale...

Ale oni mają ślepe umysły, przypomniał sobie Wspinający się Szybko. Wiedział to od początku, ale nie ogarniał jeszcze wszystkich skutków tego faktu. Istnienia niektórych nawet dotąd nie podejrzewał i czekało go jeszcze sporo pracy, nim naprawdę zrozumie położenie dwunogów. Skoro nie czuli cudzego blasku umysłu, musieli poruszać się na oślep. Całkiem jakby biegali po gałęziach, nie widząc słońca ani drogi przed sobą. Dla Wspinającego się Szybko było to coś trudnego do wyobrażenia i z miejsca uznał rzecz za jedną z najważniejszych różnic między Ludem i dwunogami. Obcy byli poważnie upośledzeni i trudno było pojąć, jakim sposobem w ogóle zdołali przetrwać, o osiągnięciu takiego poziomu rozwoju nie wspominając.

Zrozumiał jednak, przynajmniej po części, niepokój ojca przyjaciółki, który tak bardzo przejmował się dzisiejszym spotkaniem. Wychodziłoby na to, że podobnie jak Lud bał się dwunogów, oni potrafili obawiać się przedstawicieli Ludu. Z pozoru była to absurdalna myśl, zważywszy na to, jak doskonałymi narzędziami dwunogi dysponowały, ale faktycznie - nie posiadały ani kłów, ani pazurów. Miały prawo czuć się nieswojo w jego obecności. A gdyby jeszcze stało się tak, że jego przyjaciółka pokłóciłaby się z kimś, on zaś dołożył swoje do sporu... Była to czysto teoretyczna możliwość, gdyż Wspinający się Szybko nie był skłonny uczynić krzywdy żadnemu dwunogowi... chyba że zagroziłby on życiu lub zdrowiu jego przyjaciółki.

Niemniej w młodych osobnikach nie wyczuwał specjalnego strachu. Starszy dwunóg, który chyba tu przewodził, również się nie bał, chociaż z daleka promieniował czujnością. Dzieciarnia wydawała się nie wiedzieć, czego może oczekiwać. W jej umysłach kotłowały się różne emocje, przy czym najsilniej przebijały takie, jak zaciekawienie, fascynacja, zazdrość,

zawiść, chciwość i zauroczenie. Trudno było powiedzieć, która z nich akurat bierze u kogoś górę, ale całość nie zwiastowała żadnego zagrożenia. A skoro tak, należało zaprezentować się z jak najlepszej strony.

\*\*\*

- Miło, że dałaś radę dotrzeć, Stephanie! - powiedział pan Sapristos.

- Dziękuję, sir - odparła Steph. - Przepraszam, że opuściłam ostatnio tyle zajęć, ale wszyscy zadawali mi tyle pytań o Lionhearta... Przez kilka tygodni w ogóle...

Nie dokończyła, wzruszając ramionami, Sapristos zaś pokiwał ze zrozumieniem głową.

- Jak pewnie widzisz, w naszej grupie pojawiło się kilka nowych twarzy. Na przykład Jake Simpson czy Allison Dostoevskaya. Toby też jest z nami dopiero od paru miesięcy, gdyż jego rodzina dopiero co przeniosła się tutaj z układu Balthazara.

- Cześć - powiedziała Stephanie z uśmiechem, starając się nie zauważać, jak wszyscy wkoło wgapiali się w Lionhearta.

Nowi przywitali się niemrawo, kiwając tym i owym, Sapristos zaś uśmiechnął się zadowolony.

- Mamy już tylu uczestników, że możemy stworzyć dwie grupy - powiedział burmistrz, tym razem zwracając się do wszystkich kursantów. - Opracowałem system punktacji mający wyrównać wasze szanse przy różnych poziomach wyszkolenia. Rozpiskę tak ułożyłem, by ani grupa niebieska, ani czerwona nie czuły się pokrzywdzone. Na początek proponuję kilka godzin swobodnych lotów dla sprawdzenia systemu. Jakby coś nie pasowało, zgłaszajcie i zobaczymy, co da się zrobić. Na razie można jeszcze wszystko zmienić. Gdy już się z tym uporamy i obie grupy zgłoszą gotowość, zaczniemy zawody. Poza tym, co zwykle, czyli indywidualnymi wynikami, będziemy brali też pod uwagę rezultaty grupowej rywalizacji w takich elementach, jak długotrwałość lotu, osiągnięty pułap, loty w szyku i akrobacja. Dodatkowo Trudy zaproponowała jeszcze wyścigi sztafetowe i grupowe przeloty docelowe - powiedział, wskazując spojrzeniem na ciemnowłosą i błękitnooką Trudy Franchitti.

Wszyscy pokiwali głowami i Stephanie nie wyłamała się. Co więcej, poczuła przypływ zainteresowania. Wiedziała, że w powietrzu jest lepsza od większości, może nawet od wszystkich dzieciaków, i wprawdzie uważała lotniarstwo za sport z gruntu solowy, pozwalający nie zawracać sobie głowy gorszymi, jednak zespołowa rywalizacja mogła okazać się ciekawa. Nie na tyle, by wpadać z jej powodu w szał radości, ale łączenie indywidualnych zdolności i współpracy zespołu było czymś, czego warto spróbować.

Zapewne warto.

- Dobrze - stwierdził Sapristos. - Proszę teraz zmontować lotnie. Gdy wszyscy uporają się z listami przedstartowymi, będziemy ruszać w powietrze.

\*\*\*

Stephanie wyczuwała zdenerwowanie Lionhearta podczas pierwszego wspólnego lotu i w pełni je rozumiała. Treecat zachował się jednak bardzo dzielnie. Najpierw towarzyszył ojcu Steph, gdy ten budował dla córki nową lotnię, tym razem przydając jej moduł antygravitacyjny sporej mocy, i pomagał, jak mógł, gdy przyszło do dopasowywania specjalnej upręży zabezpieczającej w kocim rozmiarze. Została zamocowana wprost do ramy lotni, tuż za głównym dźwigarem, czyli w miejscu dającym największe szanse ocalenia w razie katastrofy. Miało to sens tym bardziej, że na razie brakło pomysłu, jak właściwie powinien wyglądać kask dla Lionhearta. Dodatkowo treecat znajdował się w ten sposób tuż za Stephanie, co pomagało im utrzymać kontakt.

Stephanie przekonała się już, że jak na stworzenie nieużywające mówionego języka, Lionheart wykazywał się nadzwyczajnym bogactwem wokalizacji. Nie wydawało się, by którykolwiek z tych odgłosów niósł ze sobą precyzyjne znaczenie, z pewnością jednak oddawały nieźle stan emocjonalny treecata. Skłonna była nawet uznać, że pełnią one podobną rolę w komunikacji jak ludzkie grożenie palcem, gdy prawi się komuś kazanie, albo tupanie nogą podkreślające pełną gniewu wypowiedź.

Czy naprawdę nie kryło się za nimi nic więcej oraz czy były wspólne wszystkim treecatom, pozostawało na razie kwestią niewyjaśnioną, niemniej podczas pierwszego lotu Lionheart pomiaukiwał i powarkował z wyraźnym przejęciem. Szybko się jednak opanował i z czasem polubił nawet powietrzne rozrywki. Teraz wykazał więcej entuzjazmu niż Steph, wskakując energicznie na swoje miejsce i czekając cierpliwie na zapięcie upręży.

Steph zaśmiała się i sprawdziwszy dwa razy, czy treecat jest bezpieczny, zapięła własną uprząż i nałożyła kask. Potem włączyła wyświetlacz na przesłonie przed oczami, uruchomiła na zerowych nastawach moduł antygravitacyjny i spoglądając na burmistrza, uniosła prawą rękę na znak, że jest już gotowa.

Kilkoro lotniarzy skończyło przygotowania przed nią, co nie dziwiło, skoro nie mieli treecatów na pokładzie, jednak Steph i tak znalazła się w czołówce. Sapristos, który też przeszedł już listę przedstartową, skinął aprobująco głową, ale musiał jeszcze poczekać na pozostałych. Jako ostatni zgłosił gotowość Toby Mednick. Wyglądał na mocno zakłopotanego tym faktem i Stephanie miała wrażenie, że dostrzega na jego twarzy rumieniec. Nie była pewna, ponieważ najnowszy nabytek grupy miał raczej ciemną karnację,

ale na wszelki wypadek pokazała mu uniesiony kciuk. Chłopak uśmiechnął się i odpowiedział jej tym samym gestem.

- Dobrze - powiedział Saprastos na częstotliwości lotniarzy. - Na poziomie ziemi wiatr jest słaby, ale powyżej wierzchołków drzew traficie na silne podmuchy z południowego zachodu. Rozproście się po całym polu, nim włączycie antygrawy. Nie chcę żadnych kolizji w powietrzu, gdy będziecie nabierać prędkości. Początkowy pułap na dzisiaj to siedemdziesiąt metrów względem ziemi.

Odczekał, aż wszyscy potwierdzą odbiór, po czym pokiwał głową.

- Lecimy!

\*\*\*

Stephanie położyła swą pomalowaną w tygrysie, pomarańczowo-czarne pasy lotnię na lewe skrzydło, wchodząc jednocześnie w ostre nurkowanie. Roześmiała się, słysząc przebijające przez szum powietrza radosne bleknięcie Lionhearta. Po raz pierwszy spróbowała akrobacji w jego towarzystwie i była pewna, że wyczuwa zachwyty treecata.

Dzisiejszy rozkład lotów nie przewidywał bicia indywidualnych rekordów, ale sporo czasu spędzili, ćwicząc utrzymanie szyku, co okazało się nawet ciekawe. Stephanie była coraz bardziej przekonana do zespołowego latania. Potem burmistrz dał im pół godziny swobody. Steph zdawała sobie sprawę, że dzieciaki odbiorą jej wyczyny jako „popisywanie się”, ale postanowiła się tym nie przejmować. Wzniosła się spiralą kilka razy wyżej i z miejsca poczuła, że zabranie ciepłej kurtki nie było przesadą, a potem przez prawie dwadzieścia minut zmagła się radośnie z wiatrem.

Trwało trochę, nim dostrzegła zgromadzony w dole tłum widzów. Zasadniczo nie więcej niż trzydzieści osób, ale jak na zapadłą dziurę w rodzaju Twin Forks był to całkiem spory spód. Wszyscy stali z uniesionymi głowami i osłaniali oczy przed słońcem, obserwując krążące lotnie.

Skoro tak już wyszło, należało wykorzystać okazję i dać dodatkowe przedstawienie. Oczywiście z udziałem Lionhearta.

Stephanie zwiększyła kąt nurkowania i weszła jednocześnie w ostrzejszy zakręt w kierunku pola wzlotów, które służyło poza tym niekiedy jako stadion lekkoatletyczny. Zmieniwszy kąt natarcia, zaczęła wytracać szybkość, by podejść ostatecznie do lądowania. Szczęśliwa i wcale niezmeńczona leciała nisko nad ziemią niczym zamierzający osiąść na skałach czteroskrzydły orzeł górski Sphinksa.

\*\*\*

Pęd powietrza zmusił Wspinającego się Szybko do przymknięcia oczu, ale nadal co



rusz bleekał z podniecenia, wtórując w ten sposób radosnym okrzykiem przyjaciółki. I pomyśleć, że kiedyś obawiał się latania! Tymczasem okazało się ono niemal tak wspaniałe jak lodygopęk. A kto wie, może nawet równie dobre...

Wiedział, że w dużych metalowych urządzeniach można latać wyżej i szybciej, ale to było ciekawsze... Tak właśnie muszą doświadczać latania ptaki, zwłaszcza te wielkie, żyjące na szczytach gór. Czuł, jak wiatr przewiewa mu futro i przyciska wibrysy do policzków, targa ciągnącym się swobodnie ogonem. Rozumiał już, co jego dwunóg widział w lataniu.

Teraz ponownie się przechylił i Wspinający się Szybko dostrzegł wyraźnie, w jaki sposób służyło to zmianie przechyłu urządzenia. Szybko pojął, że tak właśnie wybierało się kierunek lotu, i nie był zdumiony, gdy nagle zwolnili. Prędkość lotu malała z każdą chwilą i widać już było, jak ziemia wybiega im na spotkanie. W końcu, gdy ledwie się poruszali, jego przyjaciółka dotknęła stopami trawy i przebiegła kilkanaście kroków, wytracając resztę pędu, śmiejąc się przy tym i oddychając głośno. Gdy się zatrzymała, Wspinający się Szybko sięgnął łapą i poklepał ją po kasku.

\*\*\*

Stephanie ponownie zaśmiała się, czując dłoń Lionhearta na głowie. Słyszała też oklaski widzów, ale to poklepywanie oraz wyczuwalna wyraźnie radość treecata były dla niej największą nagrodą.

- Nieźle, co? - spytała, odpinając kask i obracając się z uśmiechem do treecata. Potem przyklękła i ułożyła lotnię na ziemi. - Podobało ci się, prawda?

- Bleek! Bleek! Bleek! Bleek! - odparł Lionheart, wywołując u Steph kolejny napad śmiechu. Wsunęła kask pod pachę i pogłaskała treecata.

- Jest precudny - powiedział ktoś obok. W sumie nie tyle nawet powiedział, co zapisał, a gdy Stephanie się odwróciła, ujrzała stojącą obok lotni Trudy Franchitti.

Trudy i Stephanie były najlepszymi dziewczynami w szkółce, przy czym Steph skłonna była uważać, że ona sama przewyższa umiejętnościami także Stana Changa, mającego siebie za pana przestworzy całego Sphinksa. No i przekonanego, że Trudy jest bez reszty pod wrażeniem jego wystrzałowych osiągnięć.

Z tego, co Stephanie wiedziała, w zasadzie się nie mylił, przynajmniej co do Trudy. Spędzali razem sporo czasu, nierzadko wymykając się gdzieś na ustronia, a charaktery też mieli, niestety, podobne.

To, że Trudy była dobrą lotniarką i chwilowo znalazła się w tej samej grupie co Stephanie, nie przekładało się na dobre relacje między nimi i nie należało oczekiwać, że zostaną kiedyś przyjaciółkami. Sukcesy sportowe koleżanki nie szły w parze z wydolnością

jej szarych komórek. Trudy była o pełny rok standardowy starsza, a Stephanie wyprzedziła ją już o trzy semestry. Gdy widziało się je razem, można było dojść do wniosku, że jest nawet o kilka lat młodsza od Trudy, która w znacznie większym stopniu przypominała już kobietę. Stephanie oficjalnie nie przejmowała się tym, wiedząc, że figura nie stanowi o powodzeniu życiowym, czasem jednak brała ją lekka cholera. Zwłaszcza w takich chwilach jak teraz, gdy Trudy stawała upozowana w taki sposób, by maksymalnie uwypuklić posiadane od niedawna atrybuty.

A jeszcze bardziej, gdy czyniła to w obecności minimalnie choć atrakcyjnego osobnika rodzaju męskiego. I to takiego, na którym jej pozy robiły wrażenie.

Na Stanie robiły. Stephanie westchnęła w duchu i zerknęła w jego kierunku, nie po raz pierwszy odnotowując to beznadziejne spojrzenie kogoś tęskniącego za inteligencją. Nie, by marzyła o Stanie w nią się tak wgapiającym, ale...

Mimo wszystko polubiłaby pewnie Trudy, gdyby jej centralny układ nerwowy wykazywał się trochę wyższą wydajnością. Albo chociaż dojrzałością. Czy też gdyby (choć to była wersja, o której Steph myślała najrzadziej) nieletnia księżniczka na ziarnku grochu była odrobinę mniej popularna wśród rówieśników.

Oczywiście nie znaczyło to jeszcze, by Stephanie tęskniła za popularnością. Miała dość ciekawych rzeczy do roboty, by nie marnować czasu na rówieśników.

- Naprawdę słodziak - powiedziała Trudy, podchodząc bliżej. Stephanie wyplątywała się jeszcze z upręży. - Też muszę zdobyć takiego. Czy twój Lionheart nie ma jakiegoś kumpla, któremu mógłby mnie przedstawić?

Zamrugła teatralnie powiekami i zachichotała, co przyprawiło Stephanie o lekki dreszcz, i nie był to bynajmniej dreszcz zachwytu. Dodatkowo nie podobało się jej, że Trudy zapalała nagle do niej aż taką sympatią. Czyżby miała ją za kompletną idiotkę, która nie rozumie, skąd ta błyskawiczna zmiana nastawienia?

- Nie przypuszczam - odparła najuprzejmiej, jak potrafiła. - To znaczy, jestem pewna, że ma przyjaciół, ale nie sądzę, by wielu z nich miało ochotę „zadawać się z ludźmi”, jak określiła to moja mama. Osobiście mam to za przejaw ich rozsądku - dodała w nadziei, że uda się jej obrócić sprawę w żart, ale Trudy ani myślała zrezygnować.

- Nie przesadzaj - powiedziała. - Nikt ich wcześniej nie widział, a tu proszę. Pierwszy, co się pokazał, zaraz się z tobą skumał. A skoro tak, to nie może być trudne - stwierdziła, wzruszając ramionami. - Jestem pewna, że to tylko kwestia okazji.

- Obawiam się, że to nie takie proste - mruknęła Stephanie, ze wszystkich sił starając się zachować spokój, chociaż wiedziała, że zero umysłowe w rodzaju Trudy nigdy nie pojmie

jej argumentów albo raczej zrozumie je po swojemu. - Znalezienie ich nie jest łatwe. Trzeba mieć dużo szczęścia. Mi się trafiło. Poza tym nikt nie wie na razie, dlaczego właściwie Lionheart postanowił się mnie trzymać.

- Słyszałam - rzuciła niecierpliwie Trudy. - Ale teraz, gdy już o nich wiemy, łatwiej będzie je wypatrzyć w lesie. Albo na obrzeżach miasta.

- Wierz mi, nikt nie zobaczy treecata, jak długo on sam tego nie zechce - zaśmiała się Stephanie.

- Naprawdę? - spytała Trudy przekrzywiając głowę.

- Naprawdę - potwierdziła zdecydowanie Steph. Uporała się ze swoją uprzężą i wypięła Lionhearta, który wyciągnął wszystkie kończyny w jej stronę i sprawnie wspiął się na ramię opiekunki.

- Ale ty je jakoś znalazłaś - zauważyła Trudy takim tonem, jakby miała to koleżance za złe.

- Poniekąd - rzuciła Steph, wzruszając ramionami. - Ale za pierwszym razem miałam naprawdę wiele szczęścia. Za drugim zasadniczo też, jeśli można to tak nazwać. Nikomu nie życzę podobnych okoliczności zawierania przyjaźni.

- Ta, wszyscy słyszeliśmy o tobie i hexapumie - powiedziała Trudy, wznosząc ostentacyjnie oczy do nieba. - Mój tata mówi, że nikt, kto naprawdę trafi na hexapumę, nie ma szans ująć z życiem.

- Naprawdę tak uważa...? - spytała chłodnym tonem Stephanie i teraz ona przekrzywiła głowę.

Słyszała już podobne opinie, chociaż pierwszy raz ktoś powiedział jej to prosto w oczy, jednoznacznie dając do zrozumienia, że ma całą historię za wymysł. Na dodatek uczynił to ktoś w jej wieku, co było jeszcze bardziej wkurzające. Poza wszystkim zaś Steph miała już dość także samej siebie. Nie powinna w ogóle dać się tak podchodzić tej całej Trudy Franchitti.

- Wiesz, on poluje na hexapumy - powiedziała dumna z siebie panienka. - Mówi, że każdy, kogo hexapuma złapie na ziemi bez broni, jest już zimny trup.

Ostatnie dwa słowa wymówiła z takim zaangażowaniem, że Steph dała sobie chwilę, nim podjęła pojedynek.

Zapewne nie powinna winić ludzi, że ciągle nie dowierzali opowieści o jej ocaleniu. Historia brzmiała przecież tak nieprawdopodobnie. A gdyby nie Lionheart i jego pobratymcy, hexapuma by ją pożarła. Nie nawykła jednak do sytuacji, w których ktoś kwestionował jej prawdomówność. Poza tym Służba Leśna zbadała i obfotografowała truchło bestii, bez trudu

znajdując je we wskazanym przez rodziców Steph miejscu. Czyżby panienska Trudy Franchitti sugerowała, że hexapuma padła na katar?

- No, bronie nie miałam - powiedziała w końcu Stephanie. - Ale miałam to szczęście, że Lionheart i jego przyjaciele zjawili się z pomocą.

- No chyba - rzuciła Trudy. - I do tego właśnie zmierzam. Skoro pomogli tobie, to komuś innemu chyba też mogą?

- Na przykład tobie? - spytała Stephanie i ugryzła się w język, ale było już za późno. Te trzy słowa wystarczyły, by rozwścieczyć Trudy.

- A dlaczego nie? Umiem oswajać zwierzęta. Mam już dwie wiewiórki i wydrę!

Stephanie zacisnęła zęby. Była to jedna z tych chwil, gdy Trudy robiła na niej wrażenie dziewięciolatki i paliła jej akt urodzenia oraz pojawiające się tu i ówdzie krągłości. Słyszała oczywiście o tej biednej wydrze i gdyby tylko miała pomysł, jak ją uwolnić, natychmiast by to zrobiła. Wiedziała też, że to nie Trudy złapała stworzenie; tym się „popisał” jej starszy brat, Ralph, który świecił jeszcze większą głupotą niż siostra.

Skoro cała rodzinka była taka, trudno było żywić nadzieję, że cokolwiek do nich dotrze, nawet gdyby wbijać im to do głów pięciokilowym młotkiem.

- Lionheart nie jest zwierzęciem - powiedziała Steph spokojnie, ale niemal na autopilocie.

Zaczęła składać lotnię w nadziei, że Trudy zrozumie aluzję i pójdzie szerzyć swe mądrości gdzie indziej. Niestety, byłby to zbytek szczęścia, a co gorsza, wkoło zebrała się już spora część uczestników kursu, przy czym Stan Chang, Becky Morowitz i Frank Camara stanęli zaraz za Trudy. Nie było w tym nic dziwnego, bo tworzyli z nią jedną paczkę. Chet Pontier i Christine Schroeder udawali, że niczego nie słyszeli, ale nie byli dobrymi aktorami. Niektórzy widzowie też podchodzili bliżej, zainteresowani zbiegowiskiem.

- Och, wszyscy wiemy, że nie jest zwierzęciem - powiedziała Trudy, jeszcze dramatyczniej przyzywając spojrzeniem niebo na pomoc. - Ale wygląda jak zwierzątko domowe, prawda?

Odejdź stąd, powiedziała sobie Stephanie w duchu, przy czym odniosła wrażenie, że to głos jej matki rozbrzmiał w jej głowie. Odejdź. Dyskusja z tą idiotką nie jest ci do niczego potrzebna, zwłaszcza teraz.

- Naprawdę? - powiedziała, zanim zdołała się opanować, i uniosła głowę nad składaną lotnię. - Naprawdę jest dla ciebie tylko zwierzątkiem domowym?

- Oczywiście! - stwierdziła Trudy zdegustowana, że ktoś może nie rozumieć czegoś tak oczywistego. - Bo wiesz, mój tata urodził się na Sphinksie. I ja też. Jesteśmy tu od

zawsze... w odróżnieniu od niektórych. I on mówi, że to niedorzeczny pomysł, żeby coś tak małego... - Pokazała palcem na Lionhearta. - Żeby mogło mieć prawdziwy mózg. I w ogóle wszyscy to wiedzą.

- To przekaz może tacie, by pogadał o tym z biologami i antropologami, którzy zabijają się, żeby spotkać Lionhearta - odparła Stephanie. - Nie sądzę, by wielu z nich podzielało jego opinię.

- Chcesz powiedzieć, że mój tata jest głupi? - prychnęła Trudy, w niepojęty dla Stephanie sposób zmieniając nagle temat rozmowy. - Sugerujesz, że nie wie, co mówi?

- Nie, nie nazywam twojego ojca głupim - westchnęła Stephanie. Ostatecznie rodzice wpoili jej pewne zasady uprzejmości. - Stwierdzam tylko, że nie zna Lionhearta, a na tym, co ludzie gadają, trudno polegać.

- Na pewno się nie mylą! - warknęła Trudy. - Z rangerami też rozmawialiśmy. Jeśli te stworzenia są takie bystre, dlaczego tyle ich zginęło w zeszłym miesiącu? Chyba nie miały dość rozumu, by się obronić?

Stephanie poczuła, że jeszcze trochę, a nie wytrzyma. Już teraz krew szumiała jej w uszach i pięści same się prosiły, by użyć ich w charakterze argumentów nie do odparcia.

- To nie treecatom zabrakło rozumu, ale ludziom - powiedziała. - To ludzie je zamordowali. Dokładnie doktor Ubel i jej kretyńskie eksperymenty. Gdyby miała tyle oleju w głowie, by...

- Tyle oleju co ty? - rzuciła szyderczym tonem Trudy. - Myślisz, że jesteś aż tak dobra? Że wszyscy mają cię za nie wiadomo kogo, bo masz Lionhearta? Otóż nie. Tata mówi, że jeśli tylko zechcę, też przyniesie mi treecata.

- A niby jak zamierza to zrobić? - spytała Stephanie, tym razem ze złością wywołaną obawą, że ktoś może zagrozić treecatom.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - odparła Trudy z paskudnym uśmieszkiem. - Chyba starczy wspomnieć, że mój ojciec z Ralphem chadza na polowania dłużej, niż wy tu mieszkacie.

- I przez cały ten czas ani razu nie widzieli treecata, prawda? - rzuciła Steph z jeszcze bardziej złośliwym uśmiechem. - To chyba mówi sporo o tym, jacy z nich tropiciele?

- Teraz, gdy wiadomo już, czego szukać, na pewno je znajdą! - powiedziała Trudy podniesionym głosem. - Skoro ty je znalazłaś, to inni też mogą.

Stephanie poczuła, że wzbiera w niej wściekłość, a prawa dłoń odruchowo zwija się w pięść. Sama myśl, że po tym wszystkim, co ją spotkało, ktoś byłby skłonny wyrządzić krzywdę treecatom, i to wykorzystując właśnie jej doświadczenie, była wizją gorzej niż

upiorną.

- Koniec końców - ciągnęła Trudy, nie próbując nawet ukryć satysfakcji, że udało się jej sprowokować Stephanie - prawdziwy myśliwy wie, jak wytropić głupiego zwierzaka. Na pewno znajdą jakiś sposób, by złapać je żywcem, zamiast zastrzelić czy otruć. Jak nie od razu, to z czasem. Praktyka czyni mistrza...

\*\*\*

Wspinający się Szybko wyczuł gniew wzbierający w umyśle dwunoga. Frustrowało go, że nie rozumiał znaczenia dźwięków wydawanych na zmianę przez biorące udział w rozmowie istoty, ale i bez tego docierało doń, że przynajmniej w części wymiana poglądów dotyczy jego osoby, złość jego dwunoga wynika zaś z chęci obrony przyjaciela. Poza tym było coś jeszcze, ale nawet nie znając całości obrazu, potrafił dopowiedzieć sobie dość, by móc w zarysie odtworzyć sytuację.

Lud też dawał się czasem ponieść złości, nierzadko nawet irracjonalnej, zwłaszcza co młodsi jego przedstawiciele. W sumie odkrycie, że dwunogi zachowują się podobnie, czyniło je bardziej bliskimi. Naprawdę wydawali się dzięki temu mniej obcy i odlegli. Owszem, mieli ślepe umysły, ale Wspinający się Szybko zaczynał pojmować, że ta ich słabość może być w pewnych sytuacjach także zaletą. Zdarzało się wśród Ludu, że któryś z adwersarzy na tyle ulegał złości żywionej przez drugą stronę, iż nakręcał się ponad poziom, na którym mógłby się jeszcze wyzwolić z toksycznego kontaktu umysłów. Skutki takich sprzężeń potrafiły być bardzo przykre, z zejściem śmiertelnym włącznie, chyba że komuś, zwykle śpiewającym wspomnienia, udało się wcześniej skonfliktowanych rozdzielić.

Z dwunogami nie było to chyba możliwe, chociaż i bez kontaktu umysłów potrafili najwyraźniej rozpoznać gniew drugiej strony, młodziaki zaś nie próbowały nawet stłumić wzbierającej żywiołowo złości, przez co Wspinający się Szybko był narażony na mentalny atak z obu stron.

Czuł, że sam też zaczyna odpowiadać wściekłością, nad którą coraz trudniej było mu zapanować, zwłaszcza że negatywne emocje tego drugiego dwunoga skierowane były nie przeciwko niemu, ale jego przyjaciółce. Odruchowo wysunął z lekka pazury, gotów stanąć w jej obronie, chociaż wiedział, że chwilowo byłoby to niewskazane. Tamten dwunóg nie stanowił fizycznego zagrożenia, ale Lionheart nie miał wcale pewności, czy jego przyjaciółka nie zdecyduje się na fizyczny atak. Zaczynał wyczuwać w jej umyśle stan podobny do tego zdarzającego się przedstawicielom Ludu, gdy złość rosła nieopanowanie, żywiąc się emocją adwersarza.

Nie był śpiewającą wspomnienia, ale widział nieraz, jak Śpiewająca Prawdziwie czy

Tkająca Pieśni rozdzielały nazbyt kłótliwą młodzież, a czasem nawet łowców czy myśliwych. Wiedział, jak to się robi, chociaż sam nigdy wcześniej nie próbował, i teraz pożałował nawet, że nie wpadło mu nigdy do głowy poćwiczyć.

Ale Śpiewająca Prawdziwie też musiała czuć się za pierwszym razem niepewnie, pomyślał, i włączył się do konfliktu.

\*\*\*

Stephanie od razu wyczuła jego interwencję.

Nie miała pojęcia, jak tego dokonał, ale wiedziała, że to właśnie treecat był odpowiedzialny za powstrzymanie wzbierającej fali złości.

Steph nie miała złudzeń co do swojego temperamentu. Była porywczą i chociaż rzadko traciła nad sobą panowanie (czy też sama uważała, że rzadko - jej matka miała na ten temat inne zdanie), już dawno temu pojęła, że kiedyś napyta sobie przez to biedy. Na przykład w taki dzień jak dzisiaj.

Tyle że nagle pojawiło się coś nowego. Przypominało... kuloodporną szybę wstawioną pomiędzy Stephanie a jej złość. Nie, żeby była mniej wściekła, ale nagle zyskała możliwość pełnego kontrolowania swoich emocji. Chociaż w pełni je odczuwała, nie mogły jej niczego dyktować. Nie sądziła dotąd, że coś takiego jest w ogóle możliwe, ale jakkolwiek Lionheart dokonał zmiany, była mu za to niewypowiedzianie wdzięczna.

Poczuła też, jak ogon treecata owija się delikatnie wkoło jej szyi, i natychmiast zrozumiała, że jest to gest wybitnie opiekuńczy. Oraz uspokajający. I nagle stało się coś, czego się nie spodziewała. Niemal całkiem zrelaksowana rozluźniła dłoń, zaczerpnęła głęboko powietrza i spojrzała z ukosa na Trudy.

- Przykro mi, że tak uważasz - powiedziała całkiem spokojnym głosem. - Niemniej to zapewne wyjaśnia, dlaczego żaden zdrowy na umyśle treecat nie chce mieć z tobą nic wspólnego. Nie wątpię, że twój ojciec i brat są świetnymi myśliwymi, ale uwierz mi, że nie złapią ani jednego treecata. Tego po prostu nie da się zrobić, o ile sam treecat nie zechce zostać złapany, one zaś wcale nie tęsknią za taką perspektywą. Za twoim towarzystwem też nie. Nie masz więc na co czekać, robiąc sobie wielkie nadzieje. Ja zaś mam lepsze rzeczy do roboty niż wysłuchiwanie wygłaszanych przez ciebie głupot.

I uśmiechnęła się, szczerze uradowana widokiem Trudy stojącej z opadniętą szczęką. Nigdy nie przypuszczała, że widok rozbitej w puch głupoty może sprawić tyle satysfakcji. To naprawdę było lepsze niż kłótnia, i należało się głębiej nad podobną taktyką zastanowić.

- Ty... ty...! - wykrztusiła Trudy, a Stephanie pokręciła głową.

- Masz bogate słownictwo, Trudy, i godną podziwu ekspresję. Ćwiczyłaś przed

lustrem czy samo ci to przychodzi? - spytała obojętnym tonem i schyliła się, by dokończyć demontaż lotni.

- Myślisz, że taka jesteś dobra? - odezwał się ktoś inny i Steph poniosła głowę. Nie poczuła się nawet specjalnie zaskoczona, widząc nad sobą wściekłą gębę Stana Changa. - Do ciebie mówię, cwaniaro z treecatem!

- Nie ja zaczęłam, Stan - odparła beznamyślnie Stephanie, nadal chroniona przez kuloodporną szybę. - Pogadaj raczej z Trudy. Nie moja wina, że zacina się, gdy jej prowokacja nie wyjdzie.

- Słuchaj no, ty... - zaczął Stan, unosząc lekko pięść.

Stephanie wyprostowała się i spojrzała mu w oczy, unosząc przy tym brwi i odrobinę przechylając głowę. Stan zamarł. Chociaż był o dobre czterdzieści centymetrów od niej wyższy, szeroki w barach i muskularny, nagle poczuł się dezorientowany. Steph nie wyglądała na zagniewaną i bez dwóch zdań nie bała się go. Zachowywała się całkiem spokojnie, prawie jakby sytuacja ją... bawiła. Uśmiechnęła się nawet.

- Nie sędzę, byś naprawdę tego chciał, Stan - powiedziała, kręcąc głową.

Stan nadal udawał chojraka, ale uśmiech Steph odebrał mu zwykłą pewność siebie. Przez chwilę chłopak wahał się, naprawdę nie wiedząc, jak z tego wybrnąć, potem obejrzał się przez ramię, dostrzegając idącego wreszcie w ich kierunku burmistrza Saprystosa.

- Masz szczęście, Harrington - syknął. - Burmistrz uratował ci tyłek. Ale tylko na razie. Doczekacie się jeszcze. I ty, i twój kociamber. - Spojrzał na Steph ze złością i odwrócił od niej głowę. - Idziemy, Trudy.

Odeszli energicznym krokiem, zanim Saprystos znalazł się przy gromadce.

- Jakież problemy? - spytał burmistrz chwilę później, rozglądając się wkoło.

Stephanie kończyła już zajmować się lotnią.

- Nie, sir - odparła, stając przed nim z uniesioną głową.

Saprystos przyjrzał się jej podejrzliwie, ale przekonał się, że jest całkiem spokojna.

- Dobrze - powiedział i ku zaskoczeniu Steph położył dłoń na jej wolnym ramieniu. - Bardzo dobrze.

- Chyba już pora na mnie - stwierdziła Stephanie, sprawdzając na wyświetlaczu godzinę. - Tata będzie na mnie czekał. Do zobaczenia, panie Saprystos. Cześć wszystkim.

Skinęła pozostałym dzieciakom, które wpatrywały się w nią jeszcze ze zdumieniem wypisanym na twarzach, po czym zarzuciła zapakowaną lotnię na ramię i ruszyła przed siebie.

Widzowie, którzy chyba nauczyli się tego dnia czegoś nowego, bez oporów zrobili jej



przejscie. Kilku z nich zerknęło przy tym czujnie na Lionhearta, ona jednak tylko podziękowała im gestem. Jakiś chłopak, którego wcześniej nie widziała, uśmiechnął się w odpowiedzi i pokazał uniesiony kciuk. Gość był ciemnowłosy i o kilka centymetrów wyższy od Stana, zapewne o jakiś rok standardowy starszy od Steph.

Wspaniale, pomyślała. Jakby mało było publiki z naszej szkółki, jeszcze obcy musieli tu przyleźć. Teraz już wszyscy będą gadać. Nie wiem, jak zdołam w tej sytuacji przekonać ludzi do treecatów.

Jednak nawet to nie popsuło jej humoru. Wspomnienie zbitej z pantalyku Trudy było jeszcze zbyt świeże.

## ROZDZIAŁ XVI

- Rano kontaktowała się z nami doktor Hobbard - powiedziała Marjorie Harrington, gdy Stephanie wbiegła tuż przed lunchem do jadalni. Oczywiście z Lionheartem na ramieniu.

- Aszsz... - jęknęła Steph, robiąc cierpiętniczą minę.

- Żadne takie, młoda damo - stwierdziła jej matka. - Doktor Hobbard wykonuje tylko swoją pracę. Ktoś musi się tym zająć. Sama świetnie to wiesz i mogłabyś być dla niej bardziej uprzejma.

Stephanie wbiła spojrzenie w podłogę i poczuła, że ma dość całego świata. Nagle Lionheart miauknął z cicha i poruszył się na ramieniu Steph, by spojrzeć jej w oczy. Po chwili wciągnęła głęboko powietrze i pokiwała głową.

- Przepraszam, mam - powiedziała przepraszającym tonem. - Masz rację. Ja tylko...

- Wiem. Masz powyżej uszu ciągłych pytań o Lionhearta i jego rodzinę - zgodziła się Marjorie. - Dlatego chronimy was z ojcem przed tym najazdem. Najchętniej za każdym razem odpowiedzialibyśmy, że jesteście „niedostępni”, ale na to nie możemy sobie pozwolić. To zbyt ważna sprawa. Poza tym, gdyby wszystkich odprawiać z kwitkiem, zaczęliby wymyślać własne historie, a to byłoby jeszcze gorsze. Sama wiesz, jak to działa!

Osobiście Stephanie nie miała nic przeciwko temu, by przynajmniej paru osaczających ją „naukowców” zawarło w nieodległym czasie bliższą znajomość z hexapumą. Albo i niedźwiedziem górskim, zależnie od tego, dokąd poszliby w krzaczki. Niestety, niedźwiedzie nie schodziły zwykle w doliny, chociaż nie były tak przywiązane do swoich terytoriów jak hexapumy. Ale zawsze można było pomarzyć...

- Bleek - odezwał się Lionheart, tym razem wyraźnie rozbawiony.

- Zgadza się, mam - powiedziała Steph. - I prawdę mówiąc, nie mam nic przeciwko rozmowom z doktor Hobbard. Nie jest wcale taka zła, zwłaszcza w porównaniu z kilkoma innymi. Jeśli chodzi o nią, jestem prawie pewna, że trzyma z treecatami.

- Tylko „prawie” pewna? - spytała cicho matka.

- I w tym problem - mruknęła Stephanie, a Marjorie pokiwała ze zrozumieniem głową.

- Poza tym jest jeszcze jedno. Myślałam odwiedzić jutro z Lionheartem jego rodzinę. Jeśli doktor Hobbard przyjedzie, nie dam rady się wyrwać.

- Faktycznie nie - zgodziła się Marjorie. - Ale pomyślałam o tym. Zanim zaprosiłam

doktor Hobbard, sprawdziłam prognozę pogody na jutro. Będzie na tyle paskudnie, że pewnie i tak wolałabys zostać w domu. Nie zmarnujesz więc dnia. Wiesz, dwie pieczenie na jednym ogniu.

Teraz to Stephanie przytaknęła. Sama nie sprawdzała pogody na następny dzień, ale nie zamierzała kwestionować osądu matki. Nie po tym, co się stało podczas tamtego samowolnego wylotu. Świetnie wiedziała, że poza wszystkim miała też dużo szczęścia, iż rodzice nie mieli nic przeciwko odwiedzaniu przez nią plemienia Lionhearta. Nie dość, że pozwolili jej korzystać w tym celu z nowej lotni, to jeszcze sami ją do tego zachęcali.

Podczas pierwszego przelotu utrzymanie prawidłowego kursu nie było żadnym problemem. Starczyło, że treecat usiadł prosto na przednim siedzeniu lotni i wskazywał kierunek. Okazało się, że główna osada plemienia nie znajdowała wcale daleko od domu Harringtonów. Z początku Stephanie obawiała się, że niechący pokażą drogę osobom postronnym, a rozmowa z Trudy jeszcze pogłębiła jej troskę. Rodzice byli zasadniczo podobnego zdania, zwłaszcza że znali rodzinę Franchittich i nie darzyli jej specjalną sympatią. Niestety, podobnych rodzin było na Sphinksie więcej, i do czasu ustanowienia prawnej ochrony treecatów należało zachować pewne środki ostrożności. Jednym z nich było trzymanie się podczas przelotu poniżej pułapu radarowego, innym zaś wybór lotni zamiast dużego wozu. Lekka konstrukcja lotni była praktycznie niewykrywalna, chyba żeby ktoś bezpośrednio ją śledził, po dodaniu silnego generatora antygravitacyjnego przelot na wyższym pułapie trwał zaś niewiele ponad godzinę.

Steph wiedziała, że rodzice przeżywali przy tej okazji swoje niepokoje, ale pozwalali jej na samodzielne wyprawy. Nie byli ani okrutni czy na tyle niemądrzy, by izolować ją od rodziny Lionhearta. Nakazali jej tylko surowo, by nie lądowała nigdzie po drodze i wypełniała dokładnie plan lotu, co wymagało również sprawdzenia prognozy pogody. Po wcześniejszym niefortunnym doświadczeniu Steph nie miała nic przeciwko tym rygorom.

- Rozumiem, mamó - odpowiedziała, pomagając Lionheartowi przejść na grzędę zbudowaną specjalnie dla niego przez ojca.

Lionheart wyciągnął się na niej na całą długość i zaczął radośnie łowić ulubione zapachy. Przepadał za kanapkami z szynką i serem, lubił nawet pieczywo, chociaż jako drapieżnik nie miał właściwego uzębienia, by sobie z nim radzić. Zresztą jego gusta bywały zmienne. Zdarzało się wcześniej, że odrzucał chleb, zajmując się tylko zawartością kanapki, i przestał dopiero wtedy, gdy Marjorie zganiała go za marnowanie jedzenia. Jako matka potrafiła przywołać trecata do porządku równie sprawnie co własne dziecko. Starczyło, że założyła rękę na piersi i spojrzała ostro na delikwenta.

Z dodatków pogardzał musztardą, którą Stephanie używała w wielkich ilościach, nie przepadał też za pomidorami, chociaż wpadł w zachwyt nad cebulą, którą najbardziej lubił grubo pokrojoną. Jeszcze większą ekstazę wywołał żółty ser. Inne produkty były ciągle testowane, chociaż starano się nie podsuwać ich Lionheartowi bez zastanowienia. Richard Harrington nieustannie monitorował jego stan zdrowia i pilnował, by dieta treecata nie ograniczała się tylko do rzeczy ulubionych, ale zawierała także to, co potrzebne było dla prawidłowego metabolizmu. No i przede wszystkim było dlań strawne, chociaż pod tym względem nowy domownik wydawał się wysoce uniwersalny i wszystkiego chciał spróbować przynajmniej raz. Jedyne, co sprawiało niejaki kłopot, to jego niezwykła słabość do selera naciowego. Jako drapieźnik nie był w stanie trawić celulozy w większych ilościach i miało to swoje konsekwencje, ale szczęśliwie okazało się, że już kilka kawałków pewnej miejscowej ryby skutecznie zapobiega zaparciom. Lionheart nawet ją lubił i tylko Stephanie krzywiła się potem, czując, jak zalatuje mu z pyszczka.

Teraz pracowicie składała mu kanapkę, Lionheart zaś przekrzywił głowę i obserwował cały proces z zainteresowaniem, przezornie nie proponując pomocy. Sam nie był w tym jeszcze dobry, chociaż czynił niejaki postępy. Marjorie poinformowała oboje, że ćwiczenia praktyczne mogą przeprowadzać w czasie wolnym, a najlepiej w trakcie pikników. I trudno było się jej dziwić, biorąc pod uwagę, w jakim stanie treecat zostawiał kuchnię. Matka Stephanie nie uważała zaś nigdy sprzątanía za główny cel życia.

Gdy Stephanie skończyła działalność, Lionheart bleeknął z wdzięcznością i poczekał, aż przyjaciółka przygotuje jeszcze coś dla siebie. Chleb pachniał wspaniale i był jeszcze trochę ciepły, świeżo po wyjęciu z maszynki piekarniczej, którą ojciec nastawiał co rano. Na to poszedł majonez, gruby plaster szynki, cebula, musztarda, pomidor, plasterek żółtego sera, jeszcze więcej szynki i listek sałaty. Za uzupełnienie służył ogórek kiszony w słusznym rozmiarze, czekający cierpliwie obok miski z sałatką ziemniaczaną i talerzyka z pieczoną fasolką w sosie pomidorowym. Stephanie nalała sobie jeszcze szklankę mleka i mogła wreszcie siadać do śniadania.

Komuś mogłoby się wydać nazbyt obfite, zwłaszcza z dodatkiem sporej porcji sałatki ziemniaczanej i fasolki przyrządzonej z dużą ilością brązowego cukru, ale Stephanie nie była zwykłą nastolatką. Chociaż liczyła sobie dopiero czternaście lat i była raczej drobnej budowy, zmodyfikowany genetycznie metabolizm sprawiał, iż potrzebowała naprawdę wiele kalorii.

A poza tym bardzo lubiła sałatkę ziemniaczaną.

\*\*\*

- Nadal nie jesteś w stanie stwierdzić, czy treecaty mają jakiś system zapisu mowy

albo inny sposób na przechowywanie danych? - spytała doktor Sanura Hobbard.

- Nie, proszę pani - odparła uprzejmie Stephanie i potrząsnęła głową. - Ale to, że niczego podobnego dotąd nie widziałam, niczego jeszcze nie dowodzi, prawda? - Zatoczyła ręką krąg, pokazując na ściany salonu, w którym siedzieli przez ostatnie trzy godziny. Harringtonowie kolekcjonowali także tradycyjne książki, których dwa regały ustawili po obu stronach kominka. - Gdyby ktoś, kto nie wie, czym są książki, nagle je tutaj zobaczył, pewnie nie domyśliłby się, że ma przed sobą nośniki informacji?

- Celna uwaga - przytaknęła Hobbard.

Była całkiem ładną kobietą pod pięćdziesiątkę, z lekko kasztanowatymi włosami i ciemnopiwnymi oczami. Sądząc po tych oczach, musiała być ponadprzeciętnie inteligentna, ale chwilowo wyglądała także na osobę mocno sfrustrowaną.

To ostatnie budziło w Stephanie poczucie winy. Lubiała doktor Hobbard i szanowała ją, przez co jeszcze trudniej było jej przejść do porządku dziennego nad własnym postępowaniem. Co więcej, nie lubiła się, że doktor Hobbard nie przejrzała jej gry, bo tylko ktoś zdecydowanie mniej rozgarnięty mógłby nie zauważyć, iż Steph nie przekazuje wszystkiego, co wie. Teoretycznie usprawiedliwiał ją młody wiek, ale nie lubiła takiego postępowania. Co gorsza, chociaż pani ksenoantropolog musiała dostrzegać nienaturalność tych spotkań, nadal traktowała Stephanie i Lionhearta z pełnym szacunkiem, jak równych sobie rozmówców.

Ale Steph i tak nie zamierzała zmieniać postępowania. Nie, by nie ufała doktor Hobbard. Pamiętała jednak, po co pani doktor się tu zjawiała, i uważała, że musi wobec niej zachować ostrożność większą niż w przypadku jakiegokolwiek innej osoby.

Doktor Hobbard specjalizowała się w badaniu społeczności obcych i chwilowo była jedyną wybitną specjalistką na tym polu, przynajmniej w obrębie Gwiezdnego Królestwa. Gdy informacja o odkryciu treecatów dotarła na Manticore, okazało się, że wydział ksenoantropologii uniwersytetu w Landing nie dysponuje nikim więcej, tak zatem doktor Hobbard została przewodniczącą powołanej przez Koronę komisji do zbadania nowego gatunku. Jedno, co przy tej okazji wyszło pozytywnego, to że zaproponowana przez Stephanie nazwa „treecat” została przyjęta przez aklamację.

Hobbard była imigrantką, która osiedliła się w Gwiezdnym Królestwie dwadzieścia trzy standardowe lata wcześniej, kiedy nikt nie podejrzewał nawet, iż podwójny układ gwiazdny Manticore może być siedzibą miejscowej inteligentnej formy życia. Podobnie jak rodzice Stephanie, Hobbard przyleciała tu wraz z mężem, tyle że ona znalazła nowy dom na Manticore, jednej z trzech nadających się do zamieszkania planet układu, najbardziej

przypominającej przy tym Ziemię i orbitującej dziesięć minut świetlnych bliżej centralnej gwiazdy niż Sphinx.

Skupione wkoło słońca typu G0 Gwiazdne Królestwo wdrożyło program imigracyjny już w 1489 roku, jednak z początku niełatwo było przyciągnąć tu kogokolwiek i nawet obietnica sporych dotacji niewiele pomagała. Winna była przede wszystkim Zaraza, która pierwszy raz dała znać o sobie w 1464 roku po Diasporze, chociaż jak wielkie niesie zagrożenie, zrozumiano dopiero po pojawieniu się pierwszej mutacji wirusa szesnaście standardowych lat później. Z miesiąca na miesiąc śmierć zbierała obfite żniwo, a co gorsza, wirus okazał się zdolny do kolejnych, coraz szybciej przebiegających mutacji, niebywale utrudniających przygotowanie szczepionki. Pojawiła się dopiero w 1484 roku, po czterech strasznych latach, które zredukowały populację układu Manticore do stanu nie gwarantującego przetrwania kolonii.

Wtedy po raz pierwszy zaproponowano otwarcie układu dla imigrantów, którzy przez trzy następne lata napływali nawet wartkim strumieniem. Wysechł on gwałtownie w chwili, gdy opanowana zdaniem lekarzy Zaraza wybuchła z nową siłą. Ponownie zmutowany wirus okazał się jeszcze zjadliwszy, przy czym śmiertelność była najwyższa właśnie wśród nowo przybyłych, z oczywistych przyczyn pozbawionych nawet tej niewielkiej naturalnej odporności, która wykształciła się u rdzennych mieszkańców.

Imigranci przestali więc przylatywać, a służby medyczne Gwiazdnego Królestwa musiały na nowo podjąć batalię o stworzenie kolejnej szczepionki. Tym razem zabrało im to aż dziewięć lat. Gdy udało się opanować Zarazę w 1496 roku, z niedawnych imigrantów ocalała tylko połowa i sporo czasu musiało upłynąć, nim zaczęli pojawiać się następni.

Hobbaradowie przybyli w 1497 roku, dokładnie w awangardzie drugiej fali osadników, co wiązało się z zawodem Jerome'a Hobbarda. Zajmował się on planowaniem miejskim, a zwłaszcza projektowaniem nowych ludzkich miast osadzanych w obcym środowisku w taki sposób, by zminimalizować ich negatywny wpływ na miejscową biosferę. Królestwo Manticore bardzo potrzebowało takich ludzi i Ministerstwo Imigracyjne robiło, co w jego mocy, by ułatwić im przenosiny. Antropologów akurat nie poszukiwano, ale uniwersytet w Landing ucierpiał na skutek Zarazy tak samo jak wszystkie inne instytucje. Gdy okazało się, że Sanura Hobbard może pochwalić się także doktoratem z właściwej, czyli ludzkiej, antropologii, szybko została przyjęta na stanowisko rektora utworzonego pospiesznie Wydziału Antropologii, rozpoczynając w ten sposób całkiem udaną karierę akademicką, chociaż tylko w pokrewnej, a nie w ulubionej dziedzinie.

I tak było, gdy w życiu Stephanie pojawił się Lionheart. Doktor Hobbard bez wahania

poleciała na Sphinksa i bez wątpienia bardzo ucieszyło ją odkrycie istnienia treecatów. Sama planeta podobała się jej zdecydowanie mniej i trudno było się temu dziwić.

Sphinx znajdował się niemal trzy razy dalej od centralnej gwiazdy niż Ziemia od Słońca, co powodowało niezwykle długi rok planetarny, i gdyby nie obecność żywych organizmów ze skłonnością do obfitej produkcji dwutlenku węgla, nie zostałby zapewne zasiedlony jako zbyt zimny dla ludzi. Niemniej i tak, pomimo efektu cieplarnianego, pozostawał globem zdecydowanie chłodniejszym od Manticore, no i był też znacznie większy. Na Manticore doktor Hobbard, której organizm nie był genetycznie zmodyfikowany, mogła czuć się jak w domu, ponieważ tamtejsze przyciąganie przewyższało ziemskie ledwie o jeden procent. Podczas pobytu na Sphinksie musiała korzystać z pomocy nanobotów wspomagających jej zmagające się z większym ciśnieniem atmosferycznym płuca i nosić pas z generatorem antygravitacyjnym. Mimo to i tak musiało być jej ciężko.

- Nie zauważyłaś nic sugerującego, iż Lionheart prowadzi jakieś zapiski z opisami waszych kontaktów? - spytała.

- Nie, proszę pani - odparła z powagą Stephanie, a Hobbard uśmiechnęła się niepewnie.

- Czy sądzisz, że umie liczyć?

- Trudno powiedzieć. Nie potrafimy ze sobą rozmawiać, i chociaż on chyba uczy się i coraz lepiej rozumie, co do niego mówię, nie mam pewności, jak z tym dokładnie jest. A tak czy siak, nie może mi nic powiedzieć, nie wiem więc, czy umie liczyć, ale sądzę, że rozumie różnicę między „kilka” a „wiele”.

- Coś w rodzaju: raz, dwa, trzy, mnóstwo?

- Zapewne tak - zgodziła się Stephanie i Hobbard uśmiechnęła się ciepło.

Steph odpowiedziała uśmiechem zadowolenia, że może wreszcie coś jednoznacznie i bez lawirowania wyjaśnić. Nie zależało jej na ukrywaniu wszystkich informacji o treecatach, ale nie bardzo potrafiła ocenić, które z nich mogłyby zadziałać korzystnie, gdyby zostały rozpowszechnione, a które nastawiłyby ludzi wrogo i tym samym utrudniły zaakceptowanie nowego gatunku oraz otoczenie go ochroną. Rodzice w pełni rozumieli jej rozterki.

- Przypuszczam, że nie udało ci się poczynić żadnych postępów odnośnie do zlokalizowania plemienia Lionhearta? - spytała Hobbard i Steph zakłęła w duchu. Był to wzorcowy wręcz przykład informacji, której ujawnienie mogłoby zagrozić jej nowym przyjaciołom. Owszem, chętnie wyjawiałaby ją sympatycznej doktor Hobbard, ale nie przewodniczącej Komisji Korony ds. Treecatów...

- Obawiam się, że nie mam na ten temat wiele do powiedzenia - stwierdziła

niechętnie, chociaż zasadniczo nie było to kłamstwo. Nie powiedziała przecież, że nie wie, gdzie przemieszkują grupa Lionhearta, a tylko że nie może o tym rozmawiać. Bo nie mogła, a w każdym razie nie chciała, i tyle.

- Rozumiem - odparła Hobbard i Steph poczuła na skórze pazury Lionhearta. Wysunął je bardzo ostrożnie. Był to ustalony już jakiś czas temu sygnał, że rozmówca nie daje wiary słowom Stephanie. Spojrzała więc niewinnie na panią doktor, ze wszystkich sił udając małą i nie do końca rozgarniętą dziewczynkę.

Wargi Hobbard drgnęły lekko, jakby próbowała ukryć uśmiech, a w jej oczach coś błysnęło. Stephanie uznała to za ostateczny dowód, że jej gra została przejrzana, i przez chwilę kusilo ją, by zdecydować się na większą otwartość, ale zaraz zdusiła w sobie ten niebezpieczny impuls. Tu nie chodziło o Hobbard czy brak zaufania do niej, ale o wszystkich tych, których reprezentowała, i którzy prędzej czy później dostaną jej raporty do przeczytania. Poza tym pracowała dla rządu, a to znaczyło, że każde słowo Stephanie znajdzie się w oficjalnym opracowaniu, które pewnego dnia stanie się powszechnie dostępne, a sięgną po nie także ludzie nie darzący treecatów sympatią. Jak chociażby rodzina Franchittich.

- Skoro tak, porozmawiajmy może o tych siatkach, które treecaty noszą na grzbietach - powiedziała doktor Hobbard. - Jak wiesz, obserwowaliśmy grupę przenoszącą się na nowy teren po wypadku w zakładach BioNeering. Zawsze z daleka, bo tamtejsze treecaty są jeszcze w słabej kondycji i nie chcieliśmy bardziej im zaszkodzić. Muszę dodać, że Służba Leśna nie chciała zdradzić nikomu, dokąd je przesiedlono. Ja też nie otrzymałam tej informacji, co jest trochę frustrujące, ale biorąc wszystko pod uwagę, sądzę, że główny ranger Shelton podjął właściwą decyzję. Udostępnił mi jednak nagrania z kamer z teleobiektywami, tak że mogłam zobaczyć treecaty w trakcie codziennej krzątaniny. Zauważyłam przy tej okazji, że nie wszystkie ich sieci są takie same, chociaż zasadniczo pozostają podobne. Nie różnią się na przykład wielkością. Wśród treecatów są mniejsze i większe osobniki, sieci zaś wydają się zawsze w identycznym rozmiarze, niezależnie od tego, kto akurat je nosi. I w znanym mi plemienu mają zawsze takie same sploty, inne wszakże niż w sieci, której używał Lionheart, kiedy ujrzałaś go pierwszy raz. To pierwsza widoczna różnica między grupami treecatów, którą dostrzegłam. Nie wiem, czy dałabyś radę nakłonić go do zrobienia dla nas kilku sieci albo przyniesienia ich z domu? Przydałyby się nam do badań porównawczych.

- Mogę spróbować - odpowiedziała Stephanie po chwili namysłu.

- Dziękuję! - Hobbard uśmiechnęła się szeroko i Steph aż się zdziwiła, jak bardzo jej ulżyło, gdy wreszcie mogła odpowiedzieć pozytywnie na prośbę pani doktor.

- Cóż, na dzisiaj to będzie już pewnie wszystko? - rzuciła Hobbard, spoglądając na



swoje skromne notatki widoczne na ekranie minikompa. - Bardzo ci dziękuję i przekaż, proszę, moje podziękowania także swojej mamie, która pozwoliła mi się dzisiaj z tobą spotkać.

- Oczywiście - powiedziała Stephanie i wstała, by odprowadzić panią doktor do jej wozu. W duchu zaś podziękowała jej za coś, co zasugerowała w trakcie tej rozmowy, chociaż zapewne uczyniła to całkiem nieświadomie.

Steph wiedziała już, z kim jak najpilniej powinna się skontaktować.

\*\*\*

- Tak? - spytał ktoś po drugiej stronie łączy.

Nie tego głosu Stephanie oczekiwała. Należał do kobiety, nie mężczyzny, poza tym pobrzmiewała w nim jakby czujność czy ostrożność. W obliczu wydarzeń ostatnich tygodni nie byłoby w tym nic dziwnego, przynajmniej jeśli założyć, iż głos należał do kogoś bliskiego i przyjaznego osobie, z którą Steph chciała rozmawiać.

- Przepraszam - powiedziała, starając się mówić jak osoba znacznie starsza. - Chciałabym pomówić z doktorem MacDallanem.

- Czy mogę spytać, w jakiej sprawie? - Teraz kobieta nie próbowała nawet maskować czujności. Zapewne też miała dość dziennikarzy i naukowców. - Tak czy siak, obawiam się, że chwilowo nie może rozmawiać. Jest ostatnio naprawdę zajęty. Mam nadzieję, że pani to zrozumie...

- Och tak, proszę mi wierzyć, że świetnie to rozumiem - odparła z przejęciem Steph. - Właściwie to w związku z tym dzwonię. Nazywam się Stephanie Harrington. Zależy mi na spotkaniu z doktorem MacDallanem. Sądzę, że powinniśmy porozmawiać.

## ROZDZIAŁ XVII

- Przyjdziecie wreszcie na lunch, czy mamy go zjeść sami z Karlem? - zawołała Irina Kisaevna.

Doktor MacDallan oderwał spojrzenie od zielonej toni głębokiego zalewiska, w którym przymocowana do linki przynęta wyczyniała najróżniejsze harce mające skłonić pstrąga tygrysięgo do nadziania się na haczyk.

Jak dotąd niewiele z tych harców wynikało. Mimo kosztownej wędki, pracowicie zmontowanej przynęty i dziesiątków lat doświadczenia tego dnia doktor nie miał szczęścia, co było tym trudniejsze do przełknięcia, że wygrzewający się sennie kilka metrów dalej na płaskim głazie treecat bez trudu wyrobił normę i nawet się przy tym za bardzo nie zamoczył. I to on dostarczył Irinie ryby, które w liczbie pięciu sztuk czekały już oczyszczone i oskrobane, by stać się główną atrakcją lunchu.

- Jeszcze kilka minut - odparł MacDallan, podnosząc głos, by zostać usłyszanym mimo szumu pokonującego kataraktę strumienia. - Jeszcze tylko kilka minut, a dorwę takie monstrum, że rybki Fishera same upieką się ze wstydu.

- Nie wątpię - odrzyknęła Irina. - Jak już będziesz je miał, szukaj mnie na herbatce u króla.

- Twój brak wiary w me dokonania rani mnie do żywego, niecna kobieto! - MacDallan pokręcił ze smutkiem głową. - Oto jam zdradzony! I to przez kogoś, kto bliższy mi niż koszula!

- Dobra, panie Zdradzony. Jeśli chcesz dalej moczyć kij, to twoja sprawa. Ale obudź Fishera. Przecież nie będziemy się z Karlem obżerać, nie zaprosiwszy go do stołu. Aż tacy podli nie jesteśmy.

MacDallan spojrzał na nią gniewnie, po czym uznał swoją przegraną i zaśmiał się głośno. Wybrał i zwinął żyłkę, zebrał wszystkie manele i podszedł do drzemającego wygodnie treecata.

- Pobudka, Fisher! - powiedział cicho, przesuwając delikatnie dłonią po ciepłym od słońca futrze na kremowym brzuchu. - Pora na wyżerkę.

Treecat, który otrzymał od swojego ludzkiego przyjaciela imię Fisher, otworzył zielone oczy, zamrugał sennie powiekami, przeciągnął się i ziewnął.

- Ruszaj się - rzucił MacDallan z uśmiechem. - Są tu tacy, co chcą wrzucić twoje ryby na ruszt, i jeśli się nie pospieszysz, nie zostawią nam ani kęsa.

Fisher, który nosił wśród Ludu imię Uderzającego Szybko, chociaż obecnie sam rzadko tak siebie nazywał, wyczuł rozbawienie promieniujące z umysłu adoptowanego dwunoga. Poza tym niewiele zrozumiał, chociaż bardzo starał się pojąć zasady komunikowania się obcych. Był pewien, że czynią to za pomocą wydobywających się z ust dźwięków, jednak sama koncepcja podobnej rozmowy wydawała mu się na tyle dziwaczna, iż nie miał większych nadziei, by kiedykolwiek udało mu się rzecz rozszyfrować. Rozpoznawał wprawdzie swoje imię, ale całej reszty ni w ząb nie pojmował... Tyle że ich więź i bez tego była wystarczająco silna, co pozwalało nie przejmować się byle drobiazgiem. Bleeknął więc radośnie i wstał leniwie.

- I słusznie - powiedział jego dwunóg. - Proszę na górę. Uznaję twoją wyższość, chociaż pozwolę sobie przypomnieć, że dla nas, ludzi, wędkarstwo nie jest sportem kontaktowym.

Począł, aż treecat ułoży mu się na ramionach i wtuli w kark niczym gruby, jedwabisty szal, i ruszył z wędką przez rwący strumień w kierunku drugiego brzegu, gdzie czekała na niego Irina. Nie spieszył się, sprawdzając ostrożnie kamienie pod stopami, by nie powtórzyło się to, co spotkało go dziewiętnaście miesięcy temu, w dniu, gdy po raz pierwszy ujrzał Fishera. Pośliznął się wtedy i uderzywszy w głowę, stracił przytomność, a na domiar złego upadł w nurt tak nieszczęśliwie, że jego twarz znalazła się pod wodą. Gdyby nie obserwujący jego rybackie poczynania treecat, który przybiegł z pomocą i używając sieci, podwiesił mu głowę, utrzymując usta i nos nad powierzchnią strumienia, byłby wówczas niechybnie zginął\*.

Z uśmiechem na twarzy pomyślał, że w sumie na dobre wyszło. Nabił sobie guza, ale zyskał prawdziwego przyjaciela. Po prawdzie, o czym nikomu poza bliskimi nie mówił, było to coś więcej niż przyjaźń. Co dokładnie, tego sam nie wiedział, jednak opierając się na własnym doświadczeniu, był pewien, że cały świat akademicki Królestwa Manticore nie ma nawet mglistego pojęcia, jak inteligentni są naprawdę futrzani tubylcy. O ich zdolnościach komunikacyjnych nawet nie wspominając.

I pięknie, tylko co miał z tą wiedzą począć?

Gdy był już przy brzegu, Fisher zeskoczył mu z ramion i postawiwszy uszy, pobiegł

---

\* Historię spotkania Scotta MacDallana i Fishera oraz afery związanej z firmą BioNeering przedstawia opowiadanie Lindy Evans *Przybłąda* - w zbiorze *Światy Honor*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2006 (przyp. tłum.)

przodem z wysoko uniesioną głową. Po chwili dało się słyszeć radosne bleknięcie wywołane widokiem oprawionej zdobyczy.

- Nie jest ci trochę, choć troszeczkę, nieswojo, że on gołymi łapami załatwił nam taką aprowizację, podczas gdy w twoim przypadku można odnieść wrażenie, że mimo masy sprzętu zabrakło jakby talentu? - spytała Irina, unosząc dłoń z rozsuniętymi na jakieś dwa centymetry kciukiem i palcem wskazującym.

- Niespecjalnie - odparł. - Zgoda, zawsze to przykro, gdy niczego się nie złapie, ale większość wędkarzy ci powie, że najważniejsze jest odpowiednio długie moczenie kija. To świetna sprawa, gdy czasem trafi się jakiś potwór, z którym trzeba stoczyć półgodzinną walkę, zanim wyciągnie się go na brzeg, ale coś takiego zdarza się tylko od święta. Tak naprawdę nad rzekę wraca się po to, by tam być. I to jest sedno sprawy.

Irina Kisaevna spojrzała na niego z ukosa. Wiedziała, że Scott mówi prawdę, ale chciała się z nim jeszcze trochę podrażnić, skoro trafiła się po temu okazja. Znali się od jego przylotu na planetę, czyli od dwudziestu lat standardowych. Był wtedy młodym lekarzem, świeżo po studiach medycznych i z głową pełną ideałów. Dzięki programowi imigracyjnemu nie musiał płacić za bilet, ale nie to go skusiło. Zjawił się, ponieważ Gwiazdne Królestwo rozpaczliwie potrzebowało lekarzy.

Służby medyczne zaczęły właśnie wygrywać batalię z Zarazą, która jednak nie poddawała się łatwo. Wciąż jeszcze pojawiały się nowe ogniska, wymagające ciągłego stosowania szczepionki, i sytuacja była ogólnie mocno nieciekawa. Scott z miejsca wziął się do roboty, chociaż wiedział, że nowi imigranci są szczególnie podatni na infekcję. Nie, żeby zabijała tylko ich. Mąż Iriny był jedną z ostatnich ofiar. Wtedy też spotkała Scotta, który robił, co w jego mocy, by uratować Stefana. Niestety, mimo najlepszej opieki nie udało się. Własny system odpornościowy pacjenta zabił go, do ostatniej chwili próbując zwalczyć wirusa.

Irina mocno przeżyła jego odejście, ale nie była to pierwsza śmierć, którą musiała oglądać w ostatnich latach. Ani przez chwilę nie myślała, by winić za to Scotta, a gdy minęło kilka lat, poczuła, że stał się dla niej kimś więcej niż przyjacielem. Za pół roku mieli się pobrać. Jej zdaniem mogliby zrobić to już jutro, ale Scottowi zależało, by jego matka mogła być obecna na weselu. Przy międzygwiazdnych dystansach oznaczało to dłuższe czekanie.

Już dawno odkryła, że przy całym naturalnym ciepłe i empatycznej osobowości miał też w sobie coś mrocznego... Objawiającego się głównie melancholią wynikającą z faktu, że odczuwał wszystko głębiej niż jakikolwiek inny znany jej człowiek. Czasem aż nazbyt głęboko. Nigdy nie pozostawał obojętny wobec tego, co spotykało innych, i trudno było tego

w nim nie kochać. Przecież dlatego właśnie przyleciał na Sphinksa. Bywało jednak, że cierpiał z tego powodu i bardzo potrzebował kogoś, kto przywracałby go bieżącej chwili i prostym, nieniosącym żadnych trosk sprawom.

Irina uznała, że to będzie jej zadanie. I nie zapominała o obowiązkach...

- Tak, jasne! - Spojrzała na niego z uśmiechem. - Uwielbiam sterczeć po pas w lodowatej wodzie, zwykle cztery do pięciu godzin dziennie, i najlepiej mi wtedy, gdy nie złapię żadnej rybki, kocham bowiem przyrodę! - Odrzuciła głowę do tyłu i rozłożyła ręce. - A jeśli jeszcze pada marznący deszcz, wtedy szczęście me nie zna granic! Czasem marzę o tym, by wybrać się na zamrożone jezioro w środku zimy i wyciąć na nim przerębel, a potem...

- Dobra, niech będzie po twojemu! - zawołał ze śmiechem, obejmując ją ramieniem. - Być może umniejszyłem przesadnie znaczenie zdobyczy...

- Być może? - spytała sceptycznym tonem Irina i wzruszyła ramionami. - Dobrze, że nie rzucasz się do wody za rybą jak Fisher. Nic dziwnego, że wygrzewał się potem tak długo na skałach. Wychłodzić się można od takiego nurkowania.

MacDallan ponownie się zaśmiał, chociaż coś było zapewne na rzeczy. Fisher zwykł czekać na rybę ułożony na kamieniach albo zwieszającej się nad wodą gałęzi, a gdy zdobycz podpływała blisko, skakał do strumienia z wysuniętymi pazurami wszystkich łap. Scott obserwował jego wyczyny i był pod wrażeniem. Treecat okazał się niewiarygodnie szybki i sprawny, chociaż faktycznie był to bardzo mokry sposób na zorganizowanie prowiantu i ciepłe głazy mogły potem kusić.

- Tak czy tak, Karl i ja dołożyliśmy już swoją cegiełkę do uczy, by ryby nie stawały nam ością w gardle - powiedziała Irina, wskazując na swojego krewnego, Karla Zivonika, który właśnie rozkrawał cytryny. Pożyczony od jego matki tradycyjny, żelazny grill czekał już nasmarowany tłuszczem, podobnie jak posolone i obtoczone w mące oraz czarnym pieprzu ryby. Obok stała wielka forma ze świeżym i wypieczonym na złocisty kolor chlebem kukurydzianym oraz równie okazała misa z sałatką (której Karl zdążył już trochę podebrać). Zestaw smakołyków dopełniał trzydziestolitrowy termos z herbatą i przygotowanymi zapobiegliwie plastikowymi kubkami.

Wyczuwszy woń chleba i dymu z opalanego drewnem grilla, Scott poczuł, jak ślinka napływa mu do ust. Niewiele znał rzeczy smaczniejszych niż świeżo złapana i upieczona ryba, zwłaszcza z wyciśniętym dopiero co sokiem z cytryny. No i wiedział, że chleb kukurydziany i sałatki Evelyn Zivonik to prawdziwy rarytas. Zwłaszcza gdy spożywało się je na świeżym powietrzu i w otoczeniu przyjaciół.

- Skoro tak, to nie ma co dłużej gadać. Sztućce w dłoń! - zakomenderował.

\*\*\*

Znacznie później, już wieczorem, przysiadł wraz z Iriną na staromodnej bujanej ławie ustawionej na werandzie obszernego domu Alexandra i Evelyny Zivonikow.

Jako syn kolonisty z pierwszej fali osadnictwa, dysponujący sporym majątkiem ziemskim, Alexandr był zasadniczo baronem. Zyskał ten tytuł z chwilą wprowadzenia nowej konstytucji i z czasem mogło to nawet zacząć coś znaczyć, na razie jednak zaświadczało tylko, że Zivonikowie byli na Sphinksie od samego początku. Podobnie zresztą jak większość jego obecnych mieszkańców. Rozrastający się dom opowiadał podobną historię, chociaż miał dopiero piętnaście standardowych lat. Ledwie miesiąc wcześniej MacDallan przyjął w nim na świat najmłodsze dziecko Alexandra i zastanawiał się właśnie, ile jeszcze pokoleń będzie w nim mieszkać, ile dziecięcych stóp będzie ganiać pod jego dachem.

Była to kojąca myśl, zwłaszcza dla kogoś, kto podczas Zarazy był świadkiem aż nazbyt wielu ludzkich nieszczęść.

- Wygodnie? - spytał półgłosem Irinę, gdy położyła mu głowę na ramieniu. Jedną nogą odpychał się od podłogi, kołysząc łagodnie ławą.

- O tak - mruknęła, spoglądając na ciemniejące kobaltowe niebo z pierwszymi gwiazdami, wyłaniające się spod okapu. - Uwielbiam to miejsce. Czasem zapominam o tym, gdy przez piętnaście miesięcy pada śnieg, ale przecież potem mamy piętnaście miesięcy wiosny. I kolejne piętnaście tego, co teraz.

Wskazała szerokim gestem na pobliskie sosny i masywne dęby górujące nad domem oraz czyste nocne niebo. MacDallan pokiwał głową.

- I jeszcze te niespodzianki - rzucił z przekąsem. - Ciągłe tak mało wiemy o tej planecie. Ale i tak...

- Niespodzianki też - zgodziła się Irina i poprawiła się na ławie, by móc spojrzeć mu w oczy. - Wszystkie niespodzianki, duże i małe.

MacDallan zerknął na nią. Wiedział, co miała na myśli. Była jedyną osobą, której ufał na tyle, by wyjawic jej całą prawdę, chociaż nawet w przypadku Iriny nie było to łatwe.

Przez większość życia skrywał swoją „odmienność” i gratulował sobie, że los nie zesłał mu takiego „daru”, jaki przypadł w udziale jego babce. Niemniej i to, co miał, przysparzało mu zgryzoty, objawiając się przy różnych okazjach, zwłaszcza w chwilach napięcia, ludzie zaś rzadko go rozumieli. Czasem dochodził do wniosku, że współczesne społeczeństwa były mniej tolerancyjne wobec odmienności niż w czasach przed Diasporą, zanim ludzkość wyruszyła ostatecznie do gwiazd. Przesady związane z modyfikacjami genetycznymi ludzie potrafili przenosić na różne inne cechy, bez względu na to, czy miały

one w ogóle związek z inżynierią genetyczną. To, że ci najbardziej przesądni nie byli zwykłe gigantami intelektu, nie znaczyło jeszcze, że byli całkiem nieszkodliwi.

Jednak tutaj, na Sphinksie, jego „odmienność” okazała się ostatecznie darem, który ułatwił mu kontakt z Fisherem i innymi treecatami. Nadal nie wszystko rozumiał i czasem go to dręczyło, jak wspomnienie tamtej nocy sprzed trzech miesięcy, kiedy odkrył, że treecaty są prawdziwymi telepatami zdolnymi przekazać do jego umysłu to, co wcześniej widział jeden z nich. Poprosiły go wtedy o pomoc w rozwiązaniu problemu związanego z niszczycielską i zagrażającą treecatom działalnością innych ludzi.

Ciągle nawiedzały go koszmary przypominające to, co zdarzyło się krótko potem, kiedy omal nie zginął, i tego treecata, który poświęcił własne życie, by go ocalić. Jednocześnie nurtowała go myśl, że poznane właśnie istoty reprezentują znacznie bardziej rozwiniętą formę życia, niż ktokolwiek, być może poza jeszcze jedną osobą, był skłonny przypuszczać.

- Naprawdę powinieneś z nią porozmawiać - powiedziała Irina. - Chyba nikt na całej planecie nie wie o nich tyle co ty. A może nawet więcej. I chyba można spokojnie przyjąć, że jest godna zaufania. Ani ona, ani jej rodzice na pewno nie zrobią niczego, co mogłoby zaszkodzić treecatom.

- Ale to tylko dziecko, Irino - zaprotestował MacDallan. - Ile ona ma? Trzydzieści albo czterdzieści lat. - Pokręcił głową. - W tym wieku ma się jeszcze zielono w głowie.

- Może i tak, ale sama jedna odkryła, że dzielimy tę planetę z innym rozumnym gatunkiem - zauważyła zdecydowanym tonem Irina. - A na wypadek, gdybyś jeszcze tego nie zauważył, większość dzieciaków na Sphinksie dorasta szybciej niż na innych planetach. Znasz przecież moich krewnych?

- Trafna uwaga. Bez dwóch zdań.

- Mogłeś też o tym nie słyszeć, ale Karl spotkał już tę Harringtonównę. Przelotnie, ale zawsze.

- Hm? - MacDallan zamrugał powiekami i spojrzał pytająco na Irinę.

- Zawsze podziwiałam twoją elokwencję - stwierdziła. - I to bogate słownictwo.

- Zejdź z mojego słownictwa i powiedz lepiej, co to było za spotkanie.

- W zeszłym miesiącu Frank Lethbridge zorganizował wyprawę do siedziby Służby Leśnej w Twin Forks. Trafili akurat na całą grupę dzieciaków z lotniami. Zakładają tam jakiś klub czy coś w tym rodzaju. Karl chciał się przyjrzeć i podszedł bliżej. Chyba też marzy o lataniu. Tak czy tak, krążyli im nad głowami przez kilka godzin, a gdy zaczęli lądować, Frank i Karl podeszli bliżej na łączkę, by sobie popatrzeć. I młoda Harrington też tam była, na

dodatek w środku jakiejś sprzeczki z innym dzieciakiem. A, raczej dwoma, jeśli Karl dobrze wyczuł sytuację. Jednym z nich był chłopak, znacznie roślejszy od niej, i wiele wskazywało, że lada chwila przejdzie od argumentów słownych do siłowych. Ale dziewczyna dała sobie radę. Jak określił to Karl, „skopała obojgu tyłki, nie tykając ich nawet palcem” - dodała Irina z uśmiechem i pokręciła głową. - Sposób, w jaki o niej mówił, świadczył, że jest pełen podziwu dla młodej Harrington.

- I oczywiście nie miało to nic wspólnego z faktem, że ona jest mniej więcej w jego wieku i ma treecatą? - spytał MacDallan i zachichotał.

- Może też, ale nie da się zaprzeczyć, że to pozytywnie zakręcony młody człowiek i z reguły wie, co mówi.

- To prawda - zgodził się Scott i spojrzał na coraz wyraźniej widoczne gwiazdy. - Pewnie masz też rację co do wcześniejszego dojrzewania miejscowych nastolatków. Z drugiej strony, jeśli spotkam się z nią i ludzie się o tym dowiedzą, założą z miejsca, że rozmawialiśmy o treecatach. I będą mieli rację, bo niby o czym innym mogłyby gadać jedyne dwie zaadoptowane przez nie osoby. To znaczy chyba dwie, przynajmniej od czasu śmierci Erhardta i Przybłądy.

- No i?

- No i zaczną się zastanawiać, co dokładnie chciałem jej przekazać. Albo co ona odkryła i czym chciała podzielić się ze mną. A gdy przypomną sobie wypadek z BioNeering, a na pewno to zrobią, wielu doda szybko dwa do dwóch i tym razem naprawdę wyjdzie im cztery. Sama wiesz, ile kłopotów sprawiają mi ludzie w rodzaju doktor Hobbard, chociaż od początku staram się ich zniechęcić. Chyba nie sądzisz, że chciałbym zwalić młodej to wszystko na głowę?

- Hm - mruknęła Irina, marszcząc brwi.

W sumie miał rację. Irina nawet lubiła Hobbard, ale pani doktor była trochę zbyt rozgarnięta i miała węch jak ogar. Musiała wyczuć, że MacDallan nie mówi jej wszystkiego. No i okazała się znacznie bardziej kompetentna niż wielu innych „naukowców” snujących się po Sphinksie (i wokół doktora Scotta MacDallana). Wszystko sugerowało, że studia naukowe nad treecatami nie były dla niej ważniejsze niż ochrona tych stworzeń przed działaniem niekoniecznie życzliwych im osób.

- Tu masz rację - powiedziała w końcu Irina. - Zgodzę się, że nاپuszczanie tej bandy na czternastoletnią dziewczynkę byłoby czynem ogólnie podłym, ale sądząc po tonie, jakim ze mną rozmawiała, chyba i tak jest już pod ostrzałem. I to może cięższym nawet niż ty. Owszem, masz na koncie powstrzymanie tej wariatki Ubel przed dalszymi morderstwami, ale



to Harrington odkryła treecatę. I to w jakich okolicznościach! Wątpię, aby wasze spotkanie mogło cokolwiek zmienić na gorsze.

- Może i nie, ale co dobrego z tego przyjdzie? Nie mam w zwyczaju z założenia traktować młodszych od siebie jak idiotów, ale ona ma dopiero czternaście lat i trudno orzec z daleka, na ile naprawdę jest dojrzała. Na ile rozumie, co naprawdę się dzieje. No i jaki wpływ może mieć ktoś równie młody na sprawy, które nawet dorosłym mogą spędzać sen z powiek.

- Dobre pytania - zgodziła się Irina. - Ale skoro tak, to może spróbujesz znaleźć na nie odpowiedzi? Na początek pogadaj z Frankiem. W tym przypadku to będzie chyba najwłaściwsza osoba.

\*\*\*

- Scott! Fisher! - zawołał Frank Lethbridge, machając radośnie ręką, gdy MacDallan wszedł do jego biura. - Nie sprzedajesz, że zajrzysz dzisiaj do mnie.

- No, przechodziliśmy akurat...

- Przechodziliście? - spytał sceptycznym tonem Lethbridge i spojrzął w okno. Jego stacja leżała w odległości ponad sześciuset kilometrów od Thunder River i gabinetu MacDallana. To była już dalsza wycieczka.

- Po prawdzie zbłądziłem w te strony, bo chciałem z tobą porozmawiać. Całkiem prywatnie - dopowiedział Scott i Frank natychmiast spoważniał.

- O czym? - spytał ostrożnie. - I dlaczego osobiście?

- Po części dlatego, że same słowa to czasem za mało. Niekiedy dobrze wiedzieć, jakie odczucia się za nimi kryją - przyznał szczerze Scott. - A po drugie, nie chciałem ryzykować, że ktokolwiek nas podsłucha.

- Zaczynam się niepokoić.

- Przepraszam. - MacDallan skrzywił się lekko. - Nie chodzi o żadną nową aferę. Rzecz w tym, że mocno się nad czymś zastanawiam. I ma to związek z treecatami.

Pogłaskał Fishera, który wtulił pyszczek w jego dłoń.

- A co się dzieje z treecatami? - spytał czujnie Lethbridge.

- Przede wszystkim chciałbym zaznaczyć, że przyszedłem do ciebie jako do przyjaciela, nie rangera Służby Leśnej. Nie zamierzam prosić cię o nic, co kłóciłoby się z twoimi obowiązkami służbowymi. Ale gdyby to, co mam ci do powiedzenia, trafiło do niewłaściwych uszu, skutki byłyby zapewne niezbyt przyjemne.

W szarych oczach Franka błysnęło coś w rodzaju złości i MacDallan czym prędzej pokręcił głową.

- Nie sugeruję, że mam cię za kogoś niezdolnego do zachowania dyskrecji, Frank!

Chcę tylko, byś zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Jak chyba się domyślasz, bezpieczeństwo treecatów obchodzi mnie o wiele bardziej niż oczekiwania całej tej wścibskiej bandy, która zwała się ostatnio na Sphinksa!

Lethbridge odprężył się wyraźnie, ale wcale nie rozpogodził.

- W tym jesteśmy zgodni! Hobbard i jej ludzie to jeszcze pół biedy, ale gdy pomyślę o różnych naukowych elementach, co próbują nam się włóczyć po lasach... Gdyby to ode mnie zależało, wykorzystałbym ich w programie dokarmiania hexapum. W przyszłym tygodniu mam prowadzić całą grupę tego tałatajstwa. Chcą obserwować treecaty „w ich naturalnym środowisku”, a hałasują jak stado słoni w drodze do wodopoju. Chyba tylko ból odrastającego zęba może być gorszy od ich towarzystwa.

- Dlaczego nie dziwię się, że to mówisz...? - stwierdził z uśmiechem. - To co, pogadamy?

- Siadaj i okaże się - powiedział Lethbridge, wskazując krzesło po drugiej stronie biurka. - Jeśli zbczysz na jakies dziwne tory, po prostu ci przerwę, dobra?

- Może być.

MacDallan zajął wskazane siedzisko i poczekał, aż Fisher przejdzie mu z ramienia na kolana.

- Rzecz w tym, że w trakcie całej tej sprawy z BioNeering poznałem treecaty trochę lepiej - zaczął mówić cichym głosem po niejakej chwili. - Z różnych powodów, głównie całkiem osobistych, nie chcę teraz wchodzić w szczegóły, ale nabrałem przekonania, że są one o wiele bystrzejsze, niż ludziom się wydaje. I nie tylko to. Bez wątpienia są też prawdziwymi telepatami.

Lethbridge gwizdnął bezgłośnie i wyprostował się w fotelu. Skrzyżowawszy ramiona na piersi, spojrział uważnie na przyjaciela, czy właściwie obu przyjaciół, i pokiwał z namysłem głową.

- Też się nad tymi kwestiami zastanawiałem - przyznał wprost. - Tyle że ty wyłożyłeś to znacznie bardziej bezpośrednio. Co i lepiej. Fisher cię doedukował?

- Niezupełnie. To znaczy owszem, on też, ale najwięcej dowiedziałem się dzięki Przybłędzie. Treecatowi Erhardta.

Twarz Franka stężała gwałtownie, Fisher zaś miauknęła żałośnie i MacDallan natychmiast wtulił twarz w jego futro, przepaszając za przypomnienie tamtego straszego dnia, gdy rozpaczliwie wymizerowany treecat, którego Scott znał tylko jako Przybłędę, zaprowadził go do wraku promu orbitalnego z trzema martwymi ciałami w środku.

Jedno z nich należało do Arvina Erhardta, ludzkiego przyjaciela Przybłędzy. Jak sam

go nazywał, jeśli w ogóle, nigdy nikomu nie powiedział. Był pilotem wynajętym przez grupę badawczą BioNeering i przydzielonym do placówki na Sphinksie. Jak się potem okazało, cała załoga promu została zamordowana przez doktor Mariel Ubel, szefową tej placówki, która celowo uszkodziła sterujący awioniką komputer, doprowadzając w ten sposób do katastrofy promu podczas kolejnego wejścia w atmosferę. Chciała ukryć w ten sposób fakt, że podlega jej placówka dopuściła do uwolnienia do środowiska niebezpiecznego patogenu. Wszystko wskazywało na to, że stało się to przypadkiem, ale żyjąca w pobliżu grupa treecatów znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a tak czy tak, kompetentnym naukowcom coś takiego w ogóle nie powinno się przydarzyć. Kariera doktor Ubel zawisła na włosku i morderstwa miały ją uratować.

MacDallana też omal nie zabiła, gdy zaczął nazbyt węszyć wokół jej placówki. Przeżył tylko dzięki Przybłędzie, który rzucił się na wylot lufy broni. Zdążył zasłonić Scotta własnym ciałem, ale sam przy tym zginął.

- Dzięki Przybłędzie? - powiedział po chwili Lethbridge. - Biedaczysko. Najpierw stracił Erhardta, potem...

Przez chwilę siedział w milczeniu, po czym otrząsnął się i wziął głęboki oddech.

- Dobra. Nie zamierzam wypytywać cię o dowody na telepatię treecatów. Owszem, jestem ich ciekaw, ale domyślam się, że wolałbyś o tym nie rozmawiać. Nawet to rozumiem. Ale skoro tak, z czym przyszedłeś?

- Sporo potem myślałem o treecatach. I rozmawiałem o nich z Iriną, która jest jedyną osobą, jedynym człowiekiem, który też zna sprawę od podszewki. I w końcu dotarło do mnie, że muszę dowiedzieć się o nich jak najwięcej i to możliwie szybko. Sądzę, że naprawdę powinniśmy o nie zadbać. Sam czuję się za to odpowiedzialny. Nie wiem, co z tego wyjdzie, ale chyba dobrze będzie pozostawać cały czas o krok przed naukowcami. Nie myślę akurat o Hobbard, chociaż jej też nie powiem wszystkiego, jeśli nie będę musiał, ale o całej reszcie.

- I...? - spytał Lethbridge, zawieszając głos.

- I wyszło mi, że jedyną osobą, która wie o treecatach tyle co ja, a może nawet więcej, jest w tej chwili Stephanie Harrington - stwierdził MacDallan. - Chciałbym dowiedzieć się, do czego ona doszła. Z tego, co słyszałem, to bardzo rozgarnięta nastolatka, ale mogłem nie słyszeć wszystkiego, a nie chcę pytać jej o nic, nie będąc gotowy podzielić się własną wiedzą. Co sprowadza się do kwestii, na ile mogę jej zaufać. Mam wrażenie, że sama też woli ukrywać niejedno, i to jest coś, co skłania mnie do rozmowy z nią, ale czy utrzyma w tajemnicy także to, co usłyszy ode mnie?

- To zależy - mruknął Lethbridge, mierząc Scotta spojrzeniem.

- Od czego?

- Od tego, czy uzna cię za godnego zaufania - odparł wprost Lethbridge. - Czy będzie pewna, że nie rozgadasz tego, co ona ci powie. Sądzę, że masz rację. Moim zdaniem ona świetnie umie trzymać język za zębami, zwłaszcza gdy chodzi o treecaty. Ale z tego wynika jeszcze jedno i chyba lepiej, abyś o tym wiedział. Nie powie ci ani słowa, o ile nie zdołasz jej przekonać, że naprawdę zależy ci na ochronie tych stworzeń. Jest to dla niej tak samo ważne jak dla ciebie.

- Tak myślisz? - spytał ciężko zdumiony MacDallan.

Frank aż zachichotał, widząc jego minę, ale nie dlatego, iżby go rozbawiła.

- Karl opowiadał ci może, jak wpadliśmy na nią podczas wycieczki do Twin Forks?

- Nie, ale słyszałem o tym od Iriny - powiedział Scott. - Prawdę mówiąc, to dla mnie poważny argument, by jednak spotkać się z Harrington.

- Naprawdę? Chyba mnie to nie dziwi - rzucił Lethbridge. - Ale ja też zwykle ufam osądowi Karla. Widzi więcej niż niejeden dorosły. Na przykład Shelton, z którym też o niej rozmawiałem. Nie ma jej wprawdzie za zwykłą czternastolatkę, ale nie dotarło do niego jeszcze, jak bardzo jest niezwykła. Ja tymczasem jestem pewien, że ta dziewczyna jest gotowa zrobić wszystko, i to dosłownie wszystko, by chronić Lionhearta, bo tak nazwała swojego treecata.

- Wydajesz się przekonany do tego, co mówisz - stwierdził niespiesznie MacDallan.

- Bo jestem przekonany. Znasz jej historię, jak to rozbiła się lotnią w lesie, gdzie napadła ją hexapuma i całe plemię, czy może klan treecatów, jakkolwiek należy nazwać tę społeczność, ją wtedy obronił?

MacDallan przytaknął.

- Więc to jest wersja oficjalna. Nawiasem mówiąc jedyna, którą Harrington nam przedstawiła. Ale Ainsley była potem na miejscu i dobrze sobie wszystko obejrzała.

Scott ponownie kiwnął głową. Ainsley Jedrusinski była w Służbie Leśnej partnerką Lethbridge'a, chociaż od czasu Zarazy, która mocno przerzedziła szeregi rangerów, wielu z nich i tak operowało w pojedynkę. MacDallan poznał Jedrusinski zaraz po przylocie na Sphinksa i darzył ją sporym szacunkiem jako kompetentną i zwykle zdolną do trzeźwej oceny sytuacji.

- Dziewczynkę i Lionhearta zabrali jej rodzice, nie było więc powodu do pośpiechu, ale Ainsley i tak dostała koordynaty tego miejsca, no to poleciała się rozejrzeć. Zanim wylądowała, z hexapumy został prawie wyłącznie szkielet, ale sam wiesz, jakie są tutejsze ścierwojady. Jednak i tak znalazła coś ciekawego.

- Co?

- Mogło być i tak, że treecaty powaliły hexapumę - powiedział cicho Lethbridge. - Ale Stephanie Harrington już wcześniej ją zabiła.

- Co?! - nie wytrzymał MacDallan.

- Ainsley jest tego pewna. Znalazła upuszczony przez nią wibronóż i zbadła szkielet hexapumy. Było widać, jak ostrze przeszło przez ciało. Ona to naprawdę zrobiła, Scott. Musiała wbić nóż po rękojeść i przejechać nim potem przez całą środkową miednicę, dokładnie w miejscu przebiegu tętnicy. To nie mogło zadziałać od razu i bez treecatów Harrington nie uszłyby z życiem, ale los hexapumy był już przesądzony. Tyle że ona jeszcze tego nie czuła. Ainsley obejrzała sobie to dokładnie i twierdzi, że mała zaatakowała bestię od tyłu, zapewne w chwili, gdy ta chciała wykończyć Lionhearta. Wiele znasz dwunastoletnich dziewczynek zdolnych rzucić się na hexapumę z osiemnastocentymetrowym wibronożem w garści? A ona miała na dodatek rękę złamaną w dwóch miejscach i rozwalone kolano. Ledwie mogła stać, a i tak broniła treecata, który równie dobrze mógł już być martwy. Nadal zastanawiasz się, Scott, ile gotowa jest dla nich poświęcić?

## ROZDZIAŁ XVIII

*Świetnie wyglądasz, Wspinający się Szybko - powiedziała cicho Śpiewająca Prawdziwie, kładąc się obok brata na gałęzi jakieś piętnaście metrów poniżej swego gniazda.*

*I świetnie się czuję - odparł, nie odrywając spojrzenia od swojej przyjaciółki, która leżała na grubej pokrywie mchu i ledwie było ją widać pod skotłowaną gromadką kociąt. Dzieciarnia klanu uwielbiała blask umysłu dwunoga. - Nie ukrywam, że czasem brakuje mi dłoni, ale mogło być o wiele gorzej. Gdyby nie zdolności uzdrawiające ojca mojej przyjaciółki...*

Śpiewająca Prawdziwie zgodziła się bez słów, chociaż z odrobiną rezerwy, i Wspinający się Szybko spojrzał na nią zaintrygowany. W takiej sytuacji nie musiał formułować pytania, zwłaszcza wobec własnej siostry, która znała go aż za dobrze.

*Starszym niektórych klanów nie podoba się nasza zażyłość z dwunogami - wyjaśniła Śpiewająca Prawdziwie. - Wystraszyła ich historia Klanu Jasnego Serca. Ich zdaniem dowodzi, jak niebezpieczni są obcy. Sugerują nawet, by całkiem wycofać zwiadowców i uciec jak najdalej, nim zdarzy się coś jeszcze gorszego.*

*Jeśli naprawdę tak myślą, dowodzi to ich głupoty - zachnął się Wspinający się Szybko. - Tak, to, co zdarzyło się Klanowi Jasnego Serca, było straszne i zostało spowodowane przez dwunogi. Ale sami ukarali winną temu osobę, tak jak my karzemy naszych złoczyńców.*

*Z tego, co wiem, nikt dotąd nie próbował twierdzić, że postępują inaczej - odparła Śpiewająca Prawdziwie. - I chyba nie o to chodzi. Dowiedzieli się, że wśród dwunogów są złe jednostki, jak ta, która zabiła dwunoga Cichego Cienia i próbowała zataić to przed swoimi pobratymcami. Bardzo się tym przejęli i chcą, byśmy odsunęli się od nich do czasu, aż dowiemy się czegoś więcej. A druga rzecz, i chyba ważniejsza, to przyniesiona przez Uderzającego Szybko nowina, że do tej wcześniejszej katastrofy doszło przypadkiem, że nikt nie zamierzał zniszczyć terenu Klanu Jasnego Serca, ale wszystko stało się przez zwykłe zaniedbanie. Na razie dwunogów jest raczej mało, ale co będzie, gdy ich liczba się zwiększy? Starsi obawiają się, że wtedy będzie też więcej podobnych przypadków, i nie chcą, by ich klany ucierpiały przez bezmyślność obcych.*

Wspinający się Szybko zamyślił się na kilka długich chwil, aż w końcu zastrzygł

uszami.

*Przypuszczam, że to ma nawet sens - zgodził się. - Ale jest też świadectwem krótkowzroczności. Ci, którzy obawiają się skutków przypadkowych zdarzeń, powinni przypomnieć sobie, jak szybko obcy ruszyli na pomoc Klanowi Jasnego Serca. Ledwie dowiedzieli się o nieszczęściu, zaraz wysłali swoje latające urządzenia z żywnością. Ojciec mojego dwunoga jeszcze tego samego dnia wyruszył leczyć tych, którzy odnieśli obrażenia. I nie zapominaj o nożach i toporkach, które klan od nich dostał. Są o wiele lepsze niż wszystko, co dotąd stworzyliśmy, i nowa siedziba Klanu Jasnego Serca jest już prawie gotowa.*

*To prawda - przytaknęła Śpiewająca Prawdziwie. - Też wspomniałam o tym posłańcom z innych klanów i zgodzili się ze mną, że wielu dwunogów dało z siebie wszystko, by naprawić krzywdę. Ale i tak niektórzy będą woleli trzymać się od nich z dala, by nie było trzeba potem niczego odkręcać. Z pozostałych zaś niejeden uważa, że nie ma co zachęcać do nawiązywania takich kontaktów z dwunogami, jak twój z Postrachem Zabójczego Kła.*

Wspinający się Szybko spojrzał ponownie na swoją przyjaciółkę i zamruczał pogodnie. Nie on nadał jej to imię, ale cały Klan Jasnej Wody, i było ono w pełni zasłużone. Sam nie widział zdarzenia, dzięki któremu je zyskała, ponieważ był wtedy nieprzytomny, ale klan był dość blisko, by całkiem sporo dojrzeć. Śpiewająca Prawdziwie opowiedziała potem bratu całą historię i znał ją teraz tak samo dokładnie jak naoczni świadkowie. Zwłaszcza tę chwilę, gdy ślaniająca się na nogach młoda zaatakowała zabójczego kła, by uratować życie Wspinającego się Szybko, a potem stanęła między nim a drapieżnikiem. Co więcej, Śpiewająca Prawdziwie zdołała wychwycić sporo z blasku umysłu młodej i dzięki temu nie było wątpliwości, że gotowa była zginać i miała tylko nadzieję, że zdoła zabić zabójczego kła, zanim dopadnie on także Wspinającego się Szybko.

Nawet wśród Ludu rzadko miało się pewność, że jest się dla kogoś aż tak istotnym.

Teraz słuchał, jak Postrach Zabójczego Kła zanosi się śmiechem, ponieważ jeden kociak wcisnął się jej za pazuchę, podczas gdy dwa inne polowały na targane wiatrem włosy. Dobrze było czuć jej radość niezmaconą obecnym często w ostatnim czasie cieniem troski. Wspinający się Szybko bolał mocno nad tym, że nadal nie rozumie znaczeń wydawanych przez dwunogi dźwięków, zwłaszcza że jego przyjaciółka próbowała chyba tłumaczyć mu, skąd biorą się jej niepokoje. Wyczuwał jednak dość, by dojść do wniosku, że chodzi o coś mocno podobnego do obaw, jakie żywiła starszyzna niektórych klanów.

*Niezbyt mam ochotę przyznawać się do tego, ale podejrzewam, że Postrach Zabójczego Kła też odnosi się z rezerwą do pomysłu zbytznego odkrywania się Ludu przed innymi dwunogami - powiedział w końcu. - Nie wiem, skąd jej się to bierze, ale przekonałem*

*się już, że wśród obcych jest sporo osobników chętnych dowiedzieć się o nas jak najwięcej. Ciągłe nachodzą Postrach Zabójczego Kła i jej rodziców, by znaleźć odpowiedzi na nowe pytania, a niektórzy chyba najchętniej zabraliby mnie ze sobą, by zbadać mnie po swojemu.*

*Naprawdę? - zdumiała się Śpiewająca Prawdziwie i wystawiła brzuch do słońca. Musiała przy tym przekręcić trochę głowę, by nie stracić brata z pola widzenia. - To niepokojąca wiadomość.*

*Mogę się mylić, bo w sumie zaczynam dopiero poznawać dwunogów - stwierdził Wspinający się Szybko. - Łatwo wyczuć blask ich umysłów. Każdy go rozpoznaje, gdy znajdzie się wystarczająco blisko. Trudniej jednak zrozumieć, co w nim się kryje. Gdybyśmy mogli usłyszeć ich wewnętrzne głosy albo gdyby oni słyszeli nas! Wtedy byłoby o wiele prościej.*

*Tak sądzisz? A może wtedy szybciej byśmy odkryli, że po prostu nie należy się do nich zbliżać?*

Wspinający się Szybko zamrugał, zdumiony taką wypowiedzią siostry. I to teraz, gdy najważniejsze już się stało. Z drugiej strony, miała się nad czym zastanawiać, bo to jej przypadło w udziale podjęcie najważniejszej chyba decyzji w dziejach Ludu. Decyzji, która mogła zmienić historię i która na pewno mocno ciążyła jej od tamtej pory. Współczuł siostrze tego brzemienia i czuł się także trochę winny, bo przecież wszystko zaczęło się od jego nieplanowanego spotkania z Postrachem Zabójczego Kła.

*Nie obwiniaj się - odezwała się łagodnie Śpiewająca Prawdziwie. - Nie zrobiłeś tego celowo, a moja decyzja, by rzucić wyzwanie Tkającej Pieśni i Złamanemu Kłowi, była przemyślana. I nadal uważam, że wybrałam właściwie, chociaż rozumiem niepokój tych, którzy myślą inaczej.*

*Zgadza się, spotkałem ją przypadkiem, i to był pierwszy impuls - odparł Wspinający się Szybko. - Też rozumiem, dlaczego niektóre klany, czy raczej ich starsi, mogą żywić swoje obawy, ale i tak uważam, że dobrze zdecydowałaś. Bo nawet jeśli jacyś obcy chcieliby zabrać mnie na badania, Postrach Zabójczego Kła i jej rodzice w żadnym razie nie zamierzają na to pozwolić. Owszem, była wśród dwunogów taka, której w ogóle nie obchodził los Klanu Jasnego Serca, ale dwunóg Uderzającego Szybko, zwany Wrogiem Mroku, szybko się z nią rozprawił. I trzeba jeszcze pamiętać o tym, że oni zamierzają tu zostać. Cały Lud musi zdać sobie z tego sprawę! Tak jak powiedziałaś Tkającej Pieśni i Złamanemu Kłowi, ten świat nie jest na tyle duży, byśmy mogli wiecznie ukrywać się przed obcymi. Obecnie sądzę, że twoja propozycja, by jak najwięcej z nas starało się tworzyć związki z dwunogami, była mądrzejsza, niż wtedy mogliśmy przypuszczać. Tak, musimy ich poznać i zrozumieć. A co jeszcze*



*ważniejsze, musimy także szukać wśród nich sojuszników, wybierając tych najbardziej wartościowych, z których każdy może być dumny, jak Postrach Zabójczego Kła i Wróg Mroku. Przyda się to zwłaszcza wtedy, gdy jakiś zły dwunóg spróbuje skrzywdzić naszych. Wtedy będziemy mieli wśród obcych przyjaciół, zdolnych nas obronić. I chyba to właśnie powinnaś przekazać przywódcom klanów, którzy wątpią ciągle w mądrość twojej propozycji.*

\*\*\*

Słyszac brzęczenie komunikatora, Stephanie Harrington usiadła prosto i kocięta zjechały nagle z jej piersi i ramion. Jedno z nich zaraz rzuciło się na nową, intrygująco hałasującą zabawkę, ale zostało taktownie, acz skutecznie odsunięte. Steph wiedziała, że nawet z młodymi treecatami należy uważać. Wprawdzie ich pazurki przypominały dopiero ostre igiełki, ale i tak potrafiły dać się we znaki.

Sporo dowiedziała się o nich dzięki ojcu, który dał się ponieść fascynacji treecatami. Stephanie była pewna, że niejeden naukowiec z chęcią zamordowałby Richarda Harringtona, byle tylko dostać w swoje ręce wszystkie notatki, które ten poczynił, obserwując Lionhearta.

O pazurach napisał tam całkiem sporo, zwłaszcza że różniły się mocno od tych, w które wyposażony był ziemski kot. Przede wszystkim były o wiele twardsze, bardziej przypominające kość niż właściwy ssakom zrogowaciały produkt naskórka. Z ziemskich odniesień najbliżzej kojarzyły się z zębami rekina. U dorosłych osobników miały od jednego do półtora centymetra długości, tyle że były mocno zakrzywione, z wewnętrznymi krawędziami ostrymi jak brzytwy. Chowały się całkowicie do wnek z tego samego, niezwykle twardego materiału kostnego, dzięki czemu treecatom nie groziło poranienie się własnymi pazurami. Na każdej łapie miały ich po cztery, co dawało łącznie dwadzieścia cztery bardzo skuteczne narzędzia chirurgiczne. Nic dziwnego, że tak sprawnie uporały się z hexapumą. Co więcej, na pierwszy rzut oka nikt nie podejrzewałby treecatów o podobne zdolności bojowe.

Szczęśliwie pazury nabierały mocy wraz ze wzrostem właściciela, dzięki czemu Stephanie miała szansę wyjść z zabawy z kociętami bez większego szwanku i strat w odzieży, a gdy jeszcze wyreklamowała od nich swój komunikator, udało się jej nawet sprawdzić, kto dzwoni. To był ojciec, więc przyjęła połączenie.

- Cześć, tato!

- Cześć - odparł Richard Harrington. - Mam nadzieję, że nie jesteś na tyle zajęta, by nie pilnować czasu, młoda damo?

- Jasne, że go pilnuję. Na pewno nie zamarudzę na tyle, by dać się uziemić. Nie będzie powtórki - dodała i siedzący za biurkiem Richard uśmiechnął się ciepło.

- Dzwonię, bo sprawdziłem najświeższą prognozę i wydaje się, że burza zbliża się do

wybrzeża szybciej, niż wcześniej się wydawało. Raczej nie wejdzie ci w paradę, ale i tak może mocno padać, a w drodze powrotnej napotkasz zapewne silny czołowy wiatr.

- Tak jest, sir - rzuciła Steph. - Zaraz uaktualnię prognozę u siebie i będę miała na nią oko.

- I dobrze - stwierdził Richard i chyba wahał się przez chwilę, nim znowu się odezwał.

- Ale może i tak będziesz chciała wrócić trochę wcześniej. Będziemy mieli gości na obiedzie.

- Żadnych więcej naukowców! - jęknęła niemal Stephanie i jej ojciec zaśmiał się cicho.

- Nie tym razem - odparł ze współczuciem. - Hobbard jest umówiona dopiero na czwartek.

- Ona jeszcze nie jest najgorsza. Przynajmniej potrafi zachować się uprzejmie i nie traktuje mnie jak naiwnego bachora. I Lionheart też ją lubi.

Richard był skłonny się z tym zgodzić, chociaż na własne oczy widział, ile wysiłku włożyła jego córka w przekonanie większości naukowców, że jest tylko małą dziewczynką o niewielkim rozumku. Nie wątpił, że któregoś dnia pojmą, jak wywiodła ich w pole, i wtedy pewnie nagła krew ich zaleje.

- Zauważyłem - powiedział głośno. - Ale jak wspomniałem, to żadne akademickie nasienie. Sądzę nawet, że możesz się ucieszyć.

- Tak? - spytała podejrzliwie Steph. Wiedziała z grubsza, co oznacza podobna zapowiedź. Bez dwóch zdań ojciec szykował jakąś niespodziankę.

- A tak - odparł ze śmiechem. - Spodziewamy się pewnej sympatycznej pary znad Thunder River.

- Znad Thunder River? - powtórzyła niedowierzająco Stephanie. Thunder River wypływała z gór Copper Wall blisko tysiąc kilometrów na północ od posiadłości Harringtonów.

- Kobieta, która do nas zadzwoniła, nazywa się Irina Kisaevna. Powiedziała, że rozmawiałaś z nią w zeszłym tygodniu. Chciałaby przylecieć razem ze swoim przyjacielem, niejakim Scottem MacDallanem. Może o nim słyszałaś? - spytał całkiem niewinnym tonem. - Musiałaś chyba. Minęło dopiero parę miesięcy, odkąd było o nim głośno. I chyba wspomniano wtedy, że ma treecata?

## ROZDZIAŁ XIX

Stephanie z mieszanym uczuciami patrzyła na lądujący wóz gości.

Ojciec miał rację co do zmiany pogody. Znad Oceanu Tannermana nadciągały właśnie coraz ciemniejsze chmury. Daleko na zachodzie niebo jaśniało co jakiś czas od błyskawic, a wiatr targał gałęziami palikowców i dębów rosnących wkoło domu. Stephanie zastanawiała się często, na ile tutejsze zjawiska atmosferyczne są gorsze od „złej pogody” na mniejszej jednak Ziemi, gdzie podobno i deszcz, i wichury były bardziej stonowane. Nigdy jednak tego nie widziała i przywykła do tutejszych burz, podobnie jak wszyscy zwracając uwagę na to, co najważniejsze, między innymi na konary bliższych domostwom drzew. Przy grawitacji wynoszącej 1,35 ziemskiej upadek kilkumetrowej gałęzi mógł skończyć się naprawdę tragicznie i firmy zajmujące się wszelkimi przycinkami nie narzekały na Sphinksie na brak pracy.

Dzisiejsza burza miała być gwałtowna nawet jak na tutejsze, wyśrubowane standardy, i serwisy pogodowe ostrzegały przed nią już od kilku dni. Sięgnęła jednak bardziej na południe, niż wcześniej oczekiwano, i miała uderzyć na wybrzeże jakieś osiemdziesiąt kilometrów od domu Harringtonów, przechodząc potem dokładnie nad gniazdem klanu Lionhearta (Steph zdecydowała się ostatecznie nazywać plemiona treecatów klanami, ponieważ kojarzyły się jej z rozbudowanymi grupami rodzinnymi). Niepokoiła się o przyjaciół i trudno było jej skupić się na gościach.

Mimo to czuła coś jeszcze, co trochę ją zaskoczyło. Doszła do wniosku, że w głębi ducha zazdrości doktorowi MacDallanowi i Fisherowi sławy związanej z niedawnymi wydarzeniami.

Powinnaś się wstydić, zbeształa się w myślach. Czy naprawdę zależy ci na sławie tej jedynej osoby kojarzonej przez ludzi z treecatami? Boisz się konkurencji? Skoro tak bardzo bolą cię te wszystkie gratulacje złożone MacDallanowi po całej aferze, dlaczego nie spotykasz się częściej z naukowcami? Albo nawet dziennikarzami? Wtedy wszędzie podawaliby twoje nazwisko, a nie jego.

Nie podobały się jej te myśli, ale nie czuła wstydu. Raczej rozczarowanie własną osobą. Była pewna, że jej rodzice podobnie by rzecz określili, gdyby o niej wiedzieli.

- Bleek - odezwał się cicho Lionheart tuż przy jej uchu i poruszył się lekko na jej

ramieniu. Musnęła lekko ręką jej głowę i Steph odebrała to jako łagodną reprimendę. Nie za to, co pomyślała o MacDallanie, ale za obwinianie siebie. Nie chciała tak szybko przechodzić nad tym do porządku dziennego, ale musiała też przyznać, że nie miała tej sławy doktorowi za złe. Poglaskała treecatą za uszami i postanowiła, że przy pierwszej okazji upora się z tym problemem.

- Bleek! - odezwał się znowu Lionheart, tym razem radośnie. Musiał wyczuć zmianę jej nastroju.

- Dobrze - szepnęła, gdy wóz już wylądował. - Będę się zachowywać. Ale ty też się postaraj!

Lionheart zamruczał głośno i przytulił się do jej karku.

Gdy drzwi się otworzyły, Stephanie ujrzała MacDallana, który okazał się najbardziej rudym spośród znanych jej rudzielców. Jego włosy przypominały płonące ognisko, a skórę miał tak usianą piegami, że niemal maskowały jego jasną cerę.

Irina Kisaevna była niższa od niego i bardzo kobieca, ale zdecydowanie mocniej zbudowana. Włosy miała dla kontrastu intensywnie czarne, oczy duże i piwne, a do tego prosty nos i wydatne kości policzkowe. Wyglądała na osobę, która często się śmieje.

Jednak uwagę Stephanie przyciągnął przede wszystkim kremowo-szary treecat, którego doktor niósł na ugiętej ręce. Był trochę mniejszy od Lionhearta i miał mniej ciemnych obręczy na ogonie, ale poza tym mógłby uchodzić za jego brata bliźniaka (nie licząc oczywiście brakującej dłoni). Po chwili uniósł głowę i spojrzał na nich zielonymi oczami.

\*\*\*

*Witaj, Uderzający Szybko - odezwał się gospodarz. - Witaj na terenie Klanu Postrachu Zabójczego Kła.*

*Dziękuję za powitanie, starszy bracie - odparł Uderzający Szybko. - Nie wiedziałem, że Postrach Zabójczego Kła i jej rodzice stworzyli prawdziwy klan.*

*Na razie jeszcze nie, ale niebawem to uczynią. Klan Jasnej Wody zdecydował zaś, że należy im się status klanu. W końcu wielu rzeczy już nas nauczyli, nie wspominając o...*

Uniósł lekko okaleczone ramię i Uderzający Szybko przytaknął, po czym przymrużył oczy i przyjrzał się blaskowi umysłu gospodarza. W kontaktach treecatów był to odpowiednik ludzkiego „przełamywania lodów”, tyle że zabierał o wiele mniej czasu i pozwalał na gruntowniejsze poznanie drugiej strony. Wprawdzie żaden z nich nie miał talentów śpiewających wspomnienia, nie mogli więc dzielić się dokładnie wszystkim, ale w chwili, gdy ludzie Uderzającego Szybko podeszli do Harringtonów, oba treecaty były już prawie „starymi” przyjaciółmi.

Potem zaczęły badać blask umysłów nieznanym sobie wcześniej ludzi. Było to ciekawe doświadczenie, ponieważ zarówno MacDallan, jak i Stephanie zostali dokładnie opisani w pieśniach, które już od jakiegoś czasu krążyły między klanami. Śpiewające wspomnienia przekazywały, że ta właśnie para ma wyjątkowo jasne i silne umysły, i starały się dokładnie opisać ich blask, ale i tym razem okazało się, że relacje nie oddają całej prawdy.

*Blask umysłu twojego dwunoga jest silniejszy, niż oczekiwałem - powiedział Uderzający Szybko. - Pod pewnymi względami płonie chyba jaśniej niż blask Wroga Mroku.*

*Wróg Mroku też ma silny umysł - odparł z szacunkiem Wspinający się Szybko. - Nie wydaje mi się przy tym, by blask któregoś z nich był jaśniejszy. Oni są po prostu... różni.*

Poruszył koniuszkiem ogona, usilnie starając się znaleźć właściwe słowa dla wyrażenia swoich odczuć.

*Sądzę, że różnica jest związana z typem więzi, jaką z nami utrzymują - powiedział po chwili. - Postrach Zabójczego Kła ma ślepy umysł, ale Wróg Mroku nie całkiem... Chwilami słyszę niemal echo jego myśli. Niemniej Postrach Zabójczego Kła czuje chyba lepiej moje emocje. Tak jakby każde z nich było połową prawdziwej osoby. Co ma jedno, tego brakuje drugiemu.*

*Możesz mieć rację - odparł Uderzający Szybko. - Nie myślałem dotąd o tym w taki sposób, ale jeśli jest, jak mówisz, to by tłumaczyło, dlaczego usłyszał głos Śpiewającej Czysto, mógł poznać opowieść Cichego Cienia i to, co zrobił zły dwunóg.*

*Nieźle nam idzie! - ucieszył się Wspinający się Szybko. - Całkiem sporo wiemy już o dwunogach, zwłaszcza tych naszych. Mam nadzieję, że oni uczą się równie szybko.*

\*\*\*

Richard Harrington przywitał się ze wszystkimi gośćmi, Fishera naturalnie nie wyłączając, chociaż w jego przypadku poprzestał na lekkim skłonieniu głowy.

- I zapraszam do środka, nim zaczniesz padać - dodał niezwłocznie.

- To bardzo dobry pomysł, doktorze Harrington - zauważył miłym dla ucha barytonem MacDallan.

- Amen - stwierdziła Irina Kisaevna i spojrzała z uśmiechem na Steph. - A ty musisz być Stephanie. Miło poznać cię osobiście, zwłaszcza że w tym towarzystwie jesteś jedyną osobą bez tytułu doktora!

Steph zaśmiała się i uścisnęła wyciągniętą w jej stronę dłoń.

- Tak wyszło - powiedziała, kręcąc głową. - Ale tych dwoje wystarczy za całą rodzinę. - Lekko wskazała ruchem głowy na rodziców i Marjorie palnęła ją lekko w czubek tejże głowy.

- Chyba zapominasz, kto będzie wieczorem nalewał czekoladę - powiedziała złowieszczym tonem i Irina zachichotała.

Stephanie doszła do wniosku, że Kisaevna ma miły śmiech. Podobnie zresztą jak powierzchowność.

Goście zostali zaprowadzeni do obszernego salonu, gdzie ogień trzaskał już w wielkim, kamiennym kominku, który nie był wyłącznie stylową dekoracją. Biorąc pod uwagę tutejsze zimy, zabezpieczenie na wypadek awarii zasilania było czymś mocno wskazanym, zwłaszcza że czego jak czego, ale drewna na Sphinksie nie brakowało. Kominki zbudowano zatem we wszystkich pomieszczeniach domu z pełną świadomością, że w razie nagłej potrzeby mogły zdecydować o przetrwaniu mieszkańców.

Niemniej tego wieczoru ogień został rozpalony tylko dla stworzenia miłego nastroju. Pięcioro ludzi chętnie przystanęło półkregiem naprzeciwko paleniska z syczącymi w niezmiennym od tysiącleci tonie smolnymi szczapami.

- Bardzo podobają mi się te obrazy - powiedziała Irina, patrząc na trzy płótna, wszystkie w klasycznym stylu, wiszące na ścianie salonu.

Podeszła bliżej i przyjrzała się krajobrazom, zaczynając od prawego. Z wyraźną przyjemnością studiowała grę cieni, bogactwo szarych i zielonych barw na pniach i w listowiu drzew letniego przedstawienia Sphinksa. Malowidło po lewej przedstawiało ten sam pejzaż, ale w barwach ziemistych, z bladą zielenią i spranym niebem wiosny. Na tym z drugiego końca dominowała rozjaśniona słońcem biel zimy ze sztyletami lodowych nacieków zwieszającymi się z gałęzi. Każdy z obrazów ukazywał zmienny cykl życia na Sphinksie w tak sugestywny sposób, że aż chciało się wyciągnąć rękę, zrobić krok i wejść w tamten las. Z prawej strony ściana była pusta, jakby czekała na jeszcze jedno płótno.

- Wydawało mi się, że znam niemal wszystkich malarzy mieszkających na Sphinksie, ale autora tych prac nie rozpoznaję - powiedziała Kisaevna. - Ktokolwiek to jest, chętnie zaprosiłabym go do domu mojego brata, by zrobił podobną serię i dla niego.

- To chyba da się załatwić - rzucił z uśmiechem Richard Harrington i spojrzał znacząco na żonę. - Tak się składa, że znam nieźle ich autorkę.

- To pani namalowała? - spytała zdumiona Irina. - Są wspaniałe!

- Cóż, przyjdzie poczekać z rok, nim dodam jesień, na Sphinksie wszystko płynie swoim rytmem - powiedziała Marjorie z uśmiechem. - Jeśli pani brat gotów jest poczekać kilka lat na podobną serię, to chyba zdołam znaleźć na nią czas.

- No to już po nas - powiedział MacDallan, widząc, jak obie panie szybko się dogadały. Stephanie spojrzała na niego pytająco, on zaś tylko pokręcił głową i wzruszył

ramionami. - Twoja matka maluje, Irina zaś rzeźbi. Nie tylko w glinie, bo i po brąz sięga. Wykonała już trzy studia Fishera, wszystkie w naturalnym rozmiarze. A jakby tego było mało, para się jeszcze ceramiką. Gdy się do niej wejdzie, wszędzie stoją jakieś skorupy, zwłaszcza misy, puchary, wazy, talerze, półmiski, filiżanki, dzbanki, kubki, karafki, wazoniki, miski... a nie, miski już były. W wolnych chwilach rozdaje je za bezcen, przez co wszyscy nasi znajomi mają kredensy pełne misek, pucharów, waz, talerzy, półmisków, filiżanek, dzbanków, kubków, karafek, wazonów i misek, które już były.

- Powinnam część z nich rozbić na twojej głowie - powiedziała słodkim tonem Irina i spojrzała z uśmiechem na Marjorie. - Jeśli nie będzie pani miała nic przeciwko, chętnie umówiłabym się na coś w rodzaju współpracy. Chętnie wyrzeźbiłabym Lionhearta. To, jak nosi świadectwa swojej odwagi, naprawdę wiele o nim mówi.

- Też tak uważam - odparła Stephanie, wyciągając rękę, by pogłaskać ciągle siedzącego na jej ramieniu treecata.

- Skoro ustalenia już poczynione, proponuję umyć ręce i siadać do stołu - odezwał się zdecydowanym tonem Richard Harrington.

\*\*\*

Obiad był ze wszech miar udany.

Oboje Harringtonowie nieźle radzili sobie w kuchni, MacDallan ani Irina nie mieli zaś dotąd okazji spróbować dań w stylu Meyerdahla, gdzie wymieszały się wpływy ziemskiego Orientu i Półwyspu Iberyjskiego, tworząc ostatecznie nową jakość. Scott był pod wrażeniem, chociaż nigdy by mu do głowy nie przyszło, że to może tak się komponować. Na początek podano pieczarki w oliwie z oliwek, z czosnkiem, cebulkami i pietruszką. Towarzyszyła im sałatka przyprawiona sosem, który jego ciotka z Nueva Madrit nazwałaby romesco. Został przygotowany na bazie przecieru pomidorowego, z dodatkiem czosnku, migdałów i orzechów laskowych. Migdały nie różniły się od tych rosnących na Ziemi, ale orzechy pochodziły z miejscowego drzewa, do złudzenia przypominającego leszczynę. Podobnie było z dodanymi do sałatki „anchois”, chodziło bowiem o rybę zajmującą analogiczną niszę ekologiczną co ziemski sardel, tyle że pływającą w oceanach niedalekiej Manticore. Niemniej krucha sałata i cykoria były ziemskimi odmianami, wyhodowanymi w cieplarni i ogrodzie Marjorie Harrington. Oliwki, podobnie jak anchois, pochodziły z Manticore, gdzie cieplejszy klimat pozwalał nawet na wzrost drzewek pomarańczowych.

Jako główne danie przewidziano kurze udka z rozmarynem, pietruszką, szalwią i tymiankiem, podane na ryżu i polane sosem z mleczka kokosowego przyprawionego odrobiną curry. Do tego szpinak z kawałkami ananasa i pomarańczy. Do pogryzania chleb domowego

wypieku. No i lodowy koktajl kokosowy z czerwoną fasolką.

- To było dobre - sapnął MacDallan, odsuwając się lekko od stołu i sięgając po filiżankę kawy.

- Na pewno nie chcecie już więcej? - spytała Marjorie, wskazując na świecące pustkami półmiski nadal stojące na środku stołu.

- Nie dam rady - stwierdził Scott. - Za dobre było.

- Wspaniale - zgodziła się Irina. - Ale też się napchałam.

Stephanie zauważyła, że Kisaevna zjadła znacznie mniej niż pozostali ludzie obecni przy stole, co w połączeniu z jej krągłą figurą mogło sugerować, iż nie została genetycznie zmodyfikowana i miała tradycyjny, znacznie wolniejszy metabolizm. Musiała przywyknąć do panującego na Sphinksie przyciągania, ale i tak mogło zastanawiać, jak się z tym czuje. Ludzki organizm nie był zaprojektowany do życia na „ciężkich” planetach.

Pozostali stołownicy, czyli treecaty, nie zamierzali jeszcze spasować. Wprawdzie nie były raczej wyczulone na smaki takiej czy innej kuchni, ale ku zdumieniu Steph zdecydowanie wolały potrawy gotowane, chociaż równie dobrze mogły jeść wszystko, co surowe. Gdy Lionheart po raz pierwszy zasiadł przy stole, omal nie rzucił się na półmiski, taki był zachwycony tym, co poczuł i czego posmakował. Fisher wydawał się podobnie zafascynowany ludzkim jadem i objadał już piąte kurze udko.

Szpinak nie wzbudził zainteresowania treecatów, chociaż może gdyby dodać do niego trochę selera...

- Skoro wszyscy już skończyli, może wrócimy do salonu? - zaproponowała Marjorie.

- Jeśli najpierw pozwolicie, byśmy pomogli wam posprzątać ze stołu - powiedziała Irina.

- Skoro sami tego chcecie... - odparła ze śmiechem Marjorie.

- Oczywiście. Chodzi o nawyki. Zwłaszcza w przypadku Scotta. I to, że nie jesteśmy u siebie w domu, niczego tu nie zmienia.

- Dobra - zgodziła się Marjorie i cała piątka zaczęła zbierać naczynia, by odnieść je do kuchni, tam zaś wstawić resztki do lodówki, odpadki zaś wpakować do toreb kompostowych. To, co nie nadawało się do bezpośredniego wykorzystania, trafiało albo do ultradźwiękowej niszczarki, albo do któregoś z pojemników do segregowania śmieci.

\*\*\*

Jakiś czas później siedzieli już wygodnie w fotelach przy kominku. Na zewnątrz deszcz łomotał o dach domu i wichura przybierała na sile. Burza była jeszcze daleko, ale sądząc po odgłosach gromów, wytrwale ciągnęła w ich kierunku.



- Chyba przyjdzie wam u nas zanoćować - powiedział Richard Harrington.

- Pomysł ogólnie dobry, o ile nie narobimy wam kłopotu - odparł MacDallan i pogłaskał z uśmiechem obżartego treecata śpiącego na oparciu jego fotela. - Gdy pierwszy raz spotkałem Fishera, przyszło mi lecieć przez paskudną burzę, chociaż we łbie mi się kręciło od wstrząśnienia mózgu. Zdecydowanie opowiadał się za przeczekaniem złej pogody.

- Domyślam się, jak to wyglądało - mruknął Richard. - Ale skoro już ruszyliśmy temat, może przejdziemy do zasadniczego powodu waszej wizyty?

- Chyba można - zgodził się MacDallan i spojrzał na Stephanie. - Muszę przyznać, że nieraz myślałem, że dobrze byłoby wymienić z tobą doświadczenia. Wcześniej nawet, niż zadzwoniłaś. Tyle że trochę się tego obawiałem i chyba nikogo tutaj nie zdziwi, gdy powiem, że kierowała mną troska o Fishera.

- Gdzie jak gdzie, ale tutaj spotka się pan ze zrozumieniem - powiedziała Marjorie i MacDallan zaśmiał się cicho.

W odczuciu Stephanie była w tym śmiechu też nuta zaciekawienia. Lionheart uniósł głowę i spojrzał na doktora.

- Naprawdę chciałem z wami porozmawiać, a zwłaszcza z tobą, Stephanie, od kiedy Fisher pojawił się w moim życiu - dodał MacDallan. - Tyle że byliśmy bardzo zajęci. Potem zaczęła się ta sprawa z BioNeering. - Zacisnął mocno usta i coś błysnęło w jego błękitnych oczach, po czym ujął dłoń siedzącej obok Iriny. - To było coś naprawdę paskudnego - powiedział cicho. - Już wcześniej czułem się osaczony przez ciekawskich, próbujących dowiedzieć się czegoś o treecatach, ale to, co zaczęło się później, było o wiele gorsze...

Przez kilka chwil wpatrywał się w milczeniu w ogień, ale w końcu otrząsnął się i znowu spojrzał na Stephanie.

- Jestem pewien, że ciebie też nękali. Słyszałem, że twoi rodzice ograniczyli im zdecydowanie dostęp do ciebie, co było bez wątpienia dobrym posunięciem. Może nie wszyscy z tych natrętów są szkodliwi, ale nadciągnęli całym stadem. W pewnej chwili Fisher miał ich już serdecznie dosyć, zwłaszcza że większość tego towarzystwa ma siano w łbie. Jego zdaniem gonią tylko za sensacją, i nie sądzę, by się w tej kwestii mylił.

- Też spotkaliśmy kilku takich z Lionheartem - przyznała Stephanie. - Ale jest też doktor Hubbard, zna ją pan, prawda? - MacDallan przytaknął. - Ona nie jest taka zła i nawet ją lubimy. Tyle że nawet ona...

Steph przerwała nagle i MacDallan przyjrzał się jej uważnie.

- Nawet ona zadaje pytania, na które wolisz nie odpowiadać - dokończył. - To chciałaś powiedzieć, prawda?

Stephanie nie odezwała się od razu, zaskoczona, że w ogóle poruszyła ten temat w obecności całkiem obcych ludzi. Owszem, szukała kontaktu z MacDallanem i chciała z nim porozmawiać, ale oczekiwała, że najpierw zdoła poznać go trochę i dowiedzieć się, co właściwie myśli o treecatach, na ile jest zdeterminowany, by je chronić. Dopiero potem zamierzała przejść do sedna sprawy. Jednak w MacDallanie było coś szczególnego. I nie chodziło tylko o fakt, że też został adoptowany przez treecata. I bez tego wzbudzał zaufanie.

Steph spojrzała na rodziców. Zrozumieli się bez słów i po chwili ujrzała, jak jej ojciec kiwa lekko głową.

- Po prawdzie zadaje pytania, na które żadne z nas nie chce odpowiadać - powiedziała, zwracając głowę ku MacDallanowi. - Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Tak właśnie myślałem.

MacDallan oparł się wygodniej. Nie wypuszczając dłoni Iriny, przesunął spojrzeniem po twarzach gospodarzy.

- Tak właśnie myślałem - powtórzył. - Im lepiej poznaję Fishera, tym bardziej jestem nim zafascynowany, i nie wątpię, że z wami jest tak samo. Ale nie opowiadasz o tym na lewo i prawo, co byłoby normalne w przypadku większości dzieci, a to daje do myślenia. Sugeruje, że masz jakiś powód, by milczeć. Obawiasz się, jak na dłuższą metę ułożą się kontakty treecatów i ludzi?

- Tak - przyznała cicho Steph. - Sądzę, że nie przypadkiem tak długo się przed nami kryły, i pewnie miały sporo racji, że się nas obawiały. Wiem, że cała masa dzieciaków z Twin Forks kombinuje teraz ciężko, jak złapać sobie treecata. Na dodatek chodzi o smarkaczy, którym chomika bym nie powierzyła, a treecaty przecież nie są zwierzętami. Ale oni o tym nawet nie myślą. Zaślepia ich zazdrość i widzą tylko tyle, że okazałam się lepsza od nich. Nie mają pojęcia, co Lionheart dla mnie zrobił i kim jest naprawdę. Mają go za słodkiego futrzaka i...

Przerwała gwałtownie, zaskoczona swoim wybuchem.

- Przepraszam, ale to mnie naprawdę irytuje. I sprawia, że zaczynam się bać, bo jeśli dzieci są takie, co może kotłować się w głowach ich rodziców? Sporo rozmawialiśmy z tatą o tym, co stało się z amforami na Barstoolu. Nie chcę, by coś podobnego powtórzyło się tutaj.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo mi ulżyło, że tak właśnie myślisz - powiedział MacDallan. - Mam te same obawy, zwłaszcza od czasu, gdy Ubel próbowała zgubić cały klan treecatów tylko po to, by ratować swoją... tylną część ciała. Gdy zadzwoniłaś, dotarło do mnie, że to bardzo dobry pomysł, byśmy się skrzyknęli. Mam na myśli wszystkich zaadoptowanych przez te futrzaki. - Ponownie pogłaskał miękką sierść Fishera. - Zacznijmy

trzymać się razem i może uda nam się wspólnie coś zdziałać.

- Myśli pan o przekonaniu treecatów do nas?

- To też, i sędzę, że na dłuższą metę będzie to bardzo ważne, ale w tej chwili pilniejsze jest to, o czym wspomniałaś. One potrzebują naszej ochrony tak samo, jak ty potrzebowałaś ich pomocy, gdy zaatakowała cię hexapuma. I jak ja, kiedy tonąłem. Potrzebują nas, chociaż moim zdaniem dysponują o wiele większą inteligencją, niż ktokolwiek przypuszcza, i są prawdziwymi telepatami.

- Też myślę, że są mądrzejsze, niż ludzie sądzą - zgodziła się Stephanie. - Może jedna doktor Hubbard coś podejrzewa. Trudno mi ją rozgryźć, w odróżnieniu od reszty naukowców, dla których treecaty są czymś niewiele lepszym od golden retrievera. Pewnie dlatego, że są tak małe. Całe to naukowe towarzystwo zdaje się mieć zakodowane w głowach, że stworzenia o tak małej masie ciała nie mogą być inteligentne. Powtarzają to przy każdej okazji, dowodząc, że mózg wówczas nie jest zdolny do rozwinięcia „wyższych funkcji poznawczych”. I dodają, że przecież to oczywiste! No i pozostają ślepi i głusi na wszystko, co nie zgadza się z ich teorią. - Skrzywiła się i wzruszyła ramionami. - Jeden z tych cymbałów stał tu kiedyś, oglądając krzemienisty nóż Lionhearta i jego sieć transportową. Miał je w rękach, a mimo to upierał się, że to żaden dowód na inteligencję, bo niektóre gatunki potrafią nieźle naśladować inteligentne zachowania. Myślałam, że jeszcze chwila, a pogłaszczę mnie po główce i powie, bym poszła pobawić się lalkami, zamiast mieszać się bez sensu do prawdziwej nauki, w której nieodzowna jest zdrowa dawka sceptycyzmu!

- Też na takich trafiłem - powiedział cierpkim tonem MacDallan. - A skoro mowa o rozmiarach mózgu, aż miałoby się czasem ochotę odkręcić komuś takiemu głowę, by sprawdzić, co właściwie ma w środku, prawda?

- Tak, ale jestem na to za mała - odparła z uśmiechem Stephanie.

- Z czego reszta ludzkości może się tylko cieszyć - zauważył jej ojciec. - Wiesz, Scott, obawiam się, że w rodzinie Harringtonów było aż za wiele dzieciaków o temperamencie, który kojarzy się zwykle z takim kolorem włosów, jakie ty nosisz na głowie.

- W zasadzie nic dziwnego, bo gen rudości idzie w parze ze zwiększonym wydzielaniem adrenaliny - odparł ze śmiechem MacDallan. - Dlatego rudowłosi tak często pakują się w kłopoty.

- To bardzo wygodna wymówka - skomentowała kwaśno Irina.

- Może wrócimy do tematu - zaproponował Scott pełnym godności tonem i spojrzał na Stephanie. - Sędzę, że wspomniani przez ciebie idioci mogą stać się naszą tajną bronią. Osobiście uważam, że chwilowo najlepiej będzie, jeśli treecaty pozostaną niedoceniane.

- Jesteś pewien, Scott? - spytał cicho Richard. - Nie mogę przestać myśleć o Barstoolu. Jeśli tutejsze władze uznają, że treecaty są tylko trochę bystrzejszymi zwierzętami, może wyniknąć z tego wiele kłopotów. Na pewno znajdą się idioci gotowi na nie polować i podbechtani przez nich, skretyniali ze szczętem politycy, postulujący wprowadzenie wygodnego dla nich limitu odstrzałów i sezonów ochronnych, podczas gdy tutaj potrzebny jest całkowity zakaz niepokojenia treecatów i uznanie ich za gatunek w pełni chroniony.

- Całkiem się z tym zgadzam, ale uważam, że nie ma co ruszać ze wszystkim od razu. Upowszechnienie informacji, że treecaty są mądrzejsze, niż ludzie sądzą, to stosunkowo łatwa sprawa. W razie potrzeby możemy to zrobić w dowolnie wybranej chwili. Trudniej będzie przekonać opinię publiczną, że jest odwrotnie, o ile uznamy oczywiście, że to dobry pomysł.

- Doktor MacDallan ma rację, tato - odezwała się Stephanie. - Też sporo o tym myślałam, zwłaszcza od kiedy usłyszałam o Barstoolu. Moim zdaniem powinniśmy w pierwszym rządzie skupić się na trzech sprawach. Jeśli okażą się wykonalne dla nas, rzecz jasna.

- Jakie to sprawy? - spytał MacDallan, spoglądając wyczekująco na Steph.

- Po pierwsze, sądzę, że ma pan rację. Niezależnie od tego, co zrobimy, większość ludzi zachowa się tak jak te cymbały grzmiące z Twin Forks. Dla nich treecaty pozostaną słodziakami, które można ubierać w sukienki. Idealne zabawki dla dziecka. To może być niebezpieczne dla pojedynczych treecatów, bo niektórym przyjdzie do głowy, by je łapać, ale jako gatunek zyskają raczej, jeśli ludzie pozostaną w błogiej nieświadomości. Przynajmniej na razie. Najlepiej chyba będzie, gdy wszyscy uznają, że chodzi o istoty na tyle rozgarnięte, by używać narzędzi, ale nadal będą mieli je raczej za... maskotki. Lub coś w tym rodzaju. Gatunek, któremu należy się ochrona i którego nie należy traktować jak zwierzyny łownej, ale sam w sobie całkowicie niegroźny.

Przerwała, spojrzała na MacDallana i poczekała, aż doktor przytaknie.

- Równocześnie powinniśmy zacząć wyjaśniać ludziom, że treecaty to gatunek naprawdę inteligentny. A nawet więcej, że są to rdzenni mieszkańcy Sphinksa, gospodarze tej planety. One były tu pierwsze i nie mamy żadnego prawa, by im ją odbierać. A na koniec trzeba by uświadomić wszystkim, że treecaty, które adoptowały ludzi, nie mają nic wspólnego ze zwierzętami domowymi. Że żyjąc wśród nas, są jakby ambasadorami. Ludzie mogą mieć je za przymilne futrzaki, ale ja widziałam, co potrafią zrobić z hexapumą. - Zadrżała, wspomniawszy pełen przerażenia jęk wielkiego drapieźnika, gdy zrozumiał, że znalazł się w pułapce. - Zresztą, wcześniej czy później ludzie sami dojdą do tego, że treecaty potrafią być groźne. Doktor Hubbard już to wie i przypuszczam, że Służba Leśna także. Ale lepiej, by

nadal mieli je za „wieczne dzieci”, które na pewno nie pożrą czyjegoś pekińczyka czy ulubionej papuzki. Ani nie skoczą nikomu do gardła.

Zamilkła i spojrzała znowu na MacDallana. On też przez chwilę wpatrywał się jej w oczy, po czym zwrócił głowę w kierunku jej rodziców.

- Macie niezwykłą córkę - powiedział.

- Też tak uważamy - przyznała z uśmiechem Marjorie.

Scott znów spojrzał na Steph.

- Zgadzam się ze wszystkim, co powiedziałaś, ale sądzę, że z drugim punktem nie powinniśmy za bardzo się spieszyć.

- Ale one były tu pierwsze! - zaprotestowała Stephanie. - Nie możemy pozwolić, by ludzie zabrali im miejsce do życia!

- Nie możemy. Jeśli będę miał cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie, do niczego podobnego nie dojdzie. Ale sądzę, że niedocenywanie treecatów w tej chwili im nie zaszkodzi. Zasadniczym powodem tego, co stało się na Barstoolu, był fakt, że miejscowa forma życia weszła poniekąd kolonistom w paradę. Do chwili odkrycia amfor zdołali podzielić całą planetę między siebie, przyznając różnym firmom prawa do eksploatacji złóż i innych bogactw naturalnych. Ściągnęli nawet pozaplanetarnych inwestorów, zyskując w ten sposób kapitał potrzebny do rozwoju kolonii. I nagle okazało się, że to wszystko jest zagrożone. Gdyby uznali amfory za istoty inteligentne i gospodarzy Barstoolu, dla większości oznaczałoby to duże straty, dla niektórych zaś nawet bankructwo. Na starej Ziemi też zdarzały się takie historie, gdy całe narody były mordowane lub skazywane na wygnanie przez inne, które chciały zagarnąć ich własność. Los amfor sugeruje, że coś takiego może powtórzyć się tym łatwiej, gdy „przeciwnik” nie ma nawet ludzkiego wyglądu.

- Właśnie! Dlatego musimy dopilnować, by nie zrobiono tego treecatom!

- Zgoda. Tyle że na Sphinksie nie ma jeszcze zbyt wielu ludzi i mało kto przejmuje się tym, co dzieje się poza rzadko rozrzuconymi osiedlami. Zdecydowana większość ziemi nadal należy tu do Korony, nie konkretnych osób czy firm. Wyjątkiem są te tereny, którymi zainteresowali się już spekulanci gruntowi z Landing i Yawata Crossing. Kupili sporo opcji.

- Opcji?

Steph nie miała pojęcia, o czym mowa, poza tym iż kojarzyła Landing jako stolicę Manticore (i tym samym Gwiazdowego Królestwa), a Yawatę jako stolicę Sphinksa, chociaż mówiło się ostatnio o przeniesieniu parlamentu do bardziej centralnie położonego Tillingham. Domyślała się też, iż w takich miejscach politycy maczają palce niemal we wszystkim, chociaż o samej polityce wiedziała niewiele. Z lekcji historii zapamiętała tyle, że jeśli w

jakiejs trudnej sytuacji politycy dochodzą do głosu, szybko robi się jeszcze gorzej.

- Chodzi o coś, co rząd zaproponował jeszcze podczas najgorszych lat Zarazy - wyjaśniła Irina. - Zaczęło się jednak od tego, że zanim pierwsi koloniści opuścili Ziemię, Roger Winton policzył wszystko, co zostało po zakupie statku i zapasów, i zainwestował całą sumę. Nie było to wiele w porównaniu z tym, co wcześniej wydano, ale ponieważ lot z wykorzystaniem hibernatorów trwał sześćset czterdzieści lat standardowych, gdy *Jason* wszedł na orbitę Manticore, odsetki urosły do naprawdę znaczącej kwoty. Większości kolonistów nic to nie obchodziło, ponieważ nie mieli zamiaru wracać na Ziemię, a gdyby nawet, przy ówczesnych statkach poruszających się tylko w normalnej przestrzeni i zbliżających się ledwie do prędkości światła, trwałoby to zbyt długo, by komuś chciało się porywać na nią dla jakiegokolwiek kapitału. Niemniej przyszły król Roger zakładał, że prędzej czy później ktoś dokona przełomu w budowie komercyjnych napędów i uczyni podróże z prędkością nadświatłą dostępnymi dla przeciętnych ludzi, nie tylko wypraw zwiadowczych. Wiedział, że wówczas zainwestowane na Ziemi pieniądze stałyby się dostępne.

W tym miejscu wzruszyła ramionami.

- Oczywiście miał rację i dzięki niemu Manticore rozwijała się o wiele lepiej niż wiele innych kolonii, a zgromadzony kapitał przydał się bardzo w czasie Zarazy. Opłacono z niego lekarzy i prace badawcze, przydał funduszy do programu imigracyjnego. Jednak w pewnej chwili i te zasoby zaczęły się kończyć i Gwiazdne Królestwo zaczęło rozpaczliwie szukać środków na walkę z zagrożeniem oraz zakup wszystkiego, co było potrzebne, na innych światach. Na dodatek już wcześniej niektórzy nie mieli ochoty czekać na zapłatę jedenastu miesięcy, ponieważ tyle, licząc drogę tam i z powrotem, trwał wtedy transfer środków z Układu Słonecznego na Manticore. I wtedy rząd zamyślił uzyskać gotówkę dzięki sprzedaży opcji na ziemię publiczną.

- Jakie opcje? - spytała Stephanie. - Chce pani powiedzieć, że wyprzedawali tereny na Sphinksie? W szkole mówili mi co innego!

- Bo to nie była dokładnie sprzedaż - wyjaśniła Irina. - Część ziemi i bogactw mineralnych Sphinksa jest własnością prywatną, nawet jeśli nikt ich jeszcze nie wykorzystuje. I to już nie jest ziemia publiczna. Chodzi o tereny przekazane pierwszym kolonistom. Owszem, część z nich wróciła do Korony podczas Zarazy, gdy nowi właściciele zmarli bezpotomnie. Inne majątki zostały nadane w ramach programu imigracyjnego. Większość z nich zasiedlono i rozwijają się, tak jak gospodarstwa mojego brata, moje i mojego męża czy twoich rodziców. Niemniej ponad 99,9 procent powierzchni planety nadal pozostaje w gestii

Gwiezdnego Królestwa, które zaczęło w czasie Zarazy sprzedaż opcji dających pierwszeństwo przy zakupie nowych majątków, gdy staną się one przedmiotem handlu. Ostatecznie od początku zakładano, że z czasem większość ziemi na wszystkich trzech nadających się do zamieszkania planetach układu trafi w prywatne ręce. Z racji ich klimatu i wielkości pierwsza w kolejce była Manticore, gdzie jakieś siedemdziesiąt procent obszaru i bogactw mineralnych zostało już sprzedane. Sphinx też jest atrakcyjny, ale przede wszystkim dla ludzi dostosowanych do życia na „ciężkich” planetach. Najmniejszym zainteresowaniem cieszy się Gryphon, który krąży wokół drugiej gwiazdy układu i tym samym jest mocno odległy od Manticore i Sphinksa. No i ma też mniej sprzyjający klimat.

Irina skrzywiła się z niechęcią i MacDallan zachichotał żywo. Stephanie niewiele wiedziała o Gryphonie, ale kojarzyła, że silne nachylenie osi obrotu było tam powodem gwałtownych zmian pogody. Irina najpewniej miała rację, mówiąc o mniejszej atrakcyjności tej planety.

- Tak czy tak, największy obszar cieszących się popytem terenów mamy na Sphinksie - stwierdziła Kisaevna. - Dla nikogo nie ulega też wątpliwości, że prędzej czy później trafią one na rynek. Znajdujący się w potrzebie rząd sprzedawał prawo do bycia pierwszym w kolejce, gdy wreszcie do tego dojdzie. Cena była niska, około czterech do pięciu procent wartości terenu, gwarantowano też szczególny rabat przy ostatecznym zakupie. Spory, bo do czterdziestu procent aktualnej wartości rynkowej. Same opcje sprzedawano z uwzględnieniem ówczesnej ceny, co gwarantowało spory zarobek w chwili, gdy Sphinx zaludni się setkami tysięcy czy milionami ludzi poszukujących czegoś dla siebie i gotowych zapłacić naprawdę wiele za dogodny kawałek ziemi.

- Ale do tego czasu większość nabywców opcji zdąży wymrzeć! - odezwała się Stephanie.

- Oczywiście, ale same opcje też są przedmiotem handlu, jak każdy inny papier wartościowy. Co więcej, ich wartość rośnie z czasem i nadal będzie rosła. Na dłuższą metę są świetną inwestycją. I stąd problem, o którym wspomniał Scott. Jeśli rząd uzna, że cała planeta należy do treecatów, masa ludzi zostanie z bezwartościowymi opcjami w dłoniach. W większości będą to osoby zawodowo trudniące się obrotem takimi walorami, czyli bogate i ze sporymi wpływami politycznymi. Gdyby rząd postanowił oddać planetę treecatom, ci spekulanci straciliby masę pieniędzy, zatem zrobią wiele, by do tego nie doszło.

Stephanie zrozumiała wreszcie, w czym rzecz, i tak się przeraziła, że Lionheart zerwał się z oparcia, położył uszy po sobie i syknął groźnie, wyczuwając jej stan ducha.

- Nie sądzę, by Korona zdecydowała się na oddanie całej planety, Stephanie! -

powiedział szybko Scott. - Nawet wówczas, gdyby wszyscy zgodnie przyjęli do wiadomości, że treecaty są inteligentne i tak dalej. Sam też bym tego nie chciał, bo zbyt łatwo mogłyby podzielić wówczas los amfor.

- Ale gdy wyjdzie na jaw, że one są rozumne, wielu posiadaczy akcji zacznie obawiać się takiego scenariusza! - zaznaczyła Stephanie.

- Może i tak - zgodził się MacDallan. - Jednak najpierw spróbują zminimalizować straty, ograniczając przyznany treecatom obszar. Nie od razu zaczną rozkręcać kampanię na rzecz „eksterminacji paskudnych sierściuchów”. Zwykle są to ludzie praktyczni. A trzeba przy tym pamiętać, że podobnie jak nie ma tu jeszcze wielu ludzi, treecatów też jest raczej niewiele, chyba że o czymś nie wiem. Jeśli dobrze zrozumiałem Hobbard, ich społeczność przechodzi dopiero od stadium łowiecko-zbierackiego do rolniczego, a to zawsze oznacza relatywnie niewielką populację. I chyba do tego dość rozproszoną. Wątpię zatem, by potrzebowały całej planety, i rząd dojdzie zapewne do tego samego wniosku. Mieszkańcy Sphinksa zaś to ludzie, którzy chcą przede wszystkim ułożyć tu sobie życie i zapewnić bezpieczny byt swoim rodzinom w nowym miejscu. Ich naprawdę obchodzi los tego świata i nie przypuszczam, by większość spekulantów, o których mówiła Irina, wpadła w szczególną desperację, gdy nadejdzie czas zmian. To nie znaczy oczywiście, że nie będzie żadnej opozycji i wszyscy zgodnie przyklasną oddaniu treecatom jakiejś części planety. Na pewno natrafimy na wiele problemów, powinniśmy jednak zadbać, by w chwili rozpoczęcia wyprzedaży ziemi publicznej treecaty dostały swoją część, i to taką, żeby mogły żyć spokojnie przez wiele pokoleń.

- Ale jak to zrobimy? - spytała Stephanie, przytulając spokojnego już Lionhearta.

- Tak dokładnie, to jeszcze nie wiem - przyznał MacDallan. - Szykuje się trochę zagmatwana sprawa, ponieważ zgodnie z pierwotnym uzgodnieniem kolonizacyjnym, ta akurat kwestia miała pozostawać w gestii planetarnych parlamentów, z gwarancją zatrzymania dwóch trzecich dochodu na miejscu. Dla lokalnych rządów to bardzo atrakcyjna perspektywa, ale nie wiem, jak to się ma do nowej konstytucji. Przypuszczam, że chwilowo nikomu nie zależy na rozgrzebywaniu sprawy i wyciąganiu różnych szkieletów z szafy. Niemniej, i do tego dążyłem, na pewno znajdą się ludzie, którzy spanikują, gdy usłyszą, że ich interesy mogą być zagrożone za sprawą możliwego przekazania planety „miejscowemu inteligentnemu gatunkowi”. Na razie nikt o tym nie myśli, wszyscy są przekonani, że to tylko takie sympatyczne pluszaczki. A jeśli nawet nie, to wyjątki muszą być bardzo rzadkie. I niech dalej tak myślą, ponieważ prędzej czy później sporo ludzi straci sporo forsy przez treecaty i lepiej, by zdali sobie z tego sprawę dopiero w chwili, gdy nasi przyjaciele będą już mieli



naprawdę wielu obrońców. No i dobrą prasę. Wtedy dowolna kampania na rzecz tego, by potraktować ich tak samo jak amfory, będzie miała nikłe szanse powodzenia.

Stephanie spoglądała na niego przez dłuższą chwilę i w końcu pokiwała niespiesznie głową.

- To o czymś takim myśleliście? - spytała rodziców.

- Mniej więcej - przyznał Richard, zerkając na Marjorie. - Odnoszę wrażenie, że Scotty też wiele o tym myślał, i skłonny jestem się z nim zgodzić. Ale zastanawia mnie jeszcze jedno. - Spojrzał uważnie na MacDallana i przymrużył lekko powieki. - Coś, co powiedziałaś kilka chwil temu. O tym, że treecaty są mądrzejsze, niż ludzie przypuszczają. Co doprowadziło cię do tego wniosku?

- To i owo - mruknął MacDallan i nagle zamilkł, dziwnie spięty, Fisher zaś podniósł głowę, położył wąsate pyszczek na ramieniu swojego człowieka i zagruchał zachęcająco. Scott uspokoił się wyraźnie, przytulił na chwilę policzek do sierści treecata i spojrzał ponownie na Richarda. - Obawiam się po prostu, że gdyby ludzie przedwcześnie dowiedzieli się, jak naprawdę inteligentne są treecaty i co może z tego wyniknąć, podjęliby jakieś... działania prewencyjne. Albo i gorsze - dodał z przejęciem. - Dość już jest zamieszania z naukowcami pchającymi się na tereny klanów, ale gdyby ktoś potwierdził głośno, że treecaty są prawdziwymi telepatami, wówczas każdy szemrany ośrodek badawczy w galaktyce zapragnąłby dostać choć jednego, by sprawdzić, jak to działa. A wielu ludzi wpadłoby w panikę i zaczęłoby kombinować, jak wymazać je wszystkie z powierzchni Sphinksa. Twoja rodzina pochodzi z Meyerdahla, moja z Halakona. Obaj świetnie wiemy, jak silne potrafią być przesady związane z modyfikacjami genetycznymi i jak łatwo ludzie dają wiarę gadaniu o „złych mocach” skrytych we wszystkim, co odmienne. Nie przypuszczasz, że tak samo mogą zareagować na wiadomość o telepatycznych zdolnościach treecatów?

- Chcesz powiedzieć, że one naprawdę je mają? - spytał z zastanowieniem Richard. - Że są pełnymi telepatami?

- Tak, są.

- A ty dowiedziałeś się o tym...

- Dowiedziałem się o tym, ponieważ też mam dar „wewnętrznego widzenia” - odparł MacDallan z westchnieniem, ale zdołał się uśmiechnąć. - W mojej rodzinie to dziedziczne. Pochodzimy od szkockich highlanderów. Moja babka, świeć Panie nad jej duszą, mogła być nawet pięćset kilometrów od któregoś ze swoich dzieci czy wnuków, a zaraz wiedziała, że jeden czy drugi złamał rękę, i leciała już do szpitala, chociaż nawet sam poszkodowany jeszcze tam nie dotarł. Tak to działało.

- Tak więc z własnego doświadczenia wiesz sporo o tych rzekomych „złych mocach” - powiedziała cicho Marjorie. Oczy miała wilgotne i nie próbowała nawet ukryć swojego współczucia.

- O, tak - przyznał z uśmiechem Scott. - Chociaż mnie na języki już nie biorą, ale też mało kto wie o moim darze. Między innymi dlatego nie wyjawilem szerzej, co naprawdę się działo, gdy Przybłęda mnie odszukał.

- Ufasz nam na tyle, by o tym opowiedzieć? - spytała Marjorie.

- Cóż, macie chyba dobre referencje - stwierdził Scott, głaszcząc Fishera po grzbiecie.

- My też wiemy chyba, co o tobie myśleć - zaśmiała się Stephanie, wskazując Lionhearta, który zaczął naśladować w tej chwili Fishera i też przytulił się z mruczeniem do swojego człowieka.

- Powiedz im, Scotty - odezwała się cicho Irina, ciągle ściskając wolną dłoń MacDallana.

- Dobrze. - Spojrzał na siedzących w półkołu słuchaczy i poprawił się w fotelu. - Po tym, gdy Fisher i Przybłęda doprowadziły mnie do rozbitego promu Erhardta, wywołałem więź w Twin Forks i poprosiłem o przysłanie ekipy, by zajęła się ciałami. Ponieważ jednak byłem już na miejscu, Wylie Bishop, który pełnił tego dnia dyżur, poprosił mnie o przeprowadzenie wstępnej autopsji. Nie była to miła robota, ale skończyłem wcześniej, niż chłopaki z komisji obejrzeliby dokładnie wrak. I wtedy nagle Fisher zaczął ciągnąć mnie do lasu. Nie widziałem, o co mu chodzi, ale wyraźnie chciał, bym tam poszedł. Nie paliłem się do spaceru, bo było już ciemno, a hexapumy są w tamtych okolicach dość liczne, ale nalegał tak bardzo, że w końcu poszedłem. A wtedy doprowadził mnie razem z Przybłędą do niewielkiego ogniska, wkoło którego siedział cały tłum treecatów.

Mówiąc to, patrzył na Stephanie i śledził wyraz jej oczu. Zwłaszcza w chwili, gdy wspomniał o ognisku. Przyjęła to całkiem normalnie, najpewniej więc musiała wiedzieć, że treecaty nie tylko używają narzędzi, ale potrafią też wykorzystywać ogień. Na pewno jednak nie wspomniała o tym Sanurze Hobbard czy jakimkolwiek innemu naukowcowi. MacDallan skinął jej lekko głową i w myślach postawił przy nazwisku Stephanie Harrington kolejny duży plus.

- Z początku nie rozumiałem, czego ode mnie chcą, ale potem same mi wszystko pokazały. Jedna z nich, bo sądząc po ubarwieniu, była to samica, i to mająca wśród nich spory autorytet, usiadła naprzeciwko i spojrzała mi w oczy, a wtedy...

## ROZDZIAŁ XX

- Cześć, Scott - powiedział radosnym tonem Richard Harrington. - Nie sądziłem, że odezwiesz się tak szybko.

Doktor MacDallan uśmiechnął się z ekranu. On i Irina spędzili ostatecznie u Harringtonów aż dwie noce, po części tylko z winy paskudnej pogody, przede wszystkim zaś dlatego, że obie rodziny szybko odkryły, że naprawdę wiele je łączy. Poza tym Fisher i Lionheart bardzo dobrze czuli się w swoim towarzystwie i Stephanie zapagnęła przedstawić Fishera klanowi Lionhearta. Sądząc po zachowaniu treecata MacDallana po powrocie z wyprawy do lasu, był to bardzo dobry pomysł.

Z drugiej strony głębokie zadowolenie Fishera mogło brać się też z faktu, że po raz pierwszy dane mu było odbyć podróż powietrzną.

Tyle że MacDallan nie krył przerażenia, gdy odkrył, że Stephanie samodzielnie krążyła między posiadłością a terenem klanu. To, że korzystała przy tym z lotni, trochę go uspokoiło, ale i tak miał sporo zastrzeżeń.

I dlatego właśnie zadzwonił tego poranka.

- Cóż, też nie miałem tego w planach, ale coś nie daje mi spokoju - powiedział. - Nie chcę się wtrącać, ale mam wrażenie, że te wycieczki Stephanie są jednak niebezpieczne.

- Też wolałbym, żeby nie latała ciągle tam i powrotem, ale to chyba najlepszy kompromis - odparł poważnie Richard. - Pozwala na zachowanie w tajemnicy ich miejsca zamieszkania, a co do lotni, to możesz mi wierzyć, że przy tym generatorze antygravitacji, który w niej zamontowałem, mogłaby utrzymać się spokojnie na trzystu metrach przez szesnaście godzin, i to przy całkowitej utracie siły nośnej. Gdyby cokolwiek złego się zdarzyło, Steph ma przykazane zmykać do góry, utrzymywać kontakt z nami i czekać, aż po nią przylecimy. - Wzruszył ramionami. - Nie powiem, by mnie to zachwyciło, ale nie możemy wiecznie chronić jej przed wszystkim. Zwłaszcza od czasu pojawienia się Lionhearta.

- I z tym się zgadzam - mruknął MacDallan. - Ale wiesz, Halakon został zasiedlony dopiero trzysta lat temu i pewnie ciągle tkwi w nas wiele z mentalności pionierów z pogranicza. To trochę inny świat niż Meyerdahl. Zgadzam się, Stephanie to bardzo rozsądne dziecko, ale najlepszy sprzęt potrafi zawieść, ja zaś jestem zwolennikiem zabezpieczania się z

każdej strony i na wiele sposobów.

- Czyli? - spytał trochę zdumiony Richard.

- Nosząc w spodniach pasek, dobrze jest też zakładać szelki. A poważnie, to sugerowałbym dać jej coś więcej niż wibronóz, gdy znowu wybierze się do lasu.

\*\*\*

- Sama nie wiem, Richardzie.

Marjorie Harrington i jej mąż stali po obu stronach kuchennego stołu. On siekała akurat marchewkę na sałatkę, on doprawiał steki, mające trafić niebawem do dwustronnie smażącej kuchenki. Stephanie pilnowała gotujących się kartofli i bezskutecznie próbowała ukryć zainteresowanie rozmową rodziców.

Matka zerknęła na córkę i pomyślała, że chyba nie najlepiej wyszło, że temat wypłynął akurat teraz. Wolałaby pogadać o tym z mężem na osobności. Z drugiej strony nie była to pierwsza taka sytuacja, a te wcześniejsze zawsze jakoś udawało się rozwiązać, i teraz więc dadzą sobie radę. Poza tym problem był ważny i dotyczył bezpośrednio jej córki, zatem może i lepiej, że dyskusja nie odbywała się za plecami Stephanie.

- Szczerze mówiąc, też nie jestem zachwycony, ale on ma rację - odparł Richard, wzruszając ramionami. - I to z kilku powodów. Co więcej, pewnie sam bym o tym pomyślał, gdybym nie wychował się na Meyerdahlu.

- Zgadza się, to nie jest planeta pogranicza, ale konstytucja Meyerdahla i tak gwarantuje prawo do samoobrony - zauważyła Marjorie.

- Jasne, że gwarantuje, ale rzadko ktoś z niego korzysta. I jeśli już, to raczej w kontaktach z innymi ludźmi, nie światem przyrody.

Marjorie przytaknęła. Nadal się jeszcze zastanawiała.

- Tylko czy to będzie praktyczne? - spytała. - Stephanie nigdy nie będzie wielka. To znaczy wysoka - poprawiła się, zerkając z uśmiechem na córkę, zanim ta zdążyła poczuć się urażona.

- Scott mówi, że wziął to pod uwagę - odparł Richard. - I właśnie dlatego proponuje nauczyć ją posługiwać się także strzelbą. W sumie sędzę, że nam też przyda się przeszkolenie - dodał, wzruszając ramionami. - Niewiele chodziliśmy dotąd do lasu, ale to może się zmienić, a wtedy prędzej czy później wpadniemy gdzieś na hexapumę. Albo ona na nas.

Marjorie zerknęła na niego niespokojnie, ale i tym razem przytaknęła.

- Przede wszystkim jednak Scott proponuje, by wyposażyc ją w coś poręcznego i na tyle skutecznego, by zniechęciło przynajmniej drapieznika do oblegania drzewa, na którym Steph będzie siedzieć w oczekiwaniu na pomoc. Jego zdaniem wystarczy porządny pistolet

kalibru dziesięciu albo jedenastu milimetrów.

- Aż tyle? - zdumiała się Marjorie. - Przecież to będzie olbrzymie! Za długie na jej wzrost.

- Chyba nie będzie tak źle - powiedział z uśmiechem Richard. - Nie musi nosić go przy pasie, może mieć kaburę pod pachą. Wtedy lufa nie będzie wlokła się po ziemi...

- Bardzo zabawne - stwierdziła z przekąsem Marjorie, ale kąciki jej ust uniosły się lekko.

- Przepraszam, ale ja naprawdę się na tym nie znam - rzucił Richard. - Wiem tyle, ile usłyszałem od Scotta. On zaś przekazał mi jeszcze, że jeden z jego przyjaciół, Frank Lethbridge ze Służby Leśnej, zaoferował się, że nauczy Stephanie strzelać. Nami też może się zająć. Lethbridge ma certyfikat instruktora i podobno ożenił się z własną strzelbą, ale pistolety też nie są mu obce. I jak zaznaczył Scott, ma to co najmniej dwie dobre strony. Raz, Steph zacznie nawiązywać kontakty z funkcjonariuszami Służby Leśnej, co bardzo może się przydać, a dwa, Lethbridge dobierze dla niej najlepszą broń. Słyszałem, że jest też wziętym rusznikarzem i od dawna zajmuje się bronią MacDallana. Nawet trochę ją podrasował.

- Sama nie wiem - powtórzyła Marjorie. - To wszystko wydaje się całkiem logiczne, ale... to moja córka! - Spojrzała znowu na Stephanie. - Przepraszam, słonko, ale tak właśnie jest. Jesteś moim dzieckiem i rozumiem, że dorastasz, ale zawsze będę się o ciebie niepokoić. A w tym przypadku...

Potrząsnęła głową i Richard położył jej dłoń na ramieniu.

- Wiem, co czujesz, i jestem pewien, że Stephanie też to rozumie. - Uśmiechnął się do córki, która miała dość oleju w głowie, by nie zgłaszać chwilowo żadnych pretensji do dorosłości. - Odniosłem wrażenie, że Scott też mocno się wahał, ale sama widziałas, jak szybko dogadał się ze Stephanie. Naprawdę się o nią martwi i sędzę, że ma rację. Myślę, że popełnilibyśmy wielki błąd, odrzucając jego radę. Zwłaszcza po tym, jak raz hexapuma omal nie zabrała nam dziecka - dodał ze śmiertelną powagą i rysy Marjorie stężały na chwilę. - Scott powiedział jeszcze, że Karl, kuzyn Iriny, też chętnie nam pomoże. Ma piętnaście lat i jest tylko rok starszy od Steph. Scott przypuszcza, i w tym pewnie też się nie myli, że obecność kogoś w jej wieku może wiele ułatwić. Z tego, co słyszałem, chłopak jest zachwycony Fisherem, i chyba domyślam się, o czym marzy. Bez dwóch zdań ma nadzieję, że Stephanie pozna go z rodziną Lionhearta.

- Rozumiem - mruknęła Marjorie z rozbawieniem.

- Właśnie. I tego wszystkiego dotyczyła reszta rozmowy - powiedział Richard.

Marjorie kiwnęła głową i zamyślona szatkowała dalej marchewkę. Potem zajęła się

pomidorami i selerem, a Lionheart załapał się na kawałek naci. W sumie skroili taką górkę warzyw, że dwie dorosłe osoby nie miały prawa pochłonąć wszystkiego za jednym posiedzeniem, i to nawet z wydatną pomocą treecata.

Potem westchnęła, obróciła się do Stephanie i położyła ręce na biodrach.

- A według ciebie to pewnie najlepszy pomysł pod słońcem? - spytała poważnie, ale bez przesadnej surowości.

- Nie wiem, czy najlepszy, ale chyba ma sens - odparła ostrożnie Steph. - No i chciałabym nauczyć się strzelać. I tak obiecaliście mi, że w przyszłym roku będę mogła zapisać się na kurs organizowany w Twin Forks.

- Obiecaliśmy, że będziesz mogła to zrobić, gdy skończysz piętnaście lat - poprawiła ją matka i Steph trochę się zarumieniła. - Ale fakt, wyraziliśmy zgodę, byś wzięła w pewnej chwili broń do ręki i nauczyła się jej używać. I chyba rzeczywiście my też powinniśmy o tym pomyśleć, chociaż wcale nie palę się, by kogokolwiek zabijać - dodała, patrząc na męża.

Stephanie przybrała mądry wyraz twarzy. Z doświadczenia wiedziała, że dobrze poczekać chwilę z atakiem dzikiej radości.

- Niemniej jeśli, powtarzam, jeśli się na to zgodzimy, musisz obiecać, że będziesz słuchała rangera Lethbridge'a. Zawsze i we wszystkim, co dotyczy broni. Wątpię, byś podeszła do sprawy lekceważąco, ale rozmawiamy o broni zdolnej zatrzymać hexapumę. Żadna broń nie jest zabawką, ale ta będzie szczególnie potężna, a pociskowi jest wszystko jedno, w co trafia i czy został wystrzelony celowo czy przypadkiem.

- Tak jest - odparła poważnie Stephanie.

- To w porządku - powiedziała matka z westchnieniem. - Pomyślimy nad tym i obiecuję ci, że postaramy się jak najszybciej podjąć decyzję. Najlepszą z możliwych. Od ciebie zaś oczekuję, że zaakceptujesz ją bez gadania. Zgoda?

- Zgoda. - Stephanie zdołała zapanować nad swoją radością. Chociaż oficjalnie sprawa nie była jeszcze przesądzona, wyglądała bardzo optymistycznie. A nawet jeszcze lepiej.

\*\*\*

- Całkiem dobrze! - zawołał Karl Zivonik, zerkając przez lunetę na tarczę. - Pięć na pięć w kręgu dziesiątki! Piękne skupienie. Z daleka wygląda jak jedna wielka dziura. Byle tak dalej, Steph!

Stephanie uśmiechnęła się szeroko, upewniła się, że komora broni jest pusta, i odłożyła strzelbę na stojak wylotem lufy ku ziemi, czyli dokładnie tak, jak ją uczono. Na koniec zdjęła staromodne ochraniacze wielkością przypominające nauszники i osłaniające dzięki temu całą małżowinę uszną. Karl lubił je najbardziej, zwłaszcza że były wyposażone w

filtry przepuszczające normalne odgłosy w rodzaju ludzkiej mowy, a zatrzymujące jedynie to, co przekraczało pewien próg głośności. Steph wydawały się za duże, niemal przytłaczające, ale nie zdjęłyby ich, gdyby ktoś jeszcze czekał na linii ognia. Gdy raz zrobiła to za wcześnie, nie zauważywszy przybycia kolejnych strzelców, i Lethbridge zrugął ją ostro, porównując głośno do niedorozwiniętej dżdżownicy, Steph naprawdę miała ochotę zapaść się pod ziemię. Co gorsza, przez kolejne dwa dni miała zakaz wstępu na strzelnicę.

Z samym strzelaniem radziła sobie jednak nadspodziewanie dobrze, podobnie jak jej matka (która była tym jeszcze bardziej zdumiona). Obie okazały się mieć wyjątkowy talent w tej dziedzinie, czego nie można było powiedzieć o Richardzie. Jak orzekł Lethbridge, ojciec Steph ogólnie dawał sobie radę i powinien sprawdzić się w razie potrzeby, jednak jego panowanie nad bronią nie było najwyższych lotów, z pistoletem zaś w ogóle kiepsko sobie radził. Szczęśliwie był osobą na tyle zrównoważoną, że nie poczuł się urażony, gdy obie jego panie okazały się zdecydowanie lepsze.

- Daj popatrzeć! - powiedziała Stephanie, wyciągając rękę w kierunku zamontowanej na stałe lunety, przez którą Karl obserwował tarczę strzelniczą. Obrócił się do niej i gestem posiadacza położył dłoń na urządzeniu.

- To chyba nie było uprzejme - odparł z uśmiechem. - Nie zapomniałaś o pewnym magicznym słowie?

Stephanie też się uśmiechnęła. Scott MacDallan nie wspomniał wcześniej, że Karl był świadkiem jej słownego starcia z Trudy Franchitti i Stanem Changiem, ale od razu go rozpoznała. To on wtedy pokazał jej uniesiony kciuk. Szybko wyszło na jaw, że usłyszał (i zobaczył) więcej, niż wówczas przypuszczała, a o Trudy miał zdanie jeszcze gorsze niż ona. Było to miłe, a w dodatku Karl zdawał się w ogóle nie dostrzegać kobiecych atrybutów Trudy, ale tę ostatnią refleksję Stephanie zachowała dla siebie.

Dodatkowo był tropicielem i myśliwym, i to bez wątplenia lepszym niż Ralph Franchitti czy jego ojciec, chociaż wcale nie zależało mu na imponujących trofeach. Tak samo jak Stephanie uwielbiał lasy Sphinksa i myślał przede wszystkim o ich ochronie. Z tego też powodu Frank Lethbridge już jakiś czas temu zaprosił go na rozmowę do siedziby Służby Leśnej i odtąd było już wiadomo, że za kilka lat, zaraz po osiągnięciu odpowiedniego wieku, kuzyn Iriny rozpocznie służbę wśród rangerów.

Był wysoki jak na swój wiek i już teraz przerósł Scotta MacDallana, a zbliżał się do wzrostu własnego ojca. W jego rodzinie nie było żadnych modyfikacji genetycznych, musiał więc wykształcić porządną muskulaturę, by móc funkcjonować na „ciężkiej” planecie. Mimo potężnej postury nigdy nie patrzył na Stephanie z wyższością. Czasami robił się milczący i

spoglądał gdzieś w przestrzeń, jakby ulegając drzemiącemu w nim smutkowi. Stephanie nie miała pojęcia, co może być jego przyczyną, ale takie chwile zdarzały się rzadko i nigdy nie powodowały zmiany nastawienia do otoczenia.

Nie przejmował się też chyba faktem, że przyszło mu uczyć kogoś młodszego, teoretycznie „nadal dziecko”. Owszem, był starszy od Stephanie tylko o półtora roku standardowego, niby niewiele, chociaż dla nastolatków czasem sporo, on jednak zdawał się w ogóle tej różnicy nie zauważać. Na dodatek używał głowy i nie uważał, że skoro jest starszy, to zawsze ma rację. Nie obrażał się, gdy okazywało się, że ona wie o niektórych sprawach znacznie więcej od niego.

No i miał poczucie humoru.

- Rzeczywiście - powiedziała z namysłem Stephanie. - Chyba faktycznie o czymś zapomniałam. Chyba dobrze się domyślam, że to magiczne słówko brzmi „natychmiast”?

- Wiedziałem, że tak będzie. - Karl westchnął i odsunął się od lunety, by sama mogła sprawdzić wynik swojego strzelania.

Klasyczna luneta optyczna dawała lepsze przybliżenie niż szkło montowane na strzelbach i Steph aż urosła, gdy ujrzała tarczę. Karl miał rację. Wszystkie pociski trafiły w niemal jedno miejsce, i to blisko środka, chociaż dystans strzelniczy wynosił sto pięćdziesiąt metrów. Owszem, z pozycji leżącej i z możliwością oparcia broni o worek z piaskiem, ale i tak otwór nie był większy od używanej w Królestwie Manticore ćwierćdolarówki.

- Nieźle sobie radzę - mruknęła Stephanie.

- Doceniam, ale bardziej pod wrażeniem już nie będę - powiedział Karl.

- Nawet spróbować nie można? - prychnęła Steph.

- Wiedziałem, że tak będzie - powtórzył Karl i sięgnął do przycisku uruchamiającego mechanizm przybliżający tarczę do ich stanowiska.

Stephanie schyliła się, by poszukać łusek. Nie były wykonane z metalu, ale z twardszego niż dowolny stop szarego kompozytu. Nadal były ciepłe, jednak tworzywo szybko stygło i można było zbierać je, nie ryzykując poparzenia palców. Na Sphinksie przeważały osoby dbające o porządek i zostawianie leżących na linii ognia łusek było w złym tonie. Ktoś skłonny to lekceważyć sam zostałby szybko usunięty z przybytku.

- Sądzę, że Frank... czyli ranger Lethbridge, zarządzi jutro koniec twojego szkolenia ze strzelby - powiedział Karl. - Bez trudu wystrzelasz, co trzeba, i będzie po sprawie. - Przesunął palcami po tarczy i inteligentny papier zabliznił po chwili otwory. Karl przyjrzał mu się krytycznie i odesłał tarczę na miejsce. - Chcesz poćwiczyć z pistoletem, zanim zaczniesz drugą część kursu?



- Przydałoby się - odparła Stephanie z zapalem i Karl się roześmiał.

- Dobra. To chodź.

Wzięli ochraniacze i przeszli na mniejszą strzelnicę, która też była w sumie dość spora, bo maksymalny dystans wynosił na niej pięćdziesiąt metrów. Bardzo dużo jak na pistolet, ale na Sphinksie nie brakło wolnej przestrzeni, i tutaj więc nie widziano powodu do oszczędności. Stephanie to nawet odpowiadało, bo lubiła ćwiczyć w trudnych warunkach, i nie miało dla niej większego znaczenia, że podczas egzaminu nie przewidywano oddawania strzałów z odległości większej niż dwadzieścia pięć metrów.

Założyła ochraniacze, podczas gdy Karl wybrał tarczę, zawiesił ją i odsunął na dystans siedmiu metrów. Potem przeszedł na bok i sięgnął po własne ochraniacze.

- Uwaga, strzelanie - powiedział oficjalnym tonem i Steph wyciągnęła ciężki pistolet z kabury.

Broń, którą wybrali dla niej Scott MacDallan i Frank Lethbridge, była niemal tak długa jak przedramię Steph: półautomatyczny pistolet z klasycznymi, chemicznymi nabojami, wywodzący się w prostej linii od wynalazków znanych jeszcze na starej Ziemi. Nawet ktoś z czasów przed Diasporą rozpoznałby w nim jedenastomilimetrową wersję pistoletu klasy magnum i pewnie byłby zdumiony, że podobny zabytek pozostaje wciąż w użyciu. Zasada jego działania nie zmieniła się przez ten czas ani o jotę (choć ładunki miotające reprezentowały po szesnastu stuleciach całkiem nową jakość) i nadal był to najtańszy, najbardziej efektywny i niezawodny w normalnych warunkach rodzaj uzbrojenia. O wiele nowocześniejsze pistolety powstawały głównie na potrzeby policji i różnych sił specjalnych i rzadko były używane przez cywilów, którzy woleli sprzęt prosty, niewymagający pamiętania, jaki jest aktualny stan załadowania ogniów energetycznych broni.

Tyle że ten egzemplarz był naprawdę duży, jak dla Stephanie, i można się było zastanowić, dlaczego jej mentorzy nie znaleźli czegoś mniejszego dla niepozornej jeszcze dziewczynki.

Przeważała świadomość, iż jakakolwiek lżejsza broń nie daje gwarancji skuteczności w przypadku spotkania z hexapumą. Jak zaznaczył ranger Lethbridge, z dużego gnata zawsze można ustrzelić też coś mniejszego niż najgroźniejszy drapieźnik Sphinksa, ale byle pukawka nic by nie pomogła w razie powtórzenia się sytuacji podobnej do pamiętnej katastrofy, tyle że bez całego klanu treecatów w odwodzie.

Tyle dobrego, że dzięki modyfikacjom genetycznym Stephanie była silniejsza niż przeciętne dziecko w jej wieku. Miała mocniejsze kości i nadgarstki bardziej sprawne, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka. Na wszelki wypadek Lethbridge wyposażył jej broń w

hamulec wylotowy, zmniejszający siłę odrzutu o blisko trzydzieści procent. Podobną ilość energii pochłaniała sprężyna powrotna, sporo pomagał też przy strzelaniu sam ciężar pistoletu. Lethbridge nosił coś bardzo podobnego, tyle że z lufą kalibru 13,5 milimetra. Stephanie szybko opanowała pierwsze zaskoczenie i przeszła nad masą broni do porządku dziennego, by więcej nie zwracać na to uwagi.

Z równie poważnym wyrazem twarzy co Karl odciągnęła zamek, ukazując pustą komorę nabożową, i sięgnęła do pasa po magazynek z grubymi nabożami.

- Do strzelania - zameldowała, ściskając magazynek w lewej dłoni.

- Ładuj i przygotuj broń - powiedział Karl.

Wsunęła magazynek na miejsce na tyle energicznie, by zatrząsk zaskoczył za pierwszym razem. Karl obserwował jej działania, po czym spojrzał na boki. To, że byli sami na strzelnicy, nie zwalniało od przestrzegania procedur. Oboje zostali w tej materii dokładnie przeszkoleni.

- Czy jesteście gotowi? - spytał i chociaż nikt nie odpowiedział, bo i nie miał kto, Karl odczekał chwilę. Dopiero potem odsunął się do tyłu. - Strzelnica gotowa - oznajmił i Stephanie odbezpieczyła broń. Ciężki zamek skoczył do przodu, wprowadzając pierwszy nabój do komory.

Steph przyjęła postawę strzelecką, której nauczyli ją Karl i Lethbridge. Ranger nazwał ją „postawą Weavera”, chociaż sam nie wiedział, skąd wzięło się to określenie. Stephanie też nie, ale szybko odkryła, że gdy pojęło się już, w czym rzecz, był to zdumiewająco wygodny sposób ułożenia ciała. Broń trzymała oburącz i po tylu godzinach spędzonych na strzelnicy nie miała żadnych kłopotów z naprowadzeniem jej na cel. Z wyczuciem pociągnęła za spust...

\*\*\*

MacDallan stał na tarasie przylegającym do górnej kondygnacji biura Straży Leśnej. Znajdował się na tyle daleko od strzelnicy, że odgłos strzelby dobiegał doń tylko jako przytłumione pukanie, ale Scott i tak uśmiechnął się i pokręcił głową. Oczekiwał, że Steph będzie się dobrze bawić podczas kursu, ale nie spodziewał się aż takiego zaangażowania ani błyskawicznego oswojenia się z bronią. Zupełnie jakby modyfikacja genetyczna dziewczyny obejmowała także przygotowanie strzeleckie. Na dodatek Stephanie i Lionheart szybko zaprzyjaźnili się z Frankiem i Ainsley Jedrusinski, co było dobrą wróżbą, jako że ci akurat funkcjonariusze Straży Leśnej nie byli nowicjuszami i ich wsparcie mogło bardzo przydać się w przyszłości.

- Prosząc cię o pomoc w szkoleniu, nie myślałem, że ona prawie się tu przeprowadzi - rzucił ironicznym tonem przez ramię.

- Aż tak źle chyba nie jest - odparł Lethbridge. - O ile dobrze pamiętam, w tym tygodniu spędziła też wiele czasu z Iriną.

- Dokładniej u Alexandra i Eveliny.

- Tak? Pobiera korepetycje u Karła? - spytał Lethbridge.

- Tak przypuszczam - zgodził się Scott. - Chociaż na razie to żaden romans. Na moje oko obojgu jeszcze nie przyszło to do głowy, chociaż oczywiście mogę się mylić. A dla Karła jest pewnie jeszcze za wcześnie - dodał ze smutkiem. - Zbyt mało czasu minęło od śmierci Sumiko, by zwrócił uwagę na inną dziewczynę, zwłaszcza młodszą od siebie.

Obaj mężczyźni porozumieli się spojrzeniem. Lethbridge pokiwał głową. Majątek Uchidów przylegał do posiadłości Zinovików, a Sumiko Uchida straciła podczas Zarazy całą rodzinę, czyli rodziców i obu starszych braci. Została sama. Było to tym boleśniesz, że dotknęła ją ostatnia, całkiem niespodziewana fala zachorowań, ta sama, która zabrała męża Iriny. Ponieważ obie rodziny były blisko zaprzyjaźnione, Zinonikowie nie zastanawiali się nawet, czy adoptować Sumiko. Po prostu to zrobili.

Dziewczyna była niemal dokładnie w wieku Karła, bystra i obdarzona egzotyczną urodą. Oboje zaprzyjaźnili się jeszcze przed tragedią, potem zaś stali się nierozłączni i wszyscy oczekiwali, że we właściwym czasie pobiorą się i razem obejmą majątek dziewczyny. Oczywiście niejedno mogło się jeszcze zmienić, ale na pionierskich planetach w rodzaju Sphinksa młodzi wchodzili w oficjalne związki szybciej niż gdziekolwiek indziej, a to, że ci dwoje mieli się ku sobie, nie ulegało najmniejszej wątpliwości.

A potem nadszedł ten dzień, gdy osłabiony zimowymi wichurami konar dębu poddał się akurat w chwili, gdy pod drzewem przejeżdżał kulig młodszych Zinovików pod opieką Karła i Sumiko. Dziewczyna musiała coś dostrzec, bo rzuciła się i odepchnęła Larisę, najmłodszą z córek Eveliny, daleko na bok, sama jednak uciec nie zdążyła. Spadający z wysokości blisko stu metrów konar nie dał jej żadnej szansy. Zginęła na miejscu, przygnieciona kawałem drewna o wadze ponad trzystu kilogramów.

To, że nie cierpiała, nie było wystarczającą pociechą dla Karła. Bardzo ciężko przeżył jej śmierć, mając ją dodatkowo za wyjątkowo niesprawiedliwą po tym, gdy Sumiko jako jedyna z całej rodziny przetrwała ponury czas Zarazy. Musiało minąć z pół roku, nim znowu się uśmiechnął.

- Pewnie masz rację - mruknął Lethbridge. - Głupio tak mówić, ale pewnie się nie mylisz.

- Co zrobić - stwierdził MacDallan. - W końcu jakoś dojdzie do siebie. Chyba nawet już zaczął. Jestem też pewien, że Alexandr, a przede wszystkim Evelina nie dopuszczą, by

sprawy wymknęły się spod kontroli. Chociaż na moje oko, to ona go na razie przede wszystkim peszy.

- Trzeba przyznać, że jest ostra - zgodził się Lethbridge. - A przy tym bystra i ładna. No i chyba robi za najślynniejszą czternastolatkę Sphinksa. Ale czy to dość, by speszyc kogoś takiego jak Karl?

- Jest jeszcze Lionheart - przypomniał Scott. - Dla Karla to jak objawienie.

- Domyślam się - powiedział z uśmiechem Lethbridge i spojrział na barierkę tarasu, gdzie Fisher i Lionheart wygrzewały się na słońcu. Stephanie rzadko rozstawała się z przyjacielem, ale strzelnica okazała się miejscem cokolwiek wyjątkowym. Treecaty miały zbyt wrażliwy słuch i Lionheart wolał trzymać się z daleka od źródła hałasu. - Niemniej mam wrażenie, że Lionheart zaakceptował Karla.

- Nie mylisz się. I prawdę mówiąc, dlatego właśnie nie sądzę, by burza hormonów wzięła górę nad rozsądkiem.

- Pewnie tak.

- Jutro po południu ma wracać do domu - powiedział Scott, nasłuchując kolejnej serii strzałów. - Chyba można przyjąć, że zda poranny egzamin? Jak sądzisz?

Lethbridge podszedł bliżej i spojrział w stronę odległej strzelnicy.

- Zdziwiłbym się ciężko, gdyby wyszło inaczej.

## ROZDZIAŁ XXI

- Stephanie, przedstawiam ci doktora Tennessee Bolgeo - powiedziała doktor Hobbard. - Jakiś czas temu objął stanowisko profesorskie Kerry'ego Gilleya na Wydziale Ksenoantropologii Uniwersytetu Liberty w układzie Chattanooga. Uzyskawszy grant Paulka, przyleciał tutaj specjalnie w celu podjęcia badań nad treecatami. Ministerstwo poprosiło mnie, bym okazała mu wszelką pomoc i poznała go z tobą oraz Lionheartem.

Stephanie spojrzała na mężczyznę stojącego obok Hobbard. Był średniego wzrostu, z okrągłą twarzą i lekko przerzedzonymi włosami. Wyglądał na cztery do pięciu lat starszego niż jej ojciec, miał miły uśmiech oraz pogodne spojrzenie sugerujące życzliwość wobec całego świata, jednak było w nim coś dziwnego...

- Dzień dobry, doktorze Bolgeo - powiedziała Stephanie, uprzejmie ściskając dłoń gościa.

- I ja ciebie witam, panno Harrington. - Doktor skłonił się lekko i uśmiechnął promiennie do Steph. - Ale mów mi raczej Ten - dodał, jeszcze szerzej rozciągając usta. - Zawsze uważałem, że Tennessee to kiepskie imię, chociaż moi rodzice byli odmiennego zdania. Szczęśliwie od kiedy pamiętam, mało kto go wobec mnie używa.

- Chyba czułabym się niezręcznie - powiedziała Stephanie, nie wychodząc z roli dobrze wychowanej pani. - Może później.

- Mam nadzieję, że szybko poczujesz się przy mnie swobodnie - stwierdził Bolgeo. - Dokonałaś czegoś niezwykłego, odkrywając całkiem nowy gatunek inteligentnych istot. I to znacznie mniejszy od wszystkich, które dotąd poznaliśmy! - Pokręcił z podziwem głową. - Przed przylotem na Manticore przekopałem się dokładnie przez wszystkie znane mi źródła i wygląda na to, że jesteś najmłodszą osobą mogącą się poszczycić podobnym osiągnięciem. Trafisz do podręczników historii, młoda damo. Powinnaś być dumna ze swego dokonania.

Lionheart poruszył się na jej ramieniu i wydał odgłos, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Przypominał warczenie, ale rejestr dźwięku był tak niski, że nie miała nawet pewności, czy odebrała go uszami. Tak czy tak, było w nim coś mało życzliwego.

- Doktor Bolgeo przybywa z godnymi uwagi referencjami - powiedziała Hobbard. - Granty Paulka należą do tych, które bardzo trudno jest zdobyć. Skoro otrzymał go, na dodatek całkiem szybko, jest to świadectwo wysokiej oceny jego dokonań na polu nauki.

Stephanie wyczuła w głosie doktor Hobbard jakąś osobliwą nutę, ale zupełnie nie wiedziała, o co może chodzić.

- Proszę nie przesadzać! - zaśmiał się doktor Bolgeo. - Sami pani wie, że przy rozdawaniu grantów ważniejsze bywa nie to, co się wie, ale kogo się zna. - Wzruszył skromnie ramionami. - Chociaż nie przeczę, że podczas najbliższej konferencji antropologicznej na mojej uczelni będę miał się czym pochwalić. Będę tam jedynym, któremu zdarzyło się spotkać treecata. Przyznaję, że granty Paulka nie są rozdawane na lewo i prawo, ale ostatecznie i tak wszystkim nam chodzi o to samo, czyli podążanie śladem odkrycia obecnej tu młodej damy.

Stephanie uśmiechnęła się, jak mogła najuprzejmiej, i doktor Bolgeo znowu rozpromienił się na podobieństwo słoneczka o świcie.

- Chciałabym poprosić cię, Stephanie, o opowiedzenie doktorowi Bolgeo tego, co ja wcześniej od ciebie usłyszałam - powiedziała Hobbard. - Zależy mu na relacjach z pierwszej ręki. Pomoże mu to wyrobić sobie zdanie o obecnej sytuacji, nim weźmie się do układania harmonogramu prac.

- Oczywiście, doktor Hobbard - odparła Stephanie, chociaż po prawdzie wcale nie miała ochoty tego robić. - Od czego mam zacząć?

\*\*\*

- I co powiesz o doktorze Bolgeo?

- Szczerze, mam? - spytała Stephanie, podnosząc głowę znad obieranых właśnie kartofli. - Chyba go nie lubię. Lionheart też nie. Nie jestem nawet pewna, czy doktor Hobbard go lubi.

- Naprawdę? - Marjorie obejrzała się na córkę, zastygając z uniesionym wyciskaczem do czosnku. - Ale dlaczego?

- Dlaczego go nie lubię? - spytała Steph. Jej matka przytaknęła. - Nie do końca wiem, ale po części pewnie dlatego, że traktuje mnie jak dziecko, chociaż usiłuje udawać, że widzi we mnie dorosłą. I uważa, że jestem dość dziecinna, by się na to nabrać.

- Przykro mi to mówić, Steph, ale robisz czasem takie wrażenie na ludziach.

- Jakie wrażenie?

- No takie właśnie - mruknęła Marjorie, wyciskając wreszcie czosnek do sałatki. - I nie mówię tego, byś zaczęła się przejmować, ale żebyś wiedziała. Po prostu niektórzy, zwłaszcza dorośli, gubią się przy spotkaniu z tobą. Nie wiedzą, jak właściwie powinni się zachować wobec kogoś na oko młodego, ale nie zachowującego się jak typowe dziecko. No i próbują traktować cię jak dorosłą, a że robią to na siłę, wychodzi głupio.

- To może być to - stwierdziła z namysłem Stephanie, wracając do obierania. Przetrawiła pospiesznie słowa matki i musiała przyznać jej rację. Dorośli faktycznie gubili się w kontaktach z nią, zwłaszcza od czasu, gdy spotkała Lionhearta. Niezmiennie ją to irytowało, jednak antypatii dotąd nie wywoływało. - Ale sądzę, że jest jeszcze coś. I to coś sprawia, że Lionheart też go nie lubi. W jego przypadku odbiór mojej osoby nie może przecież mieć znaczenia.

- Nie, ale Lionheart wyczuwa twoje emocje, i jeśli ty kogoś nie lubisz, jemu może się to udzielać - powiedziała Marjorie, dodając do sałatki odmierzoną ilość oliwy z oliwek i octu winnego. - Owszem, przyznaję, ciągle nie wiemy, jak dokładnie działa jego empatia, i skazani jesteśmy w tej kwestii na zgadywanie, ale sądzę, że masz rację, gdy mówisz, że odbierasz jego emocje, a on twoje. Może więc dlatego nastawił się niechętnie do doktora Bolgeo? Może wyczuł po prostu, że nie czujesz się dobrze w obecności pana doktora?

- Może. Trudno wykluczyć - odparła Stephanie, chociaż w głębi ducha podejrzewała coś innego. Jej zdaniem przyczyna była głębsza. A jeśli trafnie wyczuła, że doktor Hobbard też nie lubi Bolgeo, potwierdzałoby to jej przypuszczenia. Ostatecznie pani doktor nie miała żadnego empatycznego zmysłu, który mógłby zaburzyć jej własne odczucia.

- Niemniej, skoro go nie lubisz, i Lionheart też ma coś przeciwko niemu, nie widzę żadnego powodu, dla którego musiałabyś często go widywać - stwierdziła Marjorie, wzruszając ramionami. - Usłyszał już, co chciał, i wie chyba tyle samo co doktor Hobbard. Gdyby zaś wrócił po więcej, sądzę, że zdołamy z tatą go zniechęcić. Możesz przecież być bardzo zajęta...

- Dzięki, mamó! - ucieszyła się Stephanie i Marjorie wzruszyła ramionami.

- Po to są rodzice. A skoro o tym mowa, wrzuciłaś już brudne skarpety do kosza z rzeczami do prania?

\*\*\*

Doktor Tennessee siedział w swoim pokoju hotelowym i dumał nad osobliwościami tego świata, przede wszystkim zaś nad Stephanie Harrington, która okazała się zdecydowanie zbyt rozgarnięta. Nie oczekiwał wprawdzie, że trafi na infantylną smarkulę, bo taka nie działałaby nawet połowy tego co Harrington, ale i tak poczuł się zaskoczony. Szkoda, że nie miał czasu zebrać więcej informacji przed złapaniem liniowca na Manticore. Chociaż, jak przyznawał filozoficznie, w przypadku tej dziewczynki i tak niczego by to nie zmieniło. Nie wszyscy chcą być tak głupi, jak by człowiek pragnął, i to jest jedna z niedoskonałości tego świata. No i jeszcze ten zapchlony treecat.

Wiedział, że nie podejmuje się łatwego zadania. Od łatwych byli inni. W sumie chyba

nie powinien się nawet dziwić, trafiając na dodatkowe komplikacje. Kłopoty to była jego specjalność.

Zachichotał na tę myśl i upił łyk z trzymanej w ręku szklaneczki.

Dobrze, że zleceniodawcy spali na forsie, bo załatwienie odpowiednich dokumentów, i to na wczoraj, nie było wcale tanie. Szczęśliwie udało się wykorzystać autentyczne czyste czipy Uniwersytetu Liberty, takie z aktualnym zabezpieczeniem. I to właśnie kosztowało najwięcej, bo fałszerz musiał wykraść je najpierw z rektoratu uczelni i nagłowić się przy tym trochę, by system ewidencyjny nie podniósł alarmu. Zaświadczenie o przyznaniu grantu Paulka też było pierwszorzędnej jakości. Powinno przejść wszystkie testy autentyczności, gdyby jakiemuś niedowiarkowi się na nie zebrało. Przynajmniej takie, jakie były dostępne na pograniczu. Mała szansa, by ktokolwiek był skłonny pisać na Chattanoogaę i sprawdzać rzecz u źródła.

Chociaż nawet wtedy nie byłoby jeszcze tragedii, a to dzięki drugiemu zleceniodawcy, czy właściwie całej grupie zleceniodawców, których znalazł na miejscu, w tym śmiechu wartym „Królestwie” Manticore. Niezwykłe, jakie wsparcie może czasem uzyskać ktoś z właściwymi znajomościami i odpowiednim doświadczeniem.

Tyle że na razie nie przybliżało go to ani trochę do rozwiązania problemu.

Upił kolejny łyk i wyciągnął się wygodnie w fotelu.

Zasadniczo, choć całkiem niejawnie, reprezentował swojego bezpośredniego przełożonego, Tamerlane’a Ustinova, prezydenta i przewodniczącego rady nadzorczej firmy o nazwie Ustinov’s Exotic Pets, Inc. Pewnie nikt nie oczekiwałby po niej rentowności wystarczającej do wysłania kogoś w delegację aż tak daleko, ale rzeczywistość była inna. Owszem, handel pieskami, kotkami i króliczkami albo innym pozaziemskim drobiazgiem nie był aż tak dochodowy, jednak Ustinov’s Exotic specjalizowało się w całkiem odmiennym zwierzyńcu. Ludzie, którzy korzystali z usług firmy, poszukiwali stworzeń o wiele oryginalniejszych. Większość klienteli była obrzydliwie wręcz bogata i nawykła spełniać swoje zachcianki niezależnie od ceny, przy czym zależało jej zwłaszcza na okazach, których nie posiadał nikt inny. A gdy się okazywało, że jakiś kolekcjoner zdołał ich przelicytować, z miejsca musieli zdobyć jeszcze bardziej niezwykle bydlątko. Trudno było orzec, jaką cenę uzyska wśród nich tak ładne stworzenie jak treecat Harringtonów, ale można było liczyć na astronomiczną wręcz sumę. Zwłaszcza w obliczu pogłosek, że treecaty są inteligentne.

Krażyły też plotki o ich telepatycznych zdolnościach, ale Bolgeo wkładał je między bajki. To byłoby zbyt piękne, chociaż musiał przyznać, że zwierzak zareagował na niego w sposób sugerujący, że coś jednak może być na rzeczy. A gdyby było, mógłby sobie sam



wypisać kwotę na czeku wystawionym przez pół tuzina laboratoriów genetycznych pracujących na potrzeby czarnego rynku. Manpower z Mesy zaś zapłaciliby pewnie jeszcze więcej, byle tylko dostać kilka żywych egzemplarzy do dyspozycji. W razie potrzeby zdołaliby je chyba podebrać z partii zamówionej przez Ustinova. A to byłby dopiero początek, niejako wierzchołek góry lodowej przyszłych profitów doktora Bolgeo, który mógłby wreszcie zniknąć ze znanego wszechświata i przejść spokojnie na zasłużoną emeryturę.

Z tutejszymi zleceniodawcami sprawa była trochę trudniejsza. Na razie nie dało się z nich wydusić wiele forsy, ale rokowali na przyszłość. Nie zależało im na okazach czy domowych zwierzątkach. Oczekiwali dowodu, że treecaty nie są inteligentne. Bolgeo nie wątpił, że gdyby udało mu się takowy dostarczyć, za jakiś czas na Sphinksie doszłoby do wybuchu kolejnej zarazy, tyle tym razem zaatakowałaby nie ludzi, ale treecaty. Wątpił wprawdzie, czy dałby radę załatwić transport odpowiedniego bakcyła, ale zamierzał się rozejrzeć. Od dziecka lubił uszczęśliwiać bliźnich, a poza tym wszystko, co zredukowałoby populację treecatów, było mu na rękę, oczywiście gdy odłowi już swoją pulę. Im gatunek rzadszy, tym wyższa cena. Niestety, po dzisiejszym spotkaniu nabrał przekonania, że to akurat może się nie udać. Większość jego zleceniodawców z Gwiazdznego Królestwa chyba już wcześniej to przeczuwała. Tyle że dostaną od niego potwierdzenie informacji o inteligencji treecatów ze sporym wyprzedzeniem. Dowiedzą się o tym, zanim jeszcze cokolwiek przecieknie do opinii publicznej, i będą mieli czas na rozważenie różnych opcji, nim ceny zaczną spadać. Ostatecznie i tak stracą, ale dzięki niemu znacznie mniej, niż straciliby bez niego.

Na razie jednak najważniejsze było wymyślenie sposobu odłowienia okazów. Sądząc po Lionhearcie, treecaty rzeczywiście zdolne były wyczuwać emocje, co stwarzało poważny problem. Zapewne przejrzałyby zamiary każdego, kto zechciałby na nie zapolować, a do tego były irytująco szybkie, małe i zdolne do błyskawicznego wtapiania się w naturalne środowisko. Nie da się niepostrzeżenie podejść takich empatów, a jeśli do tego miały jakieś telepatyczne talenty, złapane mogłyby wezwać pomoc. Trzeba było temu zapobiec. Kto wie, jakie byłyby konsekwencje...? Bolgeo nie traktował poważnie opowieści o stadzie treecatów przerabiających hexapumę na hamburgera. Poczytał trochę o tym najgroźniejszym drapieżniku na Sphinksie i doszedł do przekonania, że nawet liczna grupa treecatów nie zdziałałaby wiele w starciu z nim. Z drugiej strony nie zamierzał zakładać, że cała historia jest z palca wyszana. Wraz z upływem lat nauczył się ostrożności i wiedział, że czasem lepiej z nią przesadzić, niż wykazać się beztróską i dopiero po fakcie żałować własnej głupoty.

Zwłaszcza jeśli rezultaty błędu byłyby nieodwracalne.

Ostatecznie uznał, że nie ma co się spieszyć. Jeszcze o tym pomyśli, na razie zaś spróbuje dołączyć do „społeczności naukowców”, obserwujących treecaty w terenie. Wprawdzie na Uniwersytecie Liberty nie wykładał nigdy, nawet łazienki kafelkami, ale ksenoantropologia nie była mu obca. Jeszcze pewniej czuł się na gruncie ksenobiologii i nie wątpił, że żaden z „prawdziwych naukowców”, których sporo ściągnęło na Sphinksa, nie zdoła go zdemaskować. Zwłaszcza że dysponował jak najbardziej autentycznym listem polecającym od Idoyi Vazquez, która słyszała o grantach Paulka, ale nigdy nie widziała prawdziwego certyfikatu potwierdzającego jego przyznanie.

Jej list polecający otwierał przed Bolgeo drzwi wszystkich oficjalnych i półoficjalnych instytucji, musiał tylko uważać, by go nie nadużywać. Gdyby zaczął nazbyt narzucać się lokalnym władzom, mógłby spotkać się z biernym oporem. Widywał już takie sytuacje i wiedział, że mało co dobrego z nich wynikało. Gdyby zaś mocno nastąpił komuś na odcisk, taka głęboko urażona osoba mogłaby nawet narazić się na koszty i wysłać na Chattanooga wniosek o dostarczenie bliższych informacji o niejakim doktorze Bolgeo. Niestety wszędzie trafiali się upierdliwcy szukający sposobu dowalenia każdemu, kto w jakiś sposób uraził ich miłość własną.

Z drugiej strony, nawet gdyby do tego doszło, wiadomość na Chattanooga szłaby stąd wiele miesięcy. Głównie dlatego właśnie wybrał Uniwersytet Liberty, chociaż fakt, że była to znana i szanowana w całej galaktyce placówka, też miał swoje znaczenie. Do tego rozrosła się już mocno i miała wiele oddziałów rozsianych po całej Lidze Solarnej, sam zaś Wydział Ksenoantropologii był na tyle rozbudowany, że Hobbard miała prawo nie wiedzieć o wielu jego profesorach i pewnie nie zdziwiła się nawet, słysząc całkiem nieznanym sobie nazwisko. Oczywiście dziekanat wydziału świetnie orientował się, kogo zatrudnia, i byłby mocno skonfundowany, dowiedziawszy się o doktorze Bolgeo. Należało zatem uwinąć się ze wszystkim, zanim jakakolwiek korespondencja obróci w tę i z powrotem, i ulotnić się z treecatami w garści (oczywiście w przenośni, ponieważ samozwańczy doktor nie myślał pchać się w zasięg pazurów i klów zamówionych obiektów).

I to powinno się udać, zakładając, że zdoła zneutralizować jakoś ich empatyczne talenty.

Nucąc coś bezgłośnie, zaczął postukiwać palcem wskazującym w brzeg szklaneczki i zaprzął swoje szare komórki do roboty.

Wszystko sprowadzało się pewnie do zasięgu. Jak blisko miał szansę podejść, nim go wykryją? A odwracając pytanie, z jak daleka będzie w stanie skutecznie nadzorować proces łapania? Tak by schwytać okazy żywe, oczywiście. To rodziło kolejny problem: jak określić

ten bezpieczny dystans, nie dysponując ani jednym egzemplarzem do badań i eksperymentów?

Ostatecznie uznał, że musi dojść do tego pośrednio. Znaleźć sposób, aby zmierzyć zasięg empatycznych zdolności treecatów, udając, że robi coś całkiem innego. Tylko co...?

Przestał pogwizdywać i przymrużył powieki. Czyżby to mogło być aż tak proste? Pewnie kosztowne i wymagające kilku dni przygotowań, niemniej...

Zaśmiał się, kręcąc głową, i parsknął ironicznie. Tak, to naprawdę może być proste! I co zabawniejsze, będzie można wykorzystać niechęć tej małej kreatury do niego. Wykorzystać na jej własną szkodę...

\*\*\*

- On mi się nie podoba - powiedziała Stephanie, marszcząc brwi. Patrzyła na ekran terminalu w swoim pokoju. - I Lionheart go nie lubi. Rozmawiałam o tym z mamą i usłyszałam, że nie ma się czym przejmować, ale to mnie nie uspokoiło. Nie podoba mi się i już.

- Twoja mama może mieć rację - powiedział Scott MacDallan, siedzący w swoim gabinecie nad Thunder River. - Z drugiej strony, jakkolwiek twoja matka jest mądrą osobą, nie została adoptowana przez treecata. Ja owszem, i nigdy nie zauważyłem, by Fisher odnosił się do kogoś krytycznie bez istotnego powodu. Zdarza mu się nawet lubić niektórych ludzi, chociaż ja nie czuję do nich większej sympatii. Z tego, co dotąd widziałem, wynika, że Lionheart zachowuje się w bardzo podobny sposób.

MacDallan rozmawiał ze Stephanie jak z dorosłą, chociaż gdzieś w głębi ducha ciągle nie mógł się nadziwić, jak naturalnie przyszło mu nawiązać podobny kontakt z czternastoletnią dziewczyną.

- Też tak sędzę - zgodziła się Steph. - Chociaż muszę przyznać, że na razie pan doktor nie zrobił niczego niewłaściwego. Może poza tym, że uśmiecha się często tak, jakby zaraz miał mi dać cukierka. I pogłaskać po główce, oczywiście - dodała z tak kwaśną miną, że MacDallan zachichotał mimowolnie. - Według norm świata dorosłych zachowuje się pewnie bardzo uprzejmie. Wiem, że wyglądam bardzo młodo, ale przedszkolakiem już nie jestem. A on chyba tego nie zauważa.

- Niestety, to za mało, by go zastrzelić - powiedział MacDallan. - Bo zdaje się, że umieściłaś go już na liście osobników stwarzających na tyle duże zagrożenie społeczne, że „wymagają eliminacji”. Obawiam się jednak, że Gwiazdne Królestwo nie akceptuje tej zasady.

- Jakiej zasady? - zdziwiła się Stephanie, wyczuwając, że pod żartem kryje się coś

więcej.

- Jest takie prawo zwyczajowe, które bywa uznawane w sądownictwie, dające oskarżonemu o zabójstwo możliwość przekonania otoczenia, że działał w interesie społecznym i usunął kogoś, kto stwarzał zbyt wielkie zagrożenie, by zostawić go przy życiu. Osobiście uważam to za niezły sposób, skłaniający do uprzejmości i trzymania się dobrych manier, zwłaszcza wobec najbliższych sąsiadów, ale nasz parlament ma chyba inne zdanie w tej kwestii.

- Szkoda. Król Michael mógłby się tym zająć i wprowadzić ten mądry wynalazek do kodeksów. Najlepiej szybko, dopóki mamy naszego gościa w zasięgu strzału!

- Może wyślesz mu maila z tą propozycją?

- Dziękuję, ale nie. I bez tego mają mnie za wariatkę.

- Też tak przypuszczam - mruknął MacDallan, zastanawiając się, za jakiego to dziwaka on uchodzi w oczach ludzi, którzy mieli okazję dostrzec choć cień jego wrodzonego talentu.

- Ale skoro nie możemy go zastrzelić, to co z nim zrobimy? - spytała Stephanie.

- Nie mam pomysłu. Przynajmniej na razie. Mówisz, że pytał zasadniczo o to samo co doktor Hobbard. Dobra, jest irytujący, ale niczym się jeszcze nie naraził, a my musimy pozostać obiektywni. W każdym razie powinniśmy się starać. Troska o treecaty to jedno, ale jeśli damy się jej zaślepić, zaczniemy wszędzie widzieć wrogów i wyciągać błędne wnioski, których potem przyjdzie nam żałować.

- Sugerujesz, że niechęć Lionhearta do doktora Bolgeo nic jeszcze nie znaczy - powiedziała z namysłem Stephanie. - Nie znaczy, bo Lionheart może się mylić. Albo ja źle oceniam powody, dla których on go nie lubi.

- To część sprawy - przytaknął MacDallan, kiwając energicznie głową. - Bo może chodzić o zapach jego wody po goleniu, z jakiegoś powodu przykry dla treecata. Albo długość fali, na której myśli, powodującą u Lionhearta dzwonienie w uszach. Albo jakiś szum tła. Nie wiemy jeszcze, na ile trafnie treecaty rozpoznają ludzi. Musimy dopiero się tego dowiedzieć. Nawiasem mówiąc, obecna sytuacja stwarza okazję do małego eksperymentu.

- Eksperymentu? - spytała z zaciekawieniem Stephanie.

- Jeśli ten Bolgeo naprawdę chce badać treecaty, pewnie zjawi się też u mnie. Przyjrzę mu się, a gdy będę już miał jakieś zdanie na jego temat, porównamy nasze wrażenia. I będziemy obserwować Lionhearta i Fishera, ile razy on znajdzie się gdzieś blisko nich. Spróbujemy wychwycić coś bardziej konkretnego niż ogólne odczucie, że one go nie lubią. I zobaczymy, czy robi coś, co by tę niechęć mogło uzasadniać. Dopóki nie uda nam się znaleźć

sposobu na sprawne komunikowanie się z treecatami, o ile uda się to kiedykolwiek, nie możemy spytać ich, dlaczego tak właśnie reagują. A to znaczy, że potrzebujemy więcej danych obserwacyjnych. Zanim zacniemy przekonywać kogokolwiek, że Bolgeo stwarza jakieś zagrożenie, musimy sami być tego pewni. Musimy rozumieć z tego dość, by znaleźć konkretne argumenty przemawiające za trafnością ocen ferowanych przez treecaty.

- Sugerujesz więc, że powinnam raz jeszcze się z nim spotkać? - spytała z niechęcią Stephanie.

- Obawiam się, że tak, mała - odparł ze współczuciem w głosie Scott.

Stephanie już wcześniej odkryła, że MacDallan jest jedną z niewielu osób zdolnych tak używać słowa „mała” (poza jej rodzicami, naturalnie), że krew jej od tego nie zalewała. Przynajmniej w normalnych okolicznościach. Teraz spojrzała kwaśno na Scotta. Nie miała najmniejszej ochoty na towarzystwo Bolgeo i gotowa była się zbuntować. Na dodatek bardzo nie podobało się jej, że MacDallan ma rację.

Dobrze, że Lionheart śpi, pomyślała, spoglądając na treecata pochrapującego w swobodnej pozie na grzędzie. Pewnie bleeknąłby mi kazanie, bym przestała się rozklejać. Zasłużone na dodatek.

- Dobra - odparła z westchnieniem. - Niech będzie moja krzywda. Ale będziesz mi winien za to przysługę. Dużą przysługę, bo czuję, że nawet jeśli nie zastrzelę drania, to prędzej czy później będę zmuszona zdemolować mu rzepkę kolanową albo coś w tym guście!

## ROZDZIAŁ XXII

Stephanie doszła do wniosku, że doktor Bolgeo nie należy do ludzi zyskujących przy bliższym poznaniu.

Nadal nie wiedziała, dlaczego tak bardzo go znieubiła, ale na pewno nie chodziło tylko o te adresowane do małego dziecka uśmiechy zdradzające, że wbrew pozorom nie traktuje jej wcale jak osoby dorosłej. Nie przypuszczała też, by decydujące były jego próby wyciągnięcia z niej jeszcze jakichś informacji, bo przecież nie był w tym jedyny, chociaż z drugiej strony reprezentował inne całkiem podejście niż Hobbard. Pani doktor też zadawała wiele pytań, ale i tak dawała się lubić, ponieważ szanowała rozmówcę i można powiedzieć, że grała fair, nie próbując żadnych podchodów. Doktor Bolgeo grał nieczysto i wyraźnie nie miał nic przeciwko podchwytliwym pytaniom, jeśli dałyby mu jakąś przewagę. Stephanie nie robiła z tego tragedii i normalnie pewnie nawet zabawiłaby się jego kosztem, podsuwając różne ślepe tropy i pozwalając mu myśleć, że dała się zwieść, ale nie tym razem. Zbyt ją irytował. Ale jego nachalność też nie mogła być zasadniczym powodem braku sympatii.

Nie, to musiało być coś więcej. Tyle że nadal nie potrafiła orzec, co właściwie.

Scott MacDallan i Irina Kisaevna też go już spotkali i ich wrażenia były podobne. Karla zresztą też. Żadne nie potrafiło wskazać powodów tej dziwnej niechęci, ale, z całym zdecydowaniem umieszczali go na liście osób, których nie mieliby ochoty zapraszać na herbatkę. Co ciekawe, Fisher zareagował na doktora niemal tak samo jak Lionheart.

Niestety, jak mówił MacDallan, ta antypatia nie była jeszcze wystarczającym powodem, by zaniechać uprzejmego traktowania Bolgeo, i dlatego właśnie Stephanie siedziała teraz przy nakrytym serwetą stole w ogródku Red Letter Café w biznesowej (jak szumnie to nazywano) dzielnicy Twin Forks. Zaproszenie na lunch przyjęła wbrew sobie i była pewna, że jej rodzice jakoś by ją wybronili, gdyby pan doktor nie ściągnął także Hobbard i rangera Sheltona.

Stephanie nie wiedziała, czy gość wiedział o jej próbach nawiązania bliższego kontaktu ze Strażą Leśną, ale na jakiś ślad mógł trafić bez problemu, ponieważ wszystkie serwisy prasowe wspominały o „szlachetnym zainteresowaniu młodej Harrington przyrodą” i zamiarze wstąpienia kiedyś w szeregi rangerów. Rzeczywiście miała taki plan i w tej kwestii lunch z Sheltonem nie powinien w niczym zaszkodzić, zwłaszcza że dawał okazję do

zademonstrowania, jak rozwija się jej więź z Lionheartem. Doktor Hubbard też nie lubiła za bardzo, by jej odmawiać, i wiedziała, że rodzice przeżywali podobne rozterki. Szczególnie że także zostali zaproszeni, co było bardzo sprytnym posunięciem.

Harringtonowie przybyli trochę wcześniej na wypadek, gdyby właściciel lokalu albo jego personel mieli coś przeciwko obecności „zwierzęcia” na sali. Stephanie przypuszczała, że istnieją jakieś przepisy sanitarne, na które restaurator mógłby się powołać, ale wyszło na to, że jeśli nawet, to przy tej okazji ich nie pozna. Twin Forks było małą miejsciną, gdzie wszyscy wszystkich znali (albo chociaż wszystko o wszystkich wiedzieli), a Stephanie i Lionheart występowali w roli miejscowych celebrytów. Na dodatek Erie Flint, właściciel Red Letter, był jednym z przyjaciół Steph. Wprawdzie cieszył się opinią starego zrzędy, ale rozmawiał z nią zawsze jak z równą (do czego większość dorosłych była organicznie niezdolna) i nieraz pomógł jej wyszukiwać interesujące teksty źródłowe do prezentacji z historii i ekonomii. Co więcej, pochodził z planety New Chicago, słynnej wylęgarni wszelkiej maści anarchistów i socjalistów. Tam właśnie władze Ziemi zesłały po Ostatecznej Wojnie członków Stowarzyszenia Lewelerów, a ich potomkowie starali się trzymać klasę i nadal hołdowali zasadzie, że przepisy są po to, by je łamać. Stephanie odniosła wrażenie, że pan Flint nie miał nic przeciwko obecności Lionhearta, a nawet więcej, żywił radosną nadzieję, że pałająca świętym oburzeniem Komisja Sanitarna wpadnie czym prędzej do lokalu, stwarzając okazję do małej urzędniczej wojenki.

Nikt więc nie skrzywił się nawet, widząc treecata, który pałaszował obecnie przystawkę pod postacią smakowicie pachnącego selera.

- Jeśli będziesz się tak obżerał zieleniną, nie obejdziesz się bez środka na przeczyszczenie. Ale tym razem poproszę tatę, by znalazł coś mniej smacznego - powiedziała Steph, ale Lionheart, jak można było oczekiwać, całkowicie ją zignorował, za to Richard Harrington nie opanował śmiechu.

- Spokojnie, słonko. Na pewno wypiczę mu taką miksturę, której nie będzie miał ochoty szybko drugi raz próbować - stwierdził.

- I dobrze - mruknęła Stephanie, uśmiechając się do ojca. - Gdy ostatnim razem zjadł tyle selera, ile sam waży, nie dał mi spać w nocy!

- Ale on go lubi, prawda? - zauważyła Marjorie i jej mąż parsknął nerwowo.

- Równie dobrze my moglibyśmy powiedzieć, że lubimy oddychać powietrzem z zawartością tlenu! Chciałbym tylko wiedzieć, co go tak ciągnie do tego selera? I dlaczego wszystkie treecaty dostają małego rozumu, gdy trafią na seler naciowy?...

- Jak długo nie powoduje to żadnych naprawdę negatywnych skutków ubocznych,

chyba nie ma się czym martwić - powiedziała Marjorie. - Niemniej masz rację. Musimy ustalić, dlaczego jest dla nich taki atrakcyjny. I nie tylko to.

- Właśnie, na przykład... - zaczęła Stephanie, ale przerwała, widząc, jak Lionheart przestaje nagle przeżuwać łydę selera.

Treecat wyprostował się na krześle, które przyniósł dla niego pan Flint, i przestał zwracać uwagę na przeżutą częściowo roślinę, która stawiała spory opór jego zębom drapieznika i nigdy nie prezentowała się najlepiej w trakcie konsumpcji. Trzymając zieleninę w ocalałej łapie, położył uszy po sobie i wpatrzył się w chodnik przebiegający po drugiej stronie murku oddzielającego ogródek Red Letter od ulicy.

- Lionheart? - odezwała się Stephanie, patrząc uważnie na treecata.

Wyglądał, jakby pilnie nasłuchiwał czegoś, co umykało ludzkim uszom, i wyraźnie nie był zadowolony z tego, co słyszał.

Steph zerknęła na równie zdziwionych rodziców. Jej ojciec wzruszył tylko ramionami i wszyscy obrócili głowy w tym samym kierunku, w którym spoglądał Lionheart.

Twin Forks było na tyle niewielkie, że większość ludzi poruszała się po nim pieszo, a ciepła jak na Sphinksa i słoneczna pogoda oraz liczne zacienione alejki, zaprojektowane przezornie przez twórców miasta, dodatkowo skłaniały do spacerów. Tak więc mimo względnie małej liczby mieszkańców na chodnikach panował zazwyczaj spory ruch, zwłaszcza w porze lunchu. Jednak nikt z przechodzących nie wyróżniał się z tłumu na tyle, by zwracać uwagę. Stephanie zmarszczyła brwi i czekała, co dalej z tego wyniknie.

Czas płynął i gdy Steph miała wrażenie, że minęło już chyba pół godziny (w rzeczywistości na pewno nie więcej niż pięć minut), i chciała spróbować dowiedzieć się od treecata, co się dzieje, zza rogu wyłoniły się trzy osoby, kierujące się żwawo w stronę restauracji. Bez trudu rozpoznali w nich doktor Hobbard, Sheltona i doktora Bolgeo.

Lionheart zobaczył ich w tej samej chwili i Stephanie ponownie usłyszała to dziwne warczenie, które towarzyszyło ich pierwszemu spotkaniu z naukowcem. Spojrzała szybko na treecata, potem na rodziców.

- Słyszysz, mamó?

- Co takiego, słonko? - spytała Marjorie, zerkając na nią ze zmarszczonym czołem.

Stephanie poczuła się dezorientowana i zaciekawiona. Jakim sposobem mogła słyszeć coś, co umykało obojgu rodzicom?

- Mniejsza z tym - odparła szybko przyciszonym głosem, jako że doktor Bolgeo i reszta jego gości byli już bardzo blisko. - Później wyjaśnię.

Matka uniosła brew, ale skinęła głową. Jedną z tych cech, którą Steph bardzo w niej



cenila, była zdolność odłożenia pytań na później, gdy okoliczności tego wymagały. I zwykła ufać w takich razach osądowi swojej córki.

Steph uśmiechnęła do niej ponad stołem i pogłaskała Lionhearta. On zerknął na nią, prostując uszy, i miauknął cicho, co tym razem wszyscy usłyszeli.

- Pora zacząć się zachowywać - powiedziała. - I to dotyczy nas obojga - przypomniała, koncentrując się jednocześnie na tej myśli w nadziei, że Lionheart zrozumie przekaz. Treecat wpatrywał się w nią przez chwilę zielonymi oczami, po czym zamrugał i skinął głową. Już wcześniej nauczył się, co oznacza ten ludzki gest.

Ale dlaczego chcemy, by się opanował, tego pewnie już nie pojmuję, pomyślała Stephanie. I trudno byłoby Lionhearta za to winić. Wiele zdawało się wskazywać, że treecaty wyznają zasadę eliminacji jednostek stwarzających „zagrożenie społeczne”. Bez wątpienia były zaś prostolinijne i nie zwykły skrywać emocji. Może i dlatego doktor Bolgeo wołał umówić się w miejscu publicznym, gdzie nie musiał tak bardzo się obawiać, że Lionheart wydrapie mu oczy.

Stephanie uśmiechnęła się na myśl, że gość z układu Chattanooga może obawiać się pazurów Lionhearta, zaraz jednak porzuciła te budujące rozważania i wstała uprzejmie, by przywitać trzy dorosłe osoby wchodzące do ogródka.

\*\*\*

Wieczorem tego samego dnia doktor Bolgeo pogratulował sobie zmyślności. Oglądane właśnie nagranie potwierdziło sensowność jego planu, a co więcej, wszystko udało się perfekcyjnie.

Samo spotkanie nie było mu specjalnie potrzebne i niewiele sobie po nim obiecywał. Niewiele nowego usłyszał, chociaż musiał przyznać, że porządkująca wciąż uzyskaną wiedzę pani antropolog doszła do kilku ciekawych wniosków, co nie spotkało się zresztą z zachwytem dziwnie małomównych w kwestii treecatów Harringtonów.

Była to miła niespodzianka, ale nie po to się fatygował. Najważniejsze było nagranie, które sprawdzał właśnie kadr po kadrze. W dolnym prawym rogu widniała dokładna godzina rejestracji obrazu, natomiast w lewym rogu wstawił okienko bazy danych swojego naręcznego komunikatora z systemem GPS, który został sprzęgnięty z terminalem. Komputer tak zestawiał dane, by każdemu obrazowi można było przypisać położenie Bolgeo w chwili sporządzenia nagrania, a dodatkowa funkcja podawała w metrach jego aktualną odległość od restauracji Red Letter.

Dzięki temu dowiedział się, że był sto czternaście metrów od lokalu, gdy Lionheart przestał nagle przeżuwać selera i obrócił łeb w kierunku, z którego nadchodził nielubiany

człowiek.

Impreza okazała się o wiele tańsza, niż Bolgeo oczekiwał. Wprawdzie największe zainteresowanie dziewczyną i jej treecatem już przygasło, ale dziennikarze o niej nie zapomnieli i bez trudu przekonał miejscowego reportera do przekazania nagrania, oczywiście tylko do naukowych celów. Powiedział, że zależy mu na przyjrzeniu się zachowaniu treecata w sytuacji, gdy ten nie wie, że ktoś go obserwuje. Reporter nie miał nic przeciwko temu, zwłaszcza że to Bolgeo powiedział mu o planowanym spotkaniu Harringtonów z umundurowanym szefem Służby Leśnej Sphinksa i przewodniczącą Komisji Korony do spraw Treecatów. Już prawie godzinę wcześniej znalazł sobie miejsce na piętrze budynku naprzeciwko Red Letter i nagrał potem wszystko do samego końca.

Bolgeo obawiał się wcześniej, że będzie musiał zaangażować do tego prywatnego detektywa, co kosztowałyby sporo, ponieważ w świeżo zaludnionych światach przedstawiciele tej grupy zawodowej byli nieliczni, musiałyby więc pewnie sprowadzić fachowca z Manticore, gdzie istniały już prawdziwe miasta i tym samym odpowiedni rynek dla ludzi skłonnych śledzić bliźnich w najróżniejszych sytuacjach życiowych. Tyle że taki pomysł miał swoje wady i nie chodziło tylko o koszty. Przeciętny prywatny detektyw mógłby zastanowić się nad powodami, dla których jego cudzoziemski klient interesuje się czternastoletnią dziewczynką. Jeszcze wpadłby potem na pomysł szantażowania Bolgeo, grożąc przekazaniem władzom sygnału o dziwnym gościu zbierającym informacje o Stephanie Harrington... Takie sytuacje zdarzały się często, a na większości skolonizowanych planet molestowanie nieletnich było zagrożone bardzo surowymi karami. Wyjaśnianie i odkręcanie całej sprawy byłoby procesem długim i wybitnie nieprzyjemnym. Bolgeo znał lepsze sposoby spędzania wolnego czasu.

Ostatecznie jednak wykpił się tanim kosztem. Dokładnie rzecz biorąc, sumą rachunku za lunch dla sześciu osób i treecata. Była to jedna z najlepszych transakcji jego życia.

Przejrzał raz jeszcze nagranie od miejsca, w którym Lionheart wyczuł jego obecność, do chwili, gdy wyszedł z lokalu. Opuścił towarzystwo wcześniej, wywołany rozmową telefoniczną, którą sam wcześniej zaaranżował. Oddalając się w pilnej sprawie, zachęcił jednak pozostałych, by spokojnie dokończyli posiłek, i zapłaciwszy z góry, kazał kelnerowi podać jeszcze wybrane przez gości desery. Gdy tylko znalazł się na chodniku, treecat zwrócił głowę w jego kierunku i śledził wędrówkę Bolgeo do chwili, gdy według wskazań GPS-a od restauracji dzieliło go sto jedenaście metrów.

No to mamy, pomyślał, złączając dłonie za głową i przechylając się wraz z krzesłem tak, że miał teraz przed oczami sufit. Zatem bydlątko wyczuwa mnie z odległości trochę

ponad stu metrów. Z takiego dystansu mnie wychwycił i niemal na tyle samo odprowadził. Można więc chyba uznać, że zasięg jego „telepatycznej lokalizacji” wynosi sto metrów, przynajmniej w mieście. Twin Forks to wiocha, ale dość tu ludzi, by szum tła był znaczącym czynnikiem...

Zastanowił się, na ile psionicznemu empatie może przeszkadzać taki zalew cudzych emocji. Czy było to jak próba słuchania jednego głosu w pokoju pełnym rozgadanych osób? A może treecaty potrafią odciąć się od napływu niechcianych sygnałów? Czy rozpoznają konkretne umysły podobnie, jak można odróżnić ludzi na podstawie odcisków palców? I umieją wyławiać takie głosy z chóru wielu innych?

Ostatecznie uznał, że najlepiej będzie założyć, iż w mieście zasięg empatycznego zmysłu treecata był jednak ograniczony przez szum tła. W lesie musiał być zapewne większy, chociaż też chyba nieprzesadnie duży. Dwieście metrów wydało mu się bezpieczną wartością.

Rozpogodził się i zachichotał. Taki dystans to nie będzie żaden problem.

## ROZDZIAŁ XXIII

Stephanie spoglądała na przesuające się w dole wierzchołki drzew. Leciała wraz z Lionheartem w kolejne odwiedziny do jego klanu i gęstniejący w dole las kusił ją, by zanurkować ku najbliższej polanie i wylądować, dając im obojgu szansę zbadania cienistych i zielonych ostępów. Czuła, że nieznanne jeszcze strumienie, wzgórza i żyjące wśród nich stworzenia wzywają ją, i była pewna, iż któregoś dnia odpowie na ten zew. Kiedyś, ale nie dzisiaj. Na razie miała co innego do roboty, a długi przelot nad rozkwitającymi w takt zmian pór roku lasami wykorzystywała na rozmyślania.

Skreśliła lekko, by zrównoważyć boczny wiatr, i poczuła, jak Lionheart poprawia się w uprzęży. Łącząca ich więź czyniła treecata idealnym wręcz pasażerem. Może zawdzięczał to nadrzewnemu trybowi życia, może czemuś innemu, dość że instynktownie kojarzył, jak pomagać w sterowaniu lotnią, a na dodatek wiedział o każdym manewrze, zanim jeszcze Steph go wykonała.

Uśmiechnęła się do tej myśli, ale zaraz spoważniała, przypomniawszy sobie o dręczącym ją ostatnio problemie. Wprawdzie Scott MacDallan i wspólni przyjaciele obiecali mieć oko na doktora Bolgeo, ale na razie niewiele mogli zrobić, a na dodatek Frank Lethbridge i Ainsley Jedrusinski mieli ostatnio więcej pracy niż zwykle. Ministerstwo naciskało na Służbę Leśną, by przydzielała przewodników wszystkim pozaplanetarnym naukowcom, którzy aż palili się do spacerów w plenerze i obserwowania treecatów, przez co większość rangerów musiała brać nadgodziny.

Mógłby z tego być nawet pewien pożytek, Bolgeo bowiem trafił z przydziału właśnie pod opiekę Lethbridge'a i Jedrusinski, ale tak jakoś wyszło, że jego akurat do lasu nie ciągnęło, tak więc wymykał się nadzorowi. Właściwie nie pokazał się już od kilku tygodni i w innych okolicznościach byłaby to dobra wiadomość, Stephanie jednak podejrzewała, że nawet siedząc w Yawata Crossing, Bolgeo może planować coś nieprzyjemnego.

Jeśli naprawdę przyleciał badać treecaty, powinien skupić się na obserwacjach terenowych, jednak on nie zgłosił nawet Służbie Leśnej grafiku wypraw do zatwierdzenia. Nie próbował też wynająć prywatnego przewodnika w rodzaju pana Franchittiego. Co więcej, nie kontaktował się więcej z doktor Hobbard, co sugerowało, że nie prowadzi żadnej zgoła działalności naukowej. Dlaczego zatem nie kupił jeszcze biletu powrotnego i nie zostawił

Sphinksa w spokoju?

Stephanie dotknęła przycisku, by rzucić na wyświetlacz kasku holograficzną mapę z zamontowanego w lotni GPS-a. Obraz automatycznie przesunął się w środek jej pola widzenia i mogła stwierdzić z satysfakcją, że zielona ikona oznaczająca lotnię pozostaje na kursie. Żeby jeszcze reszta spraw chciała płynąć właściwym torem!

Cofnęła palec i obraz zniknął, a myśli Stephanie wróciły znowu do Bolgeo. Był jak studnia grawitacyjna, niepozwalająca wyrwać się ze swego oddziaływania. Steph bardzo chciałaby dysponować jakimś dowodem na to, że antypatia okazywana naukowcowi przez Lionhearta i Fishera jest uzasadniona. Potrzebowała czegoś więcej ponad podejrzenia, by przekonać innych, tymczasem na razie sama nie wiedziała, czy nie oskarża Bolgeo bezpodstawnie, i nie czuła się z tym dobrze.

Rozumiała też, że żadnych dowodów raczej nie zdobędzie. To, że Bolgeo zachowywał się dość dziwnie jak na wziętego ksenoantropologa, nie oznaczało jeszcze naruszenia prawa. Nie zaliczał się nawet do tej bandy idiotów (jak myślała o nich Stephanie), którzy nalegali na dopuszczenie ich do klanu dotkniętego boleśnie przez działania BioNeering. Musieli mieć coś dziwnego zamiast serca, skoro chcieli narażać na stres stworzenia, które tyle już przeżyły. I chyba kupili gdzieś swoje dyplomy, jeśli myśleli, że takie obserwacje powiedzą im coś o normalnych interakcjach społecznych treecatów.

Steph pokręciła głową, chociaż w duchu przyznawała też, że każdy prawdziwy ksenoantropolog musiał gryźć palce z frustracji, nie mogąc uczestniczyć w monitorowaniu poczynań jedyne go znanego klanu. Nie żeby współczuła niedoszłym obserwatorom, bo dość jej się narazili, traktując Lionhearta i Fishera jak zwierzęta w zoo. Niektórzy próbowali nawet uzyskać nakaz sądowy dający im nieskrępowany dostęp do obu „pojmych treecatów”, ale ranger Shelton szybko przywołał ich do porządku.

Na dodatek zrobił to publicznie i Steph do teraz uśmiechała się, wspominając wywiad, którego „przypadkiem” udzielił jednej z miejscowych stacji. Wywiad przeprowadzał dziennikarz będący akurat przyjacielem MacDallana, wiedział zatem dobrze, o co powinien spytać, Shelton zaś udawał całkiem nieświadomego tych powiązań. W prostych, żołnierskich słowach wyjaśnił, że ani Lionheart, ani Fisher nie są okazami na stanie miejskiego zoo (czy jakiegokolwiek innej instytucji publicznej) i tym samym żaden sąd Gwiezdnego Królestwa nie ma podstaw, by naruszać prywatność Harringtonów czy Scotta MacDallana. A gdyby jednak ktoś zamierzał płać się za blisko wymienionych osób, powinien zerknąć najpierw do kodeksu karnego i poczytać o sankcjach przewidzianych za wdarcie się na teren prywatny oraz stalking. Na koniec przypomniał, że będąc urzędnikiem państwowym, ma obowiązek

uczynić wszystko, by wyegzekwować przestrzeganie przepisów, i nie pozostanie beczynny, oczywiście o ile poszkodowani nie zastrzelą wcześniej intruza, o co nikt normalny nie będzie miał do nich pretensji.

Na dodatek sprawiał wrażenie, że aż przebiera nogami, by dopaść chociaż jednego winnego i przystąpić do rozliczania go ze wszystkich możliwych naruszeń prawa, z zakazem plucia na podłogę włącznie.

Szczęśliwie jest po naszej stronie, stwierdziła Stephanie. Albo wydaje się, że jest. Po prawdzie nie stoi zapewne po niczyjej stronie. Dobrze byłoby dowiedzieć się, co naprawdę myśli. Zwłaszcza o Bolgeo.

\*\*\*

- Ale tak dokładnie, to czego pani ode mnie oczekuje? - spytał cierpliwie Gary Shelton. - Jeśli chce pani, bym go aresztował, to informuję, że na razie nie mam go na liście. W odróżnieniu od jakiegoś tuzina miejscowych naukowców, których chętnie widziałbym pod kluczem!

Szef Służby Leśnej Sphinksa usiadł prosto i uniósł bezradnie ręce, doktor Hobbard zaś przytaknęła ze współczuciem.

- Rozumiem pana i po prawdzie sama nie wiem, co mógłby pan zrobić, tyle że... dość dziwnie to wygląda. Po pierwsze, doktor Bolgeo jest marnym ksenoantropologiem, zwłaszcza jak na kogoś związanego z tak prestiżową uczelnią. Wydaje się znać teorię, ale nie ma chyba żadnego doświadczenia w badaniach terenowych. Osoba na jego stanowisku powinna mieć też godny uwagi dorobek naukowy. Tymczasem przeszukałam wszystkie dostępne mi bazy danych i nie natrafiłam nawet na skromny komunikat z badań opatrzony jego nazwiskiem.

- Podobnie jak wielu innych, jestem dumny z tego, że mieszkam w Gwiezdnym Królestwie, ale mam też świadomość, że żyjemy na obrzeżach cywilizacji - powiedział Shelton z lekkim uśmiechem. - Wątpię, by nasze dane biblioteczne były na bieżąco aktualizowane, zwłaszcza w przypadku tak ezoterycznej dyscypliny jak ta, którą pani się zajmuje.

- Nie są - zgodziła się Hobbard. - Powiedziałabym, że nawet w ważniejszych dziedzinach jesteśmy jakieś piętnaście do dwudziestu lat za Ligą Solarną. To nieuniknione, gdy jest się tak daleko od głównych uczelni i centrów badawczych.

- Zatem fakt, że nic pani nie znalazła, nie dowodzi jeszcze, że Bolgeo na pewno nigdy niczego nie opublikował?

- No nie - przyznała Hobbard z westchnieniem. - Ale to mnie nie uspokaja. Może zaczęłam zbyt opiekuńczo podchodzić do treecatów albo za wiele przebywałam z młodą

Harrington, ale...

- Ma dziewczyna wpływ na ludzi, prawda? - spytał Shelton z szerokim uśmiechem. - I trudno jej nie podziwiać. Nawet jeśli woli milczeć o wielu sprawach, o których pani czy ja chcielibyśmy wiedzieć.

- Cały czas mam nadzieję, że kiedyś zaufa mi na tyle, by się otworzyć - odrzekła Hobbard. - I czuję, że wtedy będzie miała nam wiele do opowiedzenia. Podejrzewam, że mój niepokój bierze się także i z tego. Przecież to ja przedstawiłam go Stephanie. Nie żebym miała wielki wybór, zważywszy na pismo od pani minister, ale gdyby okazało się, że on nie jest tym, za kogo się podaje, ja też oberwałabym rykoszetem. Dziewczyna w ogóle przestałaby mi ufać. Nie wspominając o tym, że byłoby to bezpardonowe wykorzystanie mojej osoby, a coś takiego może naprawdę wkurwić.

Shelton zerknął zdumiony na panią doktor. Nie słyszał dotąd, by używała podobnego słownictwa, przynajmniej w jego obecności, świadczyło za to dobitnie o stanie jej ducha oraz o tym, jak poważnie traktuje całą sprawę.

- Cóż, zrobię, co w mojej mocy - powiedział głośno. - Będę miał oko na Bolgeo, oczywiście w granicach tego, co mi wolno. Jak pani wie, mamy obecnie wielu naukowców pod opieką i nie mogę faworyzować żadnego z nich. Poza tym, jak pani przyznała, wszystkie dokumenty Bolgeo są w porządku i w tej chwili nie ma śladu dowodu, by był zaangażowany w jakąś działalność przestępczą. Zwrócę na niego uwagę, ale szczerze uprzedzam, że najpewniej niewiele z tego wyniknie.

\*\*\*

Doktor Tennessee Bolgeo siedział znów w swoim pokoju i wpatrywał się w holograficzną mapę przedstawiającą podnóże Copper Wall, po której pełzła na wschód mała zielona ikona. Była już całkiem blisko stoków gór.

Sprytna mała, pomyślał. I na dodatek wciągnęła rodziców.

Ostatnie trzy tygodnie poświęcił na śledzenie sygnałów wysyłanych przez znaczniki, które przyczepił wcześniej do wszystkich pojazdów używanych przez rodzinę Harringtonów. W większości był to zmarnowany czas, ale Bolgeo uważał, że warto próbować. Wprawdzie Stephanie nie przyznała się do tego wprost, ale wszystko sugerowało, że wie, gdzie szukać pobratymców swego treecata. Wystarczyło wsłuchać się uważnie w jej odpowiedzi, chociaż jeszcze ważniejsze było to, czego nie mówiła. Zresztą chyba każdy, komu zdarzyłoby się spędzić z nią chociaż kwadrans, szybko doszedłby do wniosku, że nie wysiedziałyby w miejscu, nie próbując ustalić miejsca zamieszkania klanu.

Na podstawie innych przekazów, w tym i medialnych, Bolgeo ustalił, że nie było to

nigdzie w obrębie posiadłości Harringtonów, tylko gdzieś zdecydowanie dalej. W przeciwnym razie ktoś dawno już trafiłby na te treecaty. Logika podpowiadała więc, że Stephanie przemieszcza się tam wozem rodziców, jednak po paru tygodniach śledzenia pojazdu okazało się, że ani razu nie skierował się ku góróm.

Wtedy Bolgeo przypomniał sobie o lotni, która odegrała istotną rolę w głośnej historii z hexapumą. Czy to możliwe, by Stephanie dostała zgodę rodziców na samodzielne wyprawy nową lotnią do gniazda „dzikich” treecatów, których nikt inny nie potrafił najwyraźniej zlokalizować?

Im dłużej myślał, tym bardziej logiczne wydawało mu się takie rozwiązanie, ale nie od razu wiedział, jak rzecz wykorzystać. Szczęśliwie dla niego na każdej planecie, nawet świeżo skolonizowanej, istniał taki czy inny półświatek, zwykle nietrudny nawet do zidentyfikowania. Nawiązaniem kontaktu z miejscowym elementem przestępczym zajęła się trójka współpracowników przydzielonych Bolgeo przez Ustinov's Exotic. Przybyli osobno, na pokładach dwóch różnych statków, i nie nawiązali żadnego oficjalnego kontaktu z doktorem. Przeznaczone dla siebie polecenia odebrali na tyle dyskretnie, że nikt nie miał prawa ich z nim skojarzyć. Zawarli za to kilka znajomości z miejscowymi, którzy nie zadawali żadnych pytań i zainteresowani byli jedynie sumą oferowaną za wykonanie łatwych i niegroźnych w gruncie rzeczy zadań.

Jednym z nich było przyczepienie znacznika do lotni Stephanie. Umieszczenie go na jej odzieży byłoby o wiele trudniejsze ze względu na zdolności treecata, ale z lotnią nie było problemu. Sprawdziwszy rozkład spotkań doktor Hobbard, poczekał na chwilę, gdy cała rodzina Harringtonów opuściła posiadłość, i kazał wysłać jednego z miejscowych, by schował trudno wykrywalny nadajnik w obudowie modułu antygravitacyjnego lotni. Potem zostało już tylko czekać, aż Stephanie doprowadzi go wprost do celu.

Zauważył, że lotnia przestała się przemieszczać i od kilku chwil znacznik znajduje się w tym samym miejscu. Stephanie mogła zawisnąć w powietrzu, ale prawdopodobniejsze było, że po prostu wylądowała.

Wpisał za pomocą klawiatury polecenie i uśmiechnął się, widząc na ekranie dokładne koordynaty tego miejsca.



## ROZDZIAŁ XXIV

*Wspinający się Szybko!*

Treecat otworzył oczy, wyrwany mentalnym wołaniem z głębokiego snu. Tuż obok oddychał głęboko jego dwunóg, z blaskiem umysłu odmiennym trochę od normalnego, typowym za to dla marzeń sennych. Wspinający się Szybko też nie był pewien, czy naprawdę ktoś go wołał, czy może mu się tylko przyśniło. Jednak po chwili usłyszał znowu:

*Wspinający się Szybko! Obudź się!*

*Krótki Ogon?* - odpowiedział, przekonując się ostatecznie, że to jednak jawa. - *Co się dzieje?*

*Kłopoty!* - zawołał zwiadowca Klanu Jasnej Wody. Na razie musiał być gdzieś daleko, ale bez wątplenia biegł w ich kierunku. - *Śpiewająca Prawdziwie i Złamany Kiel wysłali mnie po ciebie.*

Wspinający się Szybko chciał spytać, jakie to kłopoty i dlaczego jego siostra oraz Złamany Kiel uważają, że właśnie on może im zaradzić, ale nie odezwał się. Krótki Ogon znajdował się wciąż na granicy jego zasięgu i trudno byłoby prowadzić w tych warunkach jakąś bardziej rzeczową rozmowę.

*Idę ci na spotkanie* - rzucił i zeskoczył z grzędy zbudowanej specjalnie dla niego przez ojca jego dwunoga.

Przystanął na chwilę, opierając łapę na posłaniu przyjaciółki, tuż obok jej ucha, i zastanowił się, czy ją budzić. Wiedział, że nie byłaby zadowolona, odkrywszy, że bez uprzedzenia wyprawiał się gdzieś w środku nocy, ale nie wątpił, że chciałaby mu towarzyszyć. A to rodziło pytanie, jak zareagowałaby jej rodzina, dowiedziawszy się, że zabrał ich córkę na dłuższy spacer do lasu, do którego nadal nie wolno jej było chodzić.

Nie, pomyślał. Lepiej sprawdzić najpierw, o co chodzi Krótkiemu Ogonowi. Poza tym ojciec jego dwunoga zrobił dla niego specjalne wyjście z gniazda, pozwalające wymknąć się w dowolnej chwili na zewnątrz.

Obrócił się i pobiegł korytarzem, potem skręcił w lewo do salonu i chwilę później znalazł się przy wyjściu. Frontowe drzwi zostały wyposażone w zmodyfikowane kocie drzwiczki z małą zasuwką, mającą zapobiegać inwazji różnych drobnych stworzeń, których nie brakowało na Sphinksie. Wspinający się Szybko pochwalał to rozwiązanie. Dobrze

wiedział, co taka banda szkodników mogłaby zrobić z gniazdem jego dwunogów.

Przepchnął się przez otwór i klepnął framugę, by blokada wróciła na miejsce. Potem ruszył żwawo przez otwartą przestrzeń otaczającą siedzibę Klanu Postrachu Zabójczego Kła. Po stracie chwytnej łapy nie był już tak szybki jak wtedy, gdy klan nadał mu imię, ale i tak radził sobie lepiej niż wielu innych. Zwinnie wskoczył na najniższą gałąź drzewa sieciowego i pobiegł na spotkanie Krótkiego Ogon.

\*\*\*

*Tak już lepiej* - powiedział Krótki Ogon kilka chwil później, gdy już się spotkali.

Starszy zwiadowca przebył długą drogę i był wyraźnie zmęczony. Ryzykował przy tym sporo, wyruszając w nocy, ponieważ niektóre drapieżniki, jak na przykład zabójcze skrzydła, widziały w ciemności o wiele lepiej niż Lud. Potrafiły dostrzec przemykającą sylwetkę z odległości większej, niż można było wykryć blask ich umysłów. Zwiadowca musiał cały czas zachowywać czujność i być gotowy na uskoczenie przed atakiem zabójczych skrzydeł.

*Tak, oczywiście* - zgodził się Wspinający się Szybko. - *A teraz powiedz mi, z czym przybywasz. Jaki to kłopot kazał ci szukać mnie po nocy? I dlaczego Śpiewająca Prawdziwie i Złamany Kiel uważają, że mogą cokolwiek z tym zrobić?*

*Nie wiemy dokładnie, co się dzieje* - odparł ciszej Krótki Ogon, a blask jego umysłu przygasł wyraźnie. - *Śpiewającej Prawdziwie i Złamanemu Kłowi nie przyszło łatwo wysłanie mnie w drogę. Niektórzy ze starszych nalegali raczej, byśmy wynieśli się w góry, dalej od dwunogów, nie informując nawet Klanu Postrachu Zabójczego Kła o naszej decyzji.*

*Co?* - Wspinający się Szybko nastawił uszy i nastroszył wąsy. - *Co to za szaleństwo?*

*Byłem przeciwko, podobnie jak większość starszyny* - odparł pospiesznie zwiadowca. - *Nie przypuszczam zresztą, by nawet ci namawiający do ucieczki naprawdę jej pragnęli, ale... oni bardzo się boją.*

*Czego?*

*Tego właśnie nie wiemy* - powiedział Krótki Ogon, kładąc uszy po sobie i promieniując złością, strachem i frustracją. - *Przez ostatnią dłoń dni, trzy dłonie Ludu gdzieś... zniknęły.*

*Zniknęły?* - powtórzył bezwiednie Wspinający się Szybko.

*Tylko tak można to opisać. Wszyscy wyszli z gniazda w swoich zwykłych sprawach i nie wrócili. Łowcy, zwiadowcy, zbieracze...*

*Wspinającego się Szybko przebiegł dreszcz.*

*Nie rozumiem* - powiedział z namysłem. - *Mówisz, że nie wrócili. Żaden nie odezwał*

*się wcześniej, wołając o pomoc czy ostrzegając przed zagrożeniem?*

*Właśnie nie. Od żadnego nie usłyszeliśmy ani słowa, a niektórzy wykonywali zadania, które nie wymagały oddalania się poza zasięg głosu. Powinniśmy usłyszeć ich w gnieździe.*

Wspinający się Szybko rozumiał przerażenie klanu. Owszem, zdarzało się czasem, że ktoś padał ofiarą wypadku albo ginął zaatakowany przez drapieżnika (choć zazwyczaj unikanie takich napastników nie było trudne). Niemniej trudno było uwierzyć, że nie próbował w takiej sytuacji powiadomić chociaż reszty klanu o swoim losie, o wezwaniu pomocy nawet nie wspominając. Wspinający się Szybko nie znał ani jednego takiego przypadku.

*I nie ma żadnego śladu sugerującego, co mogło się z nimi stać? - spytał.*

*Niczego nie znaleźliśmy - odparł Krótki Ogon i Wspinający się Szybko zastrzygł uszami, wyczuwając w głosie starszego zwiadowcy jakieś wahanie i zmieszanie, których przyczyn ten wolałby nie wyjaśniać. W końcu jednak się przemógł. - Powód, dla którego niektórzy nalegali, byśmy wynieśli się w góry, nie mówiąc nic dwunogom, jest prosty. Uważają, że to oni są odpowiedzialni za to, co spotkało naszych. Cokolwiek to było. I to jest coś nowego, Wspinający się Szybko. Sam mówiłeś, że niektórzy spośród dwunogów naciskali na Postrach Zabójczego Kła, by powiedziała im więcej na temat Ludu, niż sama chciała wyjawić, i pozwoliła im zbadać ciebie dokładniej, niż gotowa była pozwolić. Uderzający Szybko przekazywał to samo, jeśli chodzi o jego dwunoga. Niektórzy z nas zaczęli przypuszczać, że być może jakaś grupa dwunogów poczuła się zbyt sfrustrowana odmowami Postrachu Zabójczego Kła i Wroga Mroku i... sama szuka materiału do badań. Kilku zwiadowców meldowało, że słyszeli latające urządzenia dwunogów przemykające cicho niedaleko naszego gniazda. Wielu obawia się, że może to mieć związek ze zniknięciami naszych, że zostali oni zabrani do tych latających urządzeń.*

Umysł Wspinającego się Szybko mroczył, w miarę jak Krótki Ogon przedstawiał sytuację. Nie było nic dziwnego w tym, że niektórzy z Ludu tak właśnie myśleli, i był nawet skłonny zgodzić się z ich przypuszczeniami. Podejrzał nawet, że wie, który konkretnie dwunóg za tym stoi.

Tylko jak tego dokonał? Mówiący Fałszywie nie wiedział przecież, gdzie mieści się gniazdo Klanu Jasnej Wody. Postrach Zabójczego Kła i jej rodzice bardzo uważali, by żadna informacja na ten temat nie ujrzała światła dziennego.

*Podobnie jak ty nie wiem, czy to dwunogi są odpowiedzialne za zniknięcia - powiedział po dłuższej chwili. - Sądzę jednak, że to możliwe. Nie podoba mi się ta myśl, ale przekonałem się już, że obcy bywają różni. Są wśród nich także jednostki fałszywe i paskudne.*

*Byłem z Postrachem Zabójczego Kła na kilku spotkaniach ze starszymi wszystkich dwunogów na tym świecie i wiem, że każdy, kto próbowałby uprowadzić kogoś z Ludu, sprzeciwiłby się woli starszych i zwyczajom obcych. Ale to nie znaczy jeszcze, że coś takiego nie może się zdarzyć. Opowiedziałem zresztą Śpiewającej Prawdziwie i innym starszym, co wyczulem w blasku umysłu Mówiącego Fałszywie.*

Krótki Ogon spojrzał na niego uważnie i pokiwał powoli głową. Wielu członków Klanu Jasnej Wody przejęło w ostatnim czasie ten gest od dwunogów.

Wspinający się Szybko często przeżywał trudne chwile związane z brakiem skutecznego sposobu komunikowania się z Postrachem Zabójczego Kła. Wprawdzie coraz lepiej ją rozumiał i w miarę rozwoju ich więzi łatwiej wychwytywał echa jej myśli (albo i ona uczyła się bardziej jednoznacznie je formułować), potrafił też sam przekazać sporo gestami i językiem ciała, w ostateczności odgrywając nawet krótkie scenki, ale nie wszystko dawało się wyrazić w ten sposób. Nadal nie miał pomysłu, jak opowiedzieć o tym, co wyczuł w umyśle Mówiącego Fałszywie podczas spotkania w miejscu spożywania posiłków w dużym osiedlu dwunogów, do którego jego przyjaciółka udawała się czasem, by polatać razem z innymi młodymi.

Ta niemożność kontaktu przyprawiała go niekiedy o szaleństwo. Wiedział, że Postrach Zabójczego Kła wyczuła jego niechęć do Mówiącego Fałszywie i że też go nie lubi. Nie miała jednak pojęcia, że każde wypowiedziane przez niego słowo było kłamstwem.

Czuł się z tym szczególnie źle, ponieważ do czasu spotkania dwunogów Lud nie wiedział nawet, że można przemawiać fałszywie. Trudno było poświadczać przed kimś nieprawdę, gdy kontakt emocjonalny jednoznacznie pokazywał, jaki jest stan faktyczny. Członkowie Ludu znali oszustwo, ale nigdy nie kłamali w mowie. Mogli jedynie skrywać prawdę, nie pozwalając innym domyślić się, co właściwie szykują, i młodzi często zabawiali się w ten sposób, starając się wymyślić jak najsprytniejsze sposoby wprowadzenia kogoś w błąd. Był to nawet niezły trening myślowy, zarówno dla sprawcy, jak i dla ofiary żartu. Pomagał ćwiczyć zdolność przewidywania, która bywała przydatna myśliwym i zwiadowcom, oraz decydującą niekiedy o przetrwaniu czujność.

Było to jednak coś całkiem niepodobnego do fałszu, który Wspinający się Szybko wyczuł za uśmiechem tamtego dwunoga. Już podczas pierwszego spotkania wpatrywał się on we Wspinającego się Szybko z intensywnością, która mogła przerazić, a powód był z pewnością bardziej złożony niż zwykle zainteresowanie. Zwiadowca przypuszczał (ale pewności nie miał), że Mówiący Fałszywie traktował go jak nieświadomego swej roli przewodnika, mającego wskazać drogę do reszty Ludu.

Wiedział, że Mówiący Fałszywie zdołał oszukać wszystkich dwunogów, z którymi dotąd się spotkał, i był zainteresowany Ludem w taki sam sposób, w jaki Lud był zainteresowany ryjówkami. Jednak Wspinający się Szybko nie wyczuwał, co się pod tym kryje.

Z drugiej strony, cokolwiek to było, nie wyjaśniało, w jaki sposób Mówiący Fałszywie ustalił położenie gniazda Klanu Jasnej Wody. Postrach Zabójczego Kła bardzo uważała, by nie zdradzić tajemnicy. A jeśli nawet obcy odkrył miejsce, jak zdołał pojmać kogokolwiek spośród Ludu, tak że reszta niczego nie usłyszała?

Istniała jeszcze jedna, znacznie gorsza możliwość. Odruchowo założył, że Mówiący Fałszywie dążył do schwytania „materiału badawczego”, a przecież równie dobrze mogło mu zależeć na zgonie Ludu. Broń dwunogów była bardzo skuteczna i zabijała błyskawicznie, co mogłoby tłumaczyć, dlaczego żaden z zaginionych nie zdążył się odezwać czy wezwać pomocy.

Tak czy tak, rodziło to dalsze pytania. Jeśli w grę wchodził ten najgorszy wariant, w jaki sposób Mówiący Fałszywie zdołał podejść na tyle blisko, żeby użyć swojej broni, unikając jednocześnie wykrycia przez kogokolwiek, kto mógł znajdować się w pobliżu?

*Trudno, Krótki Ogonie - powiedział, uspokoiwszy rozbiegane myśli. - Nie kryję, że przykre wiadomości przyniosłeś, i nie wiem, co dalej robić. Wielka szkoda, że nie umiem rozmawiać z Postrachem Zabójczego Kła i jej rodzicami. Przypuszczam niestety, że nigdy się tego nie nauczymy i nasze kontakty zawsze będą niepełne. Uważam jednak, że musimy jakoś przekazać dobrym dwunogom wiadomość o tym, co dzieje się z naszym klanem. Wiemy, jak energicznie wsparli Klan Jasnego Serca, gdy znalazł się w wielkiej potrzebie, i jestem pewien, że nam też gotowi są pomóc. Muszą tylko dowiedzieć się, co się dzieje.*

*Tak samo uważają Śpiewająca Prawdziwie i Złamany Kiel - stwierdził Krótki Ogon.*

*Jakoś mnie to nie dziwi - powiedział Wspinający się Szybko ironicznym tonem i Krótki Ogon bleknął z rozbawieniem. - Problem tylko w tym, jak przekazać rzecz dwunogom.*

*Śpiewająca Czysto i zwiadowcy Klanu Chodzących w Blasku Księżyca zdołali sprawić, że Wróg Mroku usłyszał ich głosy - przypomniał Krótki Ogon i Wspinający się Szybko zastrzygł zgodnie uszami.*

*To prawda - powiedział. - Ale dopiero wtedy, gdy zebrali się wszyscy razem i Śpiewająca Czysto pokierowała ich głosami. No i знаła pełną relację Cichego Cienia, którą mogła się posłużyć, a i tak Wróg Mroku nie usłyszał całej pieśni. Wiele zrozumiał, ale szczegóły zdarzenia poznał dopiero wtedy, gdy sam udał się na teren Klanu Jasnego Serca.*

*My nie mamy tak wyraźnego wspomnienia, by móc zbudować na nim kontakt. Jedyne, co mamy, to pytania. Wierzę, że moglibyśmy przekonać Wroga Mroku, że dzieje się coś złego, ale co dokładnie nas porusza, tego raczej mu nie przekazemy. Poza tym Wróg Mroku mieszka daleko stąd. Najpierw musielibyśmy skontaktować się z Uderzającym Szybko, potem on musiałby przekonać swojego dwunoga do wyprawy... To zabraloby wiele czasu. Na dodatek Wróg Mroku boi się wracać myślami do tamtej chwili, gdy usłyszał Śpiewającą Czysto. Nie wiem, skąd bierze się jego lęk. Sądzę, że nie chodzi o Lud, ale o to, jak zareagowałyby inne istoty z jego gatunku, gdyby się o tym dowiedziały. Uderzający Szybko i ja nie rozumiemy, dlaczego tak się dzieje, ale jesteśmy pewni jego odczuć.*

*Ale jeśli nie pójdziemy z tym do Wroga Mroku, to do kogo? - spytał Krótki Ogon i teraz Wspinający się Szybko bleeknął ze śmiechu.*

*Śpiewająca Prawdziwie zna odpowiedź na to pytanie - odparł. - Mogła ci jej nie wyjawić, ale zna. I w sumie ta odpowiedź jest oczywista. Naklonię Postrach Zabójczego Kła do złożenia kolejnej wizyty w siedzibie klanu i spotkania ze Śpiewającą Prawdziwie oraz resztą starszych. Zrobię to natychmiast, bo chociaż nie sądzą, bym zdołał jej wiele wyjaśnić, uważam, że jest naprawdę bystra i sama szybko zauważy, że Lud jest zaniepokojony. A nawet wystraszony. Ona ma teraz wielu przyjaciół wśród starszych dwunogów. Chyba więcej nawet, niż podejrzewa. Jeśli poprosi ich o pomoc w zrozumieniu, czego obawia się Lud, na pewno nie odmówią. Może i przyjdzie nam jeszcze poszukać kontaktu z Wrogiem Mroku, ale sądzą, że w pierwszej kolejności powinniśmy zwrócić się do Postrachu Zabójczego Kła.*

## ROZDZIAŁ XXV

Stephanie Harrington pochyliła lekko pomalowaną w tygrysie paski lotnię i podeszła do lądowania w pobliżu terenu treecatów.

Od rana jej poczynaniom towarzyszyła niejaka nerwowość, na razie jednak nie wspomniała o niczym rodzicom. Po części dlatego, że nie była pewna, czy dobrze rozumie sytuację, po części zaś z obawy, że gdyby rodzina się dowiedziała, mogliby zabronić jej lecieć. A przecież musiała sprawdzić, czy trafnie odczytuje zachowanie Lionhearta, który wyglądał na mocno czymś przejętego.

Co więcej, jej też udzielił się pewien niepokój, którego źródła nie potrafiła ustalić. Chyba że był nim właśnie treecat. Wprawdzie ludzie nie byli psionicznymi empatami, jednak coś musiało do niej docierać, być może dzięki silnej więzi z Lionheartem. Nie czuła tego w obecności jakiegokolwiek innego treecata, ale jego emocje odbierała. Słabo i mocno ogólnie, ale jednak. Tylko w ten sposób potrafiła wyjaśnić, że niekiedy słyszała wydawane przez niego „odgłosy”, które innym umykały. I to musiał być też powód jej obecnego wzburzenia.

Gdybyś ty jeszcze umiał mówić, pomyślała, znów zmniejszając prędkość lotu i wystawiając nogi na spotkanie ziemi. Przebiegła kilka metrów, wygaszając resztki pędu, po czym zatrzymała się, zdjęła kask i zaczęła wypinać siebie oraz Lionhearta z uprząży. Gdybyś potrafił wyjaśnić mi, co jest nie tak, zaraz bym się tym zajęła!

Jednak Lionheart nie znał ludzkiej mowy i nawet jeśli wyczuwał jej stan ducha, ona nie była telepatą, by odebrać jego myśli. Mogła jedynie polecieć z nim do gniazda klanu, dokąd wyraźnie ją ciągnął, i mieć nadzieję, że zdoła jednak zrozumieć, co złego się tam działo.

\*\*\*

Tennessee Bolgeo wyszedł z magazynu i starannie zamknął drzwi za sobą. Wreszcie miał powody do zadowolenia.

W środku znajdowało się ponad dziesięć treecatów, zamkniętych w dużych i wygodnych klatkach. Wyglądały na zdezorientowane, ale poza tym były raczej zdrowe. Podawany regularnie w jedzeniu środek utrzymywał je w stanie otępienia, nie powodując żadnych trwałych skutków ubocznych. Bezpieczną dawkę musiał ustalać „na oko”, ale parł się ksenoantropologią na tyle długo, by mieć pewne wyczucie w podobnych sprawach, i

wszystko sugerowało, że akurat trafił.

Idąc w stronę furgonetki, zastanawiał się, ile jeszcze treecatów zdoła odłowić, zanim te bydłatka zorientują się, co jest grane. Chciał pozyskać ich co najmniej pięćdziesiąt do sześćdziesięciu, chociaż po prawdzie wolałby więcej, zważywszy na to, że być może nie zdoła wrócić na Sphinksa po drugą partię. Chociaż może jednak? Jeśli dobrze to rozegra i nikomu nie przyjdzie do głowy pytać o niego na Uniwersytecie Liberty, pewnie da radę jeszcze tu przylecieć. Jeśli tak, będzie nawet łatwiej, bo miejscowi potraktują go jak kogoś już znajomego.

Tyle że trudno było zakładać, że to się uda, i dlatego należało teraz złapać tyle treecatów, ile tylko zdoła. Poza tym na razie trafiały mu się wyłącznie samce. Nie słyszał nawet, by ktokolwiek spotkał dotąd samicę, i nie rozumiał, dlaczego tak się dzieje. W obrębie gatunku, który do złudzenia przypominał ssaki, proporcje płci musiały być mniej więcej równe, nie tak jak wśród owadów mających jedną królową na kolonię. Samic musiało być tutaj dość, by zapewnić ciągłość gatunku, ale na razie nikomu się nie pokazały.

Przejrzał dostępne nagrania Służby Leśnej przedstawiające klan obserwowany po katastrofie spowodowanej przez BioNeering i zauważył, że poza zwykłymi treecatami, jakie dotąd widywał (także u siebie w klatkach), tymi szarymi, z kremowymi brzuchami i ciemnymi pierścieniami na ogonach, były tam jeszcze inne, o odmiennym trochę umaszczeniu. Miały sierść w brunatne i białe plamy, przypominając w tym ziemskie jelonki, i były mniejsze, chociaż tego ostatniego nie był do końca pewien, zważywszy na to, że dysponował tylko nagraniem, które potrafiło zmylić przy próbach ocenienia masy zwierzęcia.

Uznał jednak, że te odmiennie trochę treecaty to właśnie samice. W przyrodzie często spotykało się kontrastowe ubarwienie sierści czy upierzenia u odmiennych płci. Tak było też na Ziemi, na przykład w przypadku ptaka zwanego kardynałem. A skoro samice były obecne w stadzie, tym bardziej powinien złapać ich choć kilka. Z pewnością byłyby bardziej cenne od samców, zwłaszcza dla kolekcjonerów, dla których rzadkość okazu stanowiła powód do podbicia ceny. Co więcej, bez nich Ustinov's Exotics (czy gotowe do podjęcia hodowli laboratoria) nie mogłyby liczyć na dodatkowe młode czy jajeczka do sztucznego zapłodnienia i wychowu.

Problem tkwił w tym, że samice nie oddalały się zbyt od gniazda. A jeśli nawet czasem to robiły, to i tak wszystkie ryzykowne zadania były domeną samców. W sumie miało to sens. We wszystkich ekosferach samce były mniej cenne niż samice, ponieważ ich rola ograniczała się do zapłodnienia. Samica musiała donosić młode i potem je wychować, z punktu widzenia przetrwania gatunku była więc ważniejsza. Bolgeo rozumiał to wszystko, ale



i tak wkurzała go sytuacja, w której się znalazł.

Z ponurą miną wsiadł do furgonetki i zatrzasnął drzwi. Klimatyzacja zaraz się włączyła, miło schładzając wnętrze, a on siedział, nerwowo stukając palcami o deskę rozdzielczą.

Pułapki sprawdzały się jak dotąd, chociaż były tylko lekko zmodyfikowanymi wersjami tych, które stosował już w przeszłości. Musiał też przeprogramować ich inteligentny kamuflaż, ale nie było to trudne i szybko uzyskał wzór pasujący do roślinności Sphinksa. Jak długo nie rzuciły się na zdobycz, pozostawały praktycznie niezauważalne. W stanie złożonym trudno było je dostrzec nawet z bliska, zwłaszcza gdy nie wiedziało się, czego szukać.

Poza tym bardzo starannie wybrał miejsca, gdzie je ulokował, najpierw rozmieszczając w lesie małe platformy z kompletem kamer i czujników. Były to seryjne produkty używane zwykle przez zwiadowców i różnej maści poszukiwaczy, a ustawiał je tak, by mieć w polu widzenia jak największy obszar puszczy. Dostarczenie ich na miejsce nie było łatwe i stracił dwie w zderzeniach z gałęziami palikowca. Obawiał się nawet, że treecaty mogły go usłyszeć i uciec spłoszone, na wszelki wypadek odczekał więc półtora miejscowego tygodnia, nim ponownie się pojawił w okolicy.

Nie zmarnował tego czasu. Dzięki nagraniom w podczerwieni zdołał zidentyfikować kilkanaście często używanych przez treecaty ścieżek na gałęziach palikowca. Potem wyszukał jeszcze sporo dogodnie umieszczonych bocznych gałęzi, pustych pni i innych kryjówek zaraz obok tych szlaków. Przyjrzał się im dokładnie pod kątem przydatności i ostatecznie wyruszył pewnej nocy, by rozmieścić wszystkie pułapki za jednym zamachem.

Dzięki goglom ze wzmacniaczem światła nie miał problemów z poruszaniem się pod zwartą pokrywą listowia palikowców i dębów, poza tym ubrał się w specjalny kombinezon ochronny o grubej powłoce. Było mu w nim trochę niewygodnie, miał za to pewność, że nie zostawi w lesie żadnego śladu zapachowego, ponieważ ubiór miał własny system podtrzymywania życia, no i dawał niejake poczucie bezpieczeństwa w obcym terenie. Pułapki zostały potraktowane zabijającym wszelkie wonie roztworem, a na dodatek skropił każdą sokiem z selera naciowego.

Uważał przy tym, by nie dać go za dużo. Chodziło tylko o wzbudzenie zainteresowania tych treecatów, które podejną na odległość metra, góra trzech metrów. Była duża szansa, że zatrzymają się wtedy i zbliżą jeszcze bardziej, by sprawdzić źródło woni, cały czas niczego nie podejrzewając i nie zawiadamiając innych o znalezisku.

Nagrania Służby Leśnej wskazywały, że treecaty krążą w różnych codziennych sprawach samotnie, nie parami czy grupami. Być może rasa telepatów nie odczuwała

potrzeby trzymania się blisko, skoro i bez tego mogła cały czas utrzymywać kontakt z grupą, może wiązało się to z inną cechą społeczną, dość, że niewielka była szansa, by napotykalący pułapkę treecat znajdował się akurat w polu widzenia innego osobnika. Wybrane starannie miejsca znajdowały się na tyle daleko od gniazda, że kontakt byłby możliwy zapewne tylko wówczas, gdyby pechowe stworzenie wydało mentalny odpowiednik bardzo głośnego krzyku, chociaż po prawdzie Bolgeo nie miał w tej materii pewności. Nie był w stanie sprawdzić tego doświadczalnie, ale skłonny był sądzić, że dystans skutecznie uniemożliwiał zwykłe „podsluchanie” myśli w trakcie zastanawiania się nad dziwnym źródłem selerowego zapachu.

Gdy podchodziły dość blisko, uruchamiane przez czujniki dysze wyrzucały kierunkowy strumień gazu obezwładniającego, który został wcześniej w wielkiej tajemnicy wypróbowany na innych przedstawicielach fauny Sphinksa. Bolgeo stracił przy tym ileś okazji, ale ostatecznie dobrał substancję, która powinna błyskawicznie pozbawić treecaty przytomności, nie powodując widocznych skutków ubocznych. Gdy stworzenie leżało już bezwładnie, maszynka odłączała się od pnia czy gałęzi, wysuwała mechaniczne odnóża, podchodziła do ofiary, rozkładała się i ostrożnie owijała wkoło ciała, przybierając ostatecznie postać mocnej klatki. Równocześnie wysyłała sygnał radiowy informujący, że jest pełna, i monitorowała funkcje życiowe treecata, w razie potrzeby dawkując kolejne porcje gazu, by zwierzek nie obudził się przed zabraniem do magazynu.

Jak dotąd, system działał bez zakłóceń. Tracące przytomność treecaty nie miały najwyraźniej szansy, by wezwać pomoc, i starczał jeden oblot stanowisk, by zebrać wszystkie pojmane stworzenia. Bolgeo robił to osobiście albo wysyłał któregoś z pomocników. Samo podniesienie klatki też było proste, ponieważ wszystkie zostały wyposażone w moduły antygravitacyjne. Mocy starczało im tylko na pięć minut, ale to wystarczyło, by pułapka uniosła się ponad korony drzew i dotarła do trwającego w zawisie wozu. Tam sterowany ręcznie emiter wiązki ściągającej wprowadzał ją do środka przez otwarte drzwi. Tak samo wyglądało przeniesienie zdobyczy do magazynu. Ponowne ustawienie pułapki było bardziej skomplikowane i wymagało nocnej wizyty w kombinezonie ochronnym.

I szło dobrze, tyle że ciągle nie miał ani jednej samicy. Musi istnieć jakiś sposób...

Melodyjny sygnał przerwał te rozmyślenia i Bolgeo spojrzął z uśmiechem na komunikator. Ktoś z boku mógłby pomyśleć, że urządzenie odebrało właśnie głosową albo tekstową wiadomość, ale byłby w głębokim błędzie. Sygnał oznaczał, że kolejna pułapka zadziałała i Bolgeo był bogatszy o jednego treecata.

Wprowadził kod i sprawdził numer pułapki. To była już trzecia od ostatniego wylotu poprzedniej nocy. Biorąc pod uwagę jej położenie i prognozę pogody, żaden z pojmanyh

treecatów nie powinien zbyt szybko ucierpieć na skutek odwodnienia czy wygłodzenia, jednak zbyt długie zostawianie pełnych pułapek było ryzykowne. Jakiś inny treecat mógł je zauważyć i podnieść alarm.

Bolgeo zastanawiał się nad tym kilka chwil. Zasadniczo mógłby zebrać te pułapki nawet teraz, ostatecznie nie musiał w tym celu lądować. A gdyby nawet tak wyszło, kombinezon woził cały czas w furgonie, podobnie jak strzelbę z pociskami usypiającymi. Wyrzucane przez nią strzałki raziły skutecznie na odległość do trzystu metrów i bez wątpienia obezwładniłyby każdego treecata. Nie planował korzystać z tej metody odławiania, ale kto wie? Gdyby spotkał osobnika o jaśniejszej sierści, na pewno skorzystałby z okazji. Nawet gdyby musiał w tym celu wylądować w lesie za dnia.

\*\*\*

- Nie wiem, co jest nie tak - powiedziała Stephanie. Siedziała na gałęzi palikowca czternaście metrów na ziemię i machała nogami w powietrzu. Na jej kolanach siedział smukły treecat z jasno nakrapianą sierścią, który wpatrywał się intensywnie w jej oczy. Słyszając pełen rezygnacji komentarz, sapnął z wyraźną irytacją. Steph pogłaskała go delikatnie po jedwabistym futrze. - Przykro mi, Morgano - stwierdziła, starając się podkreślić słowa emocjami. - Naprawdę się staram, ale nie pojmuję, co chcesz mi przekazać.

*Teraz rozumiem, jakie to frustrujące* - powiedziała Śpiewająca Prawdziwie, spoglądając na brata. - *Postrach Zabójczego Kła daje z siebie wszystko, ale ni w ząb nie pojmuję niczego, co próbuję jej przekazać.*

*Właśnie* - odparł Wspinający się Szybko. - *Nie jest temu winna. Jest naprawdę mądra, ale nie słyszy naszych myśli, podobnie jak my nie słyszymy głosu jej umysłu... o ile dwunogi w ogóle taki głos mają. Po doświadczeniu z Wrogiem Mroku skłonny byłem sądzić, że nie jest im to całkiem obce, ale ludzie przywykli porozumiewać się w całkiem inny sposób.*

*Gdybyśmy potrafili wywoływać te ruchome obrazy, które widziałeś u dwunogów* - westchnęła Śpiewająca Prawdziwie.

*Niewiele by nam to pomogło. Do tego potrzebne jest specjalne urządzenie, takie jak to, którego Postrach Zabójczego Kła użyła w nocy, kiedy pierwszy raz ją spotkałem. Poza tym one mogą chyba utrwalić tylko obraz czegoś, co istnieje, co jest widoczne. A to byłby problem, prawda? Nie widzieliśmy dotąd, co stało się z naszymi zaginionymi.*

*Czasem bywasz irytujący, bracie* - rzuciła Śpiewająca Prawdziwie i Wspinający się Szybko bleeknął rozbawiony.

*Może, ale nawet irytująca prawda jest lepsza od uspokajającego fałszu. Poza tym...*

*Złamany Kle! Śpiewająca Prawdziwie! Wspinający się Szybko!*

Krzyk, który usłyszeli w myślach, wywołał ich wszystkich jednocześnie, zaraz więc usiedli prosto i zwrócili głowy w kierunku, z którego dobiegał.

*Chodźcie!* - rozległo się z daleka. - *Chodźcie tu jak najprędzej! Coś dziwnego stało się ze Splatającym Gałęzie!*

Głos dochodził z takiego dystansu, że musiał należeć do jakiejś samicy. Wspinający się Szybko słyszał go bardzo słabo, ale rozpoznał Wodną Tancerkę będącą partnerką Splatającego Gałęzie. Ale cóż ona mogła robić tak daleko od gniazda? I co spotkało jej partnera?

*Nie wiem, dlaczego oddaliła się tak bardzo od gniazda i kociąt - powiedziała Śpiewająca Prawdziwie, wyczuwając myśli brata. - Ale możliwe, że Wodna Tancerka odkryła powód tych tajemniczych zniknięć.*

*Jasne. I może obejdzie się bez urządzenia do tworzenia obrazów.* - Wspinający się Szybko wskazał na swojego dwunoga. - *Skoro Postrach Zabójczego Kła jest akurat z nami, musimy zabrać ją do Wodnej Tancerki i Splatającego Gałęzie. Niech sama zobaczy, co tam się stało.*

*Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Nie wiemy jeszcze, czy to bezpieczne. Postrach Zabójczego Kła jest odważna, ale ciągle jeszcze młoda. Narazisz ją na ryzyko?*

*Jest młoda, ale kocha nas i jest rozważna w swej odwadze - odparł z dumą Wspinający się Szybko. - Jeśli pójdziemy sami, a ona dowie się później o wszystkim, będzie miała do nas żal. A jeśli coś złego stanie się Splatającemu Gałęzie, a my nie damy jej szansy, by go ocalić, smutek mojej przyjaciółki nie będzie miał granic. Nie chcę jej tego robić.*

\*\*\*

Stephanie nadal nie miała pojęcia, co się dzieje.

Kotowata, która siedziała spokojnie na jej kolanach, ta nazwana przez Steph Morganą i będąca zapewne siostrą Lionhearta, drgnęła nagle i spojrzała na swojego brata, przerywając usilne próby przekazania człowiekowi, co tak niepokoiło ostatnio treecatę. Potem zeskoczyła na gałąź obok.

- Co jest? O co chodzi? - spytała Stephanie, spoglądając na oba treecaty.

Przez kilka chwil w ogóle nie zwracały na nią uwagi. Nie z braku uprzejmości, ale za sprawą czegoś, co nagle bardzo je zaabsorbowało. Potem Lionheart rzucił Stephanie proszące spojrzenie i chwytając kończyną złapał mały palec jej dłoni.

- Bleek! - odezwał się natarczywym tonem. - Bleek!

Wpatrywała się w niego, nadal nic nie rozumiejąc, gdy poczuła na swoich palcach jeszcze dwie drobne dłonie.

- Bleek! - zawtórowała bratu Morgana. - Bleek! Bleek!

Oba treecaty ciągnęły ją w tym samym kierunku, aż w końcu Stephanie kiwnęła głową.

- Dobrze, pójdę z wami - powiedziała i uruchomiła osobisty moduł antygravitacyjny, po czym zsunęła się z gałęzi, na której siedziała.

\*\*\*

Wspinający się Szybko i Śpiewająca Prawdziwie przywykli do niezwykłych narzędzi dwunogów, w tym i tego, które pozwalało Postrachowi Zabójczego Kła unosić się w powietrzu. Już jakiś czas temu zorientowali się, że pomrukujące urządzenie noszone przy pasie nie służy takiemu lataniu, jakie praktykują ptaki, bo trudno z jego pomocą przemieszczać się szybko czy sprawnie kontrolować kierunek, ale bez trudu da się dzięki niemu dotrzeć na najwyższe nawet konary. A skoro tak, ledwie ich dwunóg zeskoczył z gałęzi, oba treecaty wczepiły się w jego ramiona, by sprawniej znaleźć się na ziemi.

W innych okolicznościach uznałyby to za miłą przejażdżkę, podobnie jak bleekające ze szczęścia kociaki, które Postrach Zabójczego Kła brała niekiedy całymi naręczami na podobne powietrzne eskapady, ale tym razem niepokój o los pobratymców był zbyt silny.

*Co zamierzasz, Śpiewająca Prawdziwie?* - spytał Złamany Kiel, gdy wylądowali na dole.

*Dokładnie to, co myślisz, że zamierzam* - usłyszał.

*Nie* - stwierdził zdecydowanie, siadając i krzyżując przednie kończyny na piersi. - *Nie tym razem, najstarsza śpiewająca wspomnienia. Nie ma takiej potrzeby, byś narażała się na niebezpieczeństwo. Nic by tego nie usprawiedliwiło.*

Śpiewająca Prawdziwie machnęła ogonem ze złości. Brat położył jej dłoń na ramieniu. Gdy na niego spojrziała, poruszył znacząco uszami i przekazał jej prócz zrozumienia także współczucie z odrobiną rozbawienia.

*Złamany Kiel ma rację, siostró* - powiedział. - *Chyba nikt w całym klanie nie zastanawia się nawet, czy ta misja ratunkowa jest potrzebna. Nie musisz ich prowadzić, by uratować swego nierozsądnego brata przed skutkami jego głupoty. Poza tym, biorąc pod uwagę, co działo się ostatnim razem, chyba nazbyt obawiają się kolejnej rewolucji* - dodał z lekkim przekąsem.

*Osobiście wyraziłbym to inaczej, ale nie myślę się spierać* - odezwał się Złamany Kiel. - *Sama wiesz, że Wspinający się Szybko ma rację.*

*I co, może jeszcze mam się z tego cieszyć?* - warknęła Śpiewająca Prawdziwie.

*Aż tyle rozsądku po tobie nie oczekujemy* - zapewnił ją Wspinający się Szybko. - *Za*

*dobrze cię znamy.*

*Cieszę się, że humor ci dopisuje, bracie - powiedziała złowieszczym tonem Śpiewająca Prawdziwie, co zostało przyjęte radosnym bleeknięciem. - Nie będę się kłócić. Idźcie i uważajcie na siebie.*

## ROZDZIAŁ XXVI

Stephanie biegła przez las otoczona przemykającymi po gałęziach szaro-kremowymi treecatami. Kusiło ją, by użyć antygravitatora i dołączyć do nich, ale wiedziała, że nie zdoła poruszać się po palikowcach tak sprawnie jak znacznie mniejsze kotowate. Nawet przy skromnym wzroście i płaskiej na razie klatce piersiowej miałyby zbyt duże problemy z ominięciem wielu przeszkód czy wciśnięciem się w niewielkie luki między konarami.

Warstwa ściółki była na tyle gruba, że stopy zapadały się w niej po kostki, ale relatywnie mała ilość światła przenikającego przez korony drzew nie pozwalała na bujną roślinność na najniższym poziomie lasu, przez co biegło się dość łatwo. No i nie trzeba było przejmować się hexapumami. Żadna nie odważyłaby się zaatakować Stephanie, mając cały klan treecatów nad głową. Chyba że...

Steph przystanąła na chwilę, by złapać oddech, i odruchowo pomacała wiszącą przy pasie broń. Jak dotąd nigdy nie musiała się zastanawiać nad jej użyciem i tym razem pewnie też jej to nie groziło. Niemniej gdyby mimo wszystko wpadła na jakiegoś drapieżnika, nie będzie musiała polegać na wibronożu.

Uśmiechnęła się i ruszyła znowu pędem, by nie zostać w tyle za treecatami.

\*\*\*

*Wodna Tancerko!* - zawołał Wspinający się Szybko. - *Przybywamy! Gdzie jesteś? I gdzie jest Splatający Gałęzie?*

Wprawdzie Wspinający się Szybko był samcem, ale dzięki więzi z dwunogiem jego głos stał się ostatnio znacznie silniejszy i Wodna Tancerka bez trudu go usłyszała.

*Na górze!* - odpowiedziała. - *Nad zielonoigłowcem!*

Spojrzał we wskazanym kierunku i dostrzegł drobną, płową sylwetkę przytuloną do konaru złotoliścia ponad iglastym drzewem, które ludzie nazywali sośniakiem. Wodna Tancerka była wyjątkowo drobna i smukła i zwykle miała w sobie wiele wdzięku, ale teraz kurczowo wbijała pazury w korę i była przerażona. Jej blask umysłu potwierdzał to.

*Czy Splatający Gałęzie jest z tobą?*

*Tak, jest! Ale nie mogę go dobudzić!*

Wspinający się Szybko zerknął na Złamanego Kła, który stał po prawej stronie, potem na Krótkiego Ogona z lewej, i wyczuł, że oni też nie wiedzą, co o tym sądzić. Potem ruszyli,

wspinając się we trójkę na najwyższe konary palikowców, by stamtąd przeskoczyć na złotolistne drzewo i wdrapać się do miejsca, gdzie leżała Wodna Tancerka.

Im byli bliżej, tym wyraźniej wyczuwali jej strach o partnera. Gdy kilka chwil później dotarli na górę, uniosła lekką drżącą rękę i wskazała gdzieś przed siebie.

*Tam* - jęknęła i Wspinający się Szybko poczuł, jak sierść jeży mu się na grzbiecie.

Splatający Gałęzie zyskał swoje miano dzięki wielkiemu talentowi do budowy kryjówek, w których treecaty czatowały na mniejszą zdobycz przechodzącą beztrąsko obok. Tym razem jednak sam znalazł się w podobnie zrobionej pułapce.

Przez chwilę Wspinający się Szybko myślał, że rzeczywiście jest ona zbudowana z gałązek, jednak po chwili zrozumiał, że ktoś po prostu bardzo się postarał, by na takową właśnie wyglądała. To musiał być jakiś inny materiał. Co dziwniejsze, wkoło unosiła się woń lodygopęku... i jeszcze czegoś.

*Lodygopęk?* - spytał zdumiony Złamany Kieł. Jego węch nie był już tak czuły jak kiedyś, ale starszy klanu wychwycił wrażenie młodszego zwiadowcy. - *Skąd tutaj lodygopęk?*

*Bardzo dobre pytanie* - zgodził się z powagą Wspinający się Szybko. - *Splatającego Gałęzie też pewnie to zastanowiło i dlatego postanowił zbadać sprawę bliżej.*

*Sądysz, że ten zapach to przynęta w pułapce?* - spytał Krótki Ogon i Wspinający się Szybko przytaknął na modłę dwunogów.

*Tak właśnie myślę* - powiedział i wyczuł, że obaj towarzysze się z nim zgadzają. Lud wiedział, jak zastawiać pułapki na małą zwierzynę, i też korzystał wtedy z przynęty. Jednak aż do teraz nikt nie próbował zastawiać pułapek na członków Ludu. - To robota dwunogów. Nie wyczuwam ich zapachu, co jest dość dziwne, ale jestem pewien, że to oni.

Krótki Ogon już chciał podejść bliżej, ale Wspinający się Szybko go powstrzymał.

*Ostrożnie! Nie złowiłem zapachu dwunogów, ale jest tu jeszcze jakaś inna, bardzo dziwna woń. Nie znam jej. Lepiej nie zbliżać się do pułapki.*

*Ale musimy jakoś pomóc Splatającemu Gałęzie* - powiedział Krótki Ogon.

*Musimy, ale ostrożnie* - stwierdził Wspinający się Szybko. - *Wsluchaj się. Czy odnajdujesz jego blask umysłu?*

*Stąd?* - prychnął Krótki Ogon. - *Nie jestem śpiewającą wspomnienia!*

*Ja też nie* - rzekł Wspinający się Szybko. - *Ale wyczuwam jego blask umysłu. Może więź z Postrachem Zabójczego Kła uczyniła mnie bardziej wrażliwym. Splatający Gałęzie żyje, ale w tej chwili mocno śpi. Coś musiało go uśpić i chyba nie powinniśmy ryzykować, że nas też to spotka.*

*Daję ci wiarę, że on tylko śpi* - powiedział Krótki Ogon. - *A co do twojego wyczulenia,*



*zawdzięczasz je pewnie temu, że jadasz teraz dużo lodygopęku!* - dodał starszy zwiadowca ze śmiechem. Wyraźnie ulżyło mu na wieść, że Splatający Gałęzie żyje. Zaraz jednak spoważniał. - *Jednak nie możemy go tak zostawić.*

*Nie możemy* - zgodził się Wspinający się Szybko. - *Ale skoro to robota dwunogów, może nasz własny dwunóg będzie wiedział, co z tym zrobić.*

\*\*\*

Stephanie oparła się o potężny pień królewskiego dębu. Wysoki niczym ziemski sekwoja (choć za sprawą grawitacji Sphinksa jeszcze bardziej masywny), wyrastał ponad gęstwiną palikowców niczym tytan, konar zaś, na którym siedziały treecaty, znajdował się na wysokości pięćdziesięciu metrów, z pięć metrów wyżej niż ostatnie gałęzie lasu (niemniej do szczytu drzewa zostawało jeszcze drugie tyle). Z tej odległości trudno było dojrzeć dokładnie, co Lionheart i reszta robią na górze, ale Steph wydawało się, że naradzają się nad czymś. Tylko nad czym?

Po kilku minutach Lionheart zbiegł na dół i z wysokości kilku metrów skoczył jej w ramiona.

- Dobrze - powiedziała. - Już tu jestem. I co teraz?

- Bleek - odparł treecat i uniósł przednią kończynę, wskazując w górę.

- Ten moduł nie ma takiej mocy jak zamontowany w lotni - mruknęła Stephanie, spoglądała raz jeszcze na konar i wzruszyła ramionami. - Ale dobrze. Poziom naładowania jest ciągle wysoki. To ruszam.

\*\*\*

Wspinający się Szybko ułożył się na ramieniu swego dwunoga, który dotknął urządzenia przy pasie, i nagle zrobiło się lekko. Lionheart miał wrażenie, że waży mniej niż torebka nasienna złotoliścia, jedna z tych, które pod koniec każdej ciepłej pory opadały całym deszczem na ziemię, wirując i krążąc tak gęsto, że więcej ich było w powietrzu niż zrzucanych liści. Chwilę potem Postrach Zabójczego Kła zaczął się wznosić z taką prędkością, że mało kto z Ludu mógłby za nim nadążyć.

Gdy dotarli do konaru, na którym czekali Złamany Kieł i Krótki Ogon, dwunóg wylądował przy nich i znowu sięgnął do pasa. Ciężar powrócił, ale zdecydowanie mniejszy. Wspinający się Szybko przycisnął nos do ucha Postrachu Zabójczego Kła i wskazał na klatkę.

\*\*\*

Stephanie podążyła spojrzeniem za jego palcem, ale nie od razu zrozumiała, co właściwie widzi. Gdy to do niej dotarło, podsumowała rzecz słowem, którego nigdy nie używała w obecności rodziców.

Szaro-kremowy treecat leżał na boku w małej, dziwnej klatce. Steph nie miała pojęcia, skąd coś takiego mogło się tu wziąć, zwłaszcza że urządzenie robiło wrażenie dość zaawansowanego technicznie. Miało nawet metalowe nóżki, na których mogło się poruszać, z ostrymi zakończeniami wbijającymi się głęboko w korę. Ze względu na dobre maskowanie nie wszystko dawało się rozpoznać, ale zamontowano w nich chyba także mały generator antygravitacyjny.

Steph spojrzała w górę, na koronę drzewa, i od razu zrozumiała, jak właściciel pułapki zamierzał ją odzyskać.

Chciała podejść od razu, ale zatrzymała się, zrozumiawszy, że za mało wie o tym urządzeniu. Czy to ono pozbawiło treecata przytomności? Jeśli tak, to w jaki sposób? Czy ona też mogła ucierpieć, podchodząc za blisko? Czy klatka miała jakieś dodatkowe zabezpieczenia? Może ten, kto zastawił pułapkę, był na tyle wyprany z ludzkich uczuć, by dodać mechanizm autodestrukcji, i wszystko wybuchnie przy pierwszej próbie uwolnienia treecata? Albo zamontował alarm powiadamiający, że ktoś dobiera się do klatki?

- Dobrze - powiedziała, starając się zachować pozory pewności siebie. - Dobrze, wiem już, o co chodzi. I sądzę, że najpierw trzeba zasięgnąć porady.

Treecaty przyglądały się jej uważnie. Wyczuwała ich głęboki niepokój oraz wiarę w to, że potrafi rozwiązać problem. Zastanowiła się przelotnie, czy odbiera to bezpośrednio od nich czy poprzez Lionhearta. A może nauczyła się już na tyle odczytywać ich mowę ciała i wyraz zielonych oczu?

Nieważne. Sięgnęła po komunikator.

\*\*\*

- ...i tata powiedział, bym skontaktowała się z tobą. Co mam zrobić?

- Na razie nie rób niczego - powiedział zdecydowanie Scott MacDallan. - Możesz uruchomić niechcący jakąś maszynę piekielną. Nie chcę, byś oberwała.

- Ale nie mogę tylko siedzieć i czekać! Muszę go jakoś wydostać. Poza tym, co będzie, jeśli ten... ktoś wróci? - spytała, w ostatniej chwili powstrzymując się przed użyciem całkiem innego słowa na określenie właściciela pułapki. - Wróci, by zabrać treecata?

- Trafna uwaga - mruknął Scott. - Daj mi chwilę pomyśleć, dobrze?

- Dobrze - odparła trochę spokojniej Stephanie i MacDallan pokręcił głową. Zbyt dobrze poznał „młodą Harrington”, by mieć złudzenia co do jej cierpliwości. I zaklął w duchu, że akurat tego dnia oboje jej rodzice musieli mieć robotę w tak odległych miejscach.

Richard Harrington znajdował się jeszcze dalej niż Scott i telefon zastał go w środku operacji nogi genetycznie zmodyfikowanego konia rasy morgan. Marjorie Harrington i jej

pomocnik ze Służby Leśnej zakopali się dosłownie w płataninie korzeni palikowca niedaleko byłej siedziby BioNeering, gdzie badali mechanizm obronny tych drzew, pozwalający im odcinać dotkniętą schorzeniem część gaju od zdrowych roślin. Żadne z Harringtonów nie było w stanie dotrzeć do Stephanie, zanim...

- Z tego, co wiem, Frank i Ainsley są bliżej ciebie niż rodzice - powiedział w końcu Scott. - Mogę przekazać im twoje koordynaty? Wiem, że staraliście się nie ujawniać położenia gniazda klanu Lionhearta, ale ktoś i tak je poznał, jak widać. A im szybciej zjawią się tam jakieś oficjalne czynniki, tym lepiej.

- Cóż.... dobrze. - Steph nie była zachwycona pomysłem, ale domyślała się, do czego zmierza Scott. No i rozumiała, że w sumie ma rację.

- Gra. Odezwę się do nich, gdy tylko skończymy rozmawiać. A co powiedział twój ojciec, gdy usłyszał o nieprzytomnym treecacie?

- Że to pewnie jakaś mieszanka gazów stosowanych przy narkozie. Przyjrzałam się klatce przez lornetkę i dostrzegłam małą dyszę na górze. W tej chwili jest wymierzona w treecata i pewnie gdy zacznie się poruszać, znów się uruchomi.

- Ale może obrócić się w twoją stronę, jeśli podejdziesz! - powiedział Scott. - Albo gdyby jakiś inny treecat się zbliżył.

- Domyślam się - warknęła Stephanie. - Aż taka głupia nie jestem. Ale tata mówi, że większość mieszanek skutecznych wobec miejscowych form życia jest zbyt słaba, by pozbawić przytomności człowieka.

- Zakładając, że to rzeczywiście jest bezpieczna narkoza - zauważył MacDallan. - Nie mamy pewności, czy temu, kto zastawił pułapkę, zależy na żywej i zdrowej zdobyczy.

- Wiem! Ale wszystko i tak sprowadza się do kwestii, co mam zrobić? Rozumiem, że nie chcesz, bym się narażała, ale...

- Tak prawdę mówiąc, to wolałbym, byś zeszła zaraz z tego drzewa i oddaliła się na bezpieczną odległość na wypadek, gdyby ten ktoś zjawił się by opróżnić pułapkę. Nie wiem, co to może być za człowiek. Nie wiem, jak daleko jest gotów się posunąć, by wyeliminować świadków. Niestety, obawiam się, że i tak mnie nie posłuchasz.

- To uzasadniona obawa - powiedziała Stephanie i mimowolnie się uśmiechnęła.

- Skoro tak, może przynajmniej wycofasz się trochę dalej i będziesz miała stamtąd oko na sytuację. Jeśli ktoś przyleci, spróbuj przyjrzeć się wozowi. Może zdołasz go później rozpoznać. Na razie poszukaj sobie dobrego punktu obserwacyjnego i poczekaj w nim na Franka i Ainsley. Ja też niebawem wystartuję i polecę do ciebie.

## ROZDZIAŁ XXVII

Stephanie siedziała na konarze dębu z kolanami pod brodą i plecami opartymi o pień drzewa. Ogólnie rzecz biorąc, nie wyglądała na szczęśliwą.

W głębi ducha skłonna była przyznać rację Scottowi, ale nie mogła po prostu odejść od tej klatki, w której leżał zamknięty jeden z jej przyjaciół. Była prawie pewna, że spotkała tego treecata podczas przygody z hexapumą i była mu coś winna. Co więcej, należał do jej rodziny i bezczynne czekanie było w tej sytuacji prawdziwą torturą.

Stojący obok Lionheart poruszył się lekko i Steph westchnęła głęboko. Wyprostowała nogi i zrobiła treecatowi miejsce. Ułożył się na jej kolanach, ona zaś oparła brodę na jego głowie i mocno przytuliła przyjaciela.

\*\*\*

Wspinający się Szybko zamruczał z nosem przysuniętym do obojczyka swego dwunoga. Wyczuwał obawę i frustrację przyjaciółki. Wcześniej słuchał, jak rozmawiała ze swoimi rodzicami i Wrogiem Mroku, i chociaż nie rozumiał znaczenia konkretnych dźwięków, domyślił się, że przyjaciel Uderzającego Szybko przybędzie na pomoc. I że nie będzie sam, co udało mu się wywnioskować z blasku umysłu Postrachu Zabójczego Kła. To dawało nadzieję, chociaż nie umniejszało frustracji wywołanej biernym oczekiwaniem.

*Przynajmniej wiemy teraz, co się stało z zaginionymi - powiedział Złamany Kiel, siadając obok i spoglądając na dalszą część konaru, gdzie kilkanaście samic próbowało pocieszać Wodną Tancerkę.*

*A z pomocą Wroga Mroku i jego przyjaciół w mundurach uda nam się ich pewnie uratować - dodał Wspinający się Szybko.*

*O ile zdołają ustalić, kto jest tym złym dwunogiem - stwierdził Krótki Ogon. - Bo z tym może być różnie. Kto wie, czy złoczyńca nie jest podobny do sprawcy nieszczęścia Klanu Jasnego Serca. Może być gotów do zabicia jeńców i pozbycia się ich ciał, gdyby groziło mu schwytanie. Dwunogi mają ślepe umysły i nie potrafią znaleźć winnego, wejrzawszy w jego myśli. Może dlatego tylu z nich dopuszcza się różnych występków. W odróżnieniu od nas nie znają nawzajem swoich prawdziwych uczuć. Dlatego tak bardzo potrzebują dowodów, gdy chcą wykryć zło. I dlatego los naszych braci jest niepewny...*

Starał się mówić cicho, żeby Wodna Tancerka go nie usłyszała. Niestety, mógł mieć

rację.

*Ale nawet gdyby tak się stało, teraz mamy wreszcie szansę dowiedzieć się, kto to jest - powiedział Wspinający się Szybko.*

*Owszem - zgodził się Złamany Kieł. - Swoją drogą, jeśli uratujemy Splatającego Gałęzie, Wodna Tancerka będzie potem miała do słuchania!*

*Mam nadzieję, że Splatający Gałęzie okaże się dość rozsądny i nie będzie się wygłupiał - odparł Wspinający się Szybko. - Możesz mi nie wierzyć, ale będąc bratem śpiewającej wspomnienia i blisko związanym z moim dwunogiem, przekonałem się nieraz, że nic dobrego nie przychodzi z próby tłumaczenia samicy, co powinna czy czego nie powinna robić. A jeśli Splatający Gałęzie popisze się głupotą i jednak spróbuje, dostanie tylko wizję siebie, leżącego bezwładnie w klatce.*

Obu im ta perspektywa wydała się dość zabawna. Wodna Tancerka nie chciała, by jej partner wypuszczał się nigdzie dalej samotnie, skoro tylu łowców i zwiadowców zniknęło ostatnio w dziwnych okolicznościach. On jednak był na tyle pewny swoich umiejętności, że lekceważył ostrzeżenia i powtarzał, że tym bardziej nie może obecnie marnować czyjegoś czasu, nalegając na wyprawy we dwójkę. A gdy zagroziła, że sama ruszy jego śladem, zaczął jej przypominać, że mowy nie ma, bo przecież dopiero co zaczęła odstawiać kocięta od piersi. A gdyby jednak trafił na coś groźnego, lepiej by nie utraciły obojga rodziców.

Wspinający się Szybko uważał, że każdy samiec powinien przyjąć jak najszybciej do wiadomości, że wygłaszanie podobnych tekstów jest bez sensu. Zwłaszcza gdy jest się w związku. Splatający Gałęzie chyba nie pojmował, że w ten sposób zwiększy tylko determinację Wodnej Tancerki. I tak też się stało. Poprosiła jedną ze starszych samic o popilnowanie kociąt i poszła w ślad za swoim partnerem.

Trudno było powiedzieć, jakim sposobem uniknęła wykrycia, nie tracąc jednocześnie Splatającego Gałęzie z pola widzenia, ale jakoś jej się udało. I dzięki temu klan dowiedział się o zdarzeniu, a Postrach Zabójczego Kła i Wróg Mroku mogli zacząć działać. Gdyby tak jeszcze...

Nagle złowił jakiś dźwięk i nastawił uszu. Szybko rozpoznał, czyje latające urządzenie wydaje taki odgłos, i z jego gardła wyrwało się głębokie warczenie.

\*\*\*

Lionheart uniósł gwałtownie głowę i Steph wyczuła w jego zachowaniu coś nowego. Wyraźnie nastawiał uszu, chociaż na razie trudno było powiedzieć, co mógł usłyszeć. Stephanie rozpoznawała tylko szum wiatru w koronach drzew i odległe nawoływania typowych dla Sphinksa stworzeń latających. W końcu jednak i do niej coś dotarło.

Na Scotta i rangerów za wcześnie, pomyślała i pobladła gwałtownie. A skoro to nie oni...

Spojrzała na nieprzytomnego treecata i zrobiło się jej zimno. Oczywiście. Ktokolwiek zastawił pułapkę, musiał wyposażyć ją w jakiś sygnalizator informujący, że klatka jest pełna. Nie można było zostawić jej tak zbyt długo, nie ryzykując, że inny treecat na nią trafi i cały klan się dowie, co się stało z zaginionymi. Co znaczyło, że porywacz może w każdej chwili uruchomić antygravitator klatki, zabierając jedyny dowód swej działalności. Oraz jeszcze jednego członka klanu.

Stephanie zacisnęła zęby. Nie, nie tym razem. Nie ma mowy, by jeszcze jeden z jej treecatów trafił do niewoli. Tylko co...?

- Daj mi swoją sieć! - powiedziała do Lionhearta, wskazując na sieć transportową, którą nosił owiniętą wokoło tułowia. - Wszyscy dajcie mi swoje sieci!

Lionheart spojrzał na nią zaskoczony i przez chwilę wydawało się, że nie zrozumiał prośby, ale Steph zaraz pojęła, że wszystko świetnie skojarzył, ale nie chciał, by sama podejmowała ryzyko.

- Dajcie sieci! - powtórzyła zdecydowanie, wysuwając obie ręce i wykonując dłońmi takie gesty, jakby chciała coś w nie złapać. Lionheart zastanawiał się jeszcze przez chwilę, ale potem ruszył się i odplątał sieć.

Podał ją Stephanie i zaraz potem oba towarzyszące im treecaty poszły w jego ślady. Stephanie wzięła mocne plecionki i podkręciła antygravitator, zmniejszając swoją wagę do kilku kilogramów, po czym ruszyła wzdłuż konaru.

\*\*\*

Wspinający się Szybko patrzył, jak Postrach Zabójczego Kła zbliża się do więzienia Splatającego Gałęzie, i mimo strachu puchł z dumy.

Bał się, że Postrach Zabójczego Kła także może stracić przytomność, gdy dotrze do klatki, a gdyby tak się zdarzyło, nikt z Ludu nie byłby w stanie jej pomóc, nie ryzykując podobnego losu. Na dodatek mimo magicznego urządzenia Postrach Zabójczego Kła i tak spadłaby pewnie wówczas z drzewa. To, co by się z nią stało, byłoby o wiele gorsze od tamtego upadku pamiętnego dnia.

Jednak obawy były o wiele słabsze niż poczucie Wspinającego się Szybko, że jego młody dwunóg da sobie radę nawet w tak trudnej sytuacji. Równie dobrze, a nawet pewnie lepiej niż on wiedziała, co jej grozi, a mimo to nie zawahała się. W jej blasku umysłu wyczuwało się twarde postanowienie, by ochronić Splatającego Gałęzie i wszystkich innych z Klanu Jasnej Wody niezależnie od ceny, jaką przyszłoby jej za to zapłacić.

Wspinający się Szybko pomyślał, że chociaż wśród dwunogów nie brakuje istot złej woli, to jednak są między nimi także przyjaciele, na których można polegać.

\*\*\*

Stephanie opadła na kolana tuż obok klatki.

Czujnik pułapki wykrył jej obecność i dysza podajnika gazu obróciła się w kierunku intruza. Dał się słyszeć cichy syk, ale Stephanie niczego nie poczuła. Na nią to chyba nie działało, w każdym razie nie od razu. Przesunęła pierwszą sieć przez pręty klatki.

Była dość długa, by objąć aż dwa, i zostało dość splotu, by owinąć go wokół bocznej gałęzi i zawiązać jeszcze, mocny węzeł. Potem Steph powtórzyła manewr po przeciwnej stronie klatki z drugą siecią. Trzecia objęła tylko jeden pręt, została za to zawiązana wokół głównego konaru. Zacisnąwszy ostatni węzeł, Stephanie wróciła czym prędzej do Lionhearta i jego przyjaciół.

Najchętniej zostałyby na miejscu, dodatkowo obciążając klatkę własną osobą, ale obawiała się, że prócz czujnika ruchu pułapka może być wyposażona także w czujnik podczerwieni, który zdradziłby jej obecność w razie próby sprawdzenia, dlaczego urządzenie nie chce się unieść.

Nie wiedziała, co mógłby zrobić właściciel pułapki, odkrywszy na miejscu inną istotę ludzką, ale skłonna była przypuszczać, że i tak podjąłby próbę usunięcia dowodu przestępstwa. Zwłaszcza jeśli był bardzo przewidujący i zamocował na pułapce ładunek wybuchowy, pozwalający na jej zdalne zniszczenie. Dla znajdującego się obok człowieka mogłoby to mieć opłakane skutki.

Nie chciała, by porywacz zabrał nieprzytomnego treecata. Była pewna, że trzy mocno zawiązane sieci wystarczą, by klatka pozostała na miejscu. Wbudowany w nią moduł antygravitacyjny musiał być mały, zatem o niewielkiej raczej mocy. Jak długo porywacz nie zejdzie na dół, nie zdoła odzyskać pułapki. A jeśli spróbuje to zrobić...

\*\*\*

Postrach Zabójczego Kła zeskoczyła z konaru na jedną z górnych gałęzi drzewa sieciowego i wyciągnął zza pasa głos gromu. Widząc to, Wspinający się Szybko położył uszy po sobie. Wcześniej z przyjemnością, chociaż z należytej odległości, kibicował treningom, które tak cieszyły jego dwunoga. Wyczuwał, że Postrach naprawdę dobrze się przy tym bawiła, zwłaszcza że nauka szła jej jak po maśle. I świetnie, że zabierała potem głos gromu, ile razy wybierała się w odwiedziny do Klanu Jasnej Wody. Nie był pewien, czy jeden huk wystarczyłby do zabicia zabójczego kła, ale na pewno można było tym skutecznie odpędzić napastnika. I tak było dobrze. Wspinający się Szybko wolałby nie spotkać się z żadnym

więcej zabójczym kłębem, nawet gdyby klan znowu pospieszył im z pomocą.

Jednak teraz daleko było mu do poczucia ulgi. Wiedział, co działo się w umyśle Postrachu Zabójczego Kłębem, gdy szukała sobie miejsca dającego dobry widok zarówno na klatkę, jak i na poszycie lasu bezpośrednio pod nią. Jego przyjaciółka zmagająca się z przerażeniem. Nie chodziło o strach przed tym, kto mógł znajdować się w latającym urządzeniu, ale przed tym, co być może trzeba będzie niebawem zrobić. Z drugiej strony nie miała wątpliwości, że w razie czego użyje broni dla obrony własnej i Ludu. Wspinający się Szybko był tego pewien tak samo jak tego, że co dnia wszędzie słońce na wschodzie. Ale wiedział też, że jego przyjaciółka wolałaby jakoś inaczej pokrzyżować plany złooczyńcy.

\*\*\*

Stephanie ułożyła się płasko na gałęzi i oparła ręce na łokciach, ściskając jednocześnie ciężki pistolet w obu dłoniach. Dokładnie tak, jak uczyli ją Frank i Karl. Znajdowała się na tyle daleko od klatki, by większość cywilnych czujników podczuwieni nie wykryła jej obecności, zwłaszcza przy tak gęstym listowiu. Sama jednak miała czyste pole ostrzału i była w naprawdę dobrym miejscu, chociaż chwilowo nie umiała się z tego cieszyć. Serce waliło jej chyba mocniej niż podczas wszystkich poprzednich przygód i czuła dziwną suchość w ustach.

\*\*\*

Tennessee Bolgeo zawisł wozem na wysokości około trzydziestu metrów nad wierzchołkami najwyższych drzew i otworzył okno, by sprawdzić, czy na pewno nie da się zejść niżej, ale gałęzie skutecznie blokowały drogę.

Zerknął na wyświetlacz, na którym pulsował symbol transpondera pułapki, i upewnił się, że jest dość blisko, by bez trudu przechwycić klatkę, gdy wyrwie się ona ponad ocean zieleni. Zaraz potem uruchomił zdalnie jej moduł antygravitacyjny.

\*\*\*

Stephanie wstrzymała oddech, gdy klatka nagle drgnęła i szarpnęła się, napinając sieci. Uniosła się może centymetr ponad konar, po czym zatrzymała, chwiejąc się lekko. Nie była w stanie się wyrwać. Stephanie uśmiechnęła się lekko, wyobrażając sobie reakcję jej właściciela.

\*\*\*

Bolgeo zaklął pod nosem.

Pułapka powinna być już na górze. Sygnalizator nie informował o awarii modułu antygravitacyjnego, zatem całość powinna wyskoczyć ponad korony drzew niczym korek z butelki szampana. Niczego jednak nie było widać, a obraz na ekranie sugerował, że pułapka w ogóle się nie poruszyła.



Musiała uwięznąć między konarami. To był największy minus podobnych urządzeń, zwłaszcza w tak gęstym lesie. Jak dotąd miał szczęście i odzyskał wszystkie pułapki bez kłopotów, ale w końcu musiały się trafić jakieś komplikacje. Trzeba będzie zejść na dół i spróbować ją wypłatać.

W pierwszej chwili pomyślał, by odlecieć i wrócić w nocy, gdy będzie zbierał także inne pełne pułapki. Treecaty powinny być na tyle przerażone tajemniczymi zniknięciami, by nie kręcić się za bardzo po okolicy. Jeśli zaś mimo wszystko jakieś były w pobliżu, na pewno usłyszały już jego wóz. Jeśli przyjdą zbadać sprawę, trafią najpewniej na klatkę. Nie należało raczej oczekiwać, że zdołają podzielić się jakoś nowiną ze znanymi im ludźmi, jak ci zdziwaczali Harringtonowie, ale istniało ryzyko, że zaczną bardziej uważać i skończą się dobre czasy. Z drugiej strony...

Wyjął ręczny skaner podczerwieni i usiłował stwierdzić, czy cokolwiek kryje się na dole, ale gęste listowie okazało się nieprzeniknione, co stawiało Bolgeo w niekorzystnym położeniu. W najgorszym razie w pobliżu klatki mógł czaić się nawet tuzin treecatów. Z tego, co się o nich dowiedział, były bardzo czułe na punkcie dbania o swoich. No i na tyle groźne, że lepiej byłoby z nimi za bardzo nie zadzierać. Hexapumę załatwiły na perłowo, a to nie każdy potrafi.

Niemniej kombinezon ochronny był całkiem solidny. Został zaprojektowany z myślą o ochronie przed różnymi formami lokalnego życia i stworzenie wielkości treecata nie powinno naruszyć powłoki. Poza tym, jeśli wierzyć opowieściom, do powalenia hexapumy trzeba było całego tłumu tych bydła.

Bolgeo wahał się jeszcze chwilę. Ostatecznie westchnął i pokręcił głową.

Jeśli marzy ci się wielki szmal, to musisz się postarać, powiedział sobie w duchu. Do roboty.

Skierował wóz w stronę brzegu rzeki, gdzie lądował już wcześniej podczas rozstawiania pułapek.

\*\*\*

Klatka przestała się szarpać i opadła z powrotem na konar. Widać generator wyczerpał dostępny zapas mocy. Był to optymistyczny akcent, a jeszcze ciekawiej zrobiło się, gdy wóz zawrócił i z wolna odleciał.

Stephanie doszła już do wniosku, że złoczyńca chwilowo skapitulował, i chciała nawet schować pistolet do kabury, gdy do jej uszu dobiegł narastający wizg lądującego pojazdu.

Przymknęła oczy i nasłuchiwała, usiłując stwierdzić, gdzie zamierza przyziemić. Wszystko sugerowało, że wybrał miejsce przy rzece, która zaopatrywała cały klan w świeżą

wodę. Tylko tam drzewa nie tworzyły zwartego dywanu i dobry pilot mógł wprowadzić wóz pod korony palikowców. A to znaczyło...

Sięgnęła po komunikator, ale zamarła w pół gestu. Scott i reszta i tak byli już w drodze i gnali, jak tylko mogli. Cokolwiek im powie, ani o sekundę nie przyspieszy ich przybycia, stworzy im za to okazję do palnięcia jej całej przemowy na temat małych dziewczynek próbujących zasadać się na kłusowników. Poniekąd mieliby nawet rację, ale właśnie dlatego nie należało ryzykować, że to powiedzą.

Stephanie usiadła i rozejrzała się wkoło. Jeśli pojazd wylądował nad rzeką, kłusownik powinien nadejść z... tamtej strony, uznała. Pewnie przystanie u podstawy tego drzewa, a potem włączy własny generator antygravitacyjny, by dostać się do pułapki. Skoro tak, wystartuje z... tamtego miejsca. Albo i wystartują, bo nikt nie powiedział, że jest tylko jeden.

Nigdy dotąd nie próbowała strzelać z zawisu, ale przypuszczała, że może to być trochę trudne. O gorszej celności nie wspominając. Najlepiej będzie więc złapać jego lub ich wysoko nad ziemią, ale gdy będą jeszcze daleko od korony dębu. W takim miejscu, gdzie nie będzie się czego złapać. To powinno zapewnić jej przewagę.

Poza tym, gdy mnie zobaczą, pewnie nie uwierzą, że taka „mała dziewczynka” może pociągnąć za spust, pomyślała. Zignorują mnie raczej albo będą próbowali pochwycić przekonani, że zastygnę z przerażenia.

Przypomniała sobie coś, co powiedziała jej podczas szkolenia Ainsley Jedrusinski. Zrobiła to bardzo spokojnym głosem, ale z mocno poważnym wyrazem twarzy.

- Nigdy nie wyciągaj broni, jeśli nie zamierzasz jej użyć, Stephanie. Nigdy nie celuj do drugiego człowieka, jeżeli nie jesteś pewna, czy strzelisz. Nigdy nie strzelaj, jeśli nie jesteś gotowa zabić.

Stephanie spojrzała wtedy na nią z zaskoczeniem, a siedzący na ramieniu Lionheart aż zdrętwiał, ale Ainsley całkiem serio pokiwała głową.

- Celując do kogoś, podnosisz stawkę. Ktokolwiek to jest, ma prawo założyć, że pociągniesz za spust. Jeśli się wycofa, to dobrze. Ale nie musi tego zrobić. Niektórzy będą woleli walczyć. Jeśli ma broń, wtedy zapewne jej użyje. Jeśli nie ma, spróbuje zabrać ją tobie. Jeśli do tego dojdzie, użyje jej przeciwko twojej osobie. Nigdy nie oczekuj, że zwykle wymachiwanie bronią zdziała cuda i zmusisz w ten sposób kogoś do posłuchu. Pamiętaj, że nie ma co wyciągać broni, jeśli nie jest się absolutnie pewnym, że warto ryzykować. Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości, czy zabicie tamtego kogoś będzie zasadne, to znaczy, że nie powinnaś tego robić. Nie da się cofnąć pocisku, a biorąc pod uwagę, jaki kaliber ma twój pistolet, jeśli kogoś trafisz, to najpewniej go zabijesz. Nawet jeśli nie będziesz tego chciała.

Zawsze zatem dobrze się zastanów. Jeśli postanowisz już użyć broni, to celuj dobrze i strzelaj, gdy będzie trzeba, od razu tak, by zabić. Nie aby zranić, jak w tanich holoserialach. Masz zabić. To lepsze, niż samej narażać się na śmierć albo ryzykować jeszcze czyjeś życie. Broń wyciąga się po to, by zneutralizować jakieś zagrożenie, a wtedy powinnaś jak najsprawniej wykonać to zadanie. A najszybciej uporasz się z tym, strzelając tak, by zabić przeciwnika. I jeśli wtedy trafisz, przynajmniej nie będziesz miała nigdy wyrzutów sumienia, że zabiłaś kogoś przypadkiem.

Stephanie pomyślała wtedy, że Ainsley chciała zniechęcić ją do pomysłu strzelania do kogokolwiek. Teraz jednak zrozumiała, że wyłożyła jej szczerą prawdę o konsekwencjach sięgnięcia po broń. Jak prawdziwa przyjaciółka chciała przygotować Stephanie na chwilę, gdyby jednak musiało do tego dojść. Oszczędzając jej nieuniknionego w takiej sytuacji szoku związanego z samodzielnym odkryciem pewnych spraw.

Mam nadzieję, że to jeszcze nie teraz, pomyślała Stephanie, wchodząc na gałąź wyżej i przesuając się trochę dalej, w nieco lepsze miejsce. Mam taką nadzieję. Ale jeśli jednak, będę pamiętać twoje słowa, Ainsley.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Tennessee Bolgeo wbił się wreszcie w niewygodny kombinezon i sprawdził zapięcia. Potem włączył wyświetlacz na przesłonie hełmu i zadowolony pokiwał głową. Wszystko działało jak należy. Miał zapas powietrza na czternaście godzin, co było aż za wiele na jego potrzeby, skoro znajdował się ledwie kilkaset metrów od pułapki.

Wziął strzelbę ogłuszającą i sprawdził magazynek, który zawierał czterdzieści strzałek. Każda była zdolna pozbawić treecata przytomności, a przy pasie miał jeszcze dwa zapasowe magazynki. Broń można było ustawiać na pojedyncze strzały albo ogień seryjny. Nie oczekiwał, by była mu potrzebna, ale wolał wziąć ją na wszelki wypadek, chociaż sam kombinezon powinien wystarczyć.

Spojrzał na ekran GPS, który pokazywał położenie transpondera pułapki, i ruszył przez miękki dywan martwych liści.

\*\*\*

*To Mówiący Fałszywie!* - powiedział nagle Wspinający się Szybko, rozpoznając blask umysłu nadchodzącego dwunoga, i zaraz się zastanowił, dlaczego właściwie czuje się zaskoczony. Emocje Mówiącego Fałszywie od samego początku nie zostawiały żadnych złudzeń na temat jego podejścia do Ludu.

*I co teraz zrobimy?* - spytał Złamany Kieł. W pobliżu znajdowało się już z pięć dłoni zwiadowców i myśliwych przybyłych na ratunek Splatającemu Gałęzie. Wszyscy siedzieli cicho na drzewach, śledząc coraz bliższy blask umysłu, i byli coraz bardziej wściekli.

Wspinający się Szybko zerknął na Złamanego Kła, rozbawiony sytuacją, że starszy, który był tak bardzo przeciwny zacieśnieniu kontaktów z dwunogami, właśnie jego pytał teraz, co czynić. Ale rozbawienie szybko przeszło i Wspinający się Szybko spojrzał na Postrach Zabójczego Kła.

Jego przyjaciółka leżała na gałęzi w dokładnie takiej pozycji, jaką pokazywali jej nauczyciele. Bez dwóch zdań gotowa na to, co miało nastąpić.

*Nie jestem pewien* - odparł Wspinający się Szybko. - *Postrach Zabójczego Kła ma pewien pomysł i chyba nie powinniśmy jej przeszkadzać czy rozpraszać w kluczowym momencie.*

*Ale ona jest młoda. Nie powinniśmy zrzucić takiej odpowiedzialności na jej barki.*

Wspinający się Szybko wyczuł szczerą Złamanego Kła i podziękował mu ciepło.

*Jest młoda, ale duchem dorosła. To prawda, że obrona klanu nie powinna spoczywać na jej barkach, ale sama wybrała to zadanie. Możemy tylko czekać, co z tego wyniknie.*

\*\*\*

Bolgeo brnął przez pokryty grubą warstwą opadłych liści teren na skraju lasu. Było to równie trudne jak brodzenie w bagnie. Górna warstwa liści była sucha, ale te pod spodem pozostały wilgotne, wręcz spleśniałe. Musiało ich tu leżeć ze czterdzieści centymetrów i przypominały mulcz. Stopy zapadały w nim głęboko i trudno było iść.

Tyle że nie miał daleko. Wprawdzie każdy palikowiec wyglądał dla niego tak samo i Bolgeo był przekonany, że nawet miejscowi muszą gubić się w podobnym gąszczu, ale GPS prowadził go prosto do celu znajdującego się na gałęzi wielkiego dębu.

Odlawianie tych bydlaków to nie zabawa, pomyślał. Następnym razem wyśle chłopaków i niech się męczą.

\*\*\*

*Wspinający się Szybko!* - zawołał nagle Krótki Ogon. - *Czy wyczuwasz to samo co ja?*

Starszy zwiadowca stał prosto i spoglądał w leśny gąszcz, ale w całkiem innym kierunku niż ten, z którego nadchodził dwunóg. Wspinający się Szybko nastawił z zaciekawieniem uszy i poszedł w jego ślady.

*Tak!* - rzucił i także wstał.

*Czy myślisz o tym samym co ja?* - spytał Krótki Ogon i młodszy zwiadowca przytaknął.

*O tak!* - odparł ze złośliwą przyjemnością. - *I jestem za!*

\*\*\*

Stephanie zauważyła kątem oka, że Lionheart i jego towarzysze zeskoczyli nagle niżej i biegną gdzieś po gałęziach palikowca. Przez chwilę myślała, że uciekają, ale to przecież było niemożliwe. Poza tym wszyscy poruszali się zdecydowanie, jakby mieli coś pilnego do zrobienia. Oby to było coś mogącego pomóc w tej sytuacji, pomyślała z nadzieją Steph.

Nie ruszała się jednak na wypadek, gdyby pomysł treecatów nie wypalił.

\*\*\*

To był bardzo młody zabójczy kieł.

Starszy i mądrzejszy osobnik szybko wyczułby, że wchodzi na teren klanu, i skierowałby się gdzie indziej. Zapewne bardzo szybkim krokiem.

Ten jednak dopiero co wszedł w dorosłość i to była pierwsza ciepła pora, gdy chodził samodzielnie po lasach, trudno więc było się dziwić, że brakło mu doświadczenia. Tak po

prawdzie, to młode zabójcze kły pojawiały się w tej okolicy dość często. Lud zwykł zakładać swoje siedziby w pobliżu rzek, a drapieżniki potrzebowały wody tak samo jak wszystkie inne stworzenia. Co jakiś czas zdarzało się więc, że któryś zbłądził na niebezpieczny dla siebie teren.

Lud wołał je wówczas przeganiać, niż osaczać. Walka z zabójczym kłem zawsze była ryzykowna i mogła zakończyć się śmiercią lub okaleczeniem myśliwych. Poza tym lepiej było nauczyć takiego ignoranta moresu, by zaczął bać się Ludu i przez resztę życia omijał go szerokim łukiem. Niektóre z takich bestii mogły nawet nauczyć młode, że od pewnych zapachów lepiej trzymać się z daleka.

Wspinający się Szybko i jego towarzysze spojrzeli z góry na zabójczego kła, który maszerował przed siebie tak beztrosko, jakby spacerował po własnym podwórku.

*To bardzo młody osobnik - powiedział Krótki Ogon.*

*Tak - zgodził się Wspinający się Szybko. - Ale wyrośnięty.*

Krótki Ogon przytaknął milcząco. Mimo młodego wieku bestia była tylko o jedną trzecią mniejsza niż tamten zabójczy kiel, który zaatakował dwunoga Wspinającego się Szybko. Nic dziwnego, że niczym się nie przejmowała. Była wielka, silna i groźna... i nie wiedziała jeszcze, że są na tym świecie stworzenia, których powinna się bać.

*Wiem, że wszyscy mamy powód, by darzyć Mówiącego Falszywie nienawiścią - powiedział Złamany Kiel. - Ale czy na pewno tego chcemy? - Wspinający się Szybko i Krótki Ogon spojrzeli na niego ze zdumieniem i starszy klanu strzelił ogonem. - Chcę tylko zauważyć, że jak dotąd Splatający Gałęzie nie odniósł żadnych obrażeń. Biorąc pod uwagę, jak został złapany, możemy chyba wierzyć, że pozostali zaginieni też są w dobrym stanie. A skoro teraz wiemy, kto jest odpowiedzialny za porwania, sądzę, że nasi dwunodzy przyjaciele będą w stanie ich uwolnić. Jeśli zaś zrobimy, co zamierzamy, Mówiący Falszywie najpewniej zginie. Czy na pewno tego chcemy? A co jeszcze ważniejsze, nie wiemy, jak pozostali obcy zareagują, gdy dowiedzą się, co zrobiliśmy.*

Wspinający się Szybko i Krótki Ogon wymienili spojrzenia. Rozum nakazywał im uznać argumenty Złamanego Kła. Lud nigdy nie zabijał dla przyjemności i w ogóle starał się nie pozbawiać życia, o ile nie było to naprawdę konieczne. Prawdziwych wrogów dzielił jednak tylko na dwie kategorie: rzetelnie obsłużonych i tych, którymi dopiero należało się zająć.

*Jeśli Mówiącemu Falszywie zdarzy się... wypadek na naszym terenie, sam sobie będzie winien - powiedział Wspinający się Szybko, wyczuwając aprobatę ze strony Krótkiego Ogona. - Poza tym bez wątplenia ma jedno z tych latających urzędów dwunogów i jeśli*

*wykaże się reflekssem, zdoła uciec, zanim cokolwiek mu się stanie. A jeśli nie...*

Zastrzygł niewinnie uszami, a kilku innych zwiadowców i myśliwych bleeknęło z rozbawieniem.

*W zasadzie nie mam nic przeciwko - powiedział Złamany Kieł. - Ale jako starszy klanu musiałem zadać to pytanie. A skoro już na nie odpowiedzieliście, to jak to przeprowadzimy?*

\*\*\*

Bolgeo przebył już dwie trzecie drogi, ale przystanął nagle, gdy zewnętrzny mikrofon jego skafandra wychwycił jakiś hałas.

Takiego odgłosu nigdy jeszcze nie słyszał. Wpatrzony w las usiłował bezskutecznie dopasować go do czegoś i sam nie wiedział, dlaczego nagle zrobiło mu się zimno.

Kakofonia warczenia, wycia i skowytów zdawała się rozbrzmiewać coraz bliżej, na dodatek jej źródło przemieszczało się chyba bardzo szybko. W pewnej chwili zrozumiał z zaskoczeniem, że to głosy treecatów. Bez wątpienia musiały zauważyć pułapkę i być może miały nawet coś wspólnego z awarią jej generatora antygravitacyjnego, chociaż nie pojmował, jak mogłyby podejść wystarczająco blisko, nie ulegając wcześniej działaniu gazu. Niemniej kierowały się teraz w jego stronę i nie były chyba pokojowo usposobione.

Tylko bez paniki! - powiedział sobie Bolgeo. Jeśli naprawdę są tak inteligentne, jak twierdzą ich obrońcy, znalazły po prostu sposób, by cię przestraszyć. Muszą rozumieć, że zabicie człowieka mocno by się na nich zemściło, nawet gdyby miały po temu dobry powód.

Bolgeo miał zapewne pecha, że Scott MacDallan i Służba Leśna nie zdecydowali się upowszechnić informacji o tym, iż treecat imieniem Fisher bez najmniejszego trudu rozdarł gardło niejkiej Mariel Ubel, winnej wielokrotnego morderstwa. Owszem, wcześniej MacDallan wpakował w nią dwie kule i obie te rany były śmiertelne, nie było więc powodu wspominać o roli odegranej przez treecata. Fisher jednak nie wiedział wtedy, że jego ofiara jest już praktycznie martwa, i gotów był wziąć na siebie odpowiedzialność za jej śmierć.

Chociaż możliwe, że nawet wiedząc o tym incydencie, Bolgeo i tak nie widziałby poważniejszych powodów do obaw. Ostatecznie miał na sobie skafander i wziął strzelbę z ładunkami usypiającymi. Im dłużej myślał o całej sytuacji, tym bardziej cieszył się, że treecaty nadchodzą z takim jazgotem. Gdyby po cichu zawiadomiły Harringtonów, Służba Leśna wszczęłaby pewnie śledztwo, co poważnie utrudniłoby dalsze odławianie. Jeśli jednak zamierzały napędzić mu stracha, atakując na otwartym terenie, przywita je jak należy. I kto wie, może dzięki temu naprawdę zdoła odlecieć z pięcioma czy sześcioma dziesiątkami tych bydląt.

Uśmiechnął się, zdjął strzelbę z ramienia i spojrział przez wyświetlacz celownika w stronę nadciągającej hałastry.

\*\*\*

Nagle zatrzymanie się kłusownika zaskoczyło Stephanie.

Nie mogąc wnikać w jego myśli, nadal nie wiedziała, kto kryje się pod szczelnym kombinezonem, chociaż Bolgeo był bez wątpienia jednym z kandydatów, no i nie rozumiała powodu, dla którego przystanął. Nie miała pojęcia, co takiego szykowała wesoła gromadka Lionhearta, chociaż nie miała wątpliwości, że to właśnie ona jest odpowiedzialna za tę kocią muzykę...

Nagle wszystkie myśli uleciały jej z głowy i przez chwilę tylko patrzyła na to, czego w ogóle się nie spodziewała.

\*\*\*

Tennessee oczekiwał treecatów.

Jednak z lasu wyłoniło się coś jakby trochę większego.

Bolgeo prawie zgubił zuchwę, ujrawszy gnającą w jego stronę wściekłą i przerażoną jednocześnie hexapumę. Mieszkaniec Sphinksa poznałby, że to młody i niezgrabny jeszcze trochę osobnik, a ktoś ze Służby Leśnej dodałby, iż drapieźnik stara się uciec gdzie pieprz rośnie (co oczywiście nie czyniło go mniej niebezpiecznym). Bolgeo nie wiedział tego wszystkiego i widział jedynie czarnego potwora, szarżującego w jego kierunku. Nie zauważył nawet biegnących po gałęziach powyżej treecatów ani licznych krwawiących ran na zadzie hexapumy.

Broń trzymał w gotowości. Przełączył ją szybko na ogień ciągły i zacisnął kurczowo palec na spuście.

Panika nie sprzyja jednak celności, tym samym pierwszy tuzin strzałek poleciał diabli wiedzą dokąd. Szybkostrzelność broni wynosiła czterysta pocisków na minutę i opróżnienie magazynka zajmowało sześć sekund. Końcówka serii była nawet celna, ale w sumie nie miało to większego znaczenia.

Ładunki mogły być groźne dla treecatów, które ważyły maksymalnie dziewięć kilogramów. Hexapuma ważyła 650 kilo i tych kilka ukłuc tylko bardziej ją rozwścieczyło. Nagle to nie ucieczka stała się dla niej najważniejsza, ale ten natręt, który zdołał jakoś sprawić jej dodatkowy ból. W obecnym nastroju gotowa była rozedrzeć na strzępy wszystko, co tylko zdołałaby dopaść. Z raniącymi ją dokuczliwie, ale zwinnymi treecatami nie miała szans, jednak dwunogie stworzenie było większe i wyraźnie wolniejsze. Tak i natychmiast znalazło się na czele listy obiektów do wybebeszenia.



Bolgeo wrzasnął z przerażenia, widząc, że ciągle przytomna hexapuma zamierza się na niego rzucić. W panice cisnął w nią strzelbą, po czym rzucił się do ucieczki, uderzając jednocześnie dłonią w kontrolki plecowego generatora antygravitacji.

Przypadek sprawił, że strzelba trafiła bestię dokładnie w otwartą paszczę i dość głęboko w niej utkwiała, utrudniając stworzeniu oddech. Hexapuma potrząsnęła łbem i zwolniła trochę, ale się nie zatrzymała. Bolgeo zdołał wznieść się na jakiś metr, gdy uzbrojona w pazury łapa przejechała mu prawie po plecach, zahaczając o moduł antygravitacyjny.

Urządzenie osłoniło go, nie zostało jednak zaprojektowane jako pancerz chroniący przed atakiem hexapumy. Błyskawicznie odmówiło posłuszeństwa, a siła uderzenia cisnęła Bolgeo w kierunku pobliskiego drzewa. Machając bezsilnie rękami, wyrznął głową w pień palikowca.

Osunął się po nim na ziemię. Mimo hełmu był półprzytomny i ocaliło go tylko to, że bestia przystanęła w końcu i zajęła się wydłubywaniem strzelby spomiędzy zębów.

\*\*\*

Stephanie patrzyła z niedowierzaniem na to, co działo się w dole.

Kaszłaca, krztusząca się i plująca hexapuma walczyła ze strzelbą, używając wszystkich czterech przednich łap. Było oczywiste, że w końcu się jej pozbędzie, a wtedy...

To, że zjawiała się akurat teraz, było naprawdę szczęśliwym zrzędzeniem losu, chociaż cała reszta nie zdarzyła się już raczej tak przypadkowo. Jak zbłądziła w tę okolicę, to była jej sprawa, ale dlaczego wypadła prosto na kłusownika, nie stanowiło żadnej zagadki. Oblepione treecatami palikowce czyniły sprawę oczywistą.

Stephanie pomyślała przelotnie, że niepotrzebnie szykowała się do obrony przyjaciół. Sami sobie poradzili, chociaż po prawdzie tylko dlatego, że wyczuli w okolicy zbłąkaną hexapumę. Tak czy tak, zdołali rozwiązać problem.

Po chwili Steph doszła do wniosku, że to jednak nie koniec kłopotów. Lada chwila potwór zacznie wrywać kłusownikowi rączki, by potem zabrać się do nówek. I w zasadzie będzie miał rację, ale nawet w obecnym bojowym nastroju Stephanie wolałaby nie oglądać śmierci człowieka. Zwłaszcza takiej, jakiej sama nie tak dawno ledwie uniknęła. I to, że nie cierpiała serdecznie sprawcy porwań jej przyjaciół, nie miało w tym przypadku większego znaczenia.

Może to dziwne, ale nigdy, ani wtedy, ani potem, nie przeszło jej nawet przez głowę, by obwiniać treecaty o zgotowanie kłusownikowi paskudnego losu. Była przekonana, że miały prawo do takiej obrony. Niemniej wypruwanie, czyichś flaków nie stanowiło zwykle

miłego widoku. Nawet jeśli ten ktoś wytrwale prosił się o kłopoty.

Z drugiej strony...

\*\*\*

Tennessee Bolgeo potrząsnął głową i spróbował skupić wzrok, ale oczy nie chciały czemuś współpracować. Dojrzał jednak, jak hexapuma rzuca gwałtownie łeb i pozbywa się wreszcie strzelby z pyska. Mocno sponiewierana broń odleciała gdzieś daleko na bok.

Szorując siedzeniem po liściach, Bolgeo zaczął się cofać, co tylko przyciągnęło uwagę kaszlącej jeszcze i łapiącej powietrze hexapumy. Bestia przechyliła łeb i przyjrzała mu się w taki sposób, w jaki głodny rudzik może witać pierwszą wiosenną dżdżownicę.

Potem otworzyła znowu paszczę i warknęła złowróźnie.

Bolgeo sięgnął gorączkowo do pasa, próbując wymacać nóż. Nie chciał sprzedawać swojego życia tak całkiem za bezcen. Ale noża nie było, musiał wypaść przy uderzeniu o pień.

Hexapuma przyczaiła się do skoku i Bolgeo zacisnął powieki. Nie miał już żadnych szans...

KRAAAK!

Strzał rozbrzmiał echem po lesie i hexapuma jęknęła boleśnie. Bolgeo otworzył oczy i ujrzał potwora stojącego na tylnych łapach i wyginającego się, by sięgnąć przednimi łapami do miejsca, które nagle zapulsowało upiornym pieczeniem.

KRAAAK!

Drugi strzał trafił w miejsce odległe o dwa centymetry od pierwszego. Tym razem wycie było jeszcze głośniejsze, ale zwierzę ciągle nie padało.

KRAAAK!

Trzeci strzał był wreszcie celny. Ważący 17,8 miligramów pocisk z wydrążonym czubkiem uderzył z prędkością 300 metrów na sekundę w kręgosłup hexapumy zaraz za obręczą barkową. Przy kalibrze 11 milimetrów miał dość energii by zgruchotać kość. Bestia jęknęła bełkotliwie i zwała się na ziemię.

Bolgeo patrzył z niedowierzaniem na drgające jeszcze cielsko. Zanim zrozumiał w pełni, że udało mu się jednak przeżyć, coś ciężkiego wylądowało mu na piersi.

Opuścił oczy i ujrzał znacznie mniejszą i jednoręką wersję hexapumy, która warczała wściekle, wpatrując się w przesłonę jego hełmu. Odruchowo uniósł rękę, by strącić treecata, ale zamiast tego zawył z bólu, gdy dwadzieścia ostrych jak igły pazurów przebiło się przez powłokę jego stroju.

Przelotnie odnotował, iż superwytrzymały kombinezon okazał się słabszy, niż

podawano w reklamach. Do bliższych obserwacji nie miał głowy, ponieważ dwa kolejne treecaty wylądowały nagle po obu jego bokach i owinęły się niemal wokół jego rąk. One też chyba nie oglądały reklam, ponieważ przebiły pazurami kombinezon i naruszyły poważnie znajdującą się pod spodem skórę. Bolgeo znowu zawył rozgłośnie.

Potem przestał liczyć futrzane demony. Całe ich dziesiątki zeskakiwały z drzew, zalewając go lawiną i przyciskając wspólnym ciężarem do ziemi. Próbował się oganiać, ale nic to nie dawało. Nagle dotarło do niego, że hexapuma nie jest wcale najgroźniejszym drapieżnikiem na Sphinksie.

## ROZDZIAŁ XXIX

Scott MacDallan poganiał jak szalony, ignorując bez reszty wszelkie zasady bezpieczeństwa, co jednak mało go wzruszało. Podobnie obojętne podejście do przepisów wykazywał siedzący obok Karl Zivonik, który przez większość lotu starał się zwiększyć prędkość pojazdu siłą woli.

Jak pokazywał wyświetlacz, służbowy wóz Franka Lethbridge'a i Ainsley Jedrusinski był jakiś kwadrans lotu za nimi i MacDallan nie miał zamiaru na nich czekać. Po prawdzie wołał zjawić się na miejscu przed Służbą Leśną czy jakimikolwiek innymi oficjalnymi czynnikami, które mogłyby przeszkodzić mu we właściwym potraktowaniu tej osoby, kimkolwiek ona była, która stworzyła zagrożenie dla treecatów i mogła skrzywdzić Stephanie Harrington. Frank i Ainsley będą mogli wkroczyć, gdy on skończy już swoje.

Przyziemił na skrawku otwartej przestrzeni nad brzegiem niewielkiej rzeki, która nie umywała się nawet do Thunder River. Nie było to najlepsze lądowanie, ale chwilowo nie zamierzał się tym przejmować. Kątem oka odnotował obecność cywilnej furgonetki, stojącej jakieś siedemdziesiąt metrów w dół rzeki.

- Gdzie ona jest? - spytał Karl, wyskakując z wozu i sięgając po swoją strzelbę.

MacDallan zerknął na wyświetlacz, na którym migotał punkt wskazujący położenie transpondera Stephanie, i szybko odnalazł właściwy kierunek w terenie.

- Tam! Jakież trzysta metrów stąd!

Karl bez słowa ruszył przed siebie. Był prawie tak wysoki jak jego ojciec i miał dłuższe nogi niż Scott. Był też od niego młodszy, zatem błyskawicznie zniknął w gąszczu. MacDallan zamarudził jeszcze chwilę, by wziąć własną broń, i pobiegł jego śladem.

Nim dotarł na miejsce, usłyszał podniesiony głos Karla. Serce ścisnęło mu się z przerażenia, ale chwilę potem pojął, że młody Zivonik nie krzyczał ze złości czy rozpacz. On się śmiał...

MacDallan nie rozumiał, co może być powodem tej naglej wesołości, przyspieszył więc kroku. I krótko potem zatrzymał się tak gwałtownie, że mało nie poślizgnął się na wilgotnych liściach.

Jego oczom ukazał się doktor Tennessee Bolgeo, siedzący w szczątkach jakiegoś stroju, który mógł być uniwersalnym kombinezonem ochronnym, jednak bez drobiazgowych

badan trudno byłoby to stwierdzić z całą pewnością. Z domniemanego kombinezonu niewiele bowiem zostało. Skóra pana Bolgeo też nie wyglądała najlepiej, co mogło wyjaśniać, dlaczego siedział skulony i starał się nie poruszać, zezując przy tym niespokojnie na dziesiątki bardzo nieszczęśliwych treecatów, tkwiących na gałęziach okolicznych drzew.

Niemniej wyjaśnienie mogło być równie dobrze znacznie prostsze, zważywszy na leżące bezwładnie jakieś dziesięć metrów dalej cielsko martwej hexapumy oraz czternastoletnią dziewczynkę siedzącą na gałęzi i trzymającą na kolanie pistolet o zdecydowanie dużym kalibrze.

- Stephanie! - zawołał MacDallan, odzyskując w końcu zdolność mowy.

- Cześć, Scott! I Karl! - odkrzyknęła Steph, odrywając na chwilę spojrzenie od Bolgeo i machając im wolną ręką. - Miło, że wpadliście. Czy bylibyście uprzejmi zająć się tym panem? Ledwie zdołałam uprosić kumpli Lionhearta, by go nie przerobili na szaszłyki.

\*\*\*

- To była z pewnością niezwykła przygoda - powiedziała doktor Sanura Hobbard, zerkając na obecnych przy stole.

Oprócz niej byli tam Shelton, MacDallan, Irina, Karl, Lethbridge i Jedrusinski, jak i sami gospodarze, którzy mieli szczęśliwie wielki salon ze słusznych rozmiarów stołem. Obecnie znajdowały się na nim już tylko resztki wystawnego obiadu, a wszyscy goście wyglądali na rozleniwionych.

- A była - zgodziła się Marjorie Harrington z lekką naganą w głosie. Zaraz też spojrzała surowo na córkę. - Byłoby świetnie, gdybyś na przyszłość poszukała sobie mniej niezwykłych rozrywek. Oboje z ojcem mielibyśmy wtedy znacznie łatwiejsze życie.

- To nie była moja wina, mamó - odparła rezolutnie Stephanie. - Poza tym od początku ostrzegliśmy wszystkich, że Bolgeo to sku... - Ugryzła się w język. - Skubany drań!

- No, no, młoda damo! - powiedziała Marjorie, ale jej usta dziwnie przy tym drgnęły. Steph tylko uśmiechnęła się radośnie.

- Jakkolwiek nie pochwalam słownictwa, z resztą zgadzam się w całej rozciągłości - powiedział MacDallan. - Ostrzegliście, i to wcale nie półgłosem. Powinniśmy byli was posłuchać. Na szczęście nikt naprawdę nie ucierpiał.

Wokół stołu rozległ się szmer potaknięć, a Richard Harrington uniósł kieliszek z winem w kierunku Sheltona.

Mimo pozornego dystansu okazanego niegdyś w rozmowie z Hobbard szef rangerów podzielał jej nieufność wobec Bolgeo. Ponieważ cierpiał na tragiczne braki kadrowe, dogadał się z komendantem policji w Twin Forks i gliniarze mieli od tamtej pory oko na rzekomego

naukowca. Wprawdzie nie wpadli na trop jego zasadniczej działalności, ale dowiedzieli się, że jeden z jego pomagierów wynajął w jakimś celu całkiem obszerny magazyn. Gdy więc nadeszła wiadomość o przyłapaniu Bolgeo na odławianiu treecatów, od razu było wiadomo, gdzie szukać.

Uwolnione treecaty mogły dzięki temu wrócić do klanu. Inna sprawa, że ponieważ ich status prawny nie był jeszcze uregulowany, Bolgeo i jego ludzie mogli spodziewać się raczej niskiego wyroku; w najgorszym razie groziło im tylko sześć lokalnych miesięcy za kłusownictwo. Niemniej Shelton zamierzał dobrze wykorzystać ten czas, rozsyłając na całą zamieszkaną galaktykę zapytania, czy osoby o podanych cechach biometrycznych nie są przypadkiem poszukiwane gdzieś za jakieś inne przestępstwa. Wszyscy woleliby widzieć bandę Bolgeo na dłużej za kratkami, ale najważniejsze, że porwane treecaty były już bezpieczne.

Richard czuwał nad ich stanem zdrowia, póki nie doszły do siebie po podawanych im przez Bolgeo ogłupiaczach. Kilka miało z tym niejaki kłopoty, i te zamieszkały tymczasem w siedzibie Harringtonów. Jeden z takich tymczasów siedział właśnie na oparciu krzesła Karla, tuż obok Stephanie i Lionhearta. Oba treecaty wyglądały jak symetrycznie ułożone łabądky, tyle że z wyżebranymi u młodych ludzi łądygami selera w garści. Fisher siedział za MacDallanem, po przeciwnej stronie stołu.

- Stephanie - powiedziała cicho Hobbard, spojrzawszy na wszystkie trzy futrzaki. - Wiem, jak opiekuńczo się do nich odnosisz. W pełni to rozumiem. Podobnie jak twoją postawę - dodała, zerkając na MacDallana. - Chyba nawet wiem, czego najbardziej się obawiacie, i pragnę was zapewnić, że też nie chcę, by na Sphinksie zdarzyło się to samo co na Barstoolu. - Steph przestała się uśmiechać. Przez kilka chwil spoglądała z powagą na Hobbard, po czym skinęła głową.

- Ani przez chwilę nie sądziliśmy, by było inaczej - powiedziała.

- Miło mi to słyszeć. I muszę wyznać, że jestem trochę zaskoczona, jak i zaniepokojona tym, co Bolgeo powiedział o swych tutejszych zleceniodawcach. Nie wydaje mi się, by w Gwiezdnym Królestwie było wielu tak myślących ludzi. Zorganizowani jakoś specjalnie też pewnie jeszcze nie są, ale sam fakt, że pojawili się już teraz, daje podstawy do obaw. I tym bardziej uważam, że trzeba zadbać o otoczenie treecatów ochroną. Muszą zyskać taki status prawny, który zapewni im bezpieczeństwo. Będę do tego dążyć, ale... potrzebna mi ściślejsza współpraca z waszej strony. Znacznie lepsza niż dotąd.

- Nasz cel jest taki sam - powiedział Scott MacDallan. - Przy czym zależy nam na takim uregulowaniu statusu prawnego treecatów, który nie zostawi ich przeciwnikom żadnej

furtki i nie da się łatwo podważyć. To prawda, że nie byliśmy zbyt otwarci w rozmowach z tobą. Ale nie wynikało to z wątpliwości co do twojej postawy. Rozumiemy, że komisja musi zebrać konkretne dowody na inteligencję treecatów, musi spróbować ustalić, czy naprawdę są telepatami. Tyle że...

- Że nie chcemy się z tym spieszyć, by nie popełnić błędów, które potem by się na nas zemściły - dopowiedziała Stephanie.

- Właśnie! - potwierdził MacDallan.

- A gdyby się okazało, że dzielam niektóre z waszych obaw? I na przykład jestem gotowa... okroić trochę mój raport, tak by nie zaszkodzić treecatom?

- Nie wiem, czy oficjalni przedstawiciele Straży Leśnej powinni wysłuchiwać takich rzeczy - powiedział Shelton. - A dlaczego nie? - spytała z uśmiechem Hobbard. - Liczę na pana pomoc jako współsprawcy.

- Chyba wolałbym mówić w tym przypadku o współpracy - stwierdził Shelton, wpatrując się w swój kieliszek wina. - To zdecydowanie ładniejsze słowo.

- Czy mnie uszy nie mylą? - spytał Lethbridge, patrząc to na Hobbard, to na swojego przełożonego. - Odnoszę wrażenie, że zawiązuje się tu właśnie jakaś konspira. Będziemy spiskować dla dobra treecatów?

- Nie wiem, czy można nazwać to konspirą - powiedziała Hobbard zdecydowanie poważniejszym tonem. - Jednak na pewno chodzi o ruch w słusznym kierunku. Po prostu musimy stworzyć jakąś grupę wsparcia, zanim jeszcze ludzie w rodzaju zleceniodawców Bolgeo podniosą krzyk, że ochrona treecatów zagraża rynkowi nieruchomości. Ale żeby mieć jakieś szanse, musimy najpierw lepiej poznać treecaty. Niekoniecznie wszystko od razu publikując. Jednak gdy sprawa stanie się głośna, powinniśmy mieć w zanadrzu kilka dopracowanych propozycji ułożenia naszych wzajemnych kontaktów. Chodzi o to, by nawet przypadkiem nie wyrządzić im krzywdy. A do tego musimy lepiej je poznać - stwierdziła Hobbard i spojrzała na Stephanie. - Musimy nauczyć się, jak mądrze o nie dbać. I sądzę, że ty możesz pomóc nam w tym bardziej niż ktokolwiek inny. Bardziej zapewne nawet niż Scott i Fisher. Twoja więź z Lionheartem wydaje się silniejsza, poza tym wasz związek zaistniał jako pierwszy. Obiecuję, że wszystko, czego się dowiem, pozostanie poufne, jak długo oboje nie zgodzicie się, bym to ujawniła. Tylko proszę, dajcie mi dostęp do tej wiedzy. Pozwólcie mi poznać treecaty na tyle, bym pojęła, jak najlepiej będzie zadbać o ich bezpieczeństwo.

Stephanie wpatrywała się przez chwilę w panią doktor, po czym odwróciła głowę i spojrzała na Lionhearta, prosto w pionowe źrenice jego zielonych oczu. Odwzajemnił spojrzenie i Steph poczuła nagle coś dziwnego. Było to wrażenie kojarzące się z echem

wspomnienia, które chociaż nieuchwytnie, czai się jednak tuż za horyzontem pamięci. Nie potrafiła tego lepiej określić, jednak miała pewność, że Lionheart rozumiał jej rozterkę i niepokój. Nie mógł oczywiście ogarniać całości obrazu, ale wiedział, o co chciała go spytać. Nie potrafiłaby wytłumaczyć żadnemu człowiekowi, jak odebrała jego odpowiedź, ale nie miała wątpliwości, że ją otrzymała. Było to tak niezwykle, że wstrzymała na chwilę oddech. Potem dotknęła łagodnie policzka Lionhearta i pokiwała głową.

- Dobrze, doktor Hobbard - powiedziała z westchnieniem. - Nie będę udawała, że rozproszyła pani wszystkie moje obawy, i nie obiecuję, że nigdy przed panią niczego nie zataimy, ale postaramy się współpracować.

- Dziękuję - stwierdziła krótko Hobbard.

- Bardzo to budujące, ale pozostaje jeszcze kwestia, jakiej dokładnie współpracy pani oczekuje, doktor Hobbard - odezwał się po chwili ogólnego milczenia Shelton. - Rozumiem, że skaptowała już pani dwoje moich ludzi... - Tu spojrział przenikliwie na Lethbridge'a i Jedrusinski. - Ale domyślam się, że zależy pani także na mojej współpracy z obecną tu młodą osobą. - Wycelował palec w Stephanie. - Czuję przez skórę, do czego pani dąży, i dlatego z góry chcę zapowiedzieć, że nie wyrażę zgody na żadne kombinacje w rodzaju młodzieżowego stażu. Czy czegokolwiek podobnego. Nie, i już.

Stephanie posmutniała, a Shelton skrzyżował stanowczym gestem ręce na piersi i odsunął się trochę od stołu. Wyglądał teraz bardzo oficjalnie.

- Proszę nie patrzeć tak na mnie, młoda damo! W odróżnieniu od niektórych, nie mam zwyczaju zmieniać zdania trzy razy dziennie. Powiedziałem, że nie będzie w Służbie Leśnej Sphinksa żadnych stażystów, i słowa dotrzymam. I dlatego właśnie stworzyliśmy właśnie stanowisko rangera na okresie próbnym.

- Rangera na okresie próbnym? - powtórzyła ze zdumieniem Stephanie. - Cóż to za dziwne zwierzę, panie Shelton?

- To najniższy stopień w hierarchii straży. Coś jakby młodszy pomywacz. Nie oznacza to jednak całkowitego braku przywilejów. Dostaje się na przykład coś takiego.

Wyjął z kieszeni oprawiony w skórę drobiazg i pchnął go po blacie w kierunku Stephanie, która wzięła przypominający legitymację przedmiot i otworzyła go, ale nie od razu zrozumiała, co właściwie widzi.

- Ale to jest...

- Tak, to oznaka Straży Leśnej Sphinksa - powiedział Shelton, nie dając jej dokończyć. - Jej posiadacz może sobie kupić kawę w automacie stojącym w naszym biurze w Twin Forks. Ale nie tylko - dodał z niespodziewanym uśmiechem. - Może na przykład objąć



u nas stanowisko specjalisty do spraw treecatów. Mam tu jeszcze jedną taką, przeznaczoną dla twojego wiecznie wyszczerzonego kolegi. - Spojrzał znacząco na Karla. - Mam nadzieję, że jego towarzystwo trochę cię utemperuje. Nie, żeby miał jakieś złudzenia! Skoro tak wyszło, że nie zdołamy utrzymać cię z dala od lasu, i na dodatek oboje z tym twoim kudłaczem uwielbicie zaśmiecać środowisko naturalne szczątkami hexapum, wpisanie was w oficjalną strukturę wydaje się jedynym sposobem na ograniczenie strat w pogłowiu tutejszych dużych drapieżników. Skończy się zabawa, zacznie się wykonywanie rozkazów. Czy to rozumiałe, ranger Harrington?

- Tak, sir! - odparła z szerokim uśmiechem Stephanie. - Nie mam nic przeciwko wykonywaniu sensownych rozkazów.

- O mój Boże - jęknął Shelton i zakrył dłonią oczy. - Teraz dopiero się zacznie.

- A co innego mogę powiedzieć, sir? - spytała Steph. - Przecież to duża planeta i kto wie, na co jeszcze z Lionheartem trafimy. Owszem, pan jest tu szefem, ale...

- Jest pan pewien, że to dobry pomysł? - spytała z troską Marjorie Harrington, chociaż sądząc po wyrazie twarzy, cała sytuacja raczej ją bawiła.

- Oczywiście, że nie - przyznał Shelton. - Ale wszystkie inne, które przyszły mi do głowy, były jeszcze gorsze. Pani córka i jej przyjaciel to samobieżna klęska żywiołowa. Jedyne, co nam pozostaje, to ograniczanie następstw ich działań. I mam cichą nadzieję, że w ten właśnie sposób uda nam się coś osiągnąć.

- Proszę się nie martwić, sir - pocieszyła go Stephanie, sięgając po treecata i umieszczając go sobie na kolanach. - Będziemy naprawdę grzeczni. Prawda, Lionheart?

- Bleek! - zgodził się radośnie Lionheart i wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem.

# SŁOWNIK

**biały korzeń** - określenie treecatów na ziemniaki lodowe.

**biegus** - określenie treecatów na królika górskiego.

**błękitno-zielony świerk Sphinksa** - drzewo iglaste, którego igły przypominają stożkowe liście o bardzo ciemnej, błękitno-zielonej barwie. Ma smuklejsze nasiona niż sosna, w smaku są one jednak bardzo gorzkie (przynajmniej dla ludzi, miejscowa fauna bardzo je lubi). Nazywany jest też czerwonym świerkiem ze względu na rdzawą barwę drewna, cenionego jako materiał dekoracyjny. Przeciętna wysokość drzewa wynosi 17 metrów.

**bóbr Sphinksa** - ssak osiągający 51 centymetrów długości. Pierwsi koloniści nazwali go bobrem, ale bardziej przypomina sześciopalcową wydrę. Jednak w odróżnieniu od ziemskich wydr, jest zapalonym budowniczym tam na rzekach i strumieniach. Występuje we wszystkich strefach klimatycznych Sphinksa, oprócz arktycznej.

**budowniczy jezior** - nazwa treecatów na bobra Sphinksa.

**dąb królewski** - zrzucające liście drzewo przypominające ziemski dąb biały, tyle że o wiele większe, z liśćmi o kształcie grotu. Liście zrzuca dwa razy do roku, pierwszy raz pod koniec wiosny, drugi raz jesienią. Wiosenno-letnie listowie żółknie przed opadnięciem (zwykle jest to złocisty odcień żółci, podobnie jak w przypadku ziemskiego klonu, dlatego treecaty nazywają to drzewo złotoliściem), podczas gdy letnio-jesienne listowie opada bez zmiany barwy. Przeciętna wysokość dorosłego dębu wynosi około 80 metrów, chociaż znane są okazy sięgające 102 metrów.

**Diaspora** - zamieszany przez ludzi obszar galaktyki, określenie okresu zasiedlania galaktyki przez człowieka oraz (synonimicznie) początku tego procesu. Za datę graniczną podboju uznaje się 30 września 2103 roku NE, czyli dzień startu pierwszej załogowej wyprawy międzygwiazdnej, która opuściła Układ Słoneczny. Rok 2103 NE stał się w ten sposób pierwszym rokiem Diaspory.

**drobiazg polny** - zbiorcze określenie treecatów na różne niewielkie stworzenia, nieprowadzące nadrzewnego trybu życia.

**drzewo kamienne** - drzewo liściaste Sphinksa nazwane tak od wyjątkowo twardego i spoistego drewna. Dorosłe mierzy około 13 metrów wysokości i ma podłużne, sztyletowate liście, których jaskrawa zieleń przechodzi jesienią w ciemną purpurę. Ma bardzo wytrzymały

pień. Najczęściej występującą odmianą jest brązowa (nazwana tak od jasnobrązowej kory). Drugą powszechną odmianą jest żółta, przy tym ta nazwa pochodzi od barwy drewna tego drzewa. Różne odmiany drzewa kamiennego rosną na całym Sphinksie, chociaż nie spotyka się ich prawie w rejonach górskich.

**drzewo sieciowe** - nazwa treecatów na palikowce.

**dzień standardowy** - ziemski dzień; miara czasu używana w zapisach podczas podróży międzygwiazdnych.

**dziurawy liść** - nazwa treecatów na sałatę koronkową Sphinksa.

**Gryphon** - piąta planeta układu gwiazdowego Manticore B (Manticore B-V) z gwiazdą typu G2 (składnikiem podwójnego układu gwiazdowego Manticore). Gryphon jest jedyną zamieszkaną planetą Manticore B. Średni promień jej orbity wynosi 11,37 minuty świetlnej, grawitacja zaś 1,19 ziemskiej.

**Gwiazdne Królestwo Manticore** - państwo obejmujące trzy zamieszkane planety podwójnego układu gwiazdowego Manticore. Są to: Manticore (świat stołeczny) i Sphinx, krążące wokół gwiazdy Manticore A (głównego składnika układu podwójnego), oraz Gryphon, jedyna zamieszkaną planetą krążącą wokół gwiazdy Manticore B.

**hexapuma** - sześcionogi drapieżnik Sphinksa. Jak na osiągnięte rozmiary, jest bardzo zwinny i szybki. Istnieje kilka podgatunków hexapum, różniących się umaszczeniem zależnym od właściwej im strefy klimatycznej. Zmiana barwy sierści następuje też w cyklu rocznym. Największe odmiany żyją w strefie umiarkowanej, dorastając do pięciu metrów długości tułowia, z ogonem sięgającym 2,5 metra. Ważą do 800 kilogramów, czyli więcej niż ziemski koń.

**jabłko pomarańczowe** - owoc Sphinksa, przypominający ziemskie jabłko, tyle że większy i jasnozielony, z grubą i łatwo obieralną skórką (jak w przypadku ziemskiej pomarańczy). Słodki, ale z cierpkim posmakiem.

**jęczmień wyżynny** - występująca na Sphinksie trawa z rozbudowanymi kłosami. Jej ziarna są jadalne dla człowieka, chociaż mają kwaskowaty smak, który nie każdemu odpowiada. Można uzyskiwać z nich mąkę na wypieki albo przerabiać je na płatki.

**komunikator (inna nazwa: uni-link)** - urządzenie łączące funkcje czasomierza, telefonu, systemu nawigacyjnego (GPS), interfejsu sieciowego, banku danych oraz transpondera. Noszone zwykle na nadgarstku, ma też większą wersję kieszonkową o rozszerzonych możliwościach.

**kornik** - określenie treecatów na szczurzą wiewiórkę.

**królik górski** - mały, żyjący w norach ssak Sphinksa, dorastający do dwóch trzecich

wielkości treecata. Porusza się w sposób kojarzący się z kicaniem ziemskiego królika, chociaż poza tym nie przypomina go specjalnie wyglądem.

**lodygopęk** - określenie treecatów na seler naciowy.

**Manticore** - trzecia planeta układu Manticore A (Manticore A-III), z gwiazdą typu G0 (głównym składnikiem podwójnego układu gwiazdowego Manticore). Manticore jest jedną z dwóch zamieszkałych planet układu i światem stołecznym Gwiazdowego Królestwa Manticore (bliższym gwiazdy centralnej niż Sphinx). Średni promień jej orbity wynosi 11,4 minuty świetlnej, grawitacja równa jest 1,01 ziemskiej.

**miesiąc standardowy** - ziemski miesiąc; miara czasu używana w zapisach podczas podróży międzygwiazdowych.

**niedźwiedź górski** - sześciopali, wszystkożerny ssak, zamieszkujący przede wszystkim górskie obszary Sphinksa. Dorasta do około metra w kłębie i 2,5 metra długości. Waży do 550 kilogramów. Wprawdzie nie jest tak terytorialnym stworzeniem jak hexapuma i nie żywi się wyłącznie mięsem, ale uważa się go za sprawnego myśliwego i drugiego najgroźniejszego drapieżnika Sphinksa.

**nocny kondor** - latający drapieżnik Sphinksa, prowadzący nocny tryb życia. Przeciętna długość ciała dorosłego osobnika wynosi 1,4 metra, z rozpiętością skrzydeł sięgającą 2,9 metra. Waga ciała od 5,4 do 6,35 kilograma. Wbrew nazwie, wymyślonej przez pierwszych kolonistów, jest to ssak o skórze pokrytej sierścią, nie piórami. Ma bardzo sprawny zmysł wzroku i może porwać dorosłego treecata, jeśli zdoła go zaskoczyć. Wiadomo, że poluje też na znacznie większą zdobycz, i zalicza się go do niebezpiecznych dla człowieka. W odróżnieniu od żyjących na Sphinksie „ptaków”, ma tylko jedną parę skrzydeł, ale za to cztery muskularne nogi, każdą zakończoną zestawem szponów.

**orzeł górski** - latający drapieżnik Sphinksa, jeden z miejscowych odpowiedników ziemskich ptaków. Ma dwie pary skrzydeł i jedną parę bardzo silnych nóg zakończonych szponami. Dorosły osobnik osiąga przeciętnie około metra długości i 2,4 metra rozpiętości skrzydeł. Waga ciała oscyluje między 4,1 a 5 kilogramami. Jest bardzo sprawnym myśliwym, preferuje jednak drobną zdobycz i rzadko atakuje treecaty.

**ostrokrzew Sphinksa** - kwitnący krzew zajmujący mniej więcej tę samą niszę ekologiczną, co ziemski różanecznik czy wawrzyn. Osiąga wysokość do 3,6 metra, ma podługne, ciemnozielone liście oraz długie nawet na 10 centymetrów kolce. Jego wielobarwne kwiaty przypominają kształtem tulipany i są cenione ze względu na pyłek, który nadaje szczególnie smak miodowi, produkowanemu przez sprowadzane z Ziemi pszczoły.

**palikowiec** - drzewo liściaste Sphinksa, które rozmnaża się poprzez wypuszczanie

pędów korzeniowych z najniżej położonych gałęzi. Każdy z nich staje się z czasem nowym pniem. Palikowce tworzą splątany system gałęzi, rosnąc w wielkich skupiskach, z których każde jest zasadniczo jednym drzewem. Mają proste gałęzie o szorstkiej korze, zwykle szarej i czarnej. Liście są długie, z czterema wyraźnie zarysowanymi blaszkami liściowymi. Opadają pod koniec roku, zmieniając wcześniej barwę na ciemnopurpurową. Wysokość palikowców waha się między 25 a 45 metrów.

**po Diasporze** - *Post Diaspora*, P.D. (łac.), termin określający okres po wprowadzeniu nowego kalendarza, liczony jest od 2103 roku kalendarza gregoriańskiego (który to rok był też pierwszym rokiem P.D.).

**podwójny układ gwiazdny Manticore** - układ gwiazdny tworzący Gwiazdne Królestwo Manticore, składający się z Manticore A (gwiazdy typu G0, będącej głównym składnikiem układu) oraz Manticore B (gwiazdy typu G2).

**przed Diasporą** - *Ante Diaspora*, A.D. (łac.), określa okres przed wprowadzeniem nowego kalendarza, związanego z początkiem zasiedlania galaktyki przez człowieka. Rokiem pierwszym był w nim 2103 rok kalendarza gregoriańskiego. Roku zerowego nie było, czyli 2102 rok był pierwszym rokiem A.D.

**purpurowy kolec** - nazwa treecatów na rosnące gęsto kolczaste krzewy, których platanina jest niemal nie do przebycia. Są też wyjątkowo trudne do usunięcia. Rodzą małe i gorzkie owoce, które są niezbędnym składnikiem diety treecatów, ponieważ zawarte w nich w śladowych ilościach substancje wspomagają funkcjonowanie zmysłu telepatycznego tych stworzeń.

**rok standardowy** - ziemski rok; miara czasu używana w zapisach podczas podróży międzygwiazdnych, czasem także na skolonizowanych planetach. Ponieważ Gwiazdne Królestwo Manticore obejmuje trzy planety, przy czym na każdej lokalny rok ma różną długość, preferuje się zapis dat w latach standardowych. „Oficjalnym” jest wprowadzenie roku właściwy stołecznej planecie Manticore i bierze się go pod uwagę w urzędowych dokumentach, ale poza tym mało kto się na niego powołuje (oczywiście poza garstką szczególnie upartych purystów).

**ryjówka** - określenie treecatów na wiewiórkę ziemną.

**sałata koronkowa** - występująca na Sphinksie roślina przypominająca wielkością i wyglądem ziemską sałatę siewną. Jej liście są pełne dziur i wyglądają jak koronka. Jadalna dla ludzi, bywa składnikiem sałatek. Smakowo kojarzy się z ziemską sałatą z dodatkiem nuty cebulowej.

**Służba Leśna Sphinksa** - (Sphinx Forestry Service - SFS), planetarna agencja

powołana do ochrony naturalnego środowiska Sphinksa oraz miejscowych form życia, rozpoznawania i eksploatacji zasobów naturalnych planety oraz egzekwowania prawa poza terenami ludzkich osiedli. Podlega planetarnemu rządowi, nie Koronie. Zatrudnia ograniczoną liczbę wysoko wykwalifikowanych funkcjonariuszy (zwanymi rangerami), w razie potrzeby może skorzystać z rezerwy zaprzysiężonych ochotników.

**sośniak (albo sosna)** - drzewo iglaste z mocnymi i bardzo „kłaczystymi” torebkami nasiennymi oraz grubą, silnie pofałdowaną korą. Jego nasiona są wielkości orzechów ziemnych i mają intensywny orzechowy zapach. Można z nich wyciskać olej. Dorosłe drzewo wyrasta średnio na wysokość 62 metrów, chociaż znany jest co najmniej jeden okaz wysoki na 76 metrów. Jest to drugie najwyższe drzewo Sphinksa (po dębie królewskim). Pnie dorosłych drzew są do jednej trzeciej wysokości pozbawione gałęzi.

**Sphinx** - czwarta planeta układu Manticore A (Manticore A-IV), krążąca wokoło gwiazdy typu G0, będącej głównym składnikiem podwójnego układu gwiazdowego Manticore. Sphinx jest dalszą z zamieszkałych planet układu, ze średnim promieniem orbity wynoszącym 21,15 minuty świetlnej i grawitacją równą 1,35 ziemskiej.

**szare drzewo** - określenie treecatów na błękitno-zielone świerki Sphinksa.

**szczurza wiewiórka** - gryzoniowaty nadrzewny torbacznik Sphinksa, osiągający jedną trzecią wielkości treecata. Żeruje przede wszystkim na dębach królewskich, żywiąc się korą i liśćmi, ale potrafi zasiedlać też inne drzewa, jeśli w okolicy akurat brak dębów. Nie gardzi także wytworami z litego drewna, takimi jak ławki czy stoły ogrodowe albo boazerie. Zbyt duża liczba żerujących może poważnie osłabić drzewo, czasem doprowadzając nawet do jego obumarcia, rzadko jednak się zdarza, by szczurze wiewiórki tworzyły aż tak liczne kolonie.

**śnieżne skrzydła** - nazwa treecatów na orla górskiego Sphinksa.

**śnieżny łowca (myśliwy)** - nazwa treecatów na niedźwiedzia górskiego.

**tydzień standardowy** - ziemski tydzień; miara czasu używana w zapisach podczas podróży międzygwiazdowych.

**Urząd Przyrody** - (Wildlife Management Service - WMS), odpowiednik Służby Leśnej Sphinksa, działający na planecie Meyerdaahl.

**wierzba koronkowa** - przypominające wierzbę drzewo Sphinksa, rosnące najczęściej nad brzegami rzek i strumieni, zwykle na terenie podmokłym. Jest raczej niskie i rozłożyste, z podługznymi liśćmi, które przypominają misterną koronkę za sprawą znajdujących się na nich pułapek na owady.

**wstęgołiś** - nazwa treecatów na wierzbę koronkową.

**wydra Sphinksa** - ssak podobnej wielkości co treecat. Przypomina wyglądem bobra

Sphinksa, ma jednak uzębienie mięsożercy, bez typowych dla bobra siekaczy służących podgryzaniu drzew. Nie buduje tam, ale szybko i wytrwale pływa. Poluje zarówno w wodzie, jak i na lądzie.

**zabójcze skrzydła** - określenie treecatów na nocnego kondora.

**zabójczy kiel** - określenie treecatów na hexapumę.

**zielonoigłowiec** - określenie treecatów na sośniaka.

**zielony język** - określenie treecatów na drzewo kamienne.

**ziemniaki lodowe** - roślina bulwiasta Sphinksa, przypominająca ziemskiego ziemniaka irlandzkiego, tyle że dwa razy większa. Jej bulwy rosną zimą i mają zdecydowanie bardziej orzechowy smak niż tradycyjne ziemniaki.

**złote ucho** - określenie treecatów na jęczmień wyżynny.

**złotolistne drzewo (albo złotoliść)** - określenie treecatów na dąb królewski.